Święci a przyszłość świata

Zdzisław Józef Kijas OFMConv

BIBLIOTEKA EKUMENII
I DIALOGU Tom 45

PONTIFICAL UNIVERSITY OF JOHN PAUL II IN KRAKOW

Saints and the future of the world

Zdzisław J. Kijas OFMConv

Krakow 2021

UNIWERSYTET PAPIESKI JANA PAWŁA II W KRAKOWIE

Święci a przyszłość świata

Zdzisław J. Kijas OFMConv

Kraków 2021

BIBLIOTEKA EKUMENII I DIALOGU
Tom 45

Recenzenci
Ks. prof. dr hab. Zygfryd Glaeser
Ks. prof. dr hab. Tadeusz Kałużny SCJ

Redakcja językowa
Katarzyna Kastelik

Projekt finansowany z dotacji na utrzymanie potencjału badawczego Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie przyznanej przez Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego w roku 2020.

Copyright © 2021 by Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie

ISBN 978-83-7438-939-6 (wersja drukowana)
ISBN 978-83-7438-940-2 (wersja online)
DOI: http://dx.doi.org/10.15633/9788374389402

Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie
Wydawnictwo Naukowe
30-348 Kraków, ul. Bobrzyńskiego 10
tel. (12) 422 60 40, e-mail: wydawnictwo@upjp2.edu.pl
www.ksiegarnia.upjp2.edu.pl

Święci a przyszłość świata, Zdzisław J. Kijas OFMConv, Kraków 2021, s. 1–276.
(BIBLIOTEKA EKUMENII I DIALOGU, 45).
DOI: http://dx.doi.org/10.15633/9788374389402

Wstęp

Naturalnym środowiskiem życia istoty ludzkiej i jej rozwoju jest miłość i dobroć, przynajmniej podstawowe poczucie bezpieczeństwa i życzliwości ze strony tych, którzy są wokół. Bez tych wartości bardzo trudno sobie wyobrazić właściwe funkcjonowanie człowieka i poprawny jego rozkwit. Tymczasem wydaje się, jakoby wartości zostały poważnie naruszone, a w niektórych przypadkach wręcz podważone. To sprawia, że mamy współcześnie poważny problem z przyszłością i to na każdym nieomal poziomie, zarówno indywidualnym, jak i zbiorowym.

Brak nam pewności, gdy chodzi o nas samych, ale także pewności, gdy chodzi o wartości, którymi żył dotąd świat i Europa, a o których wspomniałem wcześniej. Wizja przyszłości stała się nagle zamglona, a w niektórych obszarach nawet wręcz ciemna. Wielu niepokoi się również o przyszłość chrześcijańskiej wiary i Kościoła. Bardzo wielu czuje, że nagle wszystko stało się prowizoryczne, tymczasowe, nietrwałe. Nawet samo życie, które dla niejednego przedstawiało się dotąd jako wartość trwała, raptem – co szczególnie ujawnił COVID-19 – okazało się również czymś bardzo kruchym. Dla ogromnej rzeszy współczesnych siedzenie w domu całymi tygodniami, bez perspektywy wyjścia na zewnątrz, wydawało się niemożliwe, wręcz niewyobrażalne. Koronowirus to zmienił. Jeszcze do niedawna człowiek nie znosił nudy. Poddawany był różnego rodzaju bodźcom: wzrokowym, słuchowym, dotykowym, smakowym czy węchowym. Ciągle musiał „coś" czynić i coś musiało się dziać. Raptem zmuszony został

do pozostania w domu, do życia wolniejszego, a nawet do całkowitego braku zajęcia. Dotychczasowe pewności padły, a nowe się jeszcze nie pojawiły.

John Milbank, teolog Kościoła anglikańskiego, emerytowany wykładowca religii, polityki i etyki na Uniwersytecie Nottingham i założyciel ruchu „Radical Orthodoxy", nie bez racji mówił, że: „Dzisiejsze czasy przypominają lata 20. i 30. XX wieku, gdy panowała ogromna niepewność co do przyszłości. A może być jeszcze gorzej niż wówczas, bo mamy dziś do czynienia nie tylko z niebezpiecznymi ideologiami, a z wieloma bardzo złożonymi problemami, dla których nie ma na razie rozwiązania"[1]. W dalszej części rozmowy z Aleksandrą Rybińską teolog anglikański dodał, że:

> Rośnięcie w siłę Azji, agresywna Rosja u granic Europy, która nie jest z nią w żaden sposób zintegrowana, masowa imigracja z krajów muzułmańskich i wiele innych podobnych spraw. W Wielkiej Brytanii nawet lewicowi intelektualiści zaczynają dostrzegać problem imigracji. Przyjęliśmy zbyt wielu ludzi, którzy nie chcą się integrować. Dotyczy to szczególnie muzułmanów. Założenie, że każdy, kto przybędzie do Europy, automatycznie przyjmie liberalną demokrację, okazało się błędne. Mamy w Europie coraz więcej ludzi o odmiennych wartościach, co powoli zaczyna wyglądać na kolonizację. Wartościowi ludzie, szczególnie w Niemczech, nie chcą powtarzać błędów przeszłości, jednak będąc ślepymi na istotę islamu i związane z tym problemy, ryzykują, że stanie się dokładnie to, czego chcą uniknąć. Wraca antysemityzm, tyle że w wydaniu islamskim. Część brytyjskiej lewicy jest tak łasa na głosy muzułmanów, że jej to nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie. Wobec inwazji islamu niejeden zorientował się, że nasze europejskie wartości nie wywodzą się wcale z oświecenia, ale z o wiele starszego dziedzictwa. Rzymskiego, greckiego, chrześcijańskiego. Grecki ideał życia teoretycznego, rzymski porządek prawny przepojony Ewangelią. Chrześcijaństwo i do pewnego stopnia judaizm są elementami integrującymi kontynent. Nagle okazuje się, że wszystkie cywilizacje są religijne. Naszym problemem jest,

[1] J. Milbank, *Indywidualizm nas zabija*, https://teologiapolityczna.pl/john-milbank-europie-zagraza-indywidualizm (01.04.2020)

> że wychodziliśmy z założenia, iż nasze świeckie społeczeństwa stanowią koniec historii, szczyt postępu i że ludzie z innych cywilizacji, którzy do nas przybędą, to po prostu zaakceptują. A tak nie jest[2].

Neoliberalizm, który dawał nadzieję, że wszyscy staną się zamożni, uczynił coś odwrotnego, pogłębiając dodatkowo nierówności. Szansa na lepszą przyszłość oddala się coraz bardziej. Ponieważ zabrakło jasnych i długoterminowych celów, zatraciła się równocześnie perspektywa na harmonijny rozwój społeczeństw i samego człowieka. Wielu czuje, że coś nie gra, że czegoś brak, że coś nie funkcjonuje... Z braku jasnych celów rodzą się lęki, poczucie zagrożenia i niepewności. To z kolei sprzyja zamykaniu się ludzi w sobie lub w małych kręgach i spoglądaniu z dozą nieufności na każdą nowość, każdą odmienność.

Mieszkaniec współczesnego świata raczył chyba zapomnieć (świadomie lub nie), że (nadal jeszcze) żyje w określonym czasie i przestrzeni, co obliguje go do akceptacji określonej hierarchii wartości, która z jednej strony gwarantuje współżycie między sobą ludzi różnych kultur i religii, z drugiej zaś jest rękojmią pomyślnej (pokojowej) przyszłości. Warto o tym pamiętać, bo niektórym prawdopodobnie się wydaje, jakoby istnieli poza czasem, wolni od wartości i jakichkolwiek powiązań z ludźmi czy przyrodą, generując z tego powodu poważne trudności w relacjach międzyludzkich i powiększając kryzys ekologiczny. Jednak „najgorszym nieszczęściem naszych czasów – uważa przywołany John Milbank – jest wiara w prawa człowieka. Wiara w prawo, które można odseparować od sprawiedliwości dystrybucyjnej. [...] Zwykli ludzie czują, że coś jest nie tak, bo widzą, że jesteśmy dominowani przez coraz to bardziej ekscentryczne mniejszości. Pojawiły się naprawdę niebezpieczne, chore idee, jak ta, że dzieci tak naprawdę są wszystkie transseksualne, a płeć to kwestia wychowania i kultury. Albo dotyczące tego jak się akurat czujemy. Dziś mam ochotę być czarny, a jutro wilkiem”[3].

---

[2] J. Milbank, *Indywidualizm nas zabija...*, dz. cyt.

[3] J. Milbank, *Indywidualizm nas zabija...*, dz. cyt.

Można by, oczywiście, wyliczyć dalej trudności, przed jakimi stanął współczesny świat i jego mieszkańcy. Lecz nie to jest treścią niniejszej pozycji, która stawia sobie za zadanie wskazać ewentualne *lekarstwa*, dające nadzieję na uleczenie, *drogę*, która prowadzi do wyjścia z trudności, *źródła*, z których zaczerpnąć można ożywczej wody w drodze do lepszego życia. Tym wszystkim, jak będę chciał przekonać Czytelnika, są święci. Kim oni są? W homilii podczas Mszy św. Beatyfikacyjnej Brata Alberta na krakowskich Błoniach (22.06.1984) św. Jan Paweł II mówił, że „świętość polega na miłości". Ta zwięzła, bardzo prosta definicja oddaje w swej istocie to, co w świętości jest najbardziej zasadnicze, co czyni człowieka „świętym", czyli działanie Boga. „Całe zatem dążenie do świętości... jest dążeniem do miłości, czyli do tego, czego człowiek pragnie i szuka najbardziej. Człowiek bowiem jest stworzony, żeby kochać i być kochanym. Nic w tym dziwnego, skoro jest obrazem Trójcy Świętej, której wewnętrzne relacje są właśnie oparte na miłości"[4]. „W takim znaczeniu świętość nie jest ideałem i – mówił dalej Jan Paweł II – nie jest też zadaniem dla idealistów. Ona jest życiem, żywą, codzienną relacją międzyosobową, czymś niezwykle realistycznym".

Drogę do świętości otwiera wiara, zamyka z kolei jej brak. Nic innego, poza brakiem wiary, nie jest dla niej przeszkodą, tym bardziej grzech. Nawet z największych grzeszników Bóg czyni wielkich świętych, lecz jest „bezsilny", kiedy w człowieku brak wiary, chęci nawiązania z Nim relacji, otwarcia się na Jego łaskę, korzystania z Jego pomocy. Szczegółowiej będę pisał o tym w pierwszych rozdziałach niniejszej pozycji, w których będę chciał uzasadnić bardziej tytuł publikacji *Święci a przyszłość świata*. Właśnie dlatego, że człowiek święty wierzy w żyjącego i działającego w świecie Boga, jest pełen nadziei i optymizmu na lepszą przyszłość, która nie zależy wyłącznie

[4] Jan Paweł II, *Homilia w czasie Mszy św. beatyfikacyjnej o. Rafała Kalinowskiego i Brata Alberta – Adama Chmielowskiego, odprawionej na Błoniach*, https://ekai.pl/dokumenty/homilia-w-czasie-mszy-sw-beatyfikacyjnej-o-rafala-kalinowskiego-i-brata-alberta-adama-chmielowskiego-odprawionej-na-bloniach/ (01.04.2020).

od niego, od jego inteligencji, pracy czy władzy, lecz również (a może przede wszystkim) od Boga, który jest Bogiem wszechmogącym, pełnym dobroci i miłości.

Prace nad niniejszą pozycją miały początek w jednym świecie, a koniec w drugim, zdecydowanie innym, odmiennym. Kiedy kilka miesięcy temu dzieliłem się ze znajomymi tematem nowej publikacji, na ich twarzy jawiło się niemałe zdumienie. Bardziej odważni mówili natomiast, że przyszłość świata spoczywa raczej w rękach ekonomistów, polityków, ludzi biznesu, nie zaś świętych czy bogosławionych. Czas pokazał, że się mylili. Oczywiście, nadal wiele zależy od wspomnianych grup społecznych, tym niemniej największą nadzieją na przyszłość są ludzie o sercu wrażliwym i dobrym, którzy szanują Boga i prawa, jakie nadał, i według nich żyją. Jednym słowem – przyszłość świata, jego jakość, trwałość spoczywa w rękach świętych.

Niniejszą książkę kończyłem w stolicy Meksyku, oczekując na powrót do Europy. Przybyłem tam w połowie lutego 2020 roku na wykłady. Kiedy je skończyłem w połowie marca, nie miałem już możliwości powrotu do Polski. Żyjąc z dala od domu, posługując wspólnocie sióstr meksykańskich Hijas de Maria Inmaculada de Guadalupe, brałem udział w żałobie nad światem, który dotąd znałem[5]. Na moich oczach odchodził w przeszłość świat, który znałem, świat oparty na ekonomii wzrostu, zysku, materialnych korzyści itd. Wielu niedowierzało, że coś takiego się dokonuje. Byli przekonani, że świat zbudowany na interesie ekonomicznym jest jedynym z możliwych i najbardziej trwałym. A jednocześnie nie brakowało takich, którzy czuli, że świat dobrze im znany odchodzi bezpowrotnie. Oczekiwali więc na nowy, nie wiedząc jeszcze, jak i kiedy on się pojawi. „W mojej ocenie – pisała Magdalena Fudała-Janc, psycholog – czas, który nadejdzie, będzie inny, wolniejszy, spokojniejszy, lepszy”[6]. Raptem czas

[5] Zob. M. Fudała-Janc, *Przeżywamy czas żałoby nad światem, który znaliśmy. Musimy to przetrwać*, https://twnews.pl/pl-news/nasz-wywiad-psychiatra-zaloba-nad-swiatem-ktory-znalismy (16.04.2020).

[6] M. Fudała-Janc, *Przeżywamy czas żałoby...*, dz. cyt.

nabrał innego, nieśpiesznego tempa, zmienił się sposób przebywania z ludźmi, pojawiła się możliwość (lepszego) poznania kogoś, kto od lat był blisko nas, lecz nigdy w pełni zauważony, poznany, kochany.

Koronawirus zmienił nasze życie i sposób funkcjonowania w świecie. Wielu uważa, że chociaż czas dzisiejszy jest doświadczeniem bardzo trudnym, to jednak po koronowirusie będziemy bardziej zdrowi, spokojniejsi, a może również świętsi? Pandemia przetasowuje mocno nasze dotychczasowe wartości. Spora grupa ludzi zaczyna powoli odkrywać, co jest ważne, a co jest bez znaczenia, co posiada autentyczną wartość, a czemu jej brak, mimo iż dotąd coś uchodziło za rzecz wartościową. Na znaczeniu zaczynają nagle zyskiwać postawy, które były typowe dla ludzi określanych przez wiarę chrześcijańską mianem „świętych".

Wierzący wiedzą, że przyszłość świata spoczywa w rękach Boga i ludzi, którzy są Mu posłuszni. Są to ludzie, którzy żyli w konkretnym czasie, miejscu, w ściśle opisanej sytuacji historycznej. Ich sposób bycia, ich czyny, słowa, miały istotny wpływ na jakość świata (ludzkości, Kościoła, państwa, dotyczyły najczęściej ludzkiej biedy i cierpienia). Ich sposób zachowania się w sytuacji granicznej, podjęte decyzje lub obrona prawdy itd., zmieniły świat, który przychodził po nich. Dzięki ich czynom świat stał się inny, znacznie lepszy od tego, w którym przyszło im dawać świadectwo wiary w Boga i siłę Jego miłości.

Nie sposób mówić tutaj o wszystkich świętych, aczkolwiek każdy z nich miał określony wpływ na przyszłość świata. Dla przykładu wybrałem jedynie siedmu świętych (bogosławionych). Wszyscy z terenu Polski i to nie dlatego, że brak świętych w innych krajach. Owszem, są, ale uczyniłem to z tej prostej przyczyny, że przejawiają oni typowe postawy świętych, obrońców Boga i ludzi, ludzi pełnych miłosierdzia dla potrzebujących i cierpiących. Postaciami tymi są, w porządku chronologicznym: św. Jozafat Kuncewicz, błogosławieni poznańscy, św. Brat Albert, św. Maksymilian Maria Kolbe, bł. Hanna Chrzanowska, Stefan kard. Wyszyński i św. Jan Paweł II.

Każda z tych postaci skrywa w sobie coś szczególnego, co czyni ją wyjątkową, bardzo charakterystyczną, jakby jedyną. Właśnie od tego, co uczyniła, od postawy życia, słów i czynów, zależało bardziej ludzkie „jutro" świata. Troską św. Jozafata była jedność Kościoła i męczeńską śmiercią potwierdził, że wierność Bogu jest ponad wszystko. W ślad za nim idą tzw. błogosławieni poznańscy, obrońcy prawdy poprzez edukację (np. Edmund Bojanowski) czy męczeństwo. Po nich idzie św. Brat Albert, który na widok ludzkiej biedy stał się „dobry jak chleb". Z kolei św. Maksymilian M. Kolbe, który oddając życie za Franciszka Gajowniczka w obozie śmierci Auschwitz-Birkenau, dał świadectwo, że godność człowieka jest ponad wszystko, że miłość silniejsza jest niż nienawiść.

Przesłanie bł. Hanny Chrzanowskiej było bardzo zbliżone, ale realizowało się w innym środowisku, czasie i w odniesieniu do ludzi chorych, opuszczonych i zapomnianych. Stefan kard. Wyszyński, człowiek pełen wiary i odwagi, nie stracił nadziei na lepsze jutro, na zwycięstwo dobra i prawdy, wiary w Boga i człowieka, nawet w najbardziej ciemnym okresie komunistycznych rządów. W ciemnych czasach komunistycznego reżimu oddychał już pięknem przyszłości, wyrastającej z wiary w Boga Wszechmocnego. Coś analogicznego można powiedzieć o św. Janie Pawle II, nie bez racji nazywanym Wielkim. Przyszłość świata, podzielonego, szarpanego konfliktami i niezgodą, Karol Wojtyła widział w Chystusie i dlatego był niezłomnym apostołem Jego obecności w świecie. Był apostołem miłości miłosiernej Boga, dlatego z odwagą i niezmordowanie nawoływał do zachowywania Jego wymagań/przykazań – jako warunku/rękojmi właściwej przyszłości.

Na przykładzie powyższych postaci będę chciał przekonać czytelnika, że pozytywna przyszłość świata jest możliwa do osiągnięcia jedynie właśnie przez życie „święte". Zapraszam więc bardzo do przygody z nią samą i z ludźmi, którzy się nią zachwycili.

Ciudad de México, 3 maja 2020

Świętość a pokusy współczesności

Nie chcę opisywać świętości i świętych w oderwaniu od konkretnej sytuacji historycznej i egzystencjalnej, w jakiej życie człowiek[7]. Przeciwnie, pragnę się skupić na świętości przeżywanej w ścisłym powiązaniu ze zdarzeniami, jakich doświadcza, biorąc pod uwagę jego radości i smutki, nadzieje i problemy, którymi jest obciążony, a które nierzadko go przerastają, z których często nie widzi drogi wyjścia. Właśnie wtedy świętość jawi się dla niego źródłem siły i nadziei na lepszą przyszłość. Nie chodzi mi o sugerowanie sposobów na rozwiązanie rozlicznych problemów (politycznych, ekonomicznych, egzystencjalnych czy duchowych), jakie nękają człowieka, ile raczej o obronę jego samego, jego godności posiadanej i dalszy jej rozwój. W istocie chodzi o to, aby pomóc człowiekowi obronić prawdziwe szczęście, czyniąc szczęśliwymi również innych, pomóc mu żyć w zgodzie z samym sobą, kiedy staje się jednocześnie twórcą pokoju dla innych (dla świata).

Świętość zrozumiana, świadomie przyjęta i codziennie przeżywana, potrafi zmienić człowieka i świat, oba podmioty uczynić wartościowymi i godnymi przeżywania. Zamierzam zatem wejść w pewne napięcie między rzeczywistością a ideą, kiedy ta pierwsza, jak słusznie zauważał papież Franciszek, „po prostu jest, [a – Z.J.K.]

---

[7] Niniejszy tekst jest zmienioną wersji artykułu, który ukazał się w pozycji: *Przesłanie Jana Pawła II na XXI wiek,* red. M. Jačov, F. Ziejka, W. Zuziak, Kraków 2014, s. 207–222.

ideę się opracowuje”[8]. Interesuje mnie rzeczywistość bardziej niż idea, która może odwieść od rzeczywistości, stać się abstrakcyjna, nie mając wpływu na życie. W takiej sytuacji, jak zauważa papież Franciszek, „niebezpiecznie jest żyć w królestwie samego słowa, obrazu, sofizmatu”[9]. Opisując świętość i świętych – będę miał na uwadze, z jednej strony, problemy współczesnego człowieka, z drugiej właściwe narzędzie, jakim jest świętość, do ich rozwiązania i przezwyciężenia. To powiedziawszy, możemy teraz przejść do rozwinięcia niniejszej refleksji.

Pokusa aktorstwa

Napisano już wiele mądrych rzeczy na temat sytuacji człowieka XXI wieku. W niniejszym rozdziale chcę skupić się wyłącznie na niektórych z nich, w kolejnych natomiast zwrócić uwagę na inne, równie ważne. Jedną z niebezpiecznych pokus, nęcących współczesnego mieszkańca świata, jest pokusa aktorsta. Warto przyjrzeć się jej bliżej, aby poznać mechnizm działania.

Współczesność nęci człowieka pokusą aktorstwa. Posiada ona wiele wiele twarzy, chociaż w ostateczności sprowadza się mniej więcej do bezkrytycznej oceny siebie i podawania się za kogoś, kim się (jeszcze) nie jest (a chciałoby się być) lub nigdy nie będzie. Wielu współczesnych zdaje się ulegać tej pokusie. Świadomie lub nie, ze strachu czy z chęci zaimponowania, człowiek początków XXI wieku kuszony jest, aby „grać” pokornego, skromnego lub odwrotnie, wpływowego, wszystkomogącego. W zależności od sytuacji, kontekstu czy środowiska, w którym się obraca, chce stać się innym, niż w istocie jest, albo też być takim, jakim chcą go widzieć inni, mieć podobne „wartości”, jakimi żyją ludzie wpływowi, oceniać innych tak, jak oceniają ich ci, na znajomości których akurat mu zależy. Uleganie

[8] Franciszek, Adhortacja apostolska *Evangelii gaudium*, Watykan 2013, n. 231.
[9] Franciszek, Adhortacja apostolska *Evangelii gaudium...*, dz. cyt.

tej pokusie rodzi postawę nieautentyczności, braku szczerości, zakłamania, jednym słowem – grę pozorów, udawanie. Człowiek boi „odsłonić się" w pełni, pokazać, kim rzeczywiście jest, co myśli i w co wierzy, co uważa za słuszne, czego chciałby bronić, a co odrzuca. Obawia się, że ewentualna szczerość może mu w czymś zaszkodzić, zablokować awans, przerwać lub utrudnić karierę, postawić w złym świetle itd., dlatego woli „się ukryć", nie ujawnić do końca swoich myśli, nie powiedzieć o swoich ukrytych pragnieniach, zataić autentyczne cele, prawdziwe intencje. Nierzadko obawy mogą być słuszne, zabezpieczają bowiem dobre imię jego lub bliskich, ale czy może grać przez całe życie?

Chęć wzbudzania podziwu i szukania uznania jest nęcąca. Ale jak długo? Czy zawsze? Czy przez całe życie? Można zachowywać się niczym aktor, który odgrywa różne role, lecz z żadną z nich się nie utożsamia. Żadna maska, którą nakłada, wchodząc na scenę, nie zmienia jego osobowości ani sytuacji egzystencjalnej. Może udawać człowieka mądrego, roztropnego, pobożnego, świętego i ofiarnego, lecz każda z tych postaci może odbiegać od tego, kim w rzeczywistości jest. Czyż nie brak głupich ludzi, którzy odgrywają mądrych, albo smutnych, pozbawionych sensu życia, którzy nakładają maskę radości i życiowego entuzjazmu? Wielka jest pokusa próżności. Można nałożyć maskę, pod którą skrywa się prawdziwa tożsamość, realne trudności czy prawdziwe radości. Człowiek w masce przestaje komunikować innym, kim jest, co go spotyka, jakich doświadcza trudności, jakie są jego oczekiwania i tęsknoty. W istocie nie pozwala sobie pomóc. Robi wiele rzeczy na pokaz, aby zabawić innych, zadowolić ich, zabłysnąć, zyskać aplauz tłumu, podczas gdy jego serce płacze; nawet zmęczony, odgrywa nadal rolę człowieka pozornie szczęśliwego i pełnego entuzjazmu. Bywa, że czyni to resztkami sił, używając do tego środków odurzających, podnoszących adrenalinę, sztucznie stymulujących jego dynamikę. Skutki takich zachowań mogą być bardzo smutne.

Nieszczerość jest częstą oznaką osób pozbawionych szlachetnych pragnień, ludzi duchowo i intelektualnie małych. Ich chęć

„jawienia się" przed światem jest tak wielka, że gotowi są oszukiwać samych siebie, ukryć prawdę o sobie i zabłysnąć przed innymi. I często bez korzyści – duchowych czy materialnych, ze zwykłej próżności. Postawa taka, z jednej strony, daje poczucie chwilowej sławy, z drugiej jest źródłem lęku. Kto jest tylko i wyłącznie aktorem w życiu, boi się, że widownia odkryje prawdę o nim i oceni jego nieudolność w interpretacji. Ktoś taki boi się więc, że zostanie zdemaskowana jego dwulicowość, pozorna doskonałość, ukrywany smutek lub fałszywa pokora. Jego życie jest zatem pełne lęku, staje się niewyczerpanym źródłem stresu.

Pokusa próżności

Próżność jest kolejną, dość charakterystyczną pokusą współczesności. Oczywiście kusiła ona człowieka od zawsze, ale w czasach współczesnych wzmogła się bardzo i korzysta z lepszych narzędzi. Skrada się do każdego, kobiety i mężczyzny, osoby starszej i młodszej. Nawet wtedy, kiedy ktoś sądzi, że udało mu się ją zwalczyć, to i tak żyje ona w jego umyśle, ukrywa się i przybiera różne postacie. Sprzyja temu współczesna kultura, która bardziej preferuje postawy zewnętrzne niż wewnętrzne przekonania. Dla współczesności bardziej istotne jest, „jak jawi się" coś lub ktoś, niż „kim jest" w swoim wnętrzu. Sprawia to, że próżność staje się poważnym zagrożeniem dla człowieka i jego poprawnego rozwoju. Hamuje jego pełny rozkwit, a nawet może go zatrzymać w zupełności.

Żyjemy w takim czasie i społeczeństwie, w którym – jak się wydaje – próżności uczy się od zarania, wręcz od dzieciństwa. Jeżeli nawet rodzice starają się unikać pochwał swoich dzieci, żeby przypadkiem nie poprzewracało im się w głowie, to i tak są oni poddani ciągłej presji w tym względzie. Częstym zjawiskiem, obserwowanym u wielu rodziców i wychowawców, jest tendencja do porównywania zachowania czy ocen swojego dziecka (wychowanka) do

innych dzieci. Wypominają więc, że ich pociecha ma stopień niższy od kolegi, że zamiast „6" przynosi do domu tylko „5". Komunikat jest stosunkowo prosty: trzeba zmierzać ku czemuś, czego oczekują od nas inni, żeby być pochwalonym, żeby nasze ego mogło czuć się dowartościowane, wyeksponowane. W takiej sytuacji sprawą drugorzędną jest, czy owa „6" istotnie zmieni coś w życiu dziecka, liczy się bowiem wyłącznie jego „dopasowanie się" do przyjętej normy „doskonałości", a skoro ta wynosi „6", dlatego należy do niej dążyć za wszelką cenę.

W człowieku XXI wieku istnieje mocna chęć bycia zaakceptowanym ze strony grupy, na której z jakichś powodów komuś zależy. Niewątpliwie potrzeba akceptacji przez grupę jest naturalna i była ważna zawsze, lecz dzisiaj wydaje się być szczególnie mocna. Nikt nie chce być outsiderem. Przeciwnie, pragnie należeć do grupy, ponieważ daje ona poczucie siły, robi przysłowiowe „plecy", pomaga zdobyć dobre miejsce pracy, uzyskać wpływy, intratne stanowisko. Rozważana z tej perspektywy, próżność czyni człowieka żałosnym i nieporadnym. Człowiek próżny zapomina o sobie, o tym, kim jest i co posiada, starając się upodobnić do określonej grupy, utożsamić się z nią, oddać do jej dyspozycji swoje ideały, swoje duchowe bogactwo. Ktoś taki stać się może śmieszny, wręcz nieznośny, kiedy jego próżność wymknie się spod kontroli.

Próżność nie ogranicza się wyłącznie do zabiegów o rzeczy materialne. Przejawia się ona także w trosce o nieustanny poklask, w pragnieniu, aby błyszczeć i nie schodzić z pierwszych stron gazet, aby ludzie „nie przestawali o mnie mówić i interesować się moim życiem". Pokusie tej ulegają gwiazdy filmu, mody, show biznesu, tzw. *celebrity*, którzy tracą swoją prywatność/intymność, życie osobiste i może także duchowe. Człowiek grzeszy próżnością, kiedy pragnie zwracać na siebie uwagę, stąd ważne jest dla niego, jakich ma tzw. „przyjaciół" lub znajomych, w jakim towarzystwie się obraca, gdzie pracuje. Kiedy oklaski cichną, osoby takie również więdną i ich myślenie o sobie staje się negatywne, zaczynają sądzić, że nikomu nie są już potrzebne, nikt ich nie lubi, nikt nie kocha.

Często próżność nie jest niczym innym jak sposobem obrony przed własnymi brakami, rodzajem kompensacji, sposobem wynagradzania sobie za ewentualne braki lub defekty czymś innym. Człowiek próżny jest biedny, nie tylko w sensie emocjonalnym, intelektualnym i społecznym. Na różne sposoby woła, chcąc zwrócić na siebie uwagę, pokazać innym, że jest fajny, inteligentny, atrakcyjny, dobry, podczas gdy duchowo czuje się samotny i opuszczony. Jest to wielki problem człowieka XXI wieku, jaki jawi się w trakcie analizy współczesnej kultury.

Pokusa zamykania się we własnym ego

Z urodzenia człowiek jest egocentrykiem, a może raczej egotykiem. Jaka jest między nimi różnica? Dość poważna. Przyjmuje się, że egocentryk odznacza się mocną tendencją do oceniania wszystkiego jedynie z własnego punktu widzenia, egotyk tymczasem to ten, który kieruje myśli wyłącznie na siebie, który zajmuje się sobą. Wiele osób uświadamia sobie te skłonności, inni z kolei zupełnie je ignorują, uważając, że są od nich wolni. Ludzi podzielić można na tych, którzy kwestionują egoistyczny sposób swojego zachowania, i na takich, którzy wręcz stają w jego obronie. To z kolei nierzadko jest źródłem wewnętrznego dramatu samej osoby, jak również licznych konfliktów, nieporozumień, animozji między ludźmi.

Ludzkie *ego* nie jest jednoznacznie złym elementem człowieka, ale równocześnie nie jest ono wyposażeniem pełnym. Filozofia buddyjska mówi, że jest wyposażeniem niecałkowitym, połowicznym, swoistym uzurpatorem. W efekcie przeżywanie siebie lub świata wyłącznie z perspektywy ego, poznanie staje się jedynie doświadczeniem połowicznym, niepełnym, a więc w jakimś stopniu fałszywym. Przyjmując jednostronnie egoistyczną postawę względem tego, co i kto człowieka otacza, stawiając ostrą granicę podziału pomiędzy sobą i tym, co dzieje się wokół, oszukuje on samego siebie, ukrywa

prawdę, tzn. nie chce przyznać się, jak wiele łączy go z innymi, jak mocno utożsamia się z rzeczywistością zewnętrzną, z całym stworzeniem. W konsekwencji traci pewność siebie, poczucie bezpieczeństwa i nadzieję na przyszłość, ta bowiem zrodzić się może wyłącznie w środowisku przyjaźni. Złudny pogląd, że istnieje jako jakaś wyodrębniona przestrzeń, istnienie niezależne, powoduje, że osoba trwa w nieustannym konflikcie z otoczeniem. Nieustannie okłamuje i oszukuje sama siebie. Wszystko więc zdaje się jej zagrażać. W głębi duszy osoba może nawet kwestionować swoją egoistyczną tożsamość. Może odczuwać, że jest ona fałszywa, ale z drugiej strony nie wierzyć, że możliwe jest jej nowe doświadczenie, otwarte i życzliwe dla innych; dlatego robi wszystko, aby trwać w nieprawdziwej tożsamości. Okłamuje siebie i pośrednio innych. Odtąd wszystko przybiera nieprzyjazny i wrogi wygląd. Cały świat jest nieprzyjazny. W ten sposób rodzi się egzystencjalny lęk, który domaga się ukojenia, który szuka poczucia bezpieczeństwa, często bardzo pozornego. Zewnętrznym wyrazem egzystencji „w lęku" jest niekontrolowane, wyłącznie materialne, bogacenie się, szukanie złudnego źródła ukojenia, ucieczka przed zagrożeniem, które, jak się sądzi, zewsząd atakuje. Wydaje się, że wielka ilość dóbr materialnych czy bogate konta bankowe są gwarancją poczucia bezpieczeństwa. Wiadomo jednak, że nie rozwiązują one w zupełności doświadczanych trudności ani też nie usuwają lęku, mówi bowiem Jezus: „Błogosławieni ubodzy duchem, bo do nich należy Królestwo Niebieskie" (Mt 5, 3).

Nie da się uciszyć krzyku natury, dopominającej się głębokiej jedności, wejścia w mocną relację z drugim i ze światem, a jeszcze bardziej z Bogiem. Wcześniej czy później osoba doświadczy lęku, niepokoju i stresu, jeżeli zagłuszy zew jedności, jeżeli będzie opierać się temu pragnieniu, które jest darem Boga, które otwiera ją pozytywnie na innych, każąc odkrywać w nich dusze przyjazne, bliskie i nieodzowne w potrzebie wzrostu do jej autentycznego szczęścia. Kiedy tego nie czyni, człowiek musi zatrzymać się i zadać sobie pytania: Czego w istocie się lęka? Co lub kto ogranicza jego wolność? A może główną odpowiedzialność za mizerny stan swojego ducha ponosi on

sam, przez brak otwarcia się na drugich, egoistyczne zamknięcie się w sobie, naruszenie relacji pomiędzy „ja – świat"? Dopóki nie zdobędzie się, nawet w minimalny sposób, na zakwestionowanie swojego egoizmu, nie zdobędzie się na prawdziwą miłość. Oscylować będzie zawsze pomiędzy chęcią bycia zniewolonym (posiadanym) lub zniewalania (posiadania) a chęcią bycia wolnym (kochania) lub dawania wolności (kochania). Odwieczny dylemat osób, które nie poznały siebie i nie żyją w zgodzie ze swoją naturą, sprowadza się do rozwiązania problemu: Jak być z kimś blisko i jednocześnie być wolnym? Jak mieć kogoś i nie zabierać mu wolności? Na poziomie *ego* jest to kwestia nie do rozwiązania. Wyjaśnia się jedynie w intymnej relacji z Bogiem i we współpracy ze światem, której jednak człowiek współczesny stara się unikać.

Tendencje egoistyczne, które drzemią w człowieku, są dodatkowo wzmacniane przez współczesną kulturę, która sugeruje na różne sposoby, że nie istnieje inny sposób istnienia, że ten, którego się doświadcza, jest ze wszech miar normalny. Współczesność wyklucza możliwość kwestionowania tego, co się *hic et nunc* przeżywa, zakazuje szukania w sobie samym powodów cierpienia i lęku. Zdaje się pytać: A niby dlaczego miałbym je kwestionować? To, że nie osiąga się (s)pokoju, że się cierpi, że żyje się w obawie przed wszystkimi i wszystkim, nie musi być wynikiem jakiegoś błędu życia – sugeruje współczesna kultura. To z pewnością jest skutkiem błędu w świecie lub w drugim człowieku, głównie tym najbliższym. Za cierpienie, stres, złe samopoczucie itd. człowiek zaczyna obwiniać wszystkich wokół, lecz z pewnością nie samego siebie. Mówi w takich sytuacjach, że nie trafił na swoje otoczenie, że nie nadszedł jego moment.

Świętość a pokusy współczesności

Jakie jest lekarstwo na powyższe choroby? W jaki sposób człowiek XXI wieku może zwalczyć ponętną pokusę grania/aktorstwa,

oszukiwania samego siebie, ukrywania swoich wartości, czując jednocześnie skrępowanie, kiedy trzeba mówić o szlachetnych pragnieniach, podczas gdy inni tego nie czynią? Jak oprzeć się chęci chwalenia czegoś, co raczej godne jest nagany, chociaż tzw. większość tego nie dostrzega? Jak sprzeciwić się pokusie próżności, która przeszkadza we wchodzeniu w duchową głębię, i poznać to, co najważniejsze i jedyne godne wysiłku? Jak wreszcie obronić się przed chorobliwą koncentracją na własnym *ego*, które ma tendencję do oceniania wszystkich i wszystkiego wyłącznie z perspektywy indywidualnych korzyści? Podobnych pytań jest znacznie więcej, ale tych kilka ukazuje skalę istniejącego problemu. Sądzę, że sposobów na zwalczanie wspomnianych pokus jest z pewnością wiele, uwzględniając różnego rodzaju terapie psychologiczno-społeczne. Nie sądzę, że ich stosowanie jest zupełnie niewłaściwe. Owszem, w wielu sytuacjach okazać się mogą nawet pomocne i przynieść wymierną korzyć. Tym niemniej śmiem uważać, że dla osoby wierzącej lekarstwem najważniejszym na wszelkiego rodzaju schorzenia XXI wieku jest świętość. Jan Paweł II mówił o niej wiele[10]. Zachęcał do niej osoby młode i starsze, zmotywowane i upadające na duchu.

W Liście apostolskim *Novo millennio ineunte*, opublikowanym 6 stycznia 2001 roku, Jan Paweł II wyznaczał program na nowe tysiąclecie. Obejmował nim Kościół i jego członków, bez których On nie istnieje. W programie duchowym na nowe tysiąclecie miejsce szczególne wyznaczone zostało świętości, będącej sercem, punktem centralnym, jedynym i wyłącznym celem życia człowieka, Kościoła, a poniekąd również świata. W tekście papieskim świętość jawi się jako coś zasadniczego, jako stały, niezmienny horyzont, wewnątrz którego Kościół i każdy z jego członków, niezależnie od stanu, winien podejmować inicjatywy, układać swój program życiowy, zabiegać o jego realizację. Sądzę, że warto w tym miejscu przypomnieć niektóre wypowiedzi Papieża, które uważam za istotne dla niniejszej refleksji.

[10] Zob. Z. J. Kijas, *Inna strona Kościoła*, Pelplin 2012, ss. 199–257.

> Od razu na początku trzeba stwierdzić – pisze Jan Paweł II – że perspektywą, w którą winna być wpisana cała działalność duszpasterska, jest perspektywa *świętości*. Czyż nie taki jest najgłębszy sens jubileuszowego odpustu jako specjalnej łaski ofiarowanej nam przez Chrystusa, aby życie każdego ochrzczonego mogło się oczyścić i głęboko odnowić?
>
> Ufam, że wielu z tych, którzy uczestniczyli w Jubileuszu, zaznało tej łaski, zachowując pełną świadomość wymagań, jakie ona stawia. Skoro zakończył się Jubileusz, powracamy na zwyczajną drogę, ale prowadzenie do świętości pozostaje szczególnie pilnym zadaniem duszpasterskim. [...]
>
> [...] podporządkowanie programu duszpasterskiego nadrzędnej idei świętości to decyzja brzemienna w skutki. Wyraża ona przekonanie, że skoro chrzest jest prawdziwym włączeniem w świętość Boga poprzez wszczepienie w Chrystusa i napełnienie Duchem Świętym, to sprzeczna z tym byłaby postawa człowieka pogodzonego z własną małością, zadowalającego się minimalistyczną etyką i powierzchowną religijnością. Zadać katechumenowi pytanie: Czy chcesz przyjąć chrzest?", znaczy zapytać go zarazem: „Czy chcesz zostać świętym?". Znaczy postawić na jego drodze radykalizm Kazania na górze: „Bądźcie więc wy doskonali, jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski" (Mt 5, 48).
>
> [...] Dzisiaj trzeba na nowo z przekonaniem zalecać wszystkim dążenie do tej *„wysokiej miary" zwyczajnego życia chrześcijańskiego*. Całe życie kościelnej wspólny i chrześcijańskich rodzin winno zmierzać w tym kierunku. Ale jest też oczywiste, że istnieją różne indywidualne drogi do świętości, wymagające prawdziwej *pedagogiki świętości*, która zdolna jest dostosować się do rytmu poszczególnych osób[11].

Czym zatem jest świętość, do której zachęca Papież? Jak ją określić? Jakiej użyć nazwy, aby stała się zrozumiała, aby została przyjęta przez człowieka współczesnego i zechciała być przyjęta? Co w jego życiu może ulec zmianie, kiedy zacznie realizować wskazania

[11] Jan Paweł, List apostolski *Novo millennio ineunte*, Rzym 2001, n. 30–31.

świętości? Czym różni się ona od pozostałych propozycji, które kuszą człowieka współczesnego? Czym różnią się jej obietnice od tych, które składa świat i mocno zachęca do ich przyjęcia? Na czym polega „inność" świętości? Kim są święci? Dlaczego sądzę, że od nich zależy przyszłość świata? Jakiego świata?

Święci posiadają cudowną moc podnoszenia na duchu, zwalczania pokusy lenistwa, zniechęcenia czy depresji. Nie pozwalają poddawać się, rezygnować z czegoś, co jest dobre i co uszczęśliwić może wielu. Jednym słowem, święci są przykładem udanego życia. Świadczą, że mimo wielu poważnych trudności, jakie mogą zdarzyć się w życiu, mimo wielu przeciwności, chorób, cierpienia czy śmierci bliskich, ze wszystkiego można wyjść zwycięsko, bardziej szlachetnym i bardziej kochającym ludzi.

Święci żyli pełnią życia

Święci kochali życie i starali się żyć jego pełnią. Wielu z nich było wielostronnie utalentowanych. Interesowali się sztuką i muzyką, bliska była im architektura i literatura. Asceza, którą chętnie i obficie praktykowali, nie tylko uwrażliwiała ich na obecność Boga w codzienności, ale także wzmacniała ich estetyczną i duchową wrażliwość na to, co istotnie piękne, dobre i cenne. Żyli w bogatej, czyli wszechstronnej harmonii spraw boskich i ludzkich.

Kochali piękno, choć sami nie zawsze byli fizycznie piękni. Wielu z nich miało być może nieregularne rysy twarzy, niekształtne duże nosy, wgniecione u nasady, a szerokie u dołu, szerokie usta i wystającą dolną szczękę, ziemistą cerę i brzydki głos, lecz mimo to posiadali niezwykły urok osobisty, wewnętrzne piękno, radosny temperament, jakiś rodzaj ciepła i światła, przyciągając tym wszystkim do siebie innych. Z łatwością jednali sobie ludzi, mieli wielu przyjaciół i nawet wrogowie okazywali im nierzadko szacunek. Wielu pociągali do pójścia w swoje ślady i pomnażania dobra, któremu dawali początek.

Dla tych, którzy dokonywali konsekracji, długie lata życia spędzone za zakonną klauzurą, fizyczne oddalenie od świata i jego codziennych zmagań, okazywały się tylko pozornym oddaleniem. W rzeczywistości ludzie ci byli bardzo świadomi trudności, jakimi żyje świat, problemów, których doświadczają owi żyjący w świecie „poza klauzurą". Modlili się z nimi i za nich; ciągle, wytrwale i z miłością wypraszali dla nich potrzebną pomoc od Boga. Prosili Boga za światem i jego mieszkańcami, błagając o potrzebne łaski, których udzielić mógł wyłącznie Stwórca. Wstawiali się za nimi, prosząc Boga, aby udzielał hojnie i ciągle swojej łaski. Wielu ze świętych powoływało do istnienia zgromadzenia lub instytucje, chcieli bowiem, aby ich modlitwa i posługa charytatywna potrzebującym czynione były także wtedy, kiedy sami odejdą z tego świata.

Święci zakonni fundowali wspaniałe dzieła, które przetrwały do naszych czasów, chociaż swoimi korzeniami sięgają zamierzchłej historii. Należy tu wspomnieć chociażby św. Franciszka z Asyżu czy św. Dominika, czy jeszcze wcześniejszych, jak św. Antoniego, opata, czy św. Jana Chryzostoma, św. Bruna i wielu, wielu innych. Inspiracją do wielkich dzieł była zawsze głęboka i szczera wiara w bliskość Boga i świadomość mocy, której udziela On wierzącym w Niego i oczekującym pomocy. Kochali bardzo Boga i człowieka.

Święci, których znamy, byli ludźmi szlachetnymi i dobrymi, na różne sposoby pomagającymi bliźnim, zachęcając ich również, aby czynili to samo. Brali udział w zawodach miłości i służby drugiemu. Nie kryli swej wiedzy, nie byli sztucznie skromni czy fałszywie pokorni. Przeciwnie, hojnie obdarzali swoją wiedzą i mądrością. Wykorzystywali zdobycze nauki dla pomnażania dobrobytu swoich współczesnych. Byli też ludźmi niezwykle wrażliwymi na piękno natury. Św. Franciszkowi z Asyżu, na przykład, na widok wspaniałych drzew czy łanów zbóż napływały łzy do oczu, lecz kiedy była taka potrzeba, potrafił być twardy i wymagający, zarówno względem siebie, jak i innych.

Nie dosyć tego, że święci byli zdolni i mądrzy. Bardzo wielu z nich było również osobami przystojnymi, a święte kobiety pełne były osobistego uroku, elegancji i pięknych manier. Lecz ich piękno fizyczne

stanowiło nikły tylko cień ich piękna duchowego, ich wewnętrznej harmonii, zgrania wszystkich części między sobą w wymiarze fizycznym i duchowym. To właśnie z tej szczerej i mądrej miłości do piękna i harmonii rodził się ich określony rodzaj *sprzeciwu*, głośny protest, wyrażany na różne sposoby, przeciwko temu, co pięknym nie było lub było tylko jego pozornością. Dlatego inteligentnie i z miłością zwalczali to, co było moralnie i estetycznie brzydkie, co było etycznie słabe i degradowało godność człowieka. Odrzucali to, co niszczyło wolność człowieka i oddalało go od obecności Boga. Postawa ta ściągała na nich, i to często, słowa krytyki, zawiści czy nawet oszczerstw ze strony przeciwników, bo mieli również i takich. Lecz mimo przykrości i niesprawiedliwości, jakiej doznawali od otoczenia, nie byli bynajmniej odludkami ani dziwakami. Przeciwnie, chętnie przebywali między ludźmi, nadal czyniąc wiele dobra.

Posiadali cudowną właściwość – nie zniechęcali się przeciwnościami, a nawet więcej – obecność trudności tym bardziej dopingowała ich do czynienia i pomnażania dobra. Siłę do takiej postawy czerpali z wiary, wzmacnianej modlitwą, ożywianej ascezą, rozwijanej przez czyny miłości. W istocie przedkładali zawsze miłość Boga i troskę o autentyczne dobro bliźnich nad nikczemność wrogów. Byli doskonałymi pedagogami. Nigdy nie przestawali pobierać lekcji w szkole mądrości Boga, stając się jednocześnie nauczycielami wielu pokoleń.

Bliski był im nie tylko protest, ale także spotkanie

Każdy ze znanych świętych przechodził przez te dwa ważne etapy: *protestu* i *spotkania*. Z jednej strony *sprzeciwiał się* temu, co złe i grzeszne, co deprawuje godność człowieka i wypacza jego powołanie, co podważa obecność i działanie Boga. Z drugiej strony święty *opowiadał się* po stronie tego, co piękne i szlachetne, co wzmacnia

godność i przywraca do głosu Boże prawa w człowieku i świecie. Postawą tą charakteryzowało się życie np. św. Andrzeja Boboli czy bł. Marii Stelli i towarzyszek. Sprzeciwiała się biedzie św. Matka Teresa z Kalkuty czy św. Rafał Kalinowski, żeby przywołać tylko niektórych z nich. Sprzeciw i spotkanie charakteryzują każdą autentyczną świętość. Różne mogły być formy protestu przeciwko temu, co jest ewangelicznie złe, co umniejsza lub wręcz niszczy godność człowieka, co podważa prawdziwą przyjaźń, co burzy pokój. Różne były także formy wychodzenia naprzeciw i sposoby spotkania człowieka w jego duchowej czy egzystencjalnej biedzie.

Protest, którym charakteryzowało się życie świętych, był wyłącznie jedną stroną ich ziemskiej egzystencji, ponieważ drugą – jak wspomniano – było *spotkanie,* rzeczywiste lub pełne dobrych intencji, z tym, jak być powinno. Mocna i szczera, czyli wolna od osobistych interesów chęć przyprowadzenia drugiego na spotkanie z autentyczną mądrością, z wartościami, które są trwałe i których źródłem jest Bóg, czyniło ze świętych prawdziwych pedagogów.

Święci byli i są nadal prawdziwymi nauczycielami. Słowem i piórem, ale najbardziej własnym przykładem, pokazywali/uczyli innych życia. Mówili, z czego trzeba zrezygnować, co zaś przyjmować, czemu się sprzeciwiać, a o co usilnie zabiegać i na straży czego stać przede wszystkim, kiedy się już to posiądzie. Takim właśnie nauczycielem był chociażby św. Maksymilian M. Kolbe. Jego postawa i słowa, które wypowiedział na placu obozowym w Auschwitz, były wielką lekcją siły i godności człowieka. Były również radykalnym gestem sprzeciwu względem panoszącej się nienawiści i niesprawiedliwości, protestem przeciw łamaniu godności człowieka i próbom jego upodlenia. Swoje radykalne „nie" ojciec Kolbe przypłacił wprawdzie życiem, ale w zamian uratował godność człowieka, a nawet więcej: wiarę w człowieka. Święty franciszkanin pokazał, że człowiek ma w sobie siłę, która pozwala mu wznieść się ponad nienawiść i grzech. Jego lekcja była wówczas niezwykle potrzebna i jest do dzisiaj nad wyraz aktualna. Ten rodzaj *spotkania* z godnością człowieka, odnalezioną i wzmocnioną w hitlerowskim obozie zagłady, był szczytem świętości Maksymiliana, czyniąc go szczególnym nauczycielem dziejów.

Zwalczali zło

Warto zatrzymać się jeszcze przez chwilę nad formą sprzeciwu, która charakteryzowała świętych. Posiadali oni określoną „niechęć", pewną formę „sprzeciwu" względem tego wszystkiego, co duchowo i intelektualnie miałkie, co nie rozwija, ale, przeciwnie, pomniejsza człowieka. Zamiast mobilizować go do rozwinięcia maksymalnie skrzydeł duchowej wyobraźni, każe mu je zwijać i zadowalać się „małością", przeciętnością i pozornym szczęściem. Autentyczni święci posiadają w sobie coś z ewangelicznego „sprzeciwu", świadomej niezgody na to, co złego dzieje się wokół i co dotyka człowieka, co wypacza jego boskie powołanie. Ich sprzeciw był głośnym „nie", wyrażonym w słowie lub poprzez gesty i zachowania, w formie podejmowanych decyzji czy postaw, przeciwko temu, co nie promuje całego człowieka, co go zuboża w wymiarze duchowym i intelektualnym, emocjonalnym czy społecznym.

Ponieważ świętość posiada w perspektywie doskonałość Boga, dlatego święci sprzeciwiali się wszelkiej formie pomniejszania godności człowieka. Pośrednio ich sprzeciw dotyczył także niektórych propozycji świata, które zagłuszają głos Boga i wymagania stawiane przez Niego, starając się jednocześnie zamknąć człowieka w jego samowystarczalności, łudzą iluzorycznym szczęściem materialnego posiadania. Święci przypominali, że prawdziwa radość i autentyczne szczęście polega na życiu we wspólnocie, na otwieraniu się w miłości na autentyczne wartości, których źródłem jest Bóg. Zachęcali do otwarcia i wrażliwości na potrzeby ludzi, ich problemy i pragnienia, do odważnego dzielenia się z innymi swoim czasem i tym, co się posiada. Ten rodzaj sprzeciwu był równie ważny, co trudny. Wymagał od świętych heroicznej wręcz odwagi, której udzielał im Bóg.

Życie świętych pokazuje wyraźnie, że każda forma świętości rodzi się z pewnego sprzeciwu. W pierwszym rzędzie jest ona sprzeciwem wobec grzechu, niesprawiedliwości (np. biedy czy wojny), który przybiera określone formy w życiu konkretnej osoby. Wyrażenie sprzeciwu wymaga odwagi, stąd święci z natury byli ludźmi odważnymi, bohaterami, rycerzami. W zasadzie nikt, kto lękliwy, kto łatwo

daje się zastraszyć lub kto szybko poddaje się rezygnacji z wyznaczonych sobie ideałów, świętym nie zostaje. Sprzeciw wpisany jest niejako w naturę świętości, ponieważ wpisany jest on również w naturę każdej autentycznej wielkości. Sądzić można, że ten właśnie sprzeciw miał na myśli Jezus, kiedy mówił: „Od czasu Jana Chrzciciela aż dotąd królestwo niebieskie doznaje gwałtu, a zdobywają je ludzie gwałtowni" (Mt 11, 12). Ci zatem, którzy gotowi są pokonywać przeszkody, jakie napotykają na swojej drodze do dobra, otwierając się na pomoc nieba w ich zwalczaniu, wchodzą do grona ludzi wielkich, a wielu z nich zaliczanych jest następnie do świętych.

Bardzo kochali spotkania

Skupienie się wyłącznie na *sprzeciwie* nie byłoby powiedzeniem wszystkiego o życiu świętych. Ich historia znaczona była czymś znacznie większym i piękniejszym. Pełno w niej było elementów pozytywnych, szlachetnych doznań, cudownych spotkań, obfitych owoców życia. Ponieważ pełna świętość jest formą spotkania, wejściem w dialog, nawiązaniem przyjaźni trwałej i mocnej (z Bogiem i ludźmi), gotowej oddać życie za swoich przyjaciół, stąd święci byli ludźmi otwartymi na przyjaźń. Dokonywała się ona na wielu różnych płaszczyznach, z różnymi ludźmi, w różnych warunkach i w różnej postaci. Lecz mimo to każda z nich była bardzo ważna, bo od każdej zależała ostateczna „jakość" człowieka. Przypomniał o tym kiedyś myśliciel renesansu Pico della Mirandola (1463–1494), włoski filozof i teolog, matematyk i astronom, przyrodnik i poeta. W swojej *Mowie o godności człowieka* (*Oratio de hominis dignitate*) włożył w usta Stwórcy następujące słowa:

> Umieściłem cię – mówi Stwórca do Adama – w pośrodku świata, byś mu się tym łacniej mógł przyjrzeć i widzieć wszystko, co w nim istnieje. Stworzyłem cię jako istotę, która nie jest ani wyłącznie niebiańską, ani ziemską, ani całkowicie śmiertelną, ani nieśmiertelną, byś sam się wsobnie

> mógł kształtować i przezwyciężać; możesz się wyrodzić i stać zwierzęciem, i znowu możesz się odrodzić jako istota podobna Bogu. [...] Ty jeden tylko masz swobodę rozwoju, możność potęgowania swych wartości, masz w sobie zarodki pełnego życia[12].

Ich rozwojowi służą właśnie spotkania: dobre pozwalają rozwijać dobre zarodki, złe – prowadzą człowieka do zezwierzęcenia. Święci byli mistrzami dobrych spotkań, nie stronili od nich, ale przeciwnie – szukali ich bardzo i z wielką wytrwałością. Najważniejsze dla nich było, oczywiście, spotkanie z Bogiem, które stawało się następnie niewyczerpanym źródłem energii dla wszystkich innych. Było źródłem miłości, która odtąd kryła się w ich pragnieniach i słowach, w czynach i wielkich projektach na przyszłość. Właśnie *spotkanie w miłości* Boga jest przewodnią myślą Encykliki Jana Pawła II *Redemptor hominis,* opublikowanej 4 marca 1979 roku. Pisze Święty Papież:

> Człowiek nie może żyć bez miłości. Człowiek pozostaje dla siebie istotą niezrozumiałą, jego życie jest pozbawione sensu, jeśli nie objawi mu się Miłość, jeśli nie spotka się z Miłością, jeśli jej nie dotknie i nie uczyni w jakiś sposób swoją, jeśli nie znajdzie w niej żywego uczestnictwa. I dlatego właśnie Chrystus-Odkupiciel, jak to już zostało powiedziane, „objawia w pełni człowieka samemu człowiekowi". To jest ów — jeśli tak wolno się wyrazić — ludzki wymiar Tajemnicy Odkupienia. Człowiek odnajduje w nim swoją właściwą wielkość, godność i wartość swego człowieczeństwa. Człowiek zostaje w Tajemnicy Odkupienia na nowo potwierdzony, niejako wypowiedziany na nowo. Stworzony na nowo! „Nie ma już Żyda ani poganina, nie ma już niewolnika ani człowieka wolnego, nie ma mężczyzny ani kobiety, wszyscy bowiem jesteście kimś jednym w Chrystusie Jezusie" (Ga 3, 28). Człowiek, który chce zrozumieć siebie do końca — nie wedle jakichś tylko doraźnych, częściowych, czasem powierzchownych, a nawet pozornych kryteriów i miar swojej własnej istoty — musi ze swoim

[12] G. Pico della Mirandola, *Oratio de hominis dignitate. Mowa o godności człowieka*, tłumaczenie i przypisy Z. Nerczuk, M. Olszewski, *Wstęp* D. Facca, Warszawa 2010, s. 39.

> niepokojem, niepewnością, a także słabością i grzesznością, ze swoim życiem i śmiercią, przybliżyć się do Chrystusa. Musi niejako w Niego wejść z sobą samym, musi sobie „przyswoić", zasymilować całą rzeczywistość Wcielenia i Odkupienia, aby siebie odnaleźć. Jeśli dokona się w człowieku ów dogłębny proces, wówczas owocuje on nie tylko uwielbieniem Boga, ale także głębokim zdumieniem nad sobą samym. Jakąż wartość musi mieć w oczach Stwórcy człowiek, skoro zasłużył na takiego i tak potężnego Odkupiciela (por. hymn *Exsultet* z Wigilii Paschalnej), skoro Bóg „Syna swego Jednorodzonego dał", ażeby on, człowiek, „nie zginął, ale miał życie wieczne" (por. J 3, 16)[13].

W spotkaniu z Bożą miłością człowiek odnajduje swoją naturalną wielkość, a zarazem swoje powołanie do *spotykania* innych w ich potrzebach i trudnościach, w ich egzystencjalnej i duchowej inności, w ich odmiennych często pragnieniach, nie zawsze jasno wyrażanych.

Każde spotkanie było ważne

Są spotkania przypadkowe, które nic lub bardzo niewiele wnoszą w życie tych, którzy są ich uczestnikami. Są spotkania zawodowe, gdzie na pierwszym miejscu stawia się interes, koszty i zyski, nie zaś dobro człowieka. Są spotkania w czasie podróży lub na wakacjach i one często zostawiają po sobie ślady, wspomnienia, wpisy w kronice, przesłane kartki. Są wreszcie spotkania, które zmieniają życie któregoś z uczestników. Do takich zaliczyć trzeba spotkanie Zacheusza z Chrystusem (Łk 19, 1–10), które dokonuje się w wierze. Od kiedy *spotkał się* ze Zbawicielem, Zacheusz przestał być tym samym człowiekiem, jakim był dotąd. Jego życie uległo radykalnej zmianie. Zmieniła się również jego skala wartości. Na jej szczycie nie stały już dobra materialne, ślepe bogacenie się, ale dobro duchowe –

[13] Jan Paweł II, Encyklika *Redemptor hominis*, Rzym 1979, n. 10.

jego i tych, którzy go otaczali. Odtąd Zacheusz mógł szczerze wyznać: *„Panie, oto połowę mego majątku daję ubogim, a jeśli kogo w czym skrzywdziłem, zwracam poczwórnie" (Łk 19, 8).*

Bóg spotkał Zacheusza i zarazem Zacheusz spotkał Boga, i z tego spotkania zrodziła się świętość. Zawsze, kiedy człowiek spotyka Boga, coś ważnego dzieje się w jego wnętrzu. Rodzi się chęć zauważania innych ludzi, na których dotąd nie zwracał uwagi, odkrycia ich godności i ich potrzeb, ich praw i powołania, równego jego powołaniu do wspólnoty z Bogiem. Zacheusz niczym sobie nie zapracował na spotkanie z Jezusem. Jego postawa różniła się od wymagań współczesności, która uważa, że na wszystko trzeba sobie zasłużyć i zarobić. Zacheusz, tymczasem, otrzymał dar spotkania za darmo, jako wyraz obfitości Bożej dobroci. Jego wielką zasługą było jednak to, że umiał właściwie wykorzystać, głęboko przeżyć to, w czym uczestniczył. Prawdziwa świętość nie jest bowiem ilością pragnień ani życzeń, które się wypowiada, ale intensywnością spotkań, w których bierze się udział.

Można przypuszczać, że świętość, o jaką apeluje współczesność, jakiej naprawdę pragnie i za którą, także nieświadomie, tęskni, jest świętością spotkania. W istocie jest to taka forma życia, która staje się bliska Bogu i ludziom, szczególnie tym, którzy są w największej potrzebie. Cechą prawdziwego, świętego spotkania jest to, że nie szuka ono indywidualnej korzyści żadnego z jej uczestników, ale dobra wspólnego. W kulturze, która kładzie duży nacisk wyłącznie na korzyści (materialne, estetyczne czy inne), która ich szuka i uczy, jak znajdować, osoba święta, przeciwnie, żyje w perspektywie spotkań, które już ją wzbogaciły/odmieniły, pozostając otwarta na nowe, które nastąpią. Szanuje więc każde spotkanie, w którym uczestniczy, nawet to, które pozornie nic jej nie daje, które (pozornie) nie przynosi żadnej korzyści, czy wręcz wydaje się dla niej stratą czasu. Świętość, rozumiana jako spotkanie piękne i pełne, prawdziwe i głębokie, posiada niewiele wspólnego z sukcesem, nawet kościelnym, jaki promują media. Pozornie może nie przynosić korzyści, a może nawet generować straty, w rzeczywistości jednak jest źródłem światła i mocy,

tak dla tych, którzy w nim biorą udział, jak i dla ogółu, ludzi postronnych. Upokorzony na wiele różnych sposobów, pozostawiony sobie, porzucony w swoich problemach i biedzie, człowiek współczesny tęskni za zaproszeniem na autentyczne spotkanie, które przywróci mu nadzieję na lepsze życie. W istocie tęskni za świętością, nie wiedząc o tym. Podświadomie niejako dopomina się jej, woła o nią na różne sposoby, doświadczając także swojej samotności i zagubienia w coraz bardziej chaotycznym świecie. Święci, których ks. Nocoń[14] opisuje w swojej książce, gotowi są „spotkać" człowieka dzisiejszego i towarzyszyć mu w drodze do szczęścia.

Bliskość świętych rodzi świętych

Jean Vanier (1928–2019), kanadyjski działacz społeczny, organizator wspólnot religijnych „L'Arche", w których opieką nad niepełnosprawnymi intelektualnie zajmują się dzielący z nimi życie pełnosprawni, współtwórca ruchu Wiara i Światło, nazwał świętość „sakramentem spotkania"[15].

> Spotkanie – pisał – nie jest przejawem władzy, dobroci czy też hojności, nie jest czynieniem komuś dobra. Wymaga pewnej pokory i ubóstwa. Wystarczy, że będziesz obecny dla drugiego człowieka, że go wysłuchasz i spojrzysz na niego z szacunkiem i uwagą[16].

Spotkanie, które dokonuje zmiany w życiu człowieka, nie jest nigdy spotkaniem przypadkowym, nie odchodzi niezauważalnie, zawsze zostawia po sobie pewien ślad, wspomnienie, zmianę. Oczywiście, może zrodzić się okazjonalnie, ale po tym wstępnym, pierwszym etapie, nastąpić musi dalszy, czyli świadome i dobrowolne wejście w relację. Prawdziwym początkiem spotkania jest odkrycie obecności drugiej

---

[14] A. Nocoń, *Astri del deserto. 50 figure di santi e sante di Ordinireligiosi*, Città del Vaticano 2015.

[15] Por. J. Vanier, *Znaki. Siedem opowieści o nadziei*, tłum. A. Zielińska, Kraków 2013, s. 24.

[16] J. Vanier, *Znaki...*, dz. cyt, s. 57.

osoby i pragnienie odczytania jej potrzeb. Wymaga to dużej wrażliwości na ludzi, którzy są wokół, i na otoczenie.

Osoba święta nie zatrzymuje się na powierzchni zdarzeń, nie lekceważy ludzi, lecz wchodzi w ich środek, w ich życie i problemy. Szuka sposobów, aby pomóc temu, kto żyje w potrzebie, podnieść go, kiedy upadł, wywyższyć go, kiedy czuje się poniżony, pomóc mu odkryć (lub umocnić) godność, jeżeli został jej pozbawiony, wesprzeć duchowo czy materialnie. Lecz nie jest to bynajmniej działanie jednostronne; ponieważ dobro dawane nie pozostaje bez odpowiedzi, dlatego ten, kto je otrzymuje, pragnie odwzajemniać się równie hojnie i szczerze. Obdarowany chce odtąd również pomagać i wspierać, spotykać innych w potrzebie i udzielać im potrzebnej pomocy. W tym właśnie tkwi piękno autentycznego spotkania, jego siła, przemiana, którą posiada i która się dzieli. Osoba, może dotąd słaba lub uboga, pozbawiona być może prawa głosu lub spychana na margines egzystencji, raptem odkrywa, i to dzięki spotkaniu i zarazem w spotkaniu, coś nad wyraz szczególnego, a mianowicie fakt, że została dostrzeżona! Przekonuje się, że dostrzeżenie to nie jest podyktowane jakimś interesem, ale rodzi się z miłości, chęci pomocy. Fakt ten uświadamia jej, że jest kochana, ważna, a nawet ważniejsza od wszystkiego, co jest wokół niej i od tego, co posiada. Cieszy się, że ktoś ją dostrzegł nie dlatego, że znalazła w jego oczach uznanie ze względu na swoją inteligencję lub dobre usytuowanie, ale z prostego faktu, że jest osobą.

Spotkanie posiada w sobie wielką moc przeobrażania ludzi i sytuacji, w jakich żyją, ich zmiany na lepsze, na bardziej godne człowieka. Spotkanie niesie w sobie siłę świętości, rozbudza szlachetne pragnienia, rozwija i dynamizuje je, zachęcając do realizacji. Spotkanie jest jednym z niezwykle ważnych współcześnie „sakramentów".

Antoine de Saint-Exupéry (1900–1944), francuski pilot, pisarz i poeta, żył przekonaniem, że „człowiek żyje tylko tym, co przemienia. Jest narzędziem, drogą i przekazem"[17]. Spotkanie jest jednym z takich narzędzi wewnętrznej przemiany zarówno dla tego, kto

[17] A. de Saint-Exupéry, *Twierdza,* tłum. A. Olędzka-Frybesowa, Warszawa 2009, s. 633.

spotyka, jak i dla osoby spotykanej. Jest wymianą darów duchowych, intelektualnych czy jeszcze innych. Bardzo często znaczy ono nowy początek, zaś jego zwieńczenie wychodzi poza czas i sięga wieczności. Dzieje się to, o czym pisał przed laty Clive Staples Lewis (1898–1963), brytyjski pisarz i filolog, nazywany również świeckim teologiem, jeden z najbliższych przyjaciół J.R.R. Tolkiena:

> Kiedy się spotkaliśmy, ty i ja, spotkanie było bardzo krótkie – było niczym. Teraz, kiedy je wspominam – stało się czymś. Ale wciąż niewiele o nim wiemy. To, czym się stanie, kiedy będę je wspominał, kładąc się, by umrzeć, czym się stanie przez te wszystkie dni od dzisiaj – to jest nasze prawdziwe spotkanie. Tamto było tylko początkiem[18].

Właściwie niemal każde spotkanie przynosi jakiś owoc. Jeżeli spotkanie jest dobre, również jego owoce są dobre, i to także wtedy, kiedy dojrzewają poprzez łzy i cierpienie, poprzez wielki wysiłek dochodzenia do wzajemnego zrozumienia, akceptacji, szacunku. Należy jednak mieć na uwadze jedną ważna prawdę – aby spotkanie mogło być istotnie dobre, nie wystarczy o nim tylko mówić, lecz trzeba się w nim ciągle ćwiczyć po to tylko, żeby każde następne było lepsze. Trzeba poprawiać te, które nie były dobre, aby się już nie powtarzały.

* * *

Nie wystarczy wyłącznie mówić, że spotkanie jest ważne, ale trzeba koniecznie je realizować i ciągle ulepszać. Nie można też tylko mówić, że świętość jest ważna, bez chęci życia na sposób świętego, trzeba wprowadzać w swoje życie jego wskazania i wzorować się na nim w rozwiązywaniu trudności. Wymagać to będzie, być może, duchowego i intelektualnego wysiłku, cierpliwości, poddania w wątpliwość swoje dotychczasowe przekonania, długiego milczenia i słuchania, zawsze jednak postawa taka przyniesie określone korzyści – dla tego, kto to czyni, i dla tych, którzy idą razem z nim. Wytrwanie jednak na tej drodze, cierpliwe poddanie się jej wymaganiom, zmienia

[18] C.S. Lewis, *Z milczącej planety, tłum. A. Polkowski,* Warszawa 1989, s. 82.

człowieka na lepsze, daje początek czemuś nowemu, co na ogół jest lepsze i piękniejsze od tego, co już było.

Tego uczą święci. Przypominają ponadto inną ważną prawdę, że prawdziwi święci umieli rozpoznawać ludzkie potrzeby i przychodzić im z pomocą. W ten sposób obecność świętych w świecie podobna była do okna, które otwiera się w człowieku, aby mógł dojrzeć świat, jego piękno, i ludzi, którzy w nim żyją, aby dostrzegł i przyszedł z pomocą tym, którzy są w potrzebie. Kiedy człowiek otwiera „drzwi" swojego serca i umysłu, swojej miłości i czasu, wpuszcza nie tylko zapachy, ale zaprasza do wejścia tych, którzy byli dotąd na zewnątrz, przez co czyni ich swoimi przyjaciółmi.

Kiedy „wpuści się" świętych do swojego życia, staną się dyskretnymi przyjaciółmi; uczyć nas będą, co wybierać i z czego zrezygnować, jak żyć dobrze i nie poddawać trudnościom; zachęcać będą, aby się nie zniechęcać trudnościami i by nie tracić optymizmu nawet wtedy, kiedy wokół go brakuje. Pomagać będą rozbudzać odwagę i wskrzeszać entuzjazm, ale również chęć wznoszenia się wysoko, ponad szarość codzienności, nie tracąc przy tym zdrowego kontaktu z rzeczywistością, tak ważnego dla doskonałości.

Próba opisania świętości i świętych

W niniejszym rozdziale skupię się na czterech ważnych – jak sądzę – zagadnieniach. W pierwszym momencie zatrzymam się na tożsamości świętych (1), zgłębiając następnie zagadnienie samej świętości (2). Na kolejnym etapie poszukiwań interesować mnie będzie odkrycie i opisanie istotnych elementów chrześcijańskiej świętości (3). W punkcie czwartym, ostatnim, będę chciał przekonać czytelnika, że każda świętość wyrasta z codzienności, posiada jej rysy, jej dynamikę; postaram się zachęcić go do bycia świętym bez względu na to, czy jest osobą świecką czy duchowną, czy jest młody czy w podeszłym wieku, czy jest zwykłym zjadaczem chleba czy kimś ważnym w hierachii społecznej (4). Nic i nikt nie stoi na przeszkodzie w zostaniu świętym, czyli człowiekiem szczęśliwym, zrealizowanym, pełnym.

Pociągające życie świętych

W zasadzie każda epoka miała swoich świętych, zarówno w Kościele wschodnim, jak i zachodnim[19]. Oczywiście np. czasy św. Augustyna odbiegają od czasów papieża Grzegorza Wielkiego, które z kolei różniły się od czasów św. Franciszka, św. Jana od Krzyża czy ich następców.

[19] Zob. H. Delehaye, SANCTVS. Essai sur le culte des saints dans l'antiquité, Bruxelles, Société des Bollandistes (Subsidia hagiographica, 17), 1927.

Jednak zawsze kochano świętych. Uważano ich za gigantów ducha, kanały, przez które przepływała Boża bliskość, dobroć, radość, odwaga, Jego niewidzialna łaska. Byli też jakimś rodzajem *sacramentum* – widzialnym znakiem niewidzialnej łaski Boga. Ich imiona nadawano ludziom i miastom (Saint Denis, Saint Louis, San Diego, San Francisco itd.), prosząc jednocześnie, aby byli ich patronami i wzniosłymi przykładami życia dla mieszkańców.

Święci są mową Boga do człowieka, szczególnym rodzajem mowy. Mowa ta uwzględnia historię, jest dopasowana do warunków życia i chwili, bierze pod uwagę potrzeby i wymogi słuchacza. Święci żyją na pograniczu dwóch światów; łączą w sobie świat ziemski z niebieskim, czasowość z wiecznością, teraźniejszość z przyszłością, cierpienie z radością, powątpiewanie z optymizmem. Dlatego są tak cenni i tak bardzo aktualni.

Święci wzbudzają podziw. Są herosami ducha. Ich życie, nierzadko pełne ascezy i umartwień, nigdy nie było życiem smutnym czy pozbawionym radości. Nawet najsroższa praktyka pokutna, dni i miesiące bezlitosnych umartwień, nie zabierały im smaku życia, autentycznego zachwycania się urokami przyrody, pięknem otaczającego świata. Historia zna wielu świętych franciszków o różnym imieniu.

Święci zajmują bardzo ważne miejsce w historii ludzkości. Lecz jeszcze ważniejsze miejsce posiadają oni w życiu Kościoła, bowiem wyrażają najbardziej podstawowe doświadczenie Kościoła, jaką jest intymna relacja z Bogiem, niewyczerpanym źródłem świętości. Bywało w przeszłości, że kapłan miał trudności z udzieleniem chrztu, kiedy proponowane imię nie było imieniem świętego czy świętej. Parafie i szkoły miały świętych patronów, swoich orędowników przed Bogiem, wstawiających się i wypraszających Boże błogosławieństwo, pomyślność, oddalając jednocześnie możliwe nieszczęścia i klęski. Także kluby sportowe, różnego rodzaju organizacje młodzieżowe miały swoich niebieskich patronów. W ślad za nimi szły rzemiosła, wybierając z grona wielu świętych swoich orędowników.

Stąd też nasze kalendarze znają wielu świętych patronów-orędowników: św. Floriana – patrona strażaków, św. Barbarę – patronkę górników, św. Franciszka – niebieskiego patrona ekologów, i wielu, wielu innych.

Czasy współczesne potrzebują świętych równie mocno, jak potrzebowały ich czasy dawniejsze. Każdy czas potrzebuje ich szlachetności, wzniosłości ich myśli, odwagi życia i siły ducha. Święci zachęcają bowiem (pokazując to własnym życiem), aby nie poddawać się przeciwnościom losu, zachować mocną wiarę w Boga i ufność w dobroć człowieka. Zachęcają, aby wierzyć, że człowiek, mimo chwilowych załamań, potknięć, grzechu itd., potrafi być dobry i szlachetny, ofiarny i dyspozycyjny. Święci wskazują cele, które na pozór mogą nas przerastać, ale bynajmniej nie są ponad ludzkie siły, wiedzą, że Bóg jest po stronie tych, których miłuje.

Świat nie może żyć bez świętych. Nie może obejść się bez ich wizji ożywiającej życie i nadającej mu właściwy kierunek. Wzniosła, szlachetna wizja pozwala człowiekowi podnosić się z upadku, pokonać trudności, rozpalać się na nowo entuzjazmem, angażując do wielkich czynów siebie i innych. Mocna, pozytywna wizja jest przewodnikiem w chwilach trudnych, światłem w momentach ciemności czy załamań, źródłem odwagi w okresach wątpliwości co do wartości siebie samego i wytyczonej sobie drogi.

Niewyczerpane źródła świętości

Niewyczerpanym źródłem świętości jest Bóg w tajemnicy miłości Ojca, Syna i Ducha Świętego. Jest On źródłem, modelem i zarazem celem doskonałości i pełni człowieka. Świętość jest zatem mocnym i ufnym otwarciem się człowieka na Boga i bliźniego, radosną akceptacją życia i tego, co z sobą niesie, dobrego lub trudnego, radosnego lub smutnego. Święty żyje w głębokiej zależności od Stwórcy, od ludzi

i świata/przyrody, która go otacza. Z tej racji autentyczna świętość jest jednocześnie bardzo personalna i radykalnie wspólnotowa[20].

Biblijne pojęcie świętości

Świętość jest pojęciem głęboko religijnym. W zasadzie mówi o niej każda religia, która wierzy, że Bóg (bóstwo, które jest czczone) jest święty, czyli inny, odmienny od świata, od wszystkiego, co widzialne i materialne, i który wzywa stworzenie (swoich wiernych) do duchowej wspólnoty. W ten sposób – jak powiem dalej – termin „świętość" odnosi się, w sposób analogiczny, zarówno do Boga, jak i do wszystkiego, co jest z Nim związane, jest On bowiem Bogiem, który sam będąc świętym, uświęca wszystko i wszystkich, którzy nawiązują z Nim relację miłości.

Stary Testament

Wyrażenie „święty, święty, święty" w całej Biblii pojawia się dwukrotnie, raz w Starym Testamencie (Iz 6, 3) i raz w Nowym Testamencie (Ap 4, 8). W tych dwóch przypadkach wyrażenie to jest wypowiedziane lub wyśpiewane przez anielskie stworzenia, i za każdym razem pojawia się jako wizja człowieka, który przebywa w obecności Bożego tronu: wizja po raz pierwszy przekazywana przez proroka Izajasza, a później przez apostoła Jana. Zanim zastanowimy się nad świętością ludzi, ważne jest, abyśmy zrozumieli, czym dokładnie jest świętość. Hebrajski termin *qodeš* („rzecz święta", „świętość") oznacza odseparowanie, oddzielenie[21]. Nie chodzi w nim jednak o oddzielenie w znaczeniu negatywnym, ale o rodzaj pozytywnego oddalenia, „oddania", „konsekracji" osób lub rzeczy na własność Istoty wyższej. Ten rodzaj „oddzielenia" oznacza w pierwszym rzędzie, że Bóg, któremu poświęca się kogoś lub coś, różni się

[20] J. Kudasiewicz, J.A. Ihnatowicz, *Świętość*, w: *Słownik teologiczny*, red. A. Zuberbier, t. 2. Katowice 1989, s. 301–305; V. H. Leclercq, art. „Saint", w: *Dictionnaire d'Archéologie chrétienne et de Liturgie,* col. 376.

[21] W. Koester, L. Scheffczyk, *Heiligheit Gottes*, w: LThK2 V 133–136.

radykalnie od ludzi, jest inny od swoich stworzeń, odmienny niż wszystko to, co zostało stworzone, co porusza się po ziemi. W konsekwencji Bóg, który objawia się jako „święty", jest zatem Bogiem wielkim, potężnym, niewidzialnym, otoczonym tajemnicą i religijną bojaźnią. Tak właśnie opisuje relację z Bogiem autor Księgi Rodzaju (28, 17), kiedy wkłada w usta Jakuba następujące słowa: „O, jakże miejsce to przejmuje grozą! Prawdziwie jest to dom Boga i brama do nieba!".

W miarę upływu czasu pojęcie świętości zaczęło odnosić się również do rzeczy oraz do ludzi, którzy mieli relację i związek z Bogiem. W Księdze Wyjścia (19, 12) mówi się już o miejscach świętych poświęconych Bogu. Z kolei autor Księgi Samuela mówi o świętości arki, będącej tronem Boga (1 Sm 4–6). Prorocy opisują natomiast świętość Boga w sposób bardzo dynamiczny. Bóg objawia się jako nieskończenie święty w swojej osobowości, w odniesieniu do tego wszystkiego, co jest ludzkie i co powołał do istnienia. Prorok Ozeasz wkłada w usta Najwyższego następujące słowa:

> Nie chcę, aby wybuchnął płomień mego gniewu,
> i Efraima już więcej nie zniszczę,
> albowiem Bogiem jestem, nie człowiekiem;
> pośrodku ciebie jestem Ja – Święty,
> i nie przychodzę, żeby zatracać (Oz 11, 9).

W konsekwencji w obecności Boga, który jest Święty, nie jest tolerowany żaden grzech, nic, co profanuje świętość, bo jest to przeciwne świętości Boga.

Autorzy Starego Testamentu podkreślają ponadto wewnętrzną jedność między ontologiczną świętością, właściwą dla każdego istnienia, a doskonałością religijno-moralną, która jest owocem osobistych starań i współpracy z Bożą łaską. Jednak w tekstach starotestamentowych, obok świętości i doskonałości (wspomniane dwa określenia są stosowane nieraz zamiennie) o charakterze religijno-moralnym, spotykamy się również z opisem świętości w kluczu kultowo-kapłańskim. Jak rozumiana jest wówczas świętość? Otóż

w akcji kultowej oraz we wszystkim, co odnosi się do kultu, objawia się szczególna obecność Boga. W kulcie wszystko jest święte. Święte jest Boże imię (por. Kpł 20, 3; 22, 2), a także miasto Jeruzalem jest święte, ponieważ oddaje się w nim cześć Bogu (por. Ps 46, 5). Święta jest także świątynia, ponieważ jest domem Najwyższego (por. Ps 5, 8), „najświętsze" z kolei jest wnętrze arki (por. Ez 26, 33). Podobnie kapłani sprawujący kult są święci (por. 1 Krl 6, 16–19) i święte są również ofiary, które składają (por. Ez 28, 38). Święte są naczynia liturgiczne (por. Ez 30, 23), czasy, święta, soboty. Słowem – wszystko, co znajduje się w bliskości Boga, winno być święte na sposób analogiczny do świętości moralnej, czyli wewnętrznej.

W miarę upływu czasu termin *qodeš* zaczął nabierać coraz bardziej znaczenia moralnej doskonałości człowieka. Oddaje to biblijne wezwanie:

> „Bądźcie święci, bo Ja jestem święty" (Kpł 19, 2), które przenika wszystkie teksty starotestamentowe. W istocie Prawo zostało promulgowane wyłącznie po to, aby pomóc ludowi w uświęceniu: „Będziecie strzec moich przykazań i wypełniać je! Ja jestem Pan! Nie będziecie bezcześcić mojego świętego imienia. Okazuję moją świętość pośród Izraelitów. Ja jestem Pan, który was uświęca, który wyprowadził was z ziemi egipskiej, aby być waszym Bogiem. Ja jestem Pan!" (Kpł 22, 31–33).

Pan dał Prawo swojemu ludowi. Celem tego daru było oddalenie wiernych od kultów pogańskich i związanie ich mocno z kultem Boga prawdziwego. Prorocy przypominają jednak, że nie chodzi bynajmniej o zewnętrzne wypełnianie Prawa, że nie wystarczy składać Bogu jedynie ofiary materialne, ale istnieje potrzeba czegoś więcej. Tym „więcej" są: osobisty, wewnętrzny wysiłek, praktykowanie sprawiedliwości, czyny miłości, życie w posłuszeństwie Bogu, bycie wolnym od wszelkiego brudu moralnego. Tylko ten, kto tak postępuje, zostaje wpisany przez Boga do „Księgi Życia" (por. Iz 4, 3).

Nowy Testament

Grecki termin *hagios* oznacza w tekstach nowotestamentowych stan świętości. W pierwszym rzędzie jest on właściwy Bogu, ale pośrednio uczestniczy w nim również człowiek (por. 2 Kor 1, 12). Ponadto termin *hagios* oznacza również, jak widzieliśmy to już w odniesieniu do terminu *qodeš*, „konsekrację", „uświęcenie", „objawienie się świętości"[22].

Teksty Nowego Testamentu odnoszą świętość w pierwszym rzędzie do Chrystusa. On właśnie, będąc Synem Bożym, zostaje nazwany Świętym (por. Łk 4, 34). Lecz świętość Chrystusa rozciąga się następnie na tych, którzy w Niego wierzą, którzy przebywają „w prawdzie" (J 17, 19), oni także zostają uświęceni. Autorzy tekstów uczą, że uświęcenie dokonuje się dzięki działaniu Ducha Świętego, którego wierzący otrzymują w momencie chrztu (por. Dz 2, 38); przez wiarę i chrzest spływa na nich „namaszczenie pochodzące od Świętego" (1 Kor 1, 30; Ef 5, 26; 1 J 2, 20), dzięki czemu mają udział w życiu zmartwychwstałego Pana (por. Dz 2, 39; 10, 47; 19, 1–7). Duch Boży mieszka w nich, dlatego zasługują na miano „świątyni Ducha Świętego" (1 Kor 6, 19), są nie tylko czasowo pod działaniem Ducha, lecz jako dzieci Boże (por. Rz 8, 14–17) posiadają w sobie źródło świętości Bożej.

Zdaniem św. Pawła świętość posiada dwa zasadnicze zakresy. Pierwszy z nich obejmuje to wszystko, co Bóg uczynił człowiekowi do czasu chrztu, co w praktyce oznacza przyjęcie wiary w Jezusa Chrystusa i oczyszczenie się z grzechów w sakramencie chrztu świętego. Drugi zakres obejmuje natomiast całe późniejsze życie człowieka, jego czyny, które spełnia jako osoba wierząca. Św. Paweł zachęca zatem wierzących, aby ofiarowali swoje życie Chrystusowi, stając się „ofiarą Bogu przyjemną, uświęconą" (Rz 15, 16). Uświęcenie człowieka, które daje chrzest, zobowiązuje do życia „według łaski Bożej" (2 Kor 1, 12). Domaga się więc, by chrześcijanie zerwali z grzechem,

[22] Z kolei język łaciński używa terminu „sanctus", zob. A. Ernout, A. Meillet, *Dictionnaire étymologique de la langue latine*, Paris 1959.

obyczajami pogańskimi (por. 1 Tes 4, 3) i postępowali „w prostocie serca i szczerości wobec Boga, a nie według mądrości doczesnej" (2 Kor 1, 12; por. 1 Kor 6, 9n). Z kolei apostoł Jan zachęca wierzących, aby zachowywali przykazania i okazywali miłość bliźnim, do czego obliguje ich wiara w Jezusa Chrystusa.

Teologiczne rozumienie świętości

Kościół od zawsze uważał świętość za największy wyraz miłości. W kategoriach tych mieściło się również męczeństwo. Na przestrzeni historii istniały różne modele świętości. Bardzo często wyrastały one na gruncie różnych duchowości, które zna historia, ale nie wyłącznie[23]. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa do najczęstszych modeli świętości należało męczeństwo, oddanie życia za wiarę. Jedno z najstarszych świadectw kultu męczenników, sięgające 155 roku, pochodzi od wspólnoty wierzących w Smyrnie, która pisząc do wszystkich gmin chrześcijańskich o męczeńskiej śmierci swego biskupa Polikarpa, zapewnia, że przy grobie męczennika „będziemy się tam w miarę możliwości stale gromadzić w dzień jego męczeńskich narodzin [dla nieba] i z radością obchodzić je uroczyście"[24].

Kult męczenników posiadał początkowo charakter lokalny[25]. Przy grobie męczennika w dniu jego „narodzin dla nieba", tj. w dniu męczeństwa, gromadziła się cała wspólnota wierzących. „Podczas sprawowanej wówczas Eucharystii wymieniano imię męczennika, a z czasem pojawił się też zwyczaj czytania opisu męczeństwa lub

---

[23] Z. Kijas, *Różnorodność duchowości w Kościele,* w: *Przesłanie Ojca Pio z Pietrelciny dla ludzi naszych czasów.* Materiały z sympozjum, 26–27 października 1998 r., red. A. Horowski, Kraków 1999, ss. 10–32.

[24] *Męczeństwo św. Polikarpa*, 18, w: M. Michalski, *Antologia literatury patrystycznej*, t. 1, Warszawa 1975, s. 136.

[25] Zob. F. Bisconti, D. Mazzoleni, *Alle origini del culto dei martiri. Testimonianze nell'archeologia cristiana*, Roma 2005. Dodatkowa literatura dotycząca męczeństwa znajduje się: L. Bouyer, L. Dattrino, *La spiritualità dei Padri. Storia della Spiritualità 3/A*, Bologna 1984, ss. 37–74.

wygłaszania okolicznościowego przemówienia”[26]. Stopniowo kult ten objął również wyznawców, a więc chrześcijan, którzy z powodu wyznawania wiary byli torturowani, więzieni bądź skazani na wygnanie. Świadectwo krwi zostało zastąpione świadectwem życia, oddanego w zupełności Bogu i posłudze bliźnim. Takie właśnie było życie pierwszych wyznawców. Na ogół sprowadzało się (zmieniało się, oczywiście, natężenie, długość i miejsce) do pewnej „negacji” świata, do przyjęcia postawy modlitewnej, różnych form ascezy, praktykowania miłości chrześcijańskiej. Mniej uwagi poświęcano zjawiskom nadzwyczajnym i cudom w życiu osób uważanych za święte. Ten ostatni aspekt powrócił w okresie baroku, czyli w wiekach od XVI do XVIII, kiedy to otaczano świętego nimbem cudowności, nadprzyrodzoności, nieziemskości. Pius XI napiętnował przekonanie, jakoby świętość była osiągnięciem nadzwyczajnym, mówiąc:

> Mniema się powszechnie, że świętość nie jest powołaniem wszystkich. Tak sądzić jest błędem. Zapominamy zbyt łatwo biblijną naukę o świętości ludu Bożego i dlatego dziwimy się, że św. Paweł nazywa adresatów swych listów świętymi pomimo grzechów, które im wytyka[27].

W tym samym tonie brzmiała wypowiedź papieża Pawła VI, który pisał, że „szukamy świętych, którzy tkwią w naszym trudzie, są naszymi braćmi, uczestniczą w naszym ciężkim położeniu”[28]. Papież podkreślał tym samym potrzebę powiązania w ocenie świętości danej osoby wymiaru wertykalnego (w relacji do Boga) z horyzontalnym, czyli z miłością do bliźnich.

Każda epoka miała swój dość ściśle określony typ (model) świętości, zawsze jednak zakorzeniony w doskonałym zjednoczeniu się z Bogiem. Także męczeństwo było szczególną, najwyższą z możliwych, formą zjednoczenia z Bogiem – poprzez oddanie życia z miłości.

---

[26] J. Janicki, *Święci*, w: *Słownik teologiczny*, red. A. Zuberbier, Katowice 1998, s. 580.

[27] *Przemówienie* z 8 stycznia 1933.

[28] *Przemówienie* z 20 października 1963, w: AAS 55[1963], s. 1025.

Sobór Watykański II nie podał szczegółowej definicji świętości, która by odbiegała od dotychczas używanej[29]. Przypomniał jedynie obowiązujące nauczanie Kościoła w temacie świętości. W Konstytucji dogmatycznej o Kościele *Lumen gentium*, w rozdz. V, który otrzymał niezwykle charakterystyczny tytuł *Powszechne powołanie do świętości w Kościele*, ojcowie soborowi uczyli:

> Kościół, którego tajemnicę wykłada Sobór święty, uznawany jest przez wiarę za niezachwianie święty. Albowiem Chrystus, Syn Boży, który wraz z Ojcem i Duchem Świętym doznaje czci jako „sam jeden Święty", umiłował Kościół jako oblubienicę swoją, siebie samego zań wydając, aby go uświęcić (por. Ef 5, 25–26), złączył go też ze sobą jako ciało swoje i hojnie obdarzył darem Ducha Świętego na chwałę Bożą. Toteż wszyscy w Kościele, niezależnie od tego, czy należą do hierarchii, czy są przedmiotem jej funkcji pasterskiej, powołani są do świętości zgodnie ze słowami Apostoła: „Albowiem wolą Bożą jest uświęcenie wasze" (1 Tes 4, 3, por. Ef 1, 4). Ta zaś świętość Kościoła nieustannie ujawnia się i ujawniać się powinna w owocach łaski, które Duch rodzi w wiernych, rozmaicie wyraża się ona u poszczególnych ludzi, którzy we właściwym sobie stanie życia dążą do doskonałości miłości, będąc zbudowaniem dla innych, w pewien właściwy sobie sposób wyraża się ona w praktykowaniu rad, które zwykło się nazywać ewangelicznymi. To praktykowanie rad ewangelicznych, dzięki pobudzaniu przez Ducha Świętego, podejmowane przez licznych chrześcijan bądź prywatnie, bądź w zatwierdzonych przez Kościół warunkach czy stanie, daje w świecie i dawać powinno wspaniałe świadectwo i przykład tej właśnie świętości (KK 39).

Sobór uczył zatem, że moralny obowiązek dążenia do świętości, jaki spoczywa na każdym chrześcijaninie, wynika z jego

[29] Na temat początków i powstawania rozdz. V *Lumen gentium*, który dotyczy świętości, zob. P. Paolo Molinari S.I., *La storia del capitolo VII della Costituzione dogmatica 'Lumen gentium': Indole escatologica della Chiesa pellegrinante e sua unione con la Chiesa celeste*, w: Congregazione per le Cause dei Santi, *Miscellanea in occasione del IV centenario della Congregazione per le Cause dei Santi (1588–1988)*, Città del Vaticano, 1988, ss. 113–176.

przynależności do Kościoła, który jest „niezachwianie święty". Świętość Kościoła wypływa z kolei z tego, że jego fundamentem jest Chrystus, który „jest sam jeden święty". Chrystus umiłował Kościół jako swoją oblubienicę po to, aby go uświęcić, aby uświęcić nie instytucje i urzędy, ale przede wszystkim ludzi, którzy w nim żyją. Kościół dysponuje bogatym zestawem środków, które prowadzą wierzących do unii z Jezusem Chrystusem, a w konsekwencji do świętości. Taka właśnie wydaje się być najpewniejsza droga prowadząca do świętości każdego człowieka.

Zgodnie z biblijnym pojęciem świętości jako zjednoczenia z Bogiem teologia uczy, że *ontologicznie* święte jest całe stworzenie (nawet byty nieożywione) z samego faktu, że pochodzą od tegoż Boga, a więc są w Nim zjednoczone. Z takiej koncepcji świętości wyrasta niejako druga kategoria świętości, nazywanej świętością *moralną*. Jest to ten rodzaj świętości, kiedy osoba ludzka z własnej woli, w całym bogactwie swojej osoby, pragnie zjednoczyć się z Bogiem. W tym znaczeniu świętość moralna właściwa jest wyłącznie osobie ludzkiej.

Ta sama i zarazem zawsze inna

Świętość jest *jedna*, aczkolwiek może być realizowana w różnych okolicznościach życia, przez różne osoby i według właściwego dla każdej z nich powołania. Uczył Sobór:

> W rozmaitych rodzajach życia i powinnościach jedną świętość uprawiają wszyscy, którymi kieruje Duch Boży, a posłuszni głosowi Ojca i czcząc Boga Ojca w duchu i w prawdzie, podążają za Chrystusem ubogim, pokornym i dźwigającym krzyż, aby zasłużyć na uczestnictwo w Jego chwale. Każdy stosownie do własnych darów i zadań winien bez ociągania kroczyć drogą wiary żywej, która wzbudza nadzieję i działa przez miłość (KK 41).

Świętość posiada wyraźny rys *eschatologiczny* już przez sam fakt, że czerpie wzory od Boga i zorientowana jest na zjednoczenie z nim. Prawdę tę przypomniała ponownie soborowa Konstytucja o Kościele:

> Kościół, do którego w Jezusie Chrystusie jesteśmy wszyscy powołani i w którym dzięki łasce Bożej zdobywamy świętość, osiągnie pełnię dopiero w chwale niebieskiej, gdy nadejdzie czas odnowienia wszystkiego (Dz 3, 21) [...] Złączeni zatem z Chrystusem w Kościele i naznaczeni Duchem Świętym, „który jest zadatkiem dziedzictwa naszego" (Ef 1, 14), nazywamy się prawdziwie i jesteśmy synami Bożymi (por. 1 J 3, 1), ale jeszcze nie ukazaliśmy się z Chrystusem w chwale (por. Kol 3, 4), w której będziemy podobni Bogu, ponieważ ujrzymy Go, jako jest (por 1 J 3, 2) (KK 48).

Autentyczna świętość posiada ponadto wymiar *eklezjalny*. Oznacza to, że świętości nie osiąga się poza Kościołem, jako wspólnotą osób karmionych Bożą łaską. Świętość nie ma nic z indywidualności czy egoizmu, ale rodzi się we wspólnocie osób i buduje wspólnotę. Święty przeżywa swoją miłość do Boga w silnym powiązaniu z całą wspólnotą eklezjalną. Teologia uczy, że Bóg nie udziela nigdy świętości wyłącznie poszczególnym osobom, w izolacji od całej społeczności ludu Bożego. Przeciwnie, zawsze każdy autentyczny święty odczuwa bardzo głębokie powiązanie z całym mistycznym organizmem Kościoła. Teologia katolicka podkreśla, że osobista świętość każdego wierzącego winna przyczyniać się do wzrostu i rozwoju całego organizmu Mistycznego Ciała Chrystusa. Wyrażają to dwa najważniejsze przykazania: miłości Boga i miłości bliźniego.

Więź miłości świętego z tymi, którzy go otaczają, nie ogranicza się do samej tylko łączności w ramach obecnej historii, ale obejmuje także wspólnotę członków Kościoła niewidzialnego. Święty łączy się duchowo (modli się) z tymi, którzy cierpią stan czyśćcowy, trwając w przygotowaniu na wejście do chwały wiecznej. Lecz także ci, którzy doznają już radości przebywania we wspólnocie przyjaciół Baranka, orędują za nami, pielgrzymującymi do domu Ojca. Ponownie uczy Sobór:

> Dopóki tedy Pan nie przyjdzie w majestacie swoim, a wraz z Nim wszyscy aniołowie (por. Mt 25, 31), dopóki po zniszczeniu śmierci wszystko nie zostanie poddane Jemu (por. 1 Kor 15, 26–27), jedni spośród uczniów Jego

> pielgrzymują na ziemi, inni, dokonawszy żywota, poddają się oczyszczeniu, jeszcze inni zażywają chwały, widząc „wyraźnie samego Boga troistego i jedynego, jako jest", wszyscy jednak, w różnym stopniu i w rozmaity sposób, złączeni jesteśmy wzajemnie w tej samej miłości Boga i bliźniego i ten sam hymn chwały śpiewamy Bogu naszemu. Wszyscy bowiem, którzy są Chrystusowi, mając Ducha Jego, zrastają się w jeden Kościół i zespalają się wzajemnie ze sobą w Chrystusie (por. Ef 4, 16). Łączność zatem pielgrzymów z braćmi, którzy zasnęli w pokoju Chrystusowym, bynajmniej nie ustaje, przeciwnie, według nieustannej wiary Kościoła umacnia się jeszcze dzięki wzajemnemu udzielaniu sobie dóbr duchowych. Albowiem mieszkańcy nieba, będąc głębiej zjednoczeni z Chrystusem, jeszcze mocniej utwierdzają cały Kościół w świętości, a część, którą Kościół tutaj na ziemi oddaje Bogu, uszlachetniają i różnorako obracają na większe zbudowanie Kościoła (por. 1 Kor 12, 12–27). Przyjęci bowiem do ojczyzny i znajdując się blisko przy Panu (por. 2 Kor 5, 8), przez Niego, z Nim i w Nim nieustannie wstawiają się za nas u Ojca, ofiarując Mu zasługi, które przez jedynego Pośrednika między Bogiem i ludźmi, Jezusa Chrystusa (por. 1 Tm 2, 5), zdobyli na ziemi, służąc Panu we wszystkim i w ciele swoim dopełniając tego, czego nie dostaje cierpieniom Chrystusowym, za ciało Jego, którym jest Kościół (por. Kol 1, 24). Ich przeto troska braterska wspomaga wydatnie słabość naszą (KK 49).

Święci są szczególnymi członkami Kościoła. Należą do nich wszyscy ci, którzy na różne sposoby żyją w zjednoczeniu z Chrystusem: poprzez przelanie krwi (męczennicy), przez ascezę (mnisi i asceci), czy wreszcie poprzez zachowanie przykazań i rad ewangelicznych, tj. praktykę cnót w stopniu heroicznym (wyznawcy). Czcimy świętych nie tylko ze względu na przykład ich życia heroicznego, oddanego w pełni miłości Boga i służbie bliźnim. Oddajemy im cześć również i dlatego, żeby umacniała się jedność całego Kościoła, pielgrzymującego, oczyszczającego się i chwalebnego[30].

[30] H. Misztal, *Komentarz do Konstytucji apostolskiej Divinum perfectionis Magister*, Lublin 1987, s. 19.

Istotne cechy chrześcijańskiej świętości

Jest kilka ważnych elementów chrześcijańskiego rozumienia świętości, o których warto tutaj powiedzieć. Ich aktualność nie zależy od czasu czy miejsca, są bowiem aktualne zawsze. Wynika to z faktu, że swoją aktualność czerpią z Ewangelii, zawsze ważnej i niezmiennej. Oto więc one:

Pełne miłości otwarcie się na drugiego

Chrześcijańska świętość jest natury *trynitarnej* i korzeniami swymi tkwi w świętości trójjedynego Boga: Ojca, Syna i Ducha Świętego. Mówi Sobór Watykański II w *Lumen gentium*, 36:

> Kościół, którego tajemnicę wykłada Sobór święty, uznawany jest przez wiarę za niezachwianie święty. Albowiem Chrystus, Syn Boży, który wraz z Ojcem i Duchem Świętym doznaje czci jako „sam jeden Święty", umiłował Kościół jako oblubienicę swoją, siebie samego zań wydając, aby go uświęcić (por. Ef 5, 25–26).

Wraz z Ojcem i Duchem Świętym Chrystus, Syn Boży, doznaje czci świętości. Przywilejem świętości nie cieszy się więc wyłącznie On sam, ale jest ona własnością wszystkich trzech boskich Osób. Ich wspólna świętość objawia się przede wszystkim w harmonii wzajemnych relacji, intymnych powiązań dobra, prawdy i miłości.

Bóg objawienia chrześcijańskiego, który żyje w tajemnicy Osób wzajemnie oddających się sobie, wzajemnie obdarowujących się istnieniem, jest również początkiem wzajemnego udzielania się ludziom. W ten sposób trójjedyna Miłość Boża tłumaczy tajemnice istnienia i zarazem daje podwaliny pod autentyczne istnienie ludzkie, które jest zawsze istnieniem w *relacji*, w otwartości mojego „ja" na drugą osobę. Otwartość ta jest gwarancją mojej autentyczności, warunkiem prawdziwej egzystencji. Chociaż prawdziwe, dawanie to wolne jest od negatywnego zagubienia się, zrezygnowania z przysłowiowego „koloru" własnej osoby, tzn. tego, co wyznacza mi specyficzne miejsce i rolę w historii zbawienia. Analogiczny dynamizm

dawania się ma miejsce w każdym innym istnieniu, również i w tym podarowanym mnie: także i ja cieszę się pełnią swojego istnienia w dynamice *dawania* i *otwierania się* na innych. Szwajcarski teolog Hans Urs von Balthasar wyrażał to w jasnych i przekonywujących słowach:

> Jak boskie osoby są sobą tylko w relacji do każdej z pozostałych, podobnie stworzone istoty są niezależne tylko w dynamicznym odniesieniu do praprzyczyny (z której wypływa istnienie) i celu, dla którego poświęcają się. Podobnie jak z istnieniem boskim, które jest nieskończone i określone, chociaż w inny sposób, ma się rzecz z istnieniem stworzonym. Jeżeli stworzone istnienie zawdzięcza [swoje istnienie – K.Z.] całemu boskiemu istnieniu (ponieważ Bóg w trzech osobach działa wspólnie), swoje określenie pod względem istoty zawdzięcza w pierwszym rzędzie Logosowi, jego udziałowi w nieskończonym istnieniu Ojca (któremu przypisane jest stworzenie) oraz jego poświęcaniu się Duchowi, który ucieleśnia w Bogu hojność miłości[31].

Między życiem trójjedynego Boga a życiem człowieka istnieje intymna analogia. Podobnie bowiem jak boskie Osoby „rozkoszują się" tożsamością Ojca, Syna i Ducha Świętego, udzielając się sobie nawzajem, tak samo człowiek ma szansę stania się prawdziwie sobą pod warunkiem, że dobrowolnie „odda się" drugiemu. Najważniejszym spośród nich jest Bóg, ale w ślad za oddaniem się Bogu winno pójść oddanie się bliźniemu. W przytoczonym powyżej tekście szwajcarski teolog pozostaje wierny ontologii św. Tomasza z Akwinu, której tłem jest nauka św. Augustyna o *desiderium visionis.* Przypomina o tym Balthasar, pisząc:

> Układ tej refleksji jest więc (podobnie jak w przypadku H. de Lubaca) zasadniczo augustyński (z włączeniem ontologii św. Tomasza), z tą jednak różnicą, że *imago trinitatis* postrzegana jest w pierwszym rzędzie nie w pojedynczej duszy, lecz w międzyosobowości. Okazuje się tutaj, że stworzenia

[31] Zob. H.U. von Balthasar, *Theodramatik* IV, Einsiedeln 1983, s. 66 (zob. także s. 90nn. 97).

> uczynione są w Synu (por. J 1, 3; Kol 1, 17; 1 Kor 8, 6) i tak jak On są one w pierwszym rzędzie bytami otrzymującymi. Zwracająca się do dziecka matka jest odbiciem Ojca, lecz ponieważ ona sama jest kimś, kto siebie otrzymał, stąd może być jedynie wskazaniem na Niego. Wymiana pytań i odpowiedzi, wspólna miłość i wzajemne poznanie się, które prowadzą do wypełnienia i utwierdzenia dwóch osób, jest podobieństwem do Ducha Świętego. Jeżeli pamięta się o tym, wówczas to (augustyński) akt samopoznania jest bezpośrednim przystąpieniem do Boga absolutnego i trynitarnego[32].

Han Urs von Balthasar nie opowiada się za szukaniem *imago trinitatis* w pojedynczej duszy człowieka, ale przeciwnie – odbicie obrazu Trójcy Świętej widzi przede wszystkim w relacjach interpersonalnych, w odniesieniach, jakie człowiek ma do innych ludzi, we wzajemnej przyjaźni, w licznych gestach miłości, w gotowości niesienia pomocy potrzebującym, cierpiącym, aż do złożenia ofiary z życia, jak tego przykładem jest bogaty zastęp męczenników.

Obecność i działanie Trójcy Świętej nie zaznacza się w samym tylko akcie stworzenia. Jej obecność objawia się równie w codziennej egzystencji człowieka, w głęboko odczuwanej przez niego konieczności wyjścia do innych, w potrzebie nawiązania szczerej przyjaźni i autentycznej miłości, jako nieodzownego warunku prawdziwości swojego życia. Miłość, która wyraża się często przez postawę pokory, pozwala człowiekowi, bez odrzucenia siebie, przesunąć swoje „ja" na drugi plan, aby na pierwszym planie mógł pojawić się Bóg i dobro drugiego człowieka – jedyne gwarancje autentyczności mojego istnienia. Gest taki uczynić może pokora, o którą apeluje św. Paweł w Liście do Filipian. Sugeruje on wiernym, że taka właśnie jest droga, która prowadzi do świętości:

> Jeśli więc jest jakieś napomnienie w Chrystusie, jeśli – jakaś moc przekonująca Miłości, jeśli jakiś udział w Duchu, jeśli jakieś serdeczne współczucie – dopełnijcie mojej radości przez to, że będziecie mieli te same dążenia:

[32] H.U. von Balthasar, *Theodramatik* II/2, Einsiedeln 1978, s. 422, przypis 19.

> tę samą miłość i wspólnego ducha, pragnąc tylko jednego, a niczego nie pragnąc dla niewłaściwego współzawodnictwa ani dla próżnej chwały, lecz w pokorze oceniając jedni drugich za wyżej stojących od siebie. Niech każdy ma na oku nie tylko swoje własne sprawy, ale też i drugich! (Flp 2, 1–4).

Uczyniony dla podobieństwa ze swoim Stwórcą, człowiek powołany jest do przyjęcia w swoje życie obrazu pierwotnego, którym jest Jezus Chrystus, a o którym apostoł Paweł wyraża się w sposób następujący:

> To dążenie niech was ożywia; ono też było w Chrystusie Jezusie.
> On, istniejąc w postaci Bożej,
> nie skorzystał ze sposobności,
> aby na równi być z Bogiem,
> lecz ogołocił samego siebie,
> przyjąwszy postać sługi, stając się podobnym do ludzi.
> A w zewnętrznym przejawie, uznany za człowieka,
> uniżył samego siebie,
> stając się posłusznym aż do śmierci –
> i to śmierci krzyżowej. Dlatego też Bóg Go nad wszystko wywyższył
> i darował Mu imię
> ponad wszelkie imię,
> *aby na imię Jezusa zgięło się każde kolano*
> istot niebieskich i ziemskich i podziemnych.
> *I aby wszelki język wyznał,*
> że Jezus Chrystus jest PANEM –
> ku chwale Boga Ojca (Flp 2, 5–11).

Wraz z Jezusem Chrystusem wierzący przyjmuje Ojca i Ducha, którzy wprawiają go niejako w wewnętrzny ruch, w boski dynamizm wzrastania i dojrzewania, albo też wprowadzają go na drogę świętości, która jest drogą miłości i pokory.

Piękno i pełnia życia

Klasyczny słownik filozoficzny André Lalanda pod hasłem „osoba" (*persona*) zamieszcza wyjaśnienie, które idzie w trzech różnych kierunkach: moralnym, fizycznym oraz prawnym[33].

Z *moralnego* punktu widzenia osoba jest podmiotem ludzkim, który, obdarzony rozumem, zdolny jest dokonywać rozróżnienia między dobrem a złem. Rozum daje osobie możliwość wolnego, czyli odpowiedzialnego samookreślania się w odniesieniu do tych wartości, z jakimi spotyka się w codziennym życiu. Z *fizycznego* punktu widzenia osoba jest ciałem, które objawia „osobę moralną". Ciało uzewnętrznia wewnętrzny charakter osoby i ponosi równocześnie konsekwencje jej zachowań. Natomiast z *prawnego* punktu widzenia osoba jest istnieniem, które posiada ściśle określone prawa i obowiązki, regulowane odpowiednimi ustawami.

Szukając korzeni współczesnego pojęcia osoby, autor francuskiego słownika filozoficznego wskazuje na dwa podstawowe źródła: na stoicką ideę „roli" powierzonej człowiekowi do odegrania tutaj na ziemi (stąd *prosopon* – maska sceniczna, persona, osoba) oraz na konsekwencje natury teologicznej, głównie zaś trynitarnej. Otóż terminem *osoba* posługiwano się przy wyjaśnianiu greckiego pojęcia

---

[33] A. Lalande, *Vocabulaire technique et critique de la philosophie.* Paris 198515, ss. 759–760. Literatura na temat osoby jest niezwykle bogata. Podaję tutaj tylko kilka wybranych pozycji: J. Galarowicz, *Człowiek jest osobą. Podstawy antropologii filozoficznej Karola Wojtyły*, Kęty 2000; V. Grossi, L.F. Ladaria, Ph. Lécrivain, B. Sesboüé, *Człowiek i jego zbawienie, Historia dogmatów*, red. B. Sesboüé, tłum. P. Rak, red. nauk. T. Dzidek, t. 2. Kraków 2001; R. Guardini, *Świat i osoba. Próby ujęcia chrześcijańskiej nauki o człowieku*, w: R. Guardini, *Koniec czasów nowożytnych. Świat i osoba. Wolność, łaska, los*, tłum. Z. Włodkowa, M. Turowiczowa, J. Bronowicz, Kraków 1969, s. 87–219; M.A. Krąpiec, *Osoba*, w: *Powszechna Encyklopedia Filozofii*, t. 7. Lublin 2006, ss. 873–887; *Persōna*, w: *A Lexicon of St. Thomas Aquinas based on the Summa Theologica and selected passages of his other works*, eds. R.I. Deferrari, M.I. Barry CDP, I. McGuiness OP, Baltimore 1948, s. 830–831; *Person*, w: *Dictionary of Philosophy and Religion. Eastern and Western Thought*, ed. W.L. Reese, New Jersey–New York 1993, ss. 424–425; Ch. Taylor, *Philosophical Papers*, t. 1 – The Concept of a Person. Cambridge 1985; K. Wojtyła, *Osoba i czyn*, Kraków 1985.

hypostasis, które różniło się zasadniczo od innych terminów języka greckiego, jak *ousia* i *physis.*

Do popularyzacji pojęcia *persona* przyczynił się teolog wczesnego średniowiecza Severinus Boecjusz (ok. 480–524), który w swojej klasycznej już pracy pod tytułem *De duabus naturis et una persona* formułował pojęcie osoby jako „jednostkowej substancji rozumnej natury" (*rationalis naturae individua substantia*)[34]. Tak zdefiniowana osoba nie była podmiotem zaangażowanym w dialog z pozostałymi istnieniami rozumnymi, ile raczej istniejącym „w sobie". Nie była owocem otwarcia się na innych, znajdujących się wokół niej, z którymi nawiązywałaby twórczy dialog. „Osoba", jak zdefiniował ją Boecjusz, była raczej podmiotem istniejącym niezależnie od innych i należała w całości do siebie. Chrześcijański filozof akcentował tym samym hipostatyczny charakter osoby, będąc przekonanym, że tym, co jest najważniejsze w definicji osoby, jest jej rozumność. Ona czyni ją świadomą, wolną i odpowiedzialną za swoje czyny. Oznaczało to, że osoba najpełniej „odsłaniała" siebie w ontycznych determinacjach, nie zaś w relacji do innych podmiotów, innych osób żyjących wokół niej.

Propozycja chrześcijańskiego filozofa posiadała niewątpliwie wiele pozytywnych elementów, wskazywała bowiem na niezależność i inteligencję człowieka jako niezwykle ważne elementy przy określeniu osoby. Zastosowana jednak do tajemnicy życia trójjedynego Boga, taka definicja osoby mogła torować drogę ukrytemu czy jawnemu tryteizmowi, mówiąc o niezależnym istnieniu Ojca, Syna i Ducha Świętego. Użyta natomiast do odczytania tajemnicy Jezusa Chrystusa, groziła monofizytyzmem, który wyznawał w Chrystusie tylko jedną, boską naturę, pomijając natomiast naturę ludzką.

Wobec sygnalizowanych trudności teologia chrześcijańska uznała za konieczne wzbogacenie powyższej definicji. W istocie chodziło o wypracowanie nowego, bardziej dynamicznego pojęcia osoby, zdolnego wyrazić jasno dialogowy charakter osoby, będący istotnym

[34] PL 64,1343C.

elementem przeżywania swojego ja. Ważne było również, aby wystarczająco mocno podkreślić miłość jako najcenniejszą wartość człowieka i podstawową kategorię chrześcijańską. W tym właśnie kierunku szły poszukiwania św. Augustyna i jego następców. Wśród nich ważne miejsce zajmuje Ryszard z klasztoru św. Wiktora (†1173). Zastanawiając się nad treścią biblijnego przekazu o stworzeniu człowieka na „obraz i podobieństwo" Boże (Rdz 1, 26), augustiański mnich zaproponował zmodyfikowaną definicję osoby. Mówił on, że osoba jest *nieudzielalną egzystencją rozumnej natury (intellectualis naturae incomunicabilis exsistentia)*[35]. Tylko pozornie nowe określenie osoby utożsamiało się z jej wcześniejszym opisem. Ryszard wprowadzał tymczasem istotną nowość, pisał bowiem, że nie tyle intelekt odgrywa istotną rolę w konstytucji człowieka, ile raczej jego egzystencja. Podczas gdy *natura* u Boecjusza podkreślała rozumność istoty, wspólną wszystkim ludziom, *ex-sistentia* Ryszarda zwracała uwagę na *relacyjność*, jako na coś równie niezwykle ważnego w procesie samookreślania się. Ryszard zauważał ponadto, że w bogatej różnorodności odniesień najważniejsza dla człowieka jest relacja pierwotna, jego odniesienie do Boga, po którym następują wszystkie pozostałe odniesienia do podmiotów myślących.

Zwrócenie uwagi na znaczenie pochodzenia, czyli „odniesienia do (kogoś lub czegoś)" i jego metafizyczną wartość, poszerzało wyraźnie liczbę elementów kształtujących osobę. „Pochodzenie", tak w znaczeniu genealogicznym, jak również duchowym, przesuwało punkt ciężkości zdecydowanie z *indywiduum* na jego „otoczenie", albo też środowisko. Była to bardzo cenna operacja. Wnosiła wiele duchowej świeżości w życie osoby, otwierając ją w naturalny sposób na innych (ludzi). Co więcej, sugerowała, że autentyczne bycie sobą jest wprost proporcjonalne do powiązania z innymi podmiotami. W ten sposób odpowiedź na pytanie „kim jestem?" zależna była od odpowiedzi na następne „kim jestem dla drugich?".

[35] *De Trinitate* IV,6.

W egzystencji odczytywanej jako *relacja do* „otwartość" pojawia się jako zasadnicza kategoria autentycznego życia człowieka: istnieje on prawdziwie na tyle, na ile „otwiera się" na innych, na ile wchodzi z nimi w relację przyjaźni i miłości, na ile gotów jest poświęcić dla nich coś z siebie. Naturalnym zwieńczeniem siły tego dynamizmu *na zewnątrz*, w stronę drugiej osoby (Osoby), jest *koinonia*, mniej lub bardziej doskonała wspólnota pomiędzy ludźmi albo też pomiędzy mężczyzną/kobietą i Bogiem. Tę więc formę wzajemnego, wolnego od jakichkolwiek warunków wstępnych, wypływającego z miłości i naznaczonego postawą pokory oddania się osobie, która tworzy autentyczną wspólnotę, można uważać zarazem za najbardziej pełny rozwój osoby. Współczesna myśl filozoficzna podkreśla bardzo mocno ten wymiar egzystencji, jako nieodzowny do bycia w pełni osobą. Uczy, że człowiek jest materialnym wyrazem dobrowolnego zerwania z egocentryzmem, przejawem rezygnacji z posiadania siebie wyłącznie „dla siebie". Odtąd nie może (w znaczeniu ontycznym) przebywać w izolacji, zamknięty w granicach swojego „ego", oderwany od pozostałych podmiotów ludzkich. Przeciwnie, jedynie w relacji, w ciągłym dawaniu siebie innym, oddawaniu się w miłości na posługę drugiego, w gestach miłości i poświęcenia, człowiek objawia się w swojej pełni i staje się osobą dojrzałą. Mówiąc innymi słowy – świętość jest najpełniejszym urzeczywistnieniem człowieka.

Aktywni w świecie

Aktywność – duchowa i fizyczna – jest inną ważną cechą świętych. Nie byli zamknięci w sobie, skupieni na swoich problemach, opłakujący czy opatrujący rany, które zadaje często życie. Nic z tego! Gotowi byli rezygnować z pokusy miłości własnej, z tęsknoty posiadania wyłącznie siebie. W to miejsce wybierali otwarcie, porzucenie siebie, zapominanie o swoim „ja", aby lepiej odczytać potrzeby drugiego, bliźniego. Wymagało to nierzadko od nich duchowej *kenozy*, oczyszczenia się z pokus egoizmu, aby wejść na drogę pełnego rozwoju świętości. Było to możliwe, bo świętego ożywia miłość. Ona wyzwala

w świętym siłę potrzebną do wyjścia z kuszących objęć własnego „ego", które izoluje go od innych ludzi, pozwalając mu wejść w relację z drugim człowiekiem, stać się aktywnym uczestnikiem wydarzeń dokonujących się w świecie.

Aktywość ta wymaga od świętego systematycznej pracy nad sobą. Nikt inny nie może tego zrobić za niego. Ponieważ zna siebie, swoje możliwości i siłę Bożej łaski, święty nie okłamuje siebie, nie żyje w złudzeniach, nie uważa siebie za kogoś, kim nie jest. Nie liczy też wyłącznie na własne siły. Przechodzi przez etapy duchowej kenozy, która temperuje zakusy „ego", której owocem jest świadome i wielorakie zaangażowanie w procesy, jakie mają miejsce w środowisku, które go otacza.

Modlitwa jest z wśród nich podstawowa, gorąca, stała, wierna. Jest w *Pieśni nad Pieśniami* piękne zdanie, które doskonale wyraża tę zdolność serca do nieustannego zwracania się ku obecności Bożej. Brzmi ono: „Ja śpię, lecz serce me czuwa" (Pnp 5, 2). W przekładzie łacińskim brzmi ono jeszcze ładniej: *Ego dormo sed vigilat cor meum* – nawet kiedy ego zasypia, serce świętgo czuwa przy Bogu i prosi Go o siłę do doskonałości osobistej i do pracy nad pięknem świata. Postawa ta oddaje najbardziej sens bycia świętym i jego obecność w świecie; nie ma ona nic z bierności, lecz znaczona jest wielką wewnętrzną – intelektualną, materialną czy duchową – aktywnością.

Życie w świecie i z jego problemami

Jeżeli świętość miałaby być ucieczką od świata, należałoby ją odrzucić, ponieważ przeczyłaby sama sobie. Byłaby bowiem daleka od pragnień Jezusa Chrystusa, który sam stał się człowiekiem, aby uczestniczyć w życiu świata i jego mieszkańców, i zlecił swoim uczniom, aby czynili to samo, kontynuując Jego misję aż do skończenia świata. Wizja świętości odseparowanej od świata i ludzi przeczyłaby biblijnej prawdzie o człowieku, który powołany został do wspólnoty, pozbawiony której usycha, duchowo, intelektualnie czy emocjonalnie umiera.

Człowiek „zamknięty w sobie", pragnący realizować swoją doskonałość w izolacji, w separacji od innych ludzi, przypominałby kogoś, kto dobrowolnie zrezygnował z aktualizacji noszonego w sobie boskiego dynamizmu, którego celem jest realizacja misji bycia obrazem i Bożym podobieństwem. Uciekając czy unikając świata jako czegoś złego, człowiek przeczyłby Stwórcy, który powołał do istnienia świat i ludzi pełnych dobroci. Zamknięcie się we własnym „ego" obce jest duchowości chrześcijańskiej. Chęć doskonałości indywidualnej, bez współpracy z innymi, kłóci się z najważniejszym przykazaniem, jakim jest nakaz miłości.

Człowiek uświęca się w *ek-stazie*, wychodząc poza siebie i wchodząc w intymny dialog z Bogiem i z człowiekiem. Owa ek-staza, w obszarze której realizuje się jego uświęcenie, nie jest przelotnym i przypadkowym uczuciem, ale stałym wymiarem egzystencji każdej osoby. Nie prowadzi do zakwestionowania czy utraty przez nią jego podmiotowej „inności". Wchodząc w dialog miłości z innymi, mężczyzna/kobieta nie rozpływają się w nich, ale zachowują autentyczną podmiotową odmienność.

Świętość realizowana w świecie nie utożsamia bynajmniej osoby ze światem, ale pozwala jej „podnieść" ten świat na wyższy stopień egzystencji, umieścić go bliżej Boga, będącego jego źródłem życia i doskonałości. Niezależnie od intelektualnych i duchowych przekonań bliźniego, dialog miłości, który osoba prowadzi z nim, pozwala jej zbliżyć się do misterium Trójcy Świętej, w której wszystkie trzy boskie Osoby oddają się sobie całkowicie i bez granic.

Dawanie się innym, jako sposób konstytuujący pełnię człowieka, nie ogranicza się do chwilowego tylko i przelotnego „dla", po którym następuje pustka lub powrót do wcześniejszego stanu zamknięcia. Jako swoisty sposób istnienia człowieka, dawanie się posiadać musi długofalowy (wieczny) czas trwania, będąc stałym rysem danego człowieka. Człowiek kształtuje siebie w długim, wymagającym nierzadko wielu poświęceń, a nawet cierpienia, procesie duchowego wzrastania. Wymaga to ducha posłuszeństwa swojemu podstawowemu powołaniu, jakim jest powołanie do realizacji otrzymanego

na stworzeniu „podobieństwa", a które jest w istocie powołaniem do świętości. Świętość bowiem jest najpełniejszą realizacją „otwarcia się" człowieka na Boga, na drugiego i na świat.

W całym tym procesie, niełatwym, ale dającym zarazem dużo radości, nieodzowny jest duch ubóstwa i pokory. Nie chodzi jednak w pierwszym rzędzie o ubóstwo w znaczeniu ascetycznym, ile raczej o ten jego wymiar, który pozwala człowiekowi zaakceptować swoją kondycję bycia człowiekiem, czyli istnieniem słabym, poddanym cierpieniu i kruchym, a w związku z tym potrzebującym pomocy. Relacja, otwarcie się na drugiego, jest właśnie rodzajem egzystencjalnej odpowiedzi człowieka na biedę swojego życia i szukaniem pomocy u Pana, zwracaniem się do Niego, aby udzielił pomocy w realizacji otrzymanych zadań. Człowiek zdobywa siebie, aktualizuje swoje powołanie w miarę, jak przyjmuje powierzoną sobie misję i wciela ją w czyn; jak szuka harmonii z Bogiem, który obdarza go powołaniem i posyła go z misją. Staje się w tym podobny do Jezusa Chrystusa, który jest najdoskonalszym wzorem zrealizowanego powołania i przykładem człowieka doskonałego. On stał się nie tylko „wszystkim" dla Boga, ale także „wszystkim" dla ludzi i całego stworzenia. Mówił sam o sobie, że nie przyszedł, aby mu służono, lecz aby służyć (zob. Mt 20, 28). W Jezusie Chrystusie osoba utożsamiła się w pełni z posłaniem, tzn. misją wyznaczoną Mu przez Jego Ojca. Mówimy więc, że świętość chrześcijańska posiada rysy wybitnie chrystologiczne.

Świętość, która realizuje się w świecie i we wspólnocie osób, staje się świętością autentyczną. Nabiera konkretnych kształtów, aktualnych do potrzeb, zagrożeń, oczekiwań świata. On właśnie bowiem, czyli świat, potrzebuje jej najbardziej, spragniony jej także wtedy, kiedy o tym nie wie. Osoba święta nie tylko rozumie i przyjmuje bogactwa świata, ale aktywnie współpracuje z Bogiem nad jego uświęceniem; świat bowiem, podobnie jak człowiek, otrzymał określoną dla siebie misję, z której nie może zrezygnować.

Świętość, rozumiana jako otwarcie się na Boga i bliźniego, posiada moc transfiguracji człowieka i innych. Tego, kto się uświęca, nie

tylko fascynuje sama czystość serca (świętość moralna), ale także emanujące ze świętości energie, szczególne moce Bożej miłości. One właśnie są energiami Bożej łaski, które uzdalniają do widzenia już teraz, mimo cierpienia i grzechu, nowej ziemi i nowego nieba. Z darem tej wewnętrznej transfiguracji idzie niezwykła moc Bożej łaski do tworzenia przestrzeni autentycznej wolności dla innych ludzi, dając im w zamian możliwość swobodnego rozwijania otrzymanego na stworzeniu daru „obrazu i podobieństwa", realizacji swoich ideałów, darów natury, pragnień dobra. Wydaje się, że to właśnie miał na myśli Chrystus, który wołał: „Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię. Weźcie moje jarzmo na siebie i uczcie się ode Mnie, bo jestem cichy i pokorny sercem, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych" (Mt 11, 28–29). Słowa te objawiają chwałę wolności, prawdziwej wolności człowieka, który, wolny od negatywnych postaw, otwiera przed innymi szerokie możliwości wolności dla realizacji siebie. Jest to zarazem największy rodzaj świętości.

Osadzona na wierze

Antropologia biblijna mówi, że chrześcijańska świętość, która swymi korzeniami tkwi w tajemnicy życia trójjedynego Boga, jest optymalną realizacją daru „podobieństwa" otrzymanego w akcie stworzenia. Jest aktualizacją zakodowanych w tym darze możliwości, co z kolei pozwala radować się pełnią istnienia, bycia autentycznym, w harmonii wewnętrznej, która jest owocem odpowiedzi na Boże względem mnie pragnienia.

Taka świętość jest jednak zrozumiała wyłącznie w optyce wiary; wiara bowiem pozwala poznać Boży zamysł względem człowieka, nadając równocześnie kierunek rozwoju. Kto żyje wiarą, wie ponadto, że świętości nie zdobywa się własnym jedynie wysiłkiem, poprzez fizyczną czy duchową praktykę. Osobisty wysiłek jest oczywiście nieodzowny, ale nie wystarcza. Wyłącznie osobiste starania nie są w stanie doprowadzić człowieka do pełni istnienia. Potrzeba koniecznie Bożej łaski, która spływa poprzez wiarę. Dzięki niej człowiek staje

się słuchaczem i rozmówcą Boga, otwartym na Jego moc, gotowym na przyjęcie Jego łaski. Dzięki wierze człowiek dostrzega wyraźnie swoją słabość (swój grzech), słabość swojego istnienia wyłącznie „w sobie" i zarazem odczuwa moc działającej w nim Bożej łaski; ona uskrzydla go, pomaga mu wychodzić z niemocy, spoglądać ufnie na siebie i na to, co go otacza, dając nadzieję na zwycięstwo.

Prawda objawienia mówi, że „Bóg wam przebaczył w Chrystusie" (Ef 4, 32), tzn. że Bóg dał człowiekowi łaskę z siebie w Chrystusie. To z kolei oznacza, że jeżeli zdobędzie się on na gest przebaczenia i otwarcia na innych, czyli jeżeli uczyni łaskę z siebie w Chrystusie, wówczas świat zajaśnieje przed nim obecnością Chrystusa i On stanie się wszystkim we wszystkich. Dopiero w perspektywie wiary staje się w pełni czytelne, że jedyną formą doskonałości jest oddanie się w ręce Boga, dobrowolne przyzwolenie na Jego działanie we mnie, na przenikanie Jego energii w moje życie, tych energii, które otwierają mnie na Boga i na bliźnich i które podtrzymują moją łączność z nimi. Jest to działanie w myśl słów św. Franciszka, który mówił do braci: „[...] że nade wszystko powinni pragnąć Ducha Pańskiego wraz z Jego uświęcającym działaniem, modlić się zawsze do Niego czystym sercem i mieć pokorę, cierpliwość w prześladowaniu i w chorobie, i kochać tych, którzy nas prześladują, ganią i obwiniają"[36].

Autentyczna doskonałość (świętość) jest optymalną realizacją przez człowieka powierzonej sobie misji, pełną odpowiedzią na Boże wezwanie do budowania życia we wspólnocie z Nim i z całym stworzeniem. Teologia uczy, że jest również upodobnieniem się do Chrystusa, idealnym wzorem człowieka. Chrystus, który był całkowicie „dla drugich", stał się przez to autentycznym człowiekiem i jednocześnie wzorem dla innych. Świętość Chrystusa była postawą służby, oddania, rezygnacji z własnego „ja" i oddawaniem siebie w ręce drugich. Jego egzystencja była radykalnie *dla*: dla Boga, swojego Ojca („Moim pokarmem jest pełnić wolę Tego, który mnie posłał,

[36] *Reguła zatwierdzona*, X, 8–10, w: *Pisma św. Franciszka i św. Klary*, Warszawa 1992, s. 62.

i wykonać Jego dzieło" J 4, 34), oraz dla drugich („Kto by wśród was chciał być wielkim, niech będzie waszym sługą" Mk 10, 43).

Świętość wyrasta z codzienności

Święci byli i są ludźmi żyjącymi w konkretnych, historycznych warunkach czasu i miejsca. W kręgu tajemnicy ich świętości leży niewątpliwie także i fakt, że owe historyczne uwarunkowania niejednokrotnie łamali, że wyrastali ponad nie, że się im sprzeciwiali – tak jak to np. czynił św. Franciszek czy św. Maksymilian M. Kolbe. W tym samym kręgu leży także uniwersalna, ponadczasowa wartość ich świadectwa. Jest jednak rzeczą nie do pomyślenia, aby – pozostając przecież ludźmi – mogli się od owych uwarunkowań całkowicie uniezależnić. Rzeczą równie niemożliwą jest, aby owe uwarunkowania pozostały bez wpływu na ich mentalność, sposób myślenia, formację itd., do czego dodać należy ich indywidualne cechy osobowe, pozostające bez wątpienia w powiązaniu z formą ich świętości. Powiemy więc, że nic co ludzkie nie było dla nich obce, jednak zostało to oczyszczone i podniesione na wyższy poziom – uświęcone[37].

Przygoda człowieka świętego z Bogiem była niewątpliwie pewnym *sacrum*, lecz wszystko inne, związane z przemijającymi warunkami historycznymi, nie miało nic z wyjątkowości, z cudowności. Święci nie żyli pod kloszem, chronieni przed negatywnym wpływem warunków zewnętrznych. Przeciwnie, oni w nich żyli i przemieniali je, udoskonalali. Tymczasem na przestrzeni wieków dokonało się coś dziwnego. „Oto w bardzo wielu wypadkach czyjaś świętość, fakt jej istnienia – wywołuje tendencję sakralizacji wszystkiego, co

[37] T. Żychiewicz, *Szli niepotrzebni święci,* „Znak", r. 19 (1967), nr 4 (154), s. 480. Niniejsze rozważania oparte są w bardzo dużej części na cytowanym artykule pana Żychiewicza. Uważam go za bardzo dobry i, chociaż napisany ponad dwadzieścia lat temu, pozostaje nadal bardzo aktualny. Wiele fragmentów z jego artykułu cytowałem integralnie.

w jakikolwiek bądź sposób wiąże się z postacią, życiem i działalnością świętego. Chodzi tu już nie nawet o jego osobisty «sposób uprawiania świętości», lecz na równi o akcydensa zupełnie nawet uboczne”[38]. Jest to problem montowania sztucznych i niepotrzebnych dystansów do świętych. W takich sytuacjach próbuje się, wraz z czyjąś świętością, przemycić w jej krąg cały „osobisty bagaż historyczny” świętego. Kanonizuje się ów historyczny bagaż i próbuje mówić, że tylko takie, a nie inne warunki zewnętrzne pozwalają osiągnąć świętość. Kanonizuje się więc nie tylko czyjeś heroiczne czyny, ale także ich historyczną, minioną otoczkę. Nie tylko czyjś gigantyczny wysiłek wierności Bogu, ale także jego słowa, gesty, postawy, mieszkania, w których żył, i ludzi, z którymi się spotykał. Robi się ze świętego kogoś w typie mitycznego króla Midasa, pod którego dotknięciem wszystko musiało zamieniać się w złoto. Taki rodzaj świętości nie jest do końca prawdziwy.

Autentyczny święty wywołuje niewątpliwie pewien dystans, lecz nie działa on deprymująco na innych i nie gasi ich zapału do osiągnięcia równie wielkiej świętości. Jeżeli dystans jest zbyt duży, staje się on wówczas czymś nie do pokonania. Odstrasza śmiałków od świętości. Każe im zrezygnować zawczasu z wszelkich prób podejmowanych w kierunku doskonałości i bardzo często tylko z tej racji, że warunki, w których żyją, odbiegają od tych, w których żyli święci, którzy są dla niego ideałem. Tak np. świętość króla nie oznacza, że przez niego królewskość stała się święta.

Proceder sakralizowania akcesoriów jest często spotykany. Ten właśnie mechanizm uśmiercił Słupników i anachoretów, pustelników i królów. Nierzadko zsakralizowane akcesoria, otoczki, formuły, osuwając się w śmierć, zabiły w naszej świadomości także ludzką świętość. Żyjemy w czasie i przestrzeni, to nie nasza wina. Gdy czas upłynął zbyt długi i przestrzeń stała się zbyt wielka – nie pozostaje nic innego, jak dotknąć ręką owego „serca świętości”, aby przekonać się, że jest żywe. Trzeba to robić bardzo ostrożnie i trzeba mieć

[38] T. Żychiewicz, *Szli niepotrzebni święci...*, dz. cyt., s. 484.

dotyk chirurga, bo brutalne wtargnięcie pomiędzy martwą tkankę minionych akcesoriów i czyjeś żywe serce może zakończyć się katastrofą. W zastanawianiu się nad świętością czasów minionych szukać musimy samego świętego, nie zaś tego, co było wokół. Chodzi nam o osobę, która doświadczała, odczuwała, kochała i angażowała się w życie swojego środowiska.

Wrażliwość świętych

Święci byli przede wszystkim ludźmi bardzo *wrażliwymi* na to, co działo się wokół nich. Nawet ci najbardziej oddaleni od skupisk ludzkich nosili w swoim sercu troski i zmartwienia swoich współczesnych. Byli wrażliwi na piękno, na harmonię, zgodę i dobre współżycie ludzi między sobą i z Bogiem. Ponadto byli oni ludźmi *otwartymi* na potrzeby swoich bliskich i dalekich, znanych i nieznanych. Byli radykalnymi *rozmówcami*. Prowadzili intensywny i twórczy dialog z Bogiem i z ludźmi, z przyjaciółmi i wrogami, z całym stworzeniem. Byli ludźmi wewnętrznej *harmonii*. Żyli tym, co mówili, i mówili o tym, czego sami doświadczyli. Nie było w nich tej negatywnej dysharmonii, która nakazuje przyjmować z przymrużeniem oka takie czy inne deklaracje, pustosłowie, przyrzeczenia bez pokrycia.

Dystans świętych

Pomimo całej tzw. „ludzkiej strony" w życiu świętych wzbudzają oni jednak w nas pewien wewnętrzny dystans. Pytamy więc, skąd ten dystans? W jaki sposób wytłumaczyć go i przezwyciężyć? Być może stać by mnie było na głoszenie Chrystusa na misjach, ale z pewnością nie stać by mnie było na postawę św. Brata Alberta czy Matki Teresy. Być może byłbym gotów żyć jak Brat Roger z Taizé, ale z pewnością nie starczyłoby mi odwagi naśladować św. Antoniego Pustelnika. Ci ostatni wydają mi się ludźmi „większego kalibru" i stąd trudni do naśladowania. Jestem gotów ich podziwiać, ale jednocześnie proszę, aby nie kazali mi siebie naśladować. W tym właśnie momencie rodzi się pewien dystans, lecz dystans taki nie jest równoznaczny

z oderwaniem, brakiem zaciekawienia ich życiem. Niejako podświadomie szukamy ludzi lepszych od nas, wzorów do naśladowania. Podglądamy ich, chcemy zapytać o to, w jaki sposób rozwiązali taki czy inny problem, przed jakim ja staję w chwili obecnej. Pytamy ich o radę. Czerpiemy z ich odwagi. Posilamy się ich słowem i optymizmem życia. Dobrze robi świadomość, że jest ktoś, kto może udzielić nam dobrej rady, że możemy z nim porozmawiać. Dobrze jest także wiedzieć, że pewne rzeczy są możliwe, realne i wykonalne, nawet wówczas, gdy dla nas wydają się być niemożliwe do pojęcia, a co dopiero do zrealizowania. Tak więc święty oddala, ale zarazem i mocno przybliża do siebie.

W tym kontekście widzimy, jak negatywne było zafałszowywanie żywotów świętych przez hagiografów. Zamienianie ich życia w baśnie. Oczywiście nie wynikało to ze złej woli. Nierzadko jednak dyktowane to było najlepszymi nieraz chęciami, lecz przez to święty tracił kontakt z konkretnym człowiekiem poszukującym odpowiedzi na swoje problemy życiowe, np. z obraniem właściwej drogi życia.

Kanonizacja

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa nie było procesów kanonizacyjnych w takim znaczeniu, jakie znamy współcześnie. Mam na myśli Kościół rzymskokatolicki. Procedura była znaczenie uproszczona[39]. Kościół potwierdzał jedynie swoim autorytetem pewne społeczne przekonanie o świętości danego człowieka, uważanego przez innych za wyjątkowego. Najłatwiej i najszybciej działo się tak z osobami, które oddały swoje życie w obronie wiary. Ci niemal od razu ogłaszani byli świętymi. Sytuacja ta uległa, i ulec musiała, zmianie w momencie, kiedy chrześcijaństwo stało się religią panującą i kiedy rozrósł się filozoficzny i teologiczny dorobek teologii.

[39] Zob. G. Stano, *Il rito della beatificazione da Alessandro VII ai nostri giorni*, w: Congregazione per le Cause dei Santi, Miscellanea in occasione del IV centenario della Congregazione per le cause dei Santi (1588–1988), Città del Vaticano 1988, s. 367–422

Równocześnie zaczynały działać naciski pewnych grup społecznych, co tłumaczy np. obfitość świętych zakonnych wśród osób kanonizowanych. Nacisk szedł również i z drugiej strony, tzn. ze strony panujących, którzy również, poprzez wyniesienie do świętości osób z ich kręgów, chcieli wzmocnić wśród ludu swoje znacznie i swoją powagę. Jednym słowem – zrobił się tłok na drodze do ołtarza. Reakcja Kościoła była więc zrozumiała – zaostrzyć, skomplikować i utrudnić proceder kanonizacyjny. Chociaż rdzeń pozostał ten sam, tzn. stwierdzenie przez Kościół przekonania społecznego, że taka czy inna osoba żyła w sposób doskonały, to jednak etapy do niego prowadzące zostały wydłużone i skomplikowane. Ów rdzeń, początkowo tak widoczny, w miarę upływu czasu obrósł w bardzo złożoną machinę procesów i postępowań dokumentacyjnych i dowodowych, które trwają niekiedy bardzo długo i kosztują niemało pieniędzy.

Pomimo tych wszystkich utrudnień i pewnych negatywnych postaw proces kanonizacyjny zawiera wiele dobra i odznacza się dużą mądrością. Swoiste sito, przez jakie musi przejść życie każdego kandydata do świętości beatyfikowanej czy kanonizowanej, pozwala mieć nadzieję, że nie przejdą przez nie osoby nieodpowiednie, że nacisk określonego środowiska, chociaż skądinąd może bardzo wpływowego, nie weźmie góry nad autentycznymi cnotami kandydata.

Święty „jutra"

Odpowiedź na to pytanie jest po prostu niemożliwa. Nawet prorok nie byłby chyba w stanie odpowiedzieć dokładnie, jacy będą święci jutra. Roztropność nakazuje nam więc odsunąć takie pytanie i przyjmować nowych świętych takimi, jakimi będą. Georges Bernanos pisał, że „życie każdego świętego jest jakby nowym rozkwitem, ujawnieniem się cudownej, rajskiej prostoty"[40]. Świętość jest darem Ducha Świętego, a Duch Święty tchnie, kędy chce, kiedy chce i jak chce. Duch to wolność, wieczna i nieuchwytna, pełna niespodzianek nowość Boga. Jeżeli rzeczą niemożliwą jest opisanie

[40] Georges Bernanos – cytaty tego autora, https://www.zamyslenie.pl.

przyszłych świętych w znaczeniu pozytywnym, pokusić się możemy o wyliczenie tych cech, które na pewno nie będą ich własnością. Tak właśnie czyni to francuski teolog Henri de Lubac, który pisze:

> Święci jutra nie będą ideologami. Oni nie będą starali się określać i realizować w sobie tzw. „nowego typu świętego" ani nowego typu kapłana czy człowieka świeckiego. Jeśli dokonają rzeczy wielkich, to na pewno nie dzięki dyskusjom o odwadze porwania się na coś nowego. Jeśli przyniosą światu naprawdę coś nowego, jeśli otworzą przed nim nieznane dotąd perspektywy, to dokonają tego nie na skutek słownych ogólników o konieczności tworzenia i odkrywania nowości. Święci nie będą sądzić, że ulegają dziecinnej potrzebie bezpieczeństwa, kiedy będą się trzymać wiernie tradycji Kościoła. Tradycja ta nie będzie dla nich ciężarem, skrępowaniem, ale wyzwalającą siłą. Niektórzy z nich będą może reformatorami, nawet surowymi, ale na pewno nie będą „reformistami" o z góry przyjętych tezach, a ich surowość nigdy nie będzie negatywna. Ich dzieło reformy nigdy nie będzie się wspierać na bazie urazy i pretensji. Nigdy też nie ulegną jałowej i zwodniczej łatwiźnie przeciwstawień, jakie wysuwają ludzie niedoświadczeni i nie znający historii, przeciwstawień między miłością Boga a miłością bliźniego, między modlitwą a działaniem, między życiem wewnętrznym a obecnością w świecie...
>
> Między świętymi jutra będą na pewno ludzie uczeni i ludzie prości bez wielkiego wykształcenia. Ale nawet najbardziej uczeni, najbardziej spontanicznie uzgodnieni z postępem ludzkim swoich czasów nie będą żywić w sobie uczucia wyższości względem tych, co ich poprzedzili w wierze; ci zaś, co nie będą uczonymi, bez kompleksu niższości będą mogli powtórzyć tym, którzy zechcą ich słuchać, słowa chrześcijanina z pierwszych wieków: „My mało rozprawiamy, ale za to żyjemy".
>
> Święty jutra będzie bez wątpienia rozumny, inteligentny i bardzo ludzki. Będzie on człowiekiem albo o prostej kulturze, albo o kulturze wyrafinowanej. Będzie zawsze istotą wyjątkową, a cała jego egzystencja będzie wzorem i bodźcem dla naszej przeciętności. Omylny, jak każdy człowiek,

będzie uległy Duchowi Świętemu, uczestnicząc w darze rozeznania przyobiecanym Oblubienicy Chrystusa. Dlatego nie da się przerazić najbardziej nawet radykalnymi przejawami odnowy ani skusić fałszywymi nowościami. Podobnie jak wielu jego poprzedników będzie obrońcą i podporą uciśnionych, czyniąc to w sposób nowy i odpowiedni w nowych sytuacjach ucisku i krzywdy. Może będzie przewodnikiem ludzi. Może założy, nie zamierzając tego z góry, nowy zakon w stylu, który nas zdziwi i zaskoczy. A może będzie odgrywał wielką rolę w społeczeństwie i opinia publiczna będzie o nim trąbiła różne sądy i wieści. Może przeciwnie, będzie człowiekiem samotnym, żyjącym z dala od tłumu, nie zauważonym przez masy ludowe i masy tzw. elit. Może dokoła niego ludzie będą myśleć, że jest on anachroniczny, nie na czasie. Będzie może zapoznany, zdradzony, opuszczony nawet przez swoich bliskich. Czy w Ewangelii nie ma i tej smutnej ludzkiej prawdy?

Na swój sposób święty jutra będzie „drugim Chrystusem"; nigdy zaś nie będzie człowiekiem, który by miał pretensję przewyższyć, przekroczyć Jezusa Chrystusa. Przeciwnie, będzie on na serio człowiekiem, którego ideałem i pragnieniem serdecznym będzie upodobnienie do Chrystusa w całym swoim życiu. Wtedy przez niego, jak przez jego Mistrza, i w całkowitej zależności od Mistrza objawi się światu oblicze Boga, oblicze miłości Bożej[41].

Swego czasu pisał Brat Roger Schutz z Taizé: „Pali się w nas pragnienie, żeby człowiekowi dać Chrystusa. Człowiek wzrusza nas głęboko, chcemy, aby się wzniósł do Boga duchowo i po ludzku... Ale gdyby na skutek naszego wspaniałomyślnego otwarcia się na człowieka miały zatracić się w naszym powołaniu znaki tego, co ponadczasowe, wtedy mielibyśmy zapewne zdolność uczestniczenia wyłącznie w naszym świecie współczesnym, natomiast bylibyśmy niezdolni odkryć w człowieku wydarzenie Boże, wdarcie się pionowe Boga w człowieka. Człowiek współczesny nie jest wrażliwy na życie kontemplatywne, jeśli nie jest ono wtopione w całe życie ludzkie; ale też i chrześcijanin, który daje się całkowicie pochłonąć przez

[41] H. de Lubac, *Świętość jutra,* „Znak", r. 25 (1973), nr 224, ss. 297–299.

środowisko tylko ludzkie, nie jest dziś uznawany za autentycznego świadka Ewangelii"[42].

Święty jutra będzie więc człowiekiem ubogim, pokornym, wyzutym z siebie, nieszukającym siebie. Nie będzie nikogo przeklinał ani nikomu schlebiał. Będzie kochał Boga i Bożą miłością w swoim sercu będzie miłował wszystkich i wszystko. Święty oświetli nasze życie, naszą szarą codzienność. Będzie szedł drogą, którą idzie wielu z nas, nie dostrzegając jej piękna, on natomiast ukaże jej wspaniałość. Będzie zachęcał nas do pójścia za nim, do naśladowania go i do radości życia, do nie załamywania się i nie poddawania się trudnościom.

* * *

Osadzenie świętości-doskonałości na biblijnej wizji człowieka, odczytywanej w świetle wiary, zapewnia spełnienie trzech podstawowych potrzeb współczesnego człowieka. Są nimi:

Potrzeba sensu, pewnej logiki życia i wysiłku, cierpienia i śmierci. Skupiając się na sobie, na swoich sprawach, radościach i troskach, a nawet na swojej tożsamości eklezjalnej, człowiek traci z oczu szerszy kontekst życia. Na bogactwo Ewangelii Chrystusa spogląda jednostronnie i spłyca jej przesłanie. Rzeczywistość staje się płaska i zawężona do granic jego intelektualnych i kulturalnych możliwości. Tracąc perspektywę całości, człowiek traci tym samym odpowiedzialność za nią. W coraz większym stopniu staje się indywiduum, oceniając świat, innych ludzi, ich zachowanie i przekonania ze swojej własnej perspektywy.

Potrzeba życia wewnętrznego. Jesteśmy świadkami pewnego szczególnego zjawiska we współczesnej kulturze; otóż wraz z rozwojem technicznym, z postępującą coraz bardziej komputeryzacją życia, wzrasta bardzo wyraźnie zapotrzebowanie na życie wewnętrzne, na różne formy świętości. Pojawienie się wielu nowych ruchów religijnych wydaje się być wymownym tego dowodem. Oznacza to, że człowiek dzisiejszy potrzebuje duchowości i że ci, którzy nią żyją,

[42] Cyt. za: H. de Lubac, *Świętość jutra...*, dz. cyt., s. 299.

znajdują wielu sympatyków i naśladowców. Na odległość jesteśmy w stanie orzec, kto żyje, a kto nie żyje w sposób duchowy. Jakiś rodzaj wewnętrznego ciepła i niewidzialnej energii emanują z osoby duchowej, co nastraja pozytywnie wszystkich pozostałych, którzy znajdują się wokoło.

Świętość, która jest realizacją daru „obrazu i podobieństwa", wytwarza ten rodzaj przyjaznego, Bożego ciepła. Ponieważ dawcą wszelkich darów, w tym także daru najważniejszego – życia – jest Bóg, święty, żyjąc pełnią tych darów, przyciąga i pociąga innych do pójścia w swoje ślady, zachęca innych do wstępowania w ślady Chrystusa. Żyjąc w ten sposób, święty nie zwalcza innych, inaczej myślących i wierzących, ale pozytywnie zachęca ich, mobilizuje do zaangażowania się w rozwój życia duchowego i zbliżania się do Chrystusa, który jest samą Prawdą.

Potrzeba ekumenicznej wspólnoty. Człowiekowi współczesnemu ciąży samotność i dlatego z wielkim wysiłkiem poszukuje wspólnoty. Antropologia biblijna, która w sposób tak bardzo jasny i mocny stawia wymóg *otwarcia się* człowieka na Boga i na innych ludzi, widząc w tym warunek autentyczności, wychodzi naprzeciw tym zapotrzebowaniom. Mówi więc, że moje *otwarcie się* na innych, które pozwala mi nawiązać z nimi wspólnotę, jest nie tylko warunkiem mojego właściwego rozwoju, ale także wyrazem szacunku do przekonań drugiego człowieka, do odmienności jego kultury, języka, koloru skóry. Postępując w ten sposób, buduję autentyczne więzi przyjaźni między ludźmi, należącymi do różnych wspólnot chrześcijańskich, religii, warstw społecznych itd. Wewnątrz tej wspólnoty jestem powołany do dawania *świadectwa* o Chrystusie, którego pragnieniem jest doprowadzenie wszystkich do zbawienia, jako tożsamego z wiecznym szczęściem. Antropologia biblijna, która uczy, że od samego początku człowiek powołany jest do *wspólnoty* z Bogiem, swoim Stwórcą, i *wspólnoty* z drugim człowiekiem, mobilizuje mnie do doskonalenia siebie, abym następnie mógł doskonalić ludzi i świat znajdujący się wokół mnie.

Ten sposób rozumienia świętości daje całemu Kościołowi, każdej osobie wierzącej, znamię autentycznej „katolickości" (tzn. „według całości" w znaczeniu przestrzennym i czasowym, głębokości i całości), a tym samym i ekumeniczności. Ten biblijny rodzaj świętości gwarantuje autentyczny rozwój człowieka, pełny kontakt z Bogiem i głębokie przeżywanie swojej tożsamości eklezjalnej, jednak bez wykluczania innych ludzi, ale w ścisłej z nimi *wspólnocie*.

Ten sposób życia jest równocześnie aktualizowaniem świętości *ekumenicznej*, która została zadana człowiekowi i na którą z utęsknieniem czeka dzisiejszy świat.

Dojrzewanie świętości[43]

Beatyfikacje

Po co nam beatyfikacje i kanonizacje? Czy zanim do nich dojdzie, święci są nieświęci?

Czym innym jest beatyfikacja, a czym innym świętość. Świętość jest darem Boga, który sam jest Święty, beatyfikacja, a także kanonizacja, jest natomiast etapem końcowym pewnego procesu, któremu początek i koniec dają ludzie. Gdy ktoś umiera, a żyjący są przekonani, że był on wyjątkowym człowiekiem, mówią o nim, opowiadają innym o nim, proszą go o wstawiennictwo u Boga i wypraszają potrzebne łaski, o których informują innych. Czynią to z przekonania, że ów zmarły żyje życiem wiecznym, że jest blisko Boga i może za nimi orędować. W ten sposób rozwija się fama świętości (*fama sanctitatis*), czyli „powszechna" opinia wśród żyjących o świętości osoby, która odeszła już z tej ziemi, która jest nieodzowna do rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego.

---

[43] *Dojrzewanie świętości. Ze Zdzisławem Józefem Kijasem OFMConv, teologiem, relatorem Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych, rozmawia Anna M. Faszczowa*, „Pastores" 2019, nr 84 (3), s. 87–102.

Poprzez fakt beatyfikacji czy kanonizacji nikt w niebie – jak należy wierzyć – nie zostaje umniejszony czy wywyższony. Nikt też nie zostaje wyróżniony. Wiara uczy, że logika nieba jest inna od ziemskiej logiki, a jaka jest dokładnie, to się dowiemy już po śmierci. Naiwnością byłoby sądzić, że radości niebiańskich doznają wyłącznie beatyfikowani i kanonizowani. W niebie – według Apokalipsy – są niezliczone rzesze świętych. Spośród nich niektórzy są w szczególny sposób zauważeni przez Kościół i niejako na nowo „sprowadzeni" na ziemię, jako swoiste ikony postępowania i przykład do naśladowania dla żyjących. Ogłaszając kogoś świętym, Kościół „przywołuje" go na nowo w granice ziemskiej egzystencji, aby służył swoim słowem i przykładem swojego życia tym, którzy są jeszcze w drodze, aby pokazywał im drogę, zachęcał do życia przykazaniami, uczył miłości bliźniego, a w razie potrzeby również orędował za żyjącymi u Boga, wypraszając dla nich potrzebne łaski, wszak jest blisko tronu Najwyższego. Skoro życie świętego – beatyfikowanego czy kanonizowanego – było piękne, udane, może tego samego uczyć, stając się namacalnym przykładem dla tych, którzy nadal jeszcze pielgrzymują po drogach świata.

Czasem jednak proces zostaje otwarty, lata mijają, a do beatyfikacji nie dochodzi. Może to rodzić w wiernych przekonanie, że w takim razie ten, którego wyniesienia na ołtarze oczekują, nie jest w niebie?

Myślę, że nie powinno to rodzić podobnych obaw. Niezakończenie procesu może mieć różne przyczyny. Czasem po prostu brakuje dokumentacji historycznej. Jeśli Kościół kogoś wynosi na ołtarze, to znaczy, że chce przedstawić pewny wzór życia. Do tego potrzebna jest jak najbardziej szczegółowa wiedza o różnych sytuacjach z życia danej osoby, aby jej przykład był czytelny. Kościół troszczy się w ten sposób o Lud Boży; nie chce wprowadzić go w błąd, ukryć czy zataić czegoś z życia ludzi, których wynosi do chwały ołtarzy. Chce, aby błogosławieni i święci byli – w miarę możliwości – znani w jak

najdrobniejszych szczegółach, aby wierzący mogli korzystać z ich przykładu w różnych okolicznościach życia.

Czasem nie dochodzi do wyniesienia na ołtarze, ponieważ nie otaczano danej osoby trwałą czcią (opinią świętości). Początkowo mogła istnieć jakaś grupka wiernych proszących o otwarcie procesu, ale podczas prac okazało się, że grupka ta jest mała i się nie powiększa. Nie ma zatem trwałego i narastającego przekonania o potrzebie promowania tego właśnie wzoru świętości. Tymczasem Stolica Apostolska wymaga, aby przekonanie (opinia świętości) o szczególnym charakterze życia danej osoby zrodziło się spontanicznie, a nie sztucznie, było trwałe i ciągle się poszerzało, obejmując coraz większą liczbę wiernych z różnych grup społecznych. Jeśli na przykład rodzina promuje swoją zmarłą mamę, czyniąc starania o jej beatyfikację, lecz nikt inny poza członkami rodziny tego nie czyni, jest to ważny sygnał, że tego typu wzorca wspólnota wiernych nie potrzebuje.

Jakie wzorce są teraz najbardziej zauważane?

Wśród obecnie zgłaszanych spraw beatyfikacyjnych przeważają zdecydowanie męczennicy. Obok nich, na miejscu drugim, są osoby zaangażowane w działalność charytatywną, a także w posługę misyjną i ewangelizacyjną Kościoła. Wśród tych ostatnich są słudzy Boży czy służebnice Boże zajmujące się bezdomnymi, narkomanami, sierotami, misjonarze czy osoby zaangażowane w niesienie pomocy społecznej. Pojawiają się także lekarze, pielęgniarki lub inne osoby z obszaru służby zdrowia. Mniej natomiast mamy mistyków, ascetów, osób żyjących za klasztorną klauzurą. Ktoś może zapytać: dlaczego jest właśnie tak? Nie umiem odpowiedzieć jednoznacznie. Może to znak czasu? Mogę jedynie powiedzieć, że aktualnie wiele zgromadzeń zakonnych, wcześniej raczej zamkniętych, podjęło – z konieczności – działalność duszpasterską, charytatywną i dobroczynną. Są teraz bardziej obecne czy też bardziej aktywne „przed" klauzurą niż „za" nią.

Czy nie za często beatyfikuje się i kanonizuje duchownych?

W tym względzie pokutują nieco stereotypy. Jeżeli wcześniej było prawdą, że na ołtarze wynoszeni byli w dużej mierze duchowni, to teraz już tak nie jest, albo przynajmniej nie są już oni zdecydowaną większością. Wśród błogosławionych czy kanonizowanych mamy obecnie również wiele osób świeckich. Nie są to, co prawda, rzesze, ale osób tych jest dość dużo. Dla przykładu powiem, że w roku 2018 beatyfikowano trzy kobiety, w procesach których byłem relatorem (Hanna Chrzanowska, Veronica Antal i Anna Kolesárová).

Chcę jednak wrócić do beatyfikowanych czy kanonizowanych duchownych. Otóż sam fakt, że osoby duchowne są wynoszone na ołtarze, jest – jak myślę – dla wspólnoty Kościoła, duchownych i świeckich, czymś bardzo dobrym. Jest to autentyczny powód do radości, nie zaś do zazdrości. Dlaczego? Bo skoro byli oni pasterzami, czyli przewodnikami wspólnoty wierzących, a teraz zostają wyniesieni na ołtarze, to oznacza, że nasi kapłani i wierni, osoby młode i starsze wiekiem, mieli wtedy, kiedy żyli owi święci, dobrych duszpasterzy, mądrych kaznodziejów, odpowiedzialnych przewodników itd. Ich funkcja nauczycielska jest aktualna również teraz. To jak z nauczycielami w szkole. Jeśli są świetnymi fachowcami, pedagogami, jeśli cieszą się u swoich uczniów autorytetem, to jest to źródłem radości także dla rodziców tych dzieci; są oni zadowoleni, że ich dzieci mają dobrych, czyli mądrych i odpowiedzialnych nauczycieli, że otrzymują pozytywne wzorce do naśladowania, że wyrosną na dobrych ludzi i obywateli. Tak właśnie ma się rzecz z osobami duchownymi, które Kościół wynosi na ołtarze – uczy, że żyjącym jeszcze na ziemi nie brakuje dobrych przewodników po krętych drogach historii.

Kościół dba o całą wspólnotę, dlatego stawia za wzór różne osoby wywodzące się z różnych stanów społecznych. Obok świętych papieży czy biskupów są również święci prezbiterzy, osoby zakonne czy świeckie. Nikt zatem nie powinien narzekać na brak wzorów dobrego życia; trzeba jedynie chcieć te osoby dostrzec, przyjąć je i prosić o wstawiennictwo.

Dlaczego mamy z kolei tak mało beatyfikowanych czy kanonizowanych małżonków?

To nie jest tak, że Kościół jednych chce, a innych nie chce wynosić na ołtarze. Osoby świeckie świątobliwie żyjące często nie mają nikogo, kto by zadbał o ich pamięć po śmierci, kto by zgromadził potrzebną dokumentację, podtrzymywał i rozwijał opinię o świętości ich życia, bez czego nie można rozpocząć przewodu beatyfikacyjnego. W przypadku osób świeckich, żyjących świątobliwie, brakuje nierzadko owego „technicznego" zaplecza, jakie posiadają zakony czy diecezje, które gromadzą dane historyczne na temat swoich zmarłych i rozwijają opinię świętości. Nie oznacza to jednak, że nie mamy świętych świeckich. Jest ich bardzo, bardzo wielu. Sam znałem ich wielu i ciągle poznaję nowych. To, że nie zostali beatyfikowani, nie było brakiem ich świętości, ale jedynie brakiem osób, które by rozpoczęły proces beatyfikacyjny.

Trzeba wiedzieć, że procesu tego nie może rozpocząć i prowadzić jedna osoba. Nie może być on inicjatywą indywidualną, lecz musi być prowadzony przez określoną instytucję, rozpoznaną przez Kościół. Dlaczego? W myśl tego, o czym wspomniałem wcześniej, czyli w myśl przewodnictwa-wzoru. Święci nie są sprawą prywatną, ale własnością całego Kościoła, stąd potrzeba, aby to właśnie określona wspólnota osób (instytucja, stowarzyszenie, zakon itp.) wyszła z inicjatywą rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego. W odpowiedzi na taką inicjatywę biskup diecezji, na terenie której zmarła dana osoba, udziela *nihil obstat* czy urzędowej zgody na podjęcie prac. Ich celem jest zebranie potrzebnej dokumentacji historycznej, przesłuchanie naocznych świadków życia i śmierci danej osoby, poddanie ocenie jej pism (czy nie ma w nich niczego przeciwko wierze i moralności chrześcijańskiej) i przekonanie się, że nie doznaje ona kultu publicznego, a jedynie cieszy się kultem prywatnym.

Prowadzę w Kongregacji proces osoby świeckiej, żony i matki wielodzietnej rodziny. Po jej śmierci dzieci, przekonane o świątobliwym życiu swojej matki, zawiązały stowarzyszenie i zwróciły się

do biskupa Madrytu o rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego. Przed rokiem zakończyły się prace nad *Positio* dotyczącej cnót heroicznych tej służebnicy Bożej. Czekamy teraz na dalsze etapy przewodu beatyfikacyjnego.

Czy nie powinien zatem w diecezji być ktoś odpowiedzialny za wyszukiwanie takich świątobliwych osób, których otoczenie nie jest w stanie przygotować materiałów potrzebnych do wszczęcia procesu?

W wielu diecezjach, nie tylko w Polsce, jest na ogół osoba odpowiedzialna za procedurę beatyfikacyjną. Nie wiem natomiast nic o osobach odpowiedzialnych za „wyszukiwanie" potencjalnych kandydatów do beatyfikacji. Dlaczego takich osób nie ma? Chyba z tej racji, że świętości nie można wymuszać, nie można jej rozwijać w sposób sztuczny czy na zamówienie. Nic z tego! Ona musi rozwijać się samorzutnie i spontanicznie. Osoba odpowiedzialna za procedurę beatyfikacyjną może jedynie służyć pomocą tym, którzy starają się o wszczęcie procesu beatyfikacyjnego kogoś z bliskich zmarłych. Może służyć im radą i doświadczeniem, wytłumaczyć, jakie należy podjąć urzędowe kroki, kogo i o co prosić, jakie zebrać dokumenty i kogo powołać na świadka, jakie pytania zadać i jak zebrane dokumenty przesłać następnie do Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych. Oczywiście, może się zdarzyć, że osoba kompetentna w sprawach beatyfikacyjnych natknie się na jakąś postać szczególną, która – mimo upływu wielu lat od jej śmierci – nadal cieszy się wielkim szacunkiem (opinią świętości) u współczesnych. Może wówczas – jeżeli uzna za słuszne – podjąć wysiłki w celu jej beatyfikacji. Nie mówimy wówczas o wyszukiwaniu, mówimy raczej o promowaniu życia kogoś, kto już cieszy się opinią świętości.

Mamy obecnie wielu beatyfikowanych i kanonizowanych...

Wzrastająca liczba błogosławionych czy świętych nie zawsze działa na naszą korzyść. Jest ryzyko, że świętość może być odbierana

zbyt prozaicznie, w kolorach szarych, mało ostrych. A przecież taka nie jest! Oczywiście byłoby czymś cudownym, najpiękniejszym, gdyby świętość stała się swoistą normą życia, czymś powszechnym, co od początku zaplanował Stwórca, a czemu przeszkodził grzech biblijnych rodziców. Kiedy jednak świętość kanonizowana zaczyna jakoś szarzeć, kiedy przestaje już prowokować i dopingować do dobra, kiedy błogosławieni czy święci nie wyrywają już żyjących z szarej powszechności, kiedy nie rodzą w nich pragnienia nieba..., oznacza to, że brakuje lub zabrakło już właściwego duszpasterstwa. To jego zadaniem jest „zagospodarować" świętego, uczynić z niego właściwe narzędzie ewangelizacji, wzór do naśladowania. Należy na różne sposoby i przy użyciu różnych środków przybliżać świętych, stawiając ich życie za wzór dla żyjących, pokazywać, w czym i jak mogą nam pomóc.

5 grudnia 2015 roku w Chimbote, w Peru, miała miejsce beatyfikacja męczenników franciszkańskich, pierwszych polskich misjonarzy, którzy zmarli śmiercią męczeńską. Po prawie czterech latach stawiamy sobie pytanie: Co wnieśli w życie Kościoła w Polsce? Świętych otacza się czcią, nawiedza się miejsca ich życia, zwraca się do nich z prośbami, naśladuje. O co więc winniśmy prosić franciszkańskich męczenników? Jak winniśmy ich naśladować w rzeczywistości, w której żyjemy – jako osoby zakonne, duchowne, świeckie? Pytanie to kieruję w pierwszym rzędzie do duszpasterzy. Pytam ich, czy zastanawiają się, co takiego jest aktualne w życiu i śmierci świętych dla życia tych, do których się zwracają, wśród których pracują, którzy chorują, walczą o wiarę lub z nią się borykają. Pytania te są ważne i od odpowiedzi na nie zależy w dużym stopniu „duszpasterstwo świętych". Problem nie leży więc w tym, czy mamy, czy nie mamy wielu kanonizowanych i beatyfikowanych, tylko czy chcemy i czy umiemy ich zagospodarować, czy jesteśmy w stanie mądrze skorzystać z ich wzorów życia, uczyć się od nich dobrego życia.

Warto więc pytać, do czego święci nas dopingują i zachęcają, w czym są dla nas wzorem, przed czym nas przestrzegają. Warto pytać, jak wygląda nasza relacja z nimi. Pamiętać trzeba, że beatyfikacja nie jest bynajmniej umieszczeniem błogosławionego „w niebie",

ale – przeciwnie – jest niejako „sprowadzeniem" go w obszar naszego życia na ziemi, uczynieniem go przyjacielem drogi, której jest przewodnikiem do celu. Warto zatem nawiązać szczerą przyjaźń ze świętymi, poznawać ich, wzywać ich wstawiennictwa, budować się przykładem ich życia i wielbić Pana przez ich wstawiennictwo.

Wstawiennictwo świętych

Niektórzy mają jednak obawy, że modlitwy do świętych usuwają w cień naszego Pana. Szczególnie ma to miejsce podczas praktyki modlitw do świętego przy wystawionym Najświętszym Sakramencie. Czy nie jest to lekceważeniem Pana?

Dla jasności – sami święci na pewno nie przeszkadzają nam w relacji z Bogiem. Natomiast problemem może być pobożność i obraz Boga u modlących się. Jeśli chodzi o liturgię, modlitwa Kościoła jest tak skonstruowana, że zawsze jest skierowana do Boga, do Niego prowadzi, On jest jej najważniejszym adresatem. Treść modlitw nigdy nie przysłania samego Boga, ale – owszem – Go odsłania, objawia Jego wielkość, miłość, miłosierdzie, dobroć. Każda modlitwa Kościoła ukazuje najpierw źródło świętości, którym jest Bóg. Kościół zwraca się zawsze najpierw do Boga, aby następnie, w dalszej części modlitwy, dziękować za otrzymane dobro lub za dar świętego. Weźmy dla przykładu modlitwę na uroczystość św. Stanisława, biskupa i męczennika. Brzmi ona następująco: „Wszechmogący Boże, Święty Stanisław, biskup, nieustraszenie broniąc Twojej chwały, padł pod ciosami prześladowców, spraw, abyśmy dzięki jego wstawiennictwu aż do śmierci trwali w nienaruszonej wierze. Przez naszego Pana Jezusa Chrystusa, Twojego Syna...".

Jak widać, Kościół nie modli się nigdy do świętego, ale zawsze kieruje swoje prośby w pierwszym rzędzie do Boga, aby przykład

świętego lub świętej był dla wiernych pomocą i aby święty lub święta wstawiali się za nami przed tronem Najwyższego. Święci wstawiają się jedynie za nami u Boga, ale Go nie zastępują ani nie wyręczają. Nie święci są źródłem łaski, ale Bóg. Taka jest treść wszystkich modlitw Kościoła. Niekiedy treść modlitwy może ulegać zmianie w pobożności ludowej, lecz modlitwa Kościoła ma powyższy schemat.

Podobna logika hierarchiczna obecna jest również w litaniach do świętych; wszystkie one zaczynają się od wezwań do Boga Ojca, Syna i Ducha Świętego, którego prosi się o miłosierdzie. W odpowiedzi na wezwania Trójcy Świętej wierni powtarzają: „Zmiłuj się nad nami". Bóg bowiem jest źródłem zmiłowania i łaski, święci zaś (nawet Matka Boża) mogą jedynie orędować za nami u Niego. Dlatego po wezwaniu świętego wierni odpowiadają wyłącznie: „Módl się za nami", a nie jak w przypadku wezwań skierowanych do Boga: „Zmiłuj się nad nami".

Źródłem wszelkiej świętości, w tym także świętości ludzi, jest zatem Bóg. Dlatego Kościół śpiewa w liturgii eucharystycznej: „Święty, Święty, Święty". Bóg jest źródłem, pokarmem i siłą świętości ludzi. Dlatego osoby, które Kościół wynosi na ołtarze, nasi święci patronowie, w niczym nie „zaciemniają" Chrystusa, nie przysłaniają świętości Boga, ale, owszem, czynią ją bardziej widoczną, bo dzięki Jego łasce dostąpili chwały ołtarzy. Są niczym księżyc, który odbija światło słońca. Najświętszym „miejscem" Kościoła jest Eucharystia. Jest ona tronem świętości Jezusa Chrystusa, jej źródłem i pokarmem. Wiedział o tym każdy błogosławiony czy święty. Wie o tym każdy dobry, wierny chrześcijanin, dlatego tak chętnie i nabożnie w niej uczestniczy. Prosi w niej najświętszego Pana o świętość życia dla siebie i innych.

Najpiękniej uczestniczymy w Eucharystii, kiedy żyjemy świecie – najbardziej upodabniamy się wówczas do Chrystusa. Kiedy jednak doznajemy słabości, kiedy mamy świadomość, że nie jesteśmy godni być tak blisko Pana, kiedy jesteśmy grzeszni, wtedy prosimy świętych, aby się za nami wstawiali. Uwielbiamy Pana życiem świętych. Ich życie, ich walka z grzechem i różnego rodzaju przeciwnościami

jest jednocześnie dla nas źródłem wielkiej nadziei, że mimo słabości i grzechu nie jesteśmy na straconej pozycji, że z Bożą pomocą możemy się podnieść i stać się w pełni Jego dziećmi, że również my staniemy się „mieszkańcami" nieba.

Nie sądzę, by można było zaliczyć do zdrowej pobożności Kościoła sytuację, w której najpierw wystawiamy Najświętszy Sakrament i adorujemy w ciszy obecnego w nim Jezusa Chrystusa przez, dajmy na to, kwadrans, następnie chowamy Go i przemieszczamy się do bocznego ołtarza z relikwiami świętego, aby odmówić litanię, po czym udajemy się przed figurę Matki Bożej dla odmówienia Różańca. Byłoby to śmieszne. Ponadto należałoby skrupulatnie pilnować czasu, aby nie być za długo „u świętych" kosztem trwania przed Najświętszym Sakramentem. Taką właśnie praktykę nazwałbym „pogańską". Nie jest nią adoracja Pana, obecnego w Najświętszym Sakramencie, przy jednoczesnym wspominaniu świętych, którzy kochali Boga całym sercem, dla Niego oddali swoje życie, czas, swoje zdolności. Zachęcam w ten sposób siebie i innych, aby czynić tak samo.

Problem relikwii

Czy coś zmieniło się w praktyce Kościoła, jeśli chodzi o relikwie?

Od zawsze relikwie cieszyły się w Kościele szczególnym szacunkiem i uwagą, ponieważ ciało błogosławionych czy świętych, przeznaczone do zmartwychwstania, było na ziemi żywą świątynią Ducha Świętego i narzędziem ich uświęcenia, uznanym przez Stolicę Apostolską poprzez beatyfikację czy kanonizację. Kościół beatyfikuje i kanonizuje jednak nie relikwie, ale konkretne osoby. Szacunek do świętych rodzi pośrednio również szacunek do materialnych pozostałości po nich. W przypadku relikwii działa podobny mechanizm psychologiczny jak w przypadku gromadzenia pamiątek

po zmarłych przodkach. Chętnie przecież gromadzimy i przechowujemy pamiątki rodzinne, chwalimy się nimi, a nawet eksponujemy je w widocznych miejscach domu. Gromadzenie pamiątek/pozostałości po zmarłych przodkach, zwłaszcza gdy byli sławni, wybitni, zasłużeni itd., odpowiada naturze człowieka, który – świadomie lub nieświadomie – tęskni za wiecznością, nieśmiertelnością. Nie oparł się temu nawet komunizm, system z gruntu ateistyczny. Jego członkowie również byli mocno przekonani o potrzebie gromadzenia pamiątek po swoich wielkich przywódcach (stąd mauzoleum Lenina). Podobną tendencję gromadzenia materialnych wspomnień po osobach uznanych za znaczące obserwujemy w obszarze sportu, muzyki, filmu itd. Odpowiada to naturze człowieka powołanego do wieczności, do nieprzemijalności.

Tradycyjnie Kościół dzieli relikwie na znaczne i nieznaczne. Do pierwszych, czyli znacznych, zalicza ciało błogosławionych czy świętych lub też większe ich części albo całą zawartość prochów pochodzących z ich kremacji. Za relikwie nieznaczne uważa się małe fragmenty ciała błogosławionych czy świętych, a także przedmioty, które były w kontakcie bezpośrednim z nimi. Mówi się również o doczesnych szczątkach, którymi są ciała sług Bożych czy czcigodnych, których procesy beatyfikacyjne i kanonizacyjne są jeszcze w toku. Kościół uczy, że przed wyniesieniem ich do chwały ołtarzy poprzez beatyfikację czy kanonizację ich doczesne szczątki nie mogą doznawać żadnego kultu publicznego ani cieszyć się przywilejami zarezerwowanymi jedynie dla ciała tych, którzy zostali już beatyfikowani lub kanonizowani.

A co z praktyką: duszpasterze biorą do ręki relikwiarze i błogosławią jak Najświętszym Sakramentem?

Nie błogosławimy w imię świętych. Jak ręka kapłana przekazuje błogosławieństwo, którego dawcą jest Bóg, tak święty jest niejako ręką Boga i jakby Jego głosem. Tak przynajmniej starał się on żyć w swoim życiu, głosząc Boże słowo i czyniąc dobro na wzór i siłą

Bożej łaski. Gdy błogosławimy relikwiami w imię Boga Najwyższego, to nie relikwie świętego udzielają błogosławieństwa, ale udziela go Bóg, który uświęcił życie człowieka, wynosząc go do chwały świętości. Kościół uczy, że błogosławiony czy święty nie tylko jest świadkiem skuteczności Bożego błogosławieństwa, ale również jego narzędziem.

W chwili, kiedy wypowiadam te słowa, używam aparatu mowy, ale przecież moje słowa nie są dziełem wyłącznie języka, strun głosowych, lecz wypływają z mojego serca i głowy. Aparat głosowy jest jedynie skromnym, bardzo często nieporadnym, narzędziem w „rękach" serca i głowy.

Wiara musi się komunikować poprzez różnego rodzaju „narzędzia". Jest pośredniczona. Nawet słowo Boże posłużyło się piórem i geniuszem ewangelistów, którzy je spisali i przekazali potomnym. Zrobili to w taki sposób, w jaki umieli, możliwie najlepszy, lecz niedoskonały. Stąd wielka praca egzegetów, aby odczytać właściwy, pełny sens biblijnego przekazu. Sam przecież Jezus Chrystus jest Pośrednikiem – „Narzędziem" – naszego spotkania z Bogiem Ojcem. Co to oznacza? Że dopóki jesteśmy w ciele, dopóty komunikujemy się przy pomocy określonych narzędzi, do których należy również nasze ciało.

Podobnie jest z błogosławieństwem, którego udziela kapłan; czyni je nie w swoim imieniu, nie siłą swojej świętości, ale w imieniu Bożym; jego słowa, gesty, ręce itd. są jedynie materialnym narzędziem duchowego błogosławieństwa Boga. Analogię tę można przenieść na życie świętego będącego świadkiem/narzędziem obecności Boga, która przemienia, doskonali, uświęca. Skoro przez całe swoje życie chciał on być tylko dla Boga i dla bliźniego, to teraz, kiedy kapłan błogosławi wiernych jego relikwiami, sens wypowiadanych słów: „Niech was błogosławi Bóg wszechmogący..." staje się jeszcze bardziej przekonywający; zaświadczają one, że faktycznie moc Boga przemienia życie. Wiara wychowuje ducha, relikwie z kolei unaoczniają zmysłom prawdę, że Boże błogosławieństwo jest rzeczywiście skuteczne, że autentycznie sprawia to, o czym mówi.

Specjalizacje świętych

Co Ojciec powie na temat nadawania świętym pewnych specjalizacji? Przecież nawet na kazaniach słyszymy zachęty, by w przypadkach zgubienia czegoś wzywać pomocy Antoniego z Padwy, a w sprawach beznadziejnych udać się do Rity albo do Judy Tadeusza.

Zakrada się tu jakiś rodzaj pogaństwa, gdzie jeden bożek był od wojny, drugi od pokoju, ten od morza, tamten od płodności itd. To właśnie jest poważnym problemem, nie zaś błogosławienie relikwiami czy nabożeństwo przez wstawiennictwo danego świętego przy wystawionym Najświętszym Sakramencie, gdzie święty wskazuje nam na Najświętszego, który jest źródłem jego i naszej świętości, przyczyną jego wielkości. Nie mówię, żeby nie prosić na przykład św. Antoniego o pomoc w znalezieniu czegoś – przedmiotu czy osoby (sam to czynię), ale aby nie redukować go do tego wyłącznie aspektu, aby nie przypominać sobie o nim tylko wtedy, kiedy coś zgubiłem. Trzeba pamiętać, że jest on świętym – ciągle mówię o św. Antonim – który przede wszystkim „znalazł" Boga i drogę swojego życia, który przykładem swojego życia i kazaniami pomagał również innym odnaleźć drogę do Boga, wrócić na drogę pokuty i świętości. Ten aspekt „znajdowania" jest pierwszoplanowy, inne zaś jego odcieniem. Podobnie jest z innymi świętymi i z obszarem ich „specjalizacji": każdy z nich był najpierw wielkim „specjalistą" od miłości Boga, dlatego teraz może pomagać nam, żyjącym, w czynieniu tego samego.

Mamy na półce, na ścianach, nawet w portfelach, w samochodach podobizny świętych, ale nie traktujemy ich jak członków rodziny, przykłady życia oraz miłości Boga i bliźniego. Traktujemy ich raczej jak jakiś pogański talizman, straszak na złe duchy, zabezpieczenie przed nieszczęściem... W samochodzie mamy zawieszony różaniec, ale nie do odmawiania, ale do odstraszania zła. Spoganienie to naprawdę wielki problem.

Wydaje się, że w rzeczywistości parafialnej nie rozwijamy do końca wszystkich tych możliwości, jakie daje nam Kościół w beatyfikowanych i kanonizowanych...

... chyba nie tylko w rzeczywistości parafialnej... W ogóle mamy problem ze świętością. Często wydaje się nam ona zbyt odległa i nierealna, jakaś nieludzka, nieosiągalna dla przeciętnego Kowalskiego, albo nam powszednieje i stajemy się wobec niej obojętni. Słyszymy o niej wiele, ale nadal nie rozumiemy jej istoty. Inna sprawa, że nasz język odnoszący się do świętości jest słaby, kulawy. Brakuje w nim solidnej teologii. Nie umiemy mówić o świętych, bo mamy język dewocyjny, którym nie prowadzimy ku żadnej zdrowej refleksji. Nie chodzi o to, by o świętych mówić i pisać na kolanach, tylko żeby mówić i pisać mądrze. Świętych dzielimy na taumaturgów i pedagogów. Szanujemy bardziej pierwszych niż drugich. Bliska jest nam ich cudowność, której bardzo potrzebujemy i w pogoni za którą jesteśmy gotowi poświęcić wiele. Drugich – pedagogów – szanujemy mniej. Nie brakuje takich, którzy dobrze zarabiają przy promocji świętych cudotwórców, rozdają święte olejki, cudowne wody, płatki kwiatów, które mają uzdrawiać, podnosić na duchu, leczyć... Zapominają, że Pan Bóg daje nam świętych przede wszystkim w roli przewodników. Jestem skłonny widzieć w świętych figury dawnych sędziów z pierwszych wieków historii Izraela, którzy byli przewodnikami ludu. Oczywiście, jak była potrzeba, potrafili również z pomocą Najwyższego dokonać jakiegoś wielkiego cudu, lecz nade wszystko byli dani ludowi po to, aby ten lud uczyć Bożych przykazań i wytrwania w nich.

Zatem nie radzimy sobie z tym, że mamy świętych, i nie korzystamy z tego, że ich mamy?

Uważam, że jest to poważny problem, i to na poziomie teologicznym. Z całym szacunkiem dla moich kolegów i koleżanek, wykładowców akademickich na różnych wydziałach teologicznych, myślę,

że są bardzo nieporadni, jeśli chodzi o refleksję nad świętością. Albo nie traktują tematu poważnie, albo zapędzają świętość w kozi róg. Ograniczają ją do ascetyki i teologii duchowości. A świętość to jest ortodoksyjne, czyli poprawne, głębokie i wierne życie dogmatem wiary.

W świętości nie chodzi o zwykłą tylko pobożność czy o pewien rodzaj dewocji. To właśnie dlatego dogmatyka powinna się bardziej zająć tematem świętości. Odnoszę wrażenie, że nadal jeszcze brakuje nam – przynajmniej teologii polskiej – poważnej teologii świętości. Często stosujemy w naszych tekstach rodzaj cytatologii, umieszczając w przypisach odnośniki do pism świętych i do książek o nich. Nie wchodzimy jednak w istotę zagadnienia, nie pogłębiamy – od strony teologicznej – przekazu świętych.

Dużo dla pewnego oswojenia tematu świętości zrobił Jan Paweł II, który wyniósł wielu na ołtarze.

Tak, rzeczywiście, św. Jan Paweł II zrobił bardzo wiele w tej kwestii. Podjął i urzeczywistnił myśl dokumentów soborowych dotyczących powszechnego powołania do świętości, i pokazał, że rzeczywiście świętość jest powszechna. Poprzez liczne beatyfikacje i kanonizacje (kanonizował czterystu osiemdziesięciu dwóch i beatyfikował tysiąc trzystu czterdziestu trzech świeckich i duchownych) Papież chciał zademonstrować, że świętość jest niejako w zasięgu wszystkich wierzących, z każdego stanu, kraju i języka, z każdego systemu politycznego i ekonomicznego.

Chciałbym jeszcze dodać, że doskonałość życia nie jest wyłącznie powołaniem wierzących chrześcijan. W odniesieniu do nich mówimy o świętości kanonizowanej, ale doskonałość etyczna jest obowiązkiem każdego człowieka, wszyscy bowiem są dziećmi jednego i tego samego Boga, który obdarzył wszystkich tym samym darem swojego „obrazu" i powołał do bycia Jego „podobieństwem". Piszę o tym w swojej nowej książce noszącej tytuł *Życie jako dojrzewanie*

świętości[44]. Mówię w niej nie o dojrzewaniu do świętości, ale o dojrzewaniu świętości. Moim zdaniem jest to ważna różnica, bo wskazuje, że zadaniem życia jest optymalny rozwój tych darów, które nosimy od samego początku, od chwili wejścia w życie. Pisał o tym również św. Paweł w Liście do Koryntian, zaznaczając, że gdy był dzieckiem, mówił, czuł, myślał jak dziecko, lecz kiedy stał się dorosły, wyzbył się tego, co dziecięce (1 Kor 13, 11). Świętość to nic innego jak doskonałość przeżywana w Bogu, rozwój w pełni Bożych darów. Powołany jest do tego każdy człowiek, również nieochrzczony. Chrzest, który otwiera na działanie Boga, ułatwia bez wątpienia to zadanie, ale bynajmniej nie zwalnia z niego tych, którzy nie są ochrzczeni. Oni również powołani są do rozwoju pełni swojego człowieczeństwa. Jak bowiem ziarno na siew zawiera w sobie wszystko to, co konieczne, aby wydać pełnowartościową roślinę, kiedy przyjdzie na to czas, tak samo w każdym człowieku ukryte są zarodki świętości/doskonałości; otrzymał je on w momencie poczęcia, aby rozwijać przez całe życie, wydając plon w chwili śmierci.

Człowiek nie zdobywa świętości w taki sam sposób, jak sportowiec zdobywa medal, on raczej poleruje coraz bardziej medal, który otrzymał wcześniej, na samym początku, jeszcze przed rozpoczęciem biegu, czyli w chwili poczęcia. Dojrzewanie świętości/doskonałości porównać można też do procesu dojrzewania wina. Otóż wino, które przeszło proces dojrzewania, jest w istocie tym samym winem, co było u początku procesu, ale zarazem jakże innym.

Wskazówki dla duszpasterzy?

Medytować nad życiem świętych i czytać ich wypowiedzi lub opracowania na ich temat. Trzeba koniecznie poznawać świętych, zapalać się ogniem ich gorliwości, ewangelicznej kreatywności, odwagi i roztropności... Następnie mówić o nich innym, stawiać ich za

[44] Z.J. Kijas, *Życie jako dojrzewanie świętości. Maksymilian Maria Kolbe,* Kraków 2019.

przykład życia dla tych, którzy są w drodze, którzy znoszą prześladowania za wiarę lub niechęć do jej wymagań. Jeśli tego nie uczynimy, jeśli nie wykorzystamy mądrze daru, jakim są święci, będzie się mnożyć ich liczba, ale nie będzie się zmieniać nasze życie, nie będą oni mieć większego wpływu na jakość naszej codzienności. Gdyby do tego miało dojść, byłaby to wielka szkoda...

Marzyciel jedności Kościoła Św. Jozafat Kuncewicz

Pogranicze tworzy szczególny stop. Dzisiaj – sądzi wielu – nie mamy zrozumienia dla wagi pogranicza i „nawet nie zastanawiamy się, czemu przez wieki tylu ciekawych i wspaniałych ludzi obdarowanych najróżniejszymi talentami wykwitło właśnie na ziemiach pogranicza. W metalurgii pierwiastki zawsze zyskują na wymieszaniu: toć brąz jest szlachetniejszy od miedzi i cyny, które się wrzuca do tygla"[45]. Tymczasem tereny pogranicza rodzą ludzi szczególnych, dużo bogatszych od ludzi społeczności jednorodnych, bardziej twórczych, odważnych, z większą nieraz wyobraźnią i to zarówno w wymiarze kulturowym, jak i duchowym czy kościelnym.

Pogranicze rodzi świętych „granic" Kościołów. Ludzi żyjących w wyraźnie zdefiniowanych ramach, według jasnych podziałów na to, co swoje, i na to, co obce. Przekonani, że prawda jest po „jednej" stronie, podejmują starania, aby przeciągnąć do siebie „drugą" stronę. Święci „granic" Kościoła znają bardzo dobrze „prawa Boga" i „prawa Kościoła". Głęboko przekonani o słuszności swoich przekonań, gotowi są oddać życie w ich obronie. Święci „pogranicza" wpisani są w gęstą siatkę historycznych, kulturowych i duchowych powiązań, zależności i trudności.

Obok „trudności", w które niewątpiwie obfitują tereny i sytuacje graniczne, święci pogranicza są również pozytywnym wyzwaniem

[45] T. Żychiewicz, *Jozafat Kuncewicz,* Kalwaria Zebrzydowska 1986, s. 6.

dla Kościołów i świata przyszłości, są obrońcami prawdy i wartości. Apel, który kierują do współczesności – jak wspomniałem – nierzadko jest trudno słyszalny i bardzo niewygodny do przyjęcia, ponieważ wyrywa on odbiorcę współczesnego z pozornego spokoju i egzystencjalnej wygody. Nie pozwala mu trwać w jakimś duchowym czy kulturowym zadufaniu, w poczuciu bycia lepszym, w lepszej sytuacji duchowej czy ekonomicznej. Święci „pogranicza", chociaż żyją już w ojczyźnie niebieskiej, nie przestają niepokoić współczesnych, jak czynili to w swoim czasie. Ich głos jest nadal mocny i aktualny. Dzieje się tak, bo bardzo umiłowali prawdę Bożą, od której zależą losy świata.

Święty pogranicza i bliźni

Jozafat, beatyfikowany przez papieża Urbana VIII 16 maja 1643 i kanonizowany 29 czerwca 1867 przez Piusa IX, jest typowym świętym pogranicza, którego św. Jan Paweł II nazwał wręcz „apostołem pojednania"[46]. Zamieszkiwał pogranicze Rzeczypospolitej. Urodził się we Włodzimierzu Wołyńskim nad Bugiem, w jednym z najstarszych miast położonych na pograniczu różnych kultur i narodów. Było to pogranicze geograficzne, kulturowe i religijne, które odegrało w jego życiu rolę szczególną. Stworzyło świętego „pogranicza", z całym jego bogactwem i trudnościami. Uformowało jego psychikę, wyznaczając równocześnie specyficzną drogę życia. Jozafat żył głębokim przekonaniem, że zbawić się można wyłącznie w Kościele katolickim obrządku wschodniego i nie lękał się oddać życia w obronie tej prawdy. Mówią o tym *troparіony*, hymny na jego cześć, które ukazują go jako dobrego pasterza, uśmierconego ręką tych, którzy bardziej od zgody umiłowali zwadę. Sam Święty, który cieszy się już rajską szczęśliwością, proszony jest o wstawiennictwo za wszystkimi i zgodę między ludźmi.

[46] M. Bołtryk, *Jozafat Kuncewicz*, „Przegląd Prawosławny" 2012, nr 4 (322).

Świecznikiem świetlistym okazałeś się,
święty męczenniku Jozafacie i jako pasterz dobry duszę swą oddałeś za owce,
przez miłujących zwadę wrogów zabity zostałeś
i wszedłeś do świętego świętych,
osiedlając się wśród bezcielesnych.
Przeto prosimy Cię, cierpiętniku, błagaj Chrystusa – Naczelnika Pasterzy,
by dał nam miejsce po swej prawicy i dusze nasze zbawił[47].

Jozafat był przede wszystkim „bliskim" Boga i człowieka. Nie był „bliskim" dla samego siebie, co byłoby postawą egoistyczną i w istocie grzeszną, lecz w pierwszym rzędzie bliźnim człowieka poszukującego prawdy i zbawienia. Na jego postać, ale tym samym na postać każdego innego świętego „pogranicza", a których jest wielu w historii, spojrzeć należy przez kategorię „bliźniego", o którym czytamy w przypowieści Chrystusa o miłosiernym Samarytaninie (por. Łk 10, 30–37). Według nauki Jezusa każdy spotkany człowiek jest najpierw bliźnim, później zaś członkiem określonej wspólnoty kościelnej, narodowej czy kulturowej. Nakaz ten obowiązuje również każdego, kto przyznaje się do bycia po stronie Chrystusa, kto zamierza kierować się w życiu Jego przykazaniami; ktoś taki słyszy więc słowa Boga: „Idź, i ty czyń podobnie", który skierował je najpierw do uczonego w Prawie, teraz zaś zwraca się do każdego swojego naśladowcy.

Kategoria „bliźniego" jest pierwszą zasadą oceny życia i dzieła Jozafata. Jest ona zasadą biblijną, która apeluje do wiary. Jozafat jest „bliźnim", zarówno dla katolików, jak i prawosławnych. Kategoria „świadka" jest z kolei drugą zasadą. Nazwałbym ją zasadą historyczną, bowiem wyrasta z kontekstu kulturowego przełomu XVI/XVII wieku, w jakim żył nasz Święty, którego ocenimy oczami współczesności, zdecydowanie odmiennymi od wcześniejszych, bowiem „oczami" poszukującymi jedności i zgody w świecie, który raptem stał się mały i zagęszczony.

Poważne uwzględnienie kontekstu wiary i historii pozwala dostrzec w życiu Jozafata pewne wartości, które czynią go świętym

[47] Cyt. za: A. Naumow, *Wiara i historia. Z dziejów literatury cerkiewnosłowiańskiej na ziemiach polsko-litewskich*, Kraków 1996, s. 98, przypis 5.

aktualnym, a nawet godnym polecania dla tych, którym leży na sercu przyszłość świata. Dlaczego? Jest to bowiem Święty, który nade wszystko umiłował prawdę i w obronie której był gotów oddać życie. Była to prawda o intymnej zależności człowieka od Boga i posłuszeństwie Jego nakazom, która jest zarazem zasadą życia i przyszłości świata.

Historia uczy, że Jozafat wierzył szczerze i mocno w Boga kierującego losami świata. Dla Niego poświęcił wszystko, zrezygnował z dóbr ziemskich i obrał życie zakonne, z miłości do Boga praktykował różne formy umartwienia, a w końcu oddał życie. Na poważnie żył swoim kapłaństwem w Kościele unickim. Jednym słowem – szukał woli Bożej w swoim życiu, a poznawszy ją, gorliwie wypełniał. W szukaniu woli Bożej nie lekceważył ludzi, spotkań z nimi i tego, kim byli i czego uczyli. Przyjaźń z Welaminem Rutskim miała ważny wpływ na życie Jozafata, na jego przejście na unię, lecz przyjaźń z Bogiem była najważniejsza, wierzył mocno, że chciał tego od niego Bóg, który w swojej opatrzności wszystko przewidział.

Trudny święty

O Jozafacie Kuncewiczu, biskupie i męczenniku, napisano wiele. Pisali o nim zarówno katolicy[48], jak i prawosławni[49]. Nie będę więc

[48] Z najnowszych biografii poświęconych postaci św. Jozafata Kuncewicza wspomnieć należy m.in.: F. Koneczny, *Święci w dziejach narodu polskiego,* Warszawa 1988, ss. 295–341; T. Żychiewicz, *Jozafat Kuncewicz...,* dz. cyt.; M. Ołdakowska-Kuflowa, *„Jozafat Kuncewicz" Tadeusza Żychiewicza jako żywot. Współczesna realizacja gatunku,* w: *Unia brzeska. Geneza, dzieje i konsekwencje w kulturze narodów słowiańskich,* red. R. Łużny, F. Ziejka, A. Kupiński, Kraków 1994, ss. 309–325. Zob. także o. проф. доктор M. Марусин, *Пастирсько-літургічна діяльність святого Йосафата*, "Богословія. Bohoslovia" t. XXXI (1967), ss. 5–99.

[49] Por. m.in. M. Bendza, *Tendencje unijne względem Cerkwi prawosławnej w Rzeczypospolitej w latach 1674–1686,* Warszawa 1987; M. Hajduk, *Unia Brzeska 1596,* Białystok 1995; A. Mironowicz, *Prawosławie i unia za panowania Jana Kazimierza,* Białystok 1997.

powtarzał rzeczy szeroko już znanych. Będę szukał odpowiedzi na pytanie, czy św. Jozafat jest „przyszłością (nadzieją, jutrzenką)" czy „przeszkodą" w jedności między Kościołami, przez wieki zwaśnionymi? Ale czy w ogóle pytanie takie jest zasadne? Czy ten, który pozornie (w oczach świata) dzielił, czy teraz może łączyć? Czy ten, który poniósł męczeńską śmierć, może teraz być orędownikiem jedności? Sądzę, że tak, że może być orędownikiem przyszłej jedności chrześcijańskiej, nadzieją na świat pojednany. Taka bowiem jest natura świętych; chociaż bowiem w ziemskim życiu należeli do takiego czy innego Kościoła chrześcijańskiego, do takiej czy innej kultury, teraz, jako święci, przynależą już do Boga, Ojca wszystkich ludzi. Jeżeli w ziemskim życiu orędowali za wiernymi „swojej" wspólnoty eklezjalnej czy kulturowej, teraz – jak uczy wiara – orędują za wszystkimi.

Żyjemy w naglącej potrzebie podejmowania tego rodzaju refleksji nad „trudnymi" świętymi przeszłości. Wymaga tego prawda wiary, która uczy, że święci – także ci na pozór „trudni" – byli zawsze świadkami miłości Chrystusa, który dla wszystkich ludzi jest miłosiernym Ojcem. Święci, ponadto, nie spadają przysłowiowo z nieba, lecz rzeźbi ich czas, historia, ludzie, wśród których żyją, ich problemy i trudności, ich słabości, a nawet grzech, któremu chcieli postawić tamę. Czas polemiki rodził więc świętych polemicznych, ludzi „pogranicza" idei, religijnych sporów, konfliktów; czas prześladowań rodził świętych męczenników, czas epidemii i biedy rodził świętych o sercu wrażliwym na potrzeby bliźnich, ofiarnych w niesieniu pomocy, heroicznych w cnocie, czas dialogu zaś dawał życie świętym pełnym troski o zgodę i jedność. Niezależnie od miejsca i czasu święci wyrastali w Kościele, w nim bowiem znajdowali źródła/narzędzia uświęcenia. Nie wymyślił ich Kościół, ale otrzymanych od Boga pilnie strzegł i udzielał swoim wiernym, aby pełni mocy z nieba zmieniali siebie i ziemię na mieszkanie Boga. Sądzę, że jest nieodzowny ten rodzaj „odgórnego" spojrzenia na świętych, osąd ich życia ziemskiego i wiecznego z perspektywy wieczności Boga, który jedyny jest gwarantem pomyślnej ziemskiej przyszłości.

Uwikłany w historię

Jozafat urodził się we Włodzimierzu Wołyńskim ok. 1580 roku w rodzinie mieszczańskiej. Jego ojciec, Gabriel Kunczyc, był ławnikiem miejskim, matka Maryna zajmowała się wychowywaniem dwóch synów. Pochodził z rodziny prawosławnej, głęboko religijnej. Na chrzcie świętym otrzymał imię Jan, a Jozafat był jego imieniem zakonnym. Zmiana nazwiska Kunczyc na Kuncewicz nastąpiła później, w czasie kiedy Jozafat zaczął piastować urzędy, które pełnić mogła wyłącznie szlachta. Kuncewicz bardzo kochał swój Kościół i prawosławną wiarę. Wyznał kiedyś, że „w ciągu 20 lat nie opuścił ani jednego nabożeństwa”[50]. Pierwsze nauki pobierał przy szkole katedralnej we Włodzimierzu. Tam właśnie nauczył się czytania i pisania w języku ruskim i polskim.

Kiedy podrósł, rodzice, z myślą o jego przyszłości, przeznaczyli go do stanu kupieckiego. W tym celu udał się do znajomego rodzinie kupca w Wilnie, Jacentego Popowicza. Właśnie w Wilnie zetknął się po raz pierwszy z unią. Można przypuszczać, że należała do niej też rodzina Popowiczów. W Wilnie Jozafat zaprzyjaźnił się też z młodszym od siebie Genadiem Chmielnickim, wówczas studentem Seminarium Papieskiego w Wilnie. Zostało ono założone w roku 1585 przez papieskiego legata Antonia Possevino (1533–1611) dla kształcenia kleru łacińsko-rzymskiego. Obok przyjaźni z Genadiem większa jeszcze była przyjaźń z Janem Welaminem Rutskim, absolwentem Rzymskiego Kolegium Ruskiego i członkiem unii[51]. Działo się to w roku 1603. Rok później Jozafat poprosił o przyjęcie do bazylianów unickich. Został przyjęty i tego samego roku złożył pierwsze śluby zakonne. Miał wówczas 24 lata. Aktu przyjęcia Jozafata do zakonu dokonał sam metropolita unicki Hipacy Pociej (1541–1613), który udzielił mu jednocześnie święceń subdiakonatu i diakonatu.

---

[50] W. Zaleski, *Święci na każdy dzień*, Warszawa 1997, s. 712.

[51] Zob. M. Szegda, *Metropolita Józef Welamin Rutski (1613–1637)*, w: *Unia Brzeska. Przeszłość i teraźniejszość 1596–1996. Materiały międzynarodowego sympozjum. Kraków, 19–20 listopada 1996*, Kraków 1998, ss. 291–319.

Święcenia kapłańskie poprzedziły studia uniwersyteckie w Akademii Wileńskiej, którą założył w roku 1578 król Stefan Batory. Kuncewicz słuchał wykładów z filozofii, teologii, języka starosłowiańskiego i liturgii. W 1609 roku przyjął święcenia kapłańskie, krótko zaś po nich jego przyjciel Jan Welamin Rutski (1574–1637), pełniący obowiązki przełożonego bazylianów, mianował go magistrem nowicjatu. Jozafat sprawdził się bardzo dobrze jako magister, w ciągu kilku lat bowiem liczba nowicjuszy wzrosła do sześćdziesięciu. W międzyczasie zmarł metropolita Hipacy Pociej (1613) i Jan Welamin Rutski został jego następcą, którego młody Kuncewicz z kolei zastąpił jako przełożony bazylianów. Dla podwładnych stał się przykładem zakonnej gorliwości i dobroci. „Musiał Jozafat starać się o wszystko, tak że sam był archimandrytą i wikariuszem, spowiednikiem, kaznodzieją oraz prokuratorem. Sam budził braci, dzwonił w cerkwi na jutrznię, zbierał jałmużnę, by utrzymać sześćdziesięciu zakonników, a nadto by rozdawać posiłek biednym – dawał o nim świadectwo Genadi Chmielnicki. Sypiał mało, jadł niewiele, ubierał się nędznie, kochał się w dyscyplinie i we włosiennicy, we wszystkim w sposób najdoskonalszy oraz konsekwentny przestrzegał ćwiczeń zakonnych”[52].

Kiedy w klasztorze wileńskim zaczęło brakować miejsca dla nowych zakonników, Jozafat przeniósł się wraz z nowicjuszami do Bytenii. Był rok 1617[53]. Nie pobył jednak długo w nowym miejscu, ponieważ w tym samym roku otrzymał z Warszawy nominację na arcybiskupa Połocka. Miał wówczas zaledwie trzydzieści siedem lat.

Gorliwy duszpasterz

Historia nie daje jednoznacznej oceny życia Jozafata. Historycy prawosławni różnią się w ocenie od historyków katolickich czy

[52] W. Zaleski, *Święci...*, dz. cyt., s. 713.

[53] G.A. Маслыка, *КУНЦЭВІЧ Іасафат,* w: *Мысліцелі і Асветнікі Беларусі X – XIX стагоддзі,* Мінск 1995, ss. 242–244.

grekokatolickich. Z powodu braku obiektywnych dokumentów historycznych trudno opisać w sposób jednoznaczny życie i śmierć Jozafata. Biografowie nazywają go „dziwnym arcybiskupem”[54], między innymi dlatego, że nosił stale habit zakonny, nigdy nie jadał mięsa, a mieszkanie dzielił z pewnym bezdomnym. Odznaczał się wielką gorliwością w swojej pracy duszpasterskiej, niczym starotestamentowy prorok Eliasz, który karcił króla Achaba i występował przeciw fałszywym prorokom skazanym potem na śmierć (por. 1 Krl 18, 20–40). Zbliżoną gorliwością płonął również Jozafat. Bez względu na osobę, godność czy piastowane urzędy upominał, karcił i zachęcał do gorliwości w wierze i obyczajach. Bał się wyłącznie Boga, przed którym pokornie chylił czoło. Nawet śmierci się nie bał. Najbardziej jednak pociągał do gorliwości swoim przykładem, następnie słowem, zachętą, upomnieniem czy także karą. Tak, do kar odwoływał się także i chociaż nie były popularne, podobnie jak dzisiaj, Jozafat stosował je często. Były to kary surowe jak surowe było życie ówczesnych ludzi.

Najwięcej starań i pracy włożył w odnowę duchową kleru. Zabiegał o wykształcenie[55], karność, gorliwość w modlitwie i odmawianie brewiarza. „Zaprowadził ład w cerkwiach połockich i codzienną Służbę Bożą, której dotąd nie bywało – pisał Żychiewicz. – Rozpoczął wizytacje parafialne, a po wsiach wielu było takich, którzy pierwszy raz w życiu widzieli biskupa i słyszeli kazanie. Pijańców i gorszycieli usuwał. Bywali i tu księża dwużeńcy albo nawet trójżeńcy: tacy, wbrew ustawom cerkiewnym, owdowiawszy, drugą labo trzecią żonę brali, bo biskup im pozwolił, także wbrew kanonom. Postąpił po ludzku: zostawił ich na miejscu, obarczonych licznymi rodzinami i ledwie dyszących z biedy, lecz sprawowania funkcji duchownych i Służby Bożej zabronił i dawał wikariuszy. W klasztorach

[54] W. Zaleski, *Święci...*, dz. cyt., s. 714.

[55] Jak pisze H. Dylągowa: Jozafat „żądał od duchownych znajomości podstawowego katechizmu, który dla swej diecezji sam opracował. Katechizm mieścił się na kilkunastu zaledwie stronach druku”, por. H. Dylągowa, *Dzieje Unii Brzeskiej (1596–1918)*, Warszawa–Olsztyn 1996, s. 38.

regułę bazyliańską przywracał i tępił rozprzężenie”[56]. Łatwo przyjąć, że wysokie wymagania nie przysparzały mu przyjaciół wśród duchownych. Nikt, oczywiście, nie odważył się krytykować go publicznie, ale za jego plecami padać musiały słowa dezaprobaty, narzekania, gorzkich utyskiwań.

Surowość w prowadzaniu reform Jozafat chciał nadrobić dobrocią, czy też przystępnością. Świadkowie mówią więc, że był biskupem pokornym jak na ówczesne obyczaje i żyjącym skromnie. Skromnością życia gorszył wręcz szlachtę, którą usprawiedliwiał swoim powołaniem zakonnym. Nie rezygnował z siły, przymusu, z kary, aby „zbłąkane” owieczki (a rozumiał przez nie rónież wiernych prawosławnych) wprowadzić na łono Kościoła unickiego. Należy przyjąć, że jego przekonania były szczere. Już w czasie wileńskich studiów[57] doszedł do przekonania, że wierni prawosławni są „zbłąkanymi” owieczkami, które należy – dobrocią lub siłą – wprowadzić do zagrody Kościoła unickiego.

Bardzo troszczył się o wiernych świeckich. Z jednej strony zabiegał o pogłębienie ich wiary i życie zgodne z przykazaniami, z drugiej zaś „występował przeciwko nadużyciom świeckich w Cerkwi, a było tych nadużyć bardzo wiele. Ziemie i dochody były rozgrabione. Kuncewicz sam szukał po archiwach dokumentów i wytaczał procesy. W Połocku, w Mohylewie, w Mścisławiu, w Witebsku połowę zagrabionych majątków zdołał wyprocesować dla Cerkwi”[58]. To również nie było mile widziane przez kapłanów i wiernych. Szemrano więc przeciwko zbytniej gorliwości nowego arcybiskupa. Świeccy i duchowni przyzwyczaili się do stylu poprzedniego życia i nie w smak były im obostrzenia materialne i moralne wprowadzone przez Jozafata.

Jozafat zdawał się nie dostrzegać niebezpieczeństw, był głuchy na krytykę, jaką wzbudzały jego rządy. Jedynym głosem, jaki słyszał,

[56] T. Żychiewicz, *Jozafat...*, dz. cyt., s. 74. 1

[57] Por. M. Hajduk, *Unia Brzeska 1596...*, dz. cyt., s. 61.

[58] M. Hajduk, *Unia Brzeska 1596...*, dz. cyt., s. 74.

był głos od Boga, który – jak sądził – nawoływał go do jeszcze bardziej gorliwej służby. Niestrudzenie radził, upominał, zachęcał, karcił, wykładał i uczył. „Spisał swoje rady i wskazówki, spisał kanoniczne prawo cerkiewne, katechizm ułożył, wydrukował to wszystko i kazał rozdawać”[59]. Interesował się sprawami parafialnymi, małżeńskimi, rozwodowymi. Księżom zakazał stawać przed sądami świeckimi i przypominał im o ich obowiązkach względem Boga. Dobrocią czy sądem odzyskiwał cerkwie, remontował je i uposażał, fundował szkoły i znajdował pieniądze dla dzieci z biednych rodzin. Metropolita Rutski tak opisywał jego rządy:

> To było u niego nadzwyczajne i godne podziwu: kiedy kto sposobny jest do jednego, to zwyczajnie nie jest sposobny do innych rzeczy, bo nie wszyscy wszystko możemy. [...] A ten podziwu godny Mąż Boży sposobny był do wszystkiego. Jeśli wyglądało, że z usposobienia do czegoś jest niesposobny, łaską Bożą stawał się sposobny. Był człowiekiem myśli i modlitwy, miłośnikiem ksiąg, celi klasztornej i samotności, lecz nikt jak on nie umiał rozmawiać z ludźmi, jakby do tego właśnie się urodził i do tego był od Boga przeznaczony. Wszyscy przychodzili do niego i nikt nie odszedł bez pociechy. Katolicy i prawosławni, heretycy i wszyscy inni szanowali u niego tę iskrę Bożą. Mówca na kazalnicy, śpiewak w chórze, wszystko czynił z upodobaniem i miłością, czy to kazał, czy czytał, czy śpiewał. Doprawdy, nie spotkałem innego człowieka, w którym to wszystko byłoby razem zebrane[60].

Białoruski badacz Leonid Łycz uważa jednak, że nadmierna gorliwość duszpasterska była powodem śmierci Jozafata. Pisze: „To też właśnie ta przepastna różnica kulturowa, uniemożliwiająca porozumienie się zbyt gorliwego reformatora ze skostniałymi w swoim tradycjonizmie i wrogimi wszelkim nowościom duchownymi z Połocka legła u podłoża morderstwa unickiego arcybiskupa Jozafata Kuncewicza”[61].

---

[59] M. Hajduk, *Unia Brzeska 1596...*, dz. cyt., s. 75.

[60] Cyt. za: T. Żychiewicz, *Jozafat...*, dz. cyt., s. 79.

[61] Zob. W. Witkowski, *Unia Brzeska i cerkiew unicka w oczach współczesnego Białorusina,* „Krakowskie Zeszyty Ukrainoznawcze”, t. V–VI, Kraków 1997, s. 192.

Z wielką gorliwością szerzył Jozafat unię. Zarzucano mu więc, że cerkwie na kościoły łacińskie zamienia, że wprowadza wzory jezuickie, a zapomina o dawnych ruskich. Prawosławny autor Mikołaj Hajduk mówi wręcz o brutalności Jozafata w przyciąganiu wiernych prawosławnych do Kościoła unickiego. Pisze, że: „Kuncewicz z niebywałą brutalnością rzucał się na prawosławnych mieszkających na tych ziemiach: urządzał pogromy, opieczętowywał cerkwie i wręcz przemocą zapędzał prawosławnych do unii”[62]. Że gwałty czyni, cerkwie prawosławnym odbiera, siłą na unię przeprowadza i obraża, że nie przywiązuje wagi do aktualnych warunków politycznych i potrzeb państwa, że jest nadto nieustępliwy, że jest maksymalistą i że w ogóle brak mu rozsądku – zarzucał Jozafatowi również magnat litewski, od 1588 roku kanclerz litewski, Lew Sapieha (1557–1633). W liście z 12 marca 1622 roku ostrzegał władykę unickiego pismem następującej treści:

> Ukaż WMść kogoś pozyskał, kogoś ułowił tą swoią surowością, ostrością, pieczętowaniem, zamykaniem Cerkwi? I owszem tych, którzy byli już pod posłuszeństwem Wści w Połocku, odraziłeś od siebie, z owieczek poczyniłeś kozły, a na Rzplitą, prowadzisz niebezpieczeństwo, boday nie zgubę nam Katolikom, miasto pociechy żal, kłopoty, trudności. Iuż się tu nam ta Wasza Unia miła dała znać y naprzykrzyła, żebyśmy woleli bydź bez niey, bo ustawicznie kłopoty, frasunki, trudności ponosim ze strony tey miłey Unii. Piękna zaiste Unia, co ustawicznie warchoły w ludziach i Rzplitej czyni[63].

Czy były to słuszne zarzuty? Śledztwo przeprowadzone po męczeńskiej śmierci Jozafata ich nie potwierdziło. A może te ostre słowa krytyki podyktowane były bardziej względami politycznymi kanclerza, któremu śniła się wielka unia Polski z państwem rosyjskim, czemu zdawała się przeszkadzać unia i gorliwy arcybiskup[64]? A może

---

[62] M. Hajduk, *Unia Brzeska 1596...*, dz. cyt., s. 61.

[63] T. Żychiewicz, *Jozafat...*, dz. cyt., s. 186; A. Mironowicz, *Prawosławie i unia...*, dz. cyt., s. 37, przypis 79.

[64] W tym celu Lew Sapieha udał się w roku 1600 do Moskwy. „Za radą Zamoyskiego, a także magnatów litewskich i ruskich, miał on zaproponować zawarcie unii między

wysuwał je w oparciu o skargi strony prawosławnej, która – nie powinno dziwić – zwalczała wszelkie inicjatywy gorliwego arcybiskupa oraz unię słowem drukowanym i czynem? Brak materiałów historycznych, aby rozwiązać tę zagadkę. Pomijając jednak szczegóły, trzeba się zgodzić, że Jozafat musiał stosować pewną surowość w nakłanianiu wiernych prawosławnych na unię i że nie były to tylko słowa zachęty, ale również groźby.

W odpowiedzi na list kanclerza litewskiego Sapiehy Jozafat Kuncewicz stanowczo zaprzeczył, jakoby dopuszczał się zarzucanych mu czynów. 22 kwietnia 1562 roku pisał:

> Bogiem moim świadczę, który na moje serce i sprawy patrzy, żem żadnym nieprzykładem żywota ani jakim postępkiem ostrym nie odrażał od siebie Połocczan i innych parafian moich, najmniejszy się znak surowości mojej nie pokaże, którym by się przykład dał do zajątrznienia animuszów ludzi wichrowatych, Rzeczypospolitej szkodliwych, i owszem władzę moją i powolność moją pasterską z wola Bożą, z wolą JKMości i dobrem Rzeczypospolitej znosić i stosować zawsze usiłowałem i usiłuję. Poświadczy mi wiele person nie tylko katolickich, ale i heretyckich, dobrych obywatelów dyecezji mojej, że tak jest, a nie inaczej... Do Uniey żebym kogo gwałtem przymuszał, to się nigdy nie pokaże[65].

Jozafat nie może, oczywiście, być świadkiem w swojej sprawie. Należy jednak zauważyć, że w podobnych słowach wyrażali się o jego życiu świadkowie procesu beatyfikacyjnego. Jedno wydaje się być pewne, że młody, bardzo gorliwy arcybiskup musiał być bardzo niewygodny dla swoich wiernych i niebezpieczny dla Cerkwi prawosławnej. Nie znał umiaru ani politycznego wyczucia. Płonął gorliwością neofity, jakby pragnął nadrobić zaległości przeszłości, kiedy

---

obu państwami. Na wzór unii lubelskiej objęłaby ona politykę zewnętrzną, skarb wojskowy, flotę i mennicę, wolność handlu oraz wolność osiedlania się", por. J.A. Gierowski, *Historia Polski 1505–1764,* Warszawa 1984, s. 154; por. T. Żychiewicz, *Jozafat...*, dz. cyt., s. 88; także Z. Wójcik, *Historia powszechna XVI–XVII wieku,* Warszawa 1968, s. 293, szczególnie s. 298.

[65] T. Żychiewicz, *Jozafat...*, dz. cyt., s. 95.

był daleko od Boga i od Kościoła. Zarówno więc „swoi", czyli unici, jak i prawosławni szukali sposobu na powstrzymanie jego duszpasterskiego dynamizmu, osłabienia żarliwości, „wyłączenia go z gry".

Jozafat nie był bez winy, lecz był to jakiś rodzaj „Bożej" winy. Nie kierował się logiką ludzką, ale Bożą. Nie dbał o względy ludzkie, ale zabiegał wyłącznie o względy Boga. Nie myślał politycznie, ale ewangelicznie. Nie było dla niego odcieni szarych, ale czarno-białe. Nie stosował strategii zysków i strat, jedyną bowiem strategią jego życia było pragnienie realizacji słów Jezusa Chrystusa, aby wszyscy stanowili jedno (por. J 17, 21). Pozostanie tajemnicą, na ile przekonanie to było owocem osobistych przekonań, a na ile efektem teologicznych studiów. W seminarium wileńskim zetknął się z pewnością z pozycją kard. Hozjusza *Confessio fidei catholicae christiana*, wydaną w 1551 roku. Hozjusz bronił w niej papiestwa, które zakwestionował protestantyzm. Pisał rzymski kardynał, wcześniejszy biskup warmiński:

> Wyznajemy, że najwyższe dobro, a nawet wszelkie dobro chrześcijaństwa spoczywa w papiestwie i stamtąd spływa ku nam. Stąd wyznajemy, że w papiestwie prawdziwe jest Pismo św., prawdziwy jest chrzest, prawdziwy Sakrament Ołtarza, prawdziwa spowiedź dla odpuszczenia grzechów, prawdziwy urząd kaznodziejski. Stwierdzam nadto, że na papiestwie opiera się prawdziwe chrześcijaństwo i papiestwo jest prawdziwym jądrem (*nucleus*) chrześcijaństwa[66].

Dynamika śmierci

Gorliwa praca Jozafata miała swoje konsekwencje, przez jednych była podziwiana, przez innych krytykowana. Gdyby Jozafat pozostał zamknięty w klasztornej celi, jego gorliwość nie wzbudzałaby kontrowersji, ale nie przebywał w zakonnej celi. Przeciwnie, był osobą

[66] Cyt. za: M. Korolko, *Zachęta do lektury*, w: S. Hozjusz, *Księgi o Jasnym a Szczerym Słowie Bożym*, Kraków 1999, s. XIV.

wykształconą i bardzo pobożną. Był ponadto biskupem i to bardzo gorliwym. Był też sprawnym organizatorem i niestrudzonym misjonarzem. Wobec takiej postaci nie można więc było przejść spokojnie. Żychiewicz pisze bez ogródek, że: „To za Unię go zabito. Że cerkiew z Kościołem Katolickim jednał, co dosyć straszna rzecz, i z łacinnikami przyjaźń miał, i do tej przyjaźni ludzi cerkiewnych łowił, a nie wiadomo, jaka by z tego mogła być szkoda dla Cerkwi. Ta jedna przyczyna była. On sam, Kuncewicz, czesny człowiek był, nic nie mają do niego. Tylko, że unita. Zawsze mocno żałowali, że on nie ich"[67]. Wydaje się, że należy się zgodzić z taką opinią, bo właśnie przynależność do unii była bez wątpienia głównym powodem męczeńskiej śmierci Jozafata. Inną ważną przyczyną była – jak wspomniałem – duszpasterska gorliwość Jozafata, jego zapał w przepowiadaniu unii, odważne i głębokie reformy wśród duchowieństwa i wiernych świeckich, nie zawsze widziane dobrym okiem przez wiernych Kościoła unickiego i prawosławnego. Antoni Mironowicz, historyk prawosławny, pisze więc, że Jozafat „padł ofiarą własnej gorliwości przy wprowadzaniu unii"[68]. Uknuto więc spisek. Nie wiadomo dokładnie, kto był jego inicjatorem. Wincenty Zaleski uważa, że inicjatorem całej kampanii przeciwko Jozafatowi był Melecjusz Smotrycki (ok. 1577–1633), którego patriarcha Jerozolimy Teofanes wyświęcił potajemnie na prawosławnego arcybiskupa Połocka. On właśnie miał – zdaniem ks. Zaleskiego – rozsyłać po Białorusi listy pasterskie, informując, że sam jest prawowitym pasterzem, Jozafat zaś tylko intruzem i zdrajcą Cerkwi. Celem pozbawienia władzy pasterskiej Jozafata zorganizował grupę osób, które uknuły spisek na jego życie.

W październiku 1623 roku Jozafat udał się do Witebska, do swojej sufraganii. 12 listopada rano, po Mszy św., do rezydencji przybył mnich prawosławny Eliasz, który zaczął ubliżać metropolicie. Służba domowa pojmała go i zamknęła z zamiarem oddania w ręce władzy cywilnej. Jozafat kazał go wypuścić, lecz było już jednak za

[67] T. Żychiewicz, *Jozafat...*, dz. cyt., s. 96.

[68] A. Mironowicz, *Prawosławie i unia...*, dz. cyt., s. 38.

późno. Prawdopodobnie podpuszczny tłum stał już przed bramą pałacu, krzycząc: „Bij, zabij, papistę, łacinnika!". Umierał, mając zaledwie 43 lata. Przed śmiercią miał podobno powiedzieć: „Dzieci, czemu napadacie na mój dom? Jeśli macie coś przeciwko mnie, to mnie macie!". Nikt jednak nie słyszał, czy też słyszeć nie chciał tych słów[69]. Próby włączenia Smotryckiego w spisek, a nawet uczynienie go jego przywódcą, zaczęły pojawiać się szczególnie po jego przejściu w 1626 roku do Kościoła katolickiego. W prawosławnym arcybiskupie chciano wówczas widzieć tę samą wewnętrzną przemianę, jaka dokonała się w osobie Szawła, który zgodził się na zabicie Szczepana (w tym przypadku Jozafata), a później się nawrócił i stał się Pawłem (por. Dz 8, 1), gorliwym apostołem Jezusa Chrystusa.

Innego zdania, gdy chodzi o okoliczności śmierci Jozafata, jest Tadeusz Żychiewicz. On też uważa, że śmierć Jozafata nie była przypadkowa, lecz przeczy, jakoby Smotrycki miał być inicjatorem zamachu, którego widzi w wileńskim Bractwie św. Ducha. „Sądzono początkowo – pisze – a sam Smotrycki nadzieję tę miał do końca, że Kuncewicza będzie można wyeliminować przez izolację: zamknięty w murach swej połockiej rezydencji, byłby praktycznie ubezwłasnowolniony. A gdyby się to przeciągało, liczono, że wyjedzie, i zostanie mu tylko tytuł na pocieszenie. Kiedy okazało się, że Kuncewicz nie pozwoli się izolować, zaś o wyjeździe tym bardziej nie myśli – w niewiadomym miejscu i czasie zapadł wyrok, którego zresztą Smotryckiemu nie wyjawiono, sądząc, że w takiej sprawie powinien pozostać na boku. Ów wyrok zaś także nie był owocem spontanicznego gniewu, lecz raczej dość chłodnych wyliczeń, kalkulacji i prognoz"[70]. Wersja podana przez Tadeusza Żychiewicza wydaje się być bliższa rzeczywistości. Potwierdza ją również David A. Frick w swojej monografii poświęconej Melecjuszowi Smotryckiemu (1577–1634)[71].

---

[69] W. Zaleski, *Święci...*, dz. cyt., s. 714.

[70] T. Żychiewicz, *Jozafat...*, dz. cyt., s. 98.

[71] D.A. Frick, *Meletij Smotryc'kyj*, Cambridge, Massachusetts 1995, ss. 86–87.

Świętość rodzi nadzieję nowej przyszłości

Świadkowie w procesie beatyfikacyjnym Jozafata zgodnie przyznają, że jego życie było bliskie Bogu i Kościołowi. Podkreślają, że „bardzo nie lubił wszelkiego rozdarcia”[72]. Iwan Chodyka, do końca życia Jozafata zacięty jego przeciwnik, świadek wydarzeń połockich, obecny przy wyłowieniu ciała Jozafata z Dźwiny, zeznawał:

> Uchowaj Boże, abym mógł co mówić przeciwko niemu o srogim jakim postępku Jozafata z nami jako dyzunitami, albo o krzywdach jakich nam wyrządzonych, albo żeby jaką przyczynę miał dać do nienawiści przeciw niemu. I owszem, byłem przy tym na ratuszu podczas buntu połockiego. Wojewoda połocki Sokoliński porwał się do herszta naonczas naszego, dyzunitę Jana Herlikowskiego, burmistrza połockiego, i chciał go kosturem swoim żelaznym uderzyć. Jozafat porwał go za rękę i nie pozwolił nic takiego nieprzyjacielowi swemu uczynić... To uczynił Jozafat, bo miał do wszystkich serce przyjacielskie i ojcowskie, i Bóg pocieszył go, że tegoż Herlikowskiego widział (potem) dobrym unitem, który też i umarł w Unii[73].

Iwan Chodyka przyznaje, że Jozafat przyciągał ludzi do unii przykładem życia i swoją dobrocią, z jego ust płynęły słowa perswazji, nie zaś przymusu, gesty miłości, nie zaś siły czy groźby. Postawa taka jednała mu ludzi, przybliżali się do niego dawniejsi wrogowie i pomnażały się szeregi wiernych Kościoła unickiego. Podobnie zeznawali Herman Hostyłowski i Łukasz Możyłowski:

> Zauważyłem – mówi ten drugi – że Sługa Boży tak długo leżał w łóżku, póki nie uważał, że my już śpimy. Potem za jakąś godzinę kładł się na gołą ławkę albo na ziemię, albo modlił się, a potem biczował z krwi przelaniem, i to przez jakąś godzinę. Czasem zaś z bosymi nogami, w samej tylko włosiennicy, szedł do wrót katedralnego soboru, a my z miłości doń nieraz potajemnie szliśmy za nim, aby zobaczyć, co też będzie robił i też dlatego, aby nie doznał jakiejś krzywdy od niezjednanych, którzy nastawali na jego

[72] T. Żychiewicz, *Jozafat...*, dz. cyt., s. 59.
[73] T. Żychiewicz, *Jozafat...*, dz. cyt., ss. 187–188.

życie. A on, rozglądnąwszy się dookoła, wśród silnych mrozów, zwyczajnie po swojemu się biczował, wzdychając: Panie Boże, daj jedność Kościołowi Świętemu i nawrócenie niezjednanym[74].

Świadkowie zwracają uwagę na szczerość intencji Jozafata, jego głębokie przekonanie o słuszności wyboru swojej drogi życia i prawdziwości swojego Kościoła. Jego przekonanie wolne było od osobistego, przyziemnego interesu, wypływając prosto z serca. Było przekonaniem mocnym, szczerym i bezinteresownym, w obronie którego gotów był oddać życie.

Skraba, baptysta, mieszczanin witebski, był również proszony o danie świadectwa na temat osoby zamordowanego arcybiskupa Jozafata. Zapytany, co o nim sądzi, powiedział:

Znałem siedmiu połockich arcybiskupów, ale równego mu nie widziałem: nie było w ogóle żadnej przyczyny, aby miał śmierć ponieść, chyba to tylko, że nazywał siebie zjednanym, unitą; jeżeli on nawet nie jest w niebie, to nam i tak nie godzi się nawet prochów jego dotknąć[75].

Połocki rajca, Doroteusz Achrymowicz, zeznał pod przysięgą, że:

Żaden człowiek nigdy nie widział ni doznał, aby Jozafat kiedykolwiek zamierzył mścić się, albo też aby się pomścił słowem lub uczynkiem na dyzunitach; więcej nawet: często on mówił im: „Prześladujecie mnie i dla mnie śmierć gotowicie, a ja was całym sercem kocham i chciałbym za was nawet życie oddać". A wszystko bardzo dobrze mi jest znane, bo działo się to w mojej obecności, i to samo słyszałem od wielu innych[76].

Świadkami w procesie beatyfikacyjnym byli: Chaim, Symcha, Abram, Daniło, przedstawiciele żydowskich gmin wyznaniowych w Połocku i Witebsku. Zgodnie zeznali, że:

„Nawet nas, Żydów starał się godzić ze sobą, zapraszając powaśnionych na obiad do siebie. Został zabity, bo mówił o sobie, że on zjednany, i my

[74] T. Żychiewicz, *Jozafat...*, dz. cyt., s. 188.
[75] T. Żychiewicz, *Jozafat...*, dz. cyt., s. 190.
[76] T. Żychiewicz, *Jozafat...*, dz. cyt., s. 190.

> opłakiwaliśmy go i opłakujemy". Żyd połocki Nachman mówił: „Dał by to Przedwieczny, abym ja w mojej wierze był tak doskonały, jak on był w swojej". Syn jego Izrael powiedział: „W Witebsku uczyniono takie ubijstwo, jakie niegodne jest nie to, że chrześcijanin, ale i Turków i pogan; tak okrutnie ubili człowieka sprawiedliwego i prawego, pasterza, w wierze swojej dobrego człowieka, najłagodniejszego, przyjacielskiego bardzo – jak nie godziłoby się zabijać nawet najpodlejszego".

Świadkowie w prociesie zgodnie przyznają, że życie Jozafata było istotnie życiem heroicznym. Na miarę ludzkich możliwości, wspartych Bożą łaską, podejmował odważne wysiłki, aby żyć nauką Ewangelii. Szanował każdego człowieka, jego godność bycia Bożym stworzeniem. Jego świętość nie miała nic ze świętości z obrazka, ale wykuwana była w wirze codziennych sporów, polemik z przeciwnikami, utarczek z ludzką słabością i wadami, jakie wkradły się w życie wiary. Żarliwość Jozafata była „świętą" żarliwością, obcą i niezrozumiałą zarówno dla wielu katolików, jak i prawosławnych. Gorszyli się nią, gdyż była za mało dyplomatyczna, za mało humanistyczna, zbyt wymagająca, za bardzo radykalna. Jego upomnienia nie były zachętą, ale nakazem służenia Bogu. Jednym słowem Jozafat żył radykalnie wartościami ewangelicznymi, bliskim także tradycji prawosławnej.

Dwa poziomy funkcjonowania świętych

„W historii duchowości poprzez dzieje Kościoła świętość była zawsze rozumiana jako najwyższy wyraz miłości, która oznacza przemianę chrześcijanina w Chrystusa, zapoczątkowaną przez chrzest"[77]. Stopień zbliżenia się do Chrystusa idzie w parze ze stopniem świętości. Więź z Chrystusem, jej intensywność oraz ciągłość mają decydujący wpływ na świętość wierzącego. To umiłowanie Chrystusa prowadzi do świętości. Kościół pojawia się tu na drugim planie, po

[77] H. Misztal, *Ewolucja kryteriów świętości w Kościele zachodnim*, w: *Święci a pojednanie Kościołów. Święci łączą czy dzielą?*, red. Z.J. Kijas, Kraków 1998, s. 22.

Chrystusie. Święty bowiem kocha Chrystusa w Kościele, ponieważ kocha ludzi w Chrystusie. Święty przyjmuje prawdy głoszone przez Kościół i stara się dawać o nich świadectwo w codziennym swoim życiu; słowem i przykładem żyje Bożą prawdą. Kryterium świętości nie stanowi przynależność do takiej czy innej wspólnoty chrześcijańskiej, ale życie Ewangelią Pana naszego Jezusa Chrystusa, który jest źródłem świętości.

Świętość rodzi się w Kościele, ale nie jest uzależniona od niego, gdyż związana jest w pierwszym rzędzie ze źródłem, czyli Bogiem, który objawił się w pełni w osobie Jezusa Chrystusa. Kościół posiada jedynie środki (przykazania, sakramenty, liturgia, duchowość itp.) świętości, otrzymane od Jezusa Chrystusa, lecz nie jest „właścicielem" świętości. Jest jedynie powiernikiem, pewnego rodzaju środowiskiem osiągania jej[78]. Kościół dysponuje środkami świętości, które otrzymał od Chrystusa, i udziela je tym, którzy o nie zabiegają. Święci nie są więc „na usługi" Kościoła, ale na usługach Ewangelii.

Nie ma stałych wzorców świętości, są natomiast konkretni ludzie, którzy żyli w konkretnym czasie i środowisku, podejmując się zadania realizowania w ziemskim życiu wzorców zalecanych przez Chrystusa. Czas rodzi świętych. Nadaje im określony kształt, szkicuje ich rysy, nadaje barwę i smak. Bywa, że niekiedy jest ona barwą bliższą Bogu, Kościołowi czy człowiekowi w potrzebie. Odcień świętości zależny często od tego, kto z nich znajduje się w większym niebezpieczeństwie: Bóg, Kościół czy człowiek. Model (czy też „barwa") świętości mówi zatem wiele o czasie, życiu i problemach, które trapiły Kościół i ludzi w owym czasie.

Wszystko, co powiedziałem wyżej, odnosi się również do sytacji, jaka miała miejsce na pograniczu polsko-rosyjskim, katolicko-prawosławnym, gdzie żył i działał Jozafat. Jego świętość dojrzewała zatem w wierze wielorakiej polemiki, politycznych zawirowań, ludzkich ambicji, międzykościelnych sporów. Kościół i wiara były

[78] Por. Z.J. Kijas, *Kościół jako środowisko działania Ducha Świętego*, w: *Niech zstąpi Duch Twój! Materiały z sesji w dniu 14 października 1998. Kraków*, Kraków 1999, ss. 58–86.

wówczas daleko ważniejsze niż człowiek i jego godność. Za wiarę i za Kościół bardzo wielu gotowych było oddać wszystko, majątek, rodzinę, a nawet swoje życie. Bóg i Jego sprawy były bardzo ważne. Czasy trudne rodziły „tudnych" świętych, niekiedy kontrowersyjnych, polemicznych, lecz zawsze skupionych na Chrystusie. Istnieje ciągła potrzeba przypominania sobie tego ewangelicznego wymiaru świętości, który stanowi o ponadczasowości świętego.

Nie można kwestionować świętości Jozafata, tak jak nie wolno poddawać w wątpliwość świętości żadnego innego świętego, którego kanonizował Kościół, prawosławny czy katolicki. „Święci, jako specjalna kategoria sprawiedliwych, po śmierci znajdują się w niebie (chociaż nie uczestniczą jeszcze w pełni chwały Bożej), że są pośrednikami i orędownikami między ludźmi i Bogiem, że wysłuchują próśb ludzkich i w modlitwach zanoszą je przed Pana"[79] – pisze prawosławny autor prof. Aleksander Naumow. Szczęście w niebie jest wspólne dla wszystkich świętych, bez względu na przynależność konfesyjną w ziemskim życiu: katolicy, prawosławni, protestanci przeżywają równe szczęście z tymi, którzy Chrystusa nie poznali, ale żyli dobrze.

Manipulowanie świętymi

Jeżeli w oczach Boga wszyscy są Jego dziećmi, niezależnie do jakiej wspólnoty kościelnej należą, to jednak inaczej patrzą na świętych ci, którzy jeszcze pielgrzymują po ziemskim padole. Ich spojrzenie jest odmienne, niekiedy nawet bardzo różne. Jest w pełni uzasadnione, co pisze prof. Naumow, że „zaakceptowane wybraństwo po śmierci istnieje niejako na dwóch planach – jest poziom pozaziemskiego nachylenia się świętego nad jego ziemską egzystencją i nad wiernymi jego pamięci (*słysz modlitwę, jąż nosimy*) oraz poziom

[79] A. Naumow, *Święci łączą czy dzielą? Perspektywa prawosławna*, w: *Święci a pojednanie Kościołów*, red. Z.J. Kijas, s. 78.

bytowania w rajskiej szczęśliwości, gdzie umysł ludzki nie sięga”[80]. Święty, który przebywa już w chwale nieba, w stanie ponadczasowości, w rajskiej szczęśliwości, jest dla żyjących przykładem miłości Boga i zachętą do niej. Na tym poziomie egzystencji święci nie stwarzają problemów dla Kościołów. Nie są przeszkodą w wysiłkach o jedność, ale, owszem, jej orędownikami. Ponieważ poznali miłość Boga do każdego człowieka, dlatego teraz – przebywając w rajskiej szczęśliwości – wspierają chrześcijan w wysiłkach o widzialną jedność Kościoła. Nie rodzą już konfliktów, podziałów czy antagonizmów, bowiem kontemplują oblicze Boga – Ojca wszystich ludzi.

Sytuacja zmienia się w obszarze ziemskiego funkcjowania świętego. On wprawdzie przebywa już w chwale nieba, ale nie ci, którzy są nadal jeszcze pielgrzymami w świecie. Patrzą na niego z perspektywy ziemskiej. Śmierć uwolniła świętego z więzów ciała i ziemskich uwarunkowań, lecz środowisko (a wraz z nim jego problemy, trudności, konflikty itd.), w którym żył, trwa nadal. Ciągle żyją (jeszcze) ci, go znali, lub którzy pamiętają, kim był i co uczynił (dobrego lub złego w ich oczach). Święty uwolnił się, co prawda, z więzów historii, ale nie uwolnili się z nich jego czciciele lub wrogowie. Często też nie uwolnił się z tych więzów Kościół, w którym żył, którego był członkiem (biskupem), lub Kościół, który widzi go w złym świetle, który ocenia negatywnie jego działania. Bywa więc, że „to Kościół jako instytucja ziemska nieraz sprowadza ów mistyczny wymiar świętości do historycznego czy politycznego konkretu, nie dając świętym w całości narodzić się dla nieba, a wiążąc ich na stałe z pewnymi obsesyjnie nieraz realizowanymi zadaniami”[81]. W ten sposób święty, jako potencjalny niebiański orędownik jedności, może nie zostać przyjęty lub wręcz odrzucony przez część wiernych. Jego misja jedności zostaje odrzucona i to nie ze względu na swoją duchową jakość, która mogła być istotnie ewangeliczna. Nie przyjęto go z powodu uwarunkowań historycznych czy politycznych, kulturowych

[80] A. Naumow, *Święci łączą...*, dz. cyt., ss. 78–79.

[81] A. Naumow, *Święci łączą...*, dz. cyt., s. 79.

czy religijnych, w których dokonywało się jego uświęcenie, a które nadal istnieją.

Zbliżony proces dokonał się w przypadku św. Jozafata Kuncewicza. Jego życie poddane zostało określonej *manipulacji,* i to raczej mało pozytywnej. Zapoczątkowana w momencie śmierci Jozafata manipulacja jego osobą, kontynuowana była również i później. Jego osobą manipulował nie tylko Kościół prawosławny, ale także Kościł Greckokatolicki. Członkowie jednej i drugiej wspólnoty kościelnej manipulowali jego życiem i męczeńską śmiercią. Młoda wspólnota eklezjalna (Kościół katolicki obrządku wschodniego), która rodziła się na pograniczu Kościoła katolickiego i prawosławnego, potrzebowała wzoru świętego; potrzebowała wzoru gorliwego wyznawcy, ascety i nauczyciela, człowieka gotowego oddać życie w obronie nowej wspólnoty wyznaniowej. Znalazła go właśnie w osobie Jozafata.

Taki model świętego potrzebny był nie tylko dla rozbudzenia gorliwości w służbie Bogu i ludziom, ale przede wszystkim dla podkreślenia swojej inności (duchowej i teologicznej „doskonałości") względem prawosławia. Życie i męczeńska śmierć Jozafata stały się w rękach unitów dobrym narzędziem do budowania własnej, odmiennej od prawosławnych i katolików, tożsamości wyznaniowej. Zatem Jozafat, który „bardzo nie lubił wszelkiego rozdarcia", stał się, paradoksalnie, powodem rozdzierania jedności, „patronem" podziału.

Proces ten dokonywał się poprzez kazania, liturgię, opowiadania czy przekazy ludowe. W hymnach wychwalano jego życie i męczeńską śmierć i chociaż proszono go, aby „darował Cerkwi jednomyślność", słowa te rozumiano konfesyjnie, jako powrót prawosławnych do Kościoła katolickiego.

Róża pełna wonności, przez cnoty biała,
przez wyczyn cierpienia czerwona,
w Bogu rozumny Jozafacie, do Świętego świętych wszedłszy jako arcykapłan,
siebie w ofierze Bogu złożyłeś.
Przeto na niebiesiech z bezcielesnymi mieszkając,

Władcę wszystkiego proś, by darował Cerkwi jednomyślność,
a duszom naszym łaskę ogromną[82].

Śmierć Jozafata nie łączyła, nie godziła skłóconych i zwaśnionych unitów i prawosławnych, ale przeciwnie, jeszcze bardziej pogłębiała istniejący podział. Dokonujący się proces różnicowania między wiernymi był bardzo głęboki, co wynikało z faktu, że w grę wchodziło życie człowieka i to na dodatek człowieka ważnego. Nie chodziło już tylko o taką czy inną krzywdę doznaną przez unitów od prawosławnych ani przez prawosławnych od unitów, ale o życie człowieka, arcybiskupa: oto świątobliwy mąż, arcybiskup, dla unitów postać wyjątkowa, został zamordowany w bestialski sposób przez prawosławnych. Winą za śmierć Jozafata, na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej, zaczęto obarczać całe prawosławie. W konsekwencji wierni Kościoła Greckokatolickiego, którzy nie posiadali dotąd jasno ukształtowanej tożsamości kościelnej, wykorzystali męczeńską śmierć Jozafata do jej tworzenia. Z jednej strony czuli sie skrzywdzeni, lecz z drugiej bliżsi Chrystusowi, który również poniósł męczeńską śmierć. Śmierć Jozafata uczyniła ich nagle – tak właśnie czuli – bliższymi Jezusa Chrystusa, jakby bardziej umiłowanymi (?) przez Niego. Obrali zatem Jozafata za patrona swojego Kościoła, ale również swojej drogi życia. Odtąd był dla nich wzorem gorliwości, misyjnego zapału i niezłomności w szerzeniu unii aż do oddania życia.

Postacią Jozafata manipulowali także prawosławni, ale w inny sposób. Jozafat Kuncewicz, który przeszedł z prawosławia na unię, stał się w oczach prawosławnych zdrajcą wiary ojców. Odszedł z Kościoła, który uważali za jedynie prawdziwy Kościół Jezusa Chrystusa. Nie brali pod uwagę jego głębokiej wiary, miłości do ludzi, dobroci dla biednych i bezdomnych, jego szczerej troski o potrzebujących, skupiając się wyłącznie na jego odstępstwie od Kościoła i widząc w nim niewiernego syna.

---

[82] Troparion w t. 2, tłumaczenie za: A. Naumow, *Wiara i historia....*, dz. cyt., s. 99, przypis 9.

W krytyce Jozafata prawosławni zapomnieli o człowieku i dobru, które czynił, skupiając się wyłącznie na jego przynależności kościelnej. Uznali go za heretyka, odstępcę od wiary „ojców" i zdrajcę Kościoła. Głosili więc, że jego dobroć, pobożność, gorliwość były fałszywe, mające na celu zdobycie jak najwięcej wiernych prawosławnych i przeciągnięcie ich do unitów. Prawosławni nie pozwolili Jozafatowi radować się w pełni chwałą nieba. Nie prosili go, aby teraz, będąc w niebie, wstawiał się za nimi w ich uświęceniu. Nie widzieli w nim orędownika jedności Kościoła, ale raczej przeszkodę nie do pokonania.

Jozafat modli się o jedność

Nie zawsze żyjący pozwalają funkcjonować świętym jako świętym, którzy będąc świętymi, należą już do innej rzeczywistości, w której nie ma już „miejsca" na podziały, konflikty czy niezgodę, tak bliskie ziemskiej rzeczywistości. Często manipuluje się ich życiem ziemskim, wykorzystuje ich ziemską gorliwość do – można by rzec – „politycznych" interesów. W efekcie nie łączą, jak chcieli, ale (nadal) dzielą; nie są narzędziami zgody, ale „narzędziami" do realizacji celów wyznaczanych przez Kościół konfesyjny.

Spotkało to św. Jozafata: Kościoły, zarówno katolicki, jak i prawosławny, nie widziały w nim męża świętego, żarliwego obrońcy boskiego prawa, ale „narzędzie" polemicznych, konfesyjnych sporów. W ten sposób mistyczny wymiar świętości Jozafata sprowadzony został do wymiaru politycznego, religijnego i kulturowego. Przynależność eklezjalna zatarła jego – o wiele ważniejszą – przynależność do Chrystusa i Jego prawa. Na jego życie nie patrzono już przez pryzmat Boga, ale przez wąską konfesyjną tożsamość.

Należy wierzyć, że Jozafat był głęboko przekonany o słuszności swojego wyboru drogi życia, dlatego gotów był oddać za nią swoje życie. Któż bowiem z ludzi gotów jest oddać życie tylko i wyłącznie za

instytucję, chociażby instytucją taką był Kościół? Jozafat Kuncewicz oddał swoje życie w pierwszym rzędzie za Chrystusa, którego przeżywał w Kościele katolickim tradycji bizantyjskiej. Oddać życie! To najwięcej, na co stać człowieka.

Czystość intencji Jozafata, osobiste oddanie się Chrystusowi, zapał w głoszeniu Ewangelii, szczere ukochanie Kościoła pozwala sądzić, że może być przykładem również dla współczesnych. Jozafat stymuluje do działania nie tylko wiernego katolika. Przesłanie gorliwości kieruje do członka każdego z Kościołów chrześcijańskich. W ten sposób jest niejako „własnością" wszystkich, ponieważ za wszystkich oddał życie Jezus Chrystus i wszystkich zachęcał do życia nim.

Św. Jozafat nie przestaje być świętym „trudnym", niewygodnym dla dialogu ekumenicznego, nie można go jednak wymazać z pamięci Kościołów. Mimo trudnego kontekstu historycznego, w którym żył, nie można mu odmówić szczerej troski o jedność Kościoła Jezusa Chrystusa. Może był zbyt wielkim „marzycielem" o jedności chrześcijan, nie biorąc pod uwagę historycznych zależności i ludzkich słabości? Ale może właśnie dlatego uznać go należy za jej szczególnego patrona, jedność chrześcijan bowiem jest w sferze marzeń Ducha Świętego. Jozafat jest swoistym bliźnim, który „leży" na drodze Kościołów, szukających z nakazu Chrystusa dróg odbudowania utraconej jedności.

Przyszłość świata prowadzi przez obronę prawdy Błogosławieni poznańscy

Powrócę do analizy zmian, jakie dokonują się w świecie. Jest to potrzebne, jak sądzę, aby uchwycić lepiej znaczenie świętych i błogosławionych[83]. Chcę oprzeć swoją refleksję na przykładzie „świętych poznańskich", lecz równie dobrze mógłbym się skupić na innych świętych. Nie będę przedstawiał szczegółowo ich życia, bowiem nie brak innych materiałów, opisujących te heroiczne życiorysy. Interesuje mnie ukazanie tych postaci jako gwarantów, ale zarazem również proroków przyszłości świata, który aktualnie doświadcza głębokich przemian i trudności. Początek tych zmian wielu historyków i badaczy kultury datuje na wiek XVIII, a które w chwili obecnej nabrały szczególnego rozmachu i wielorakiej artykulacji

Tendencja do odczarowania świata

Jesteśmy świadkami procesu kulturowego, który można nazwać procesem *odczarowywania świata*[84]. Jest to szeroki i dobrze zorganizo-

[83] Jest to zmieniona wersja artykułu *W służbie Chrystusowi. Błogosławieni prezbiterzy i osoby zakonne Archidiecezji Poznańskiej,* który ukazał się w „Poznańskich Studiach Teologicznych" 2019, nr 33, s. 249–266.

[84] Szerzej na temat tego fenomenu pisze Luc Ferry w książce zatytułowanej *Człowiek-Bóg, czyli o sensie życia*, tłum. A. Miś, H. Miś, Warszawa 1998, s. 44n.

wany ruch, o zasięgu ogólnoświatowym, który dokonuje humanizacji, czyli w pewnym stopniu „uczłowieczenia" tego wszystkiego, co wcześniej posiadało atrybuty boskie, co przynależało do sfery Boga lub prowadziło do Niego. Oczywiście, proces sam w sobie nie jest nowy. Istniał od początku, od chwili pojawienia się człowieka, zmianie uległ jednak jego zakres i dynamika. Obecnie przybiera systematycznie na sile i obejmuje coraz szersze obszary ludzkiego życia. Jego dynamiczny rozwój historycy datują na początki XVIII wieku i pokrywają z rozpoczęciem powolnej laicyzacji Europy.

W historycznych zalążkach obejmował on wyłącznie kraje europejskie i Stany Zjednoczone, lecz w miarę upływu czasu zaczął rozlewać się na cały świat. Chociaż posiadał różnego rodzaju mutacje, to jednak, co charakteryzowało go w pierwszym rzędzie, najbardziej charakterystyczne / najważniejsze było podważenie, a następnie odrzucenie dotychczasowych autorytetów, które w dużym stopniu wyrastały z chrześcijańskiej wiary i w niej też znajdowały ostateczne uzasadnienie. Odtąd wolność myślenia, myślenia niezależnego od zewnętrznych (głównie dotychczasowych) autorytetów, uznana została za jedynie obowiązujący „autorytet". Było to zatem myślenie (a w ślad za nim również podejmowanie decyzji) indywidualistyczne i subiektywne, biorące pod uwagę (prawie) wyłącznie korzyści myślącego, bez zwracania większej uwagi na innych.

Wielorakie są efekty tego procesu, które obejmują obszar wiary, etyki i moralności. Tak na przykład w obszarze wiary zauważa się mocną tendencję do „uczłowieczania" treści Objawionych, którym nadaje się rysy bardziej lub mniej ludzkie, skrojone na miarę intelektualnych czy duchowych potrzeb człowieka. Odziera się je tym samym z boskich atrybutów, którymi charakteryzowały się dotychczas, a które nadała im wiara w Boga. Teraz natomiast, w miejsce świętości Boga, na plan pierwszy zostaje wysunięty jakiś rodzaj „świętości" człowieka. Operacja jego „uświęcania" dokonuje się poprzez (mniej lub bardziej agresywne) *uświęcanie* tego, co typowo ludzkie i co jest dziełem człowieka; w ten sposób „uświęcona" zostaje (głównie na sposób cielesny rozumiana) przyjemność, radość życia,

pogoda ducha... To, co było skądinąd zawsze ważne (czyli człowiek i jego sprawy), lecz stawiane zaraz po Bogu, który był najważniejszy, otrzymało raptem rangę sprawy najważniejszej, wręcz jedynie koniecznej. Na dalszy plan przesunięte zostało to, co jest rzeczywiście ważne i co dotąd zajmowało miejsce pierwsze, czyli Bóg i Jego sprawy.

Sprawy Boże i wszystko to, czego On był źródłem i co prowadziło człowieka na spotkanie z Nim, straciło nagle na znaczeniu. Nieoczekiwanie człowiek stał się „świętym", zajmując miejsce Boga; człowiek postawił samego siebie w centrum wszelkich odniesień, on zajął miejsce centralne, przynależne dotąd Bogu. Człowiek i to, co go stanowi, zaczęło też przywdziewać szaty *sakralne,* ogołacając z nich Boga, prawnego ich właściciela. W konsekwencji zatraciło się źródło autentycznego sacrum, którym był Bóg. Nagle wszystko stało się na pozór ważne, wszystko zaczęto uważać za „święte", szczególne, wyjątkowe. Każde ludzkie pragnienie, jego zachcianka i tęsknota, nawet mało etyczna lub całkowicie niezgodna z etyką, przybrała rysy określonej „świętości", jedyności i wyjątkowości. Odtąd już takie wyrażenia, jak „moje prawo, moja wola, moja miłość, mój wybór itd.", w znaczeniu jedyna i święta, weszły w obieg powszechny. Ale nie tylko to, wymiar sakralny zaczął być przypisywany przyrodzie i innym stworzeniom.

Luc Ferry, w latach 2002–2004 minister edukacji narodowej we Francji, nazwał ten proces – o czym wspomniałem wcześniej – „uczłowieczeniem boskości"[85]. Uważa on, że jego początki pokrywają się z wejściem na scenę historii tzw. teizmu. Zwolennicy tego kierunku, który nie tylko był kierunkiem myślowym, ale również ekonomicznym i politycznym, twierdzili, że warto kierować się w życiu zasadami, które wynikają z wiary, lecz nie dlatego, że jest się posłusznym Bogu-Zbawcy, który nagradza lub karze w życiu przyszłym. Nie z tego względu! Skłaniają do tego przede wszystkim względy praktyczne, utylitarne. Posłuszeństwo Bożym przykazaniom nie miało – zdaniem teistów – podstaw duchowych, ale czysto praktyczne

[85] L. Ferry, *Człowiek-Bóg...*, dz. cyt., s. 45.

i materialne. Praktyczny aspekt zasad wiary był ważniejszy od samej osobistej relacji z Bogiem, który karze lub nagradza. Wizja Boga jako Sędziego nie pojawiała się w tej debacie, uznana została za przestarzałą i nieadekwatną do nowych potrzeb świata. Oświeceniowy teizm skupił się więc (prawie lub wyłącznie) na człowieku i jego sprawach, a pośrednio również na sprawach świata, problemie zanieczyszczenia, równouprawnienia, globalizacji itd.

Silne dążenie do autonomii

Troska o chwałę Boga, o należne Mu miejsce i prawa, których jest dawcą i początkiem, zepchnięte zostały na margines. Lecz nie tylko troska o chwałę Boga znalazła się na drugim planie, ale On sam został tam zepchnięty. Było to dziełem zwolenników deizmu[86] czy też otwartych ateistów; pierwsi uważali, że Bóg jest konstruktorem świata rozumnego, lecz przestał ingerować w raz ustanowione prawa, drudzy zaś wykluczali istnienie Boga i co za tym idzie – Jego ewentualną obecność w urządzeniu porządku w świecie[87]. Jedni i drudzy nie rozważali człowieka i nie oceniali jego postępowania z perspektywy Bożych przykazań; względy doczesne, korzyści indywidualne lub zbiorowe, przyjemności lub materialne zyski stały się najważniejsze. W ten sposób Bóg przestał być zewnętrzną i obiektywną miarą człowieka, strażnikiem jego godności, dawcą powołania i celem jego szlachetnych dążeń – jedność z Bogiem przestała być celem życia na ziemi. Tym samym świętość, rozumiana dotąd jako

[86] Jednym z pierwszych teoretyków deizmu był irlandzki wolnomyśliciel John Toland (zm. 1722). Do nurtu tego zaliczyć można także innych, jak: Johna Locke'a, Davida Hume'a, Voltaire'a, Denisa Diderota oraz Maksymiliana Robespierre'a. Wpływ deizmu można dostrzec także u innych myślicieli: Jean-Jacquesa Rousseau, Immanuela Kanta, Gottholda E. Lessinga, Benjamina Franklina, George'a Washingtona, Davida Friedricha Straussa, Ferdinanda Christiana Bauera czy Stanisława Staszica i Jana Śniadeckiego.

[87] Zob. Z.J. Kijas, *Opatrzność i przeznaczenie*, Kraków 2020.

intymna wspólnota z Bogiem, nie była dłużej wpisana w program życia człowieka. Również takie wartości, jak prawda, dobro i szczęście, które były w przeszłości źródłem pragnień, podejmowanych starań i pracy, straciły zewnętrzny, boski fundament. Znalazły w człowieku nowy początek i nowe źródło pochodzenia. Stały się odtąd zależne od jego chwilowych pragnień, od sytuacji i miejsca. Spłaszczone do jego chwilowych uczuć, stworzonej inteligencji, egoistycznych pragnień. To sprawiło, że były bardziej lub mniej subiektywne, kierowane interesem pojedynczego człowieka lub określonej grupy osób.

Z upływem czasu człowiek stawał się coraz bardziej autonomiczny, niezależny, samo-decydujący i samo-siebie-oceniający, Bóg zaś mniej potrzebny, a nawet zbędny. Także modlitwa, odgrywająca ważną rolę w dialogu z Bogiem, uznana została za stratę cennego czasu, który przeznaczyć można było na osobisty rozwój: intelektualny, materialny czy kulturalny. Również posłuszeństwo Bożym przykazaniom opisywano jako ze wszech miar staroświeckie, zupełnie niezrozumiałe, stąd też śmieszne i do odrzucenia. Usypiało ono aktywność człowieka, odbierało mu inicjatywę i kreatywność, mocno promowane przez ówczesne kierunki filozoficzne i kulturalne. Kontakt z Bogiem, jeżeli miał miejsce, zawęził się do relacji indywidualnych, bardzo osobistych i raczej skrywanych przed innymi. Stracił natomiast charakter publiczny i powszechny, jaki miał wcześniej.

Teologia, szczególnie zaś teologia moralna, nie pozostała bez głosu w tym procesie. Także teologowie katoliccy mieli swój udział w promowaniu nowych idei. Przykładem może być Alfons Auer (1915–2005), niemiecki teolog-moralista. Uznawany przez niektórych za pioniera współczesnej teologii moralnej, oparł ją na fundamencie wolności, który uznał za jedynie słuszny i obowiązujący. W ważnej pracy *Autonomia moralna a chrześcijańska wiara*[88], którą wielu uważa za klasyczne dzieło dla nowoczesnej teologii moralnej, pisał między innymi:

[88] A. Auer, *Autonome Moral und christlicher Glaube*, Düsseldorf 1971.

> Nie jest zamiarem Bożym przekazywanie człowiekowi konkretnych zasad etycznych za pośrednictwem zjawisk i procesów zawartych w Objawieniu. To raczej człowiek, dokonując krytycznej analizy własnych doświadczeń, powinien odkryć, co jest korzystne w jego życiu i czego, z tych samych względów, ma unikać[89].

Przywołany autor był zdania, że o autonomii człowieka decyduje jego wolność; jest autonomiczny dlatego, że wolny i odwrotnie, ponieważ jest wolny, dlatego cieszyć się może niezależnością. Wolność daje mu pełne prawo do odkrywania i akcentowania swojej słusznej autonomii i heteronomii, moralnej niezależności od innych podmiotów, w tym również swojej autonomii od Boga. W chwili odkrycia i uświadomienia sobie posiadanej autonomii człowiek zaczyna dopiero funkcjonować w sposób poprawny, czyli w myśl zasady, że został wprawdzie stworzony przez Boga (czego nie zamierza bynajmniej poddać w wątpliwość), ale dopiero teraz, w momencie uświadomienia sobie daru wolności i skorzystania z niego, jego życie staje się autentycznym i niezależnym od Stwórcy.

Heteronomia zasad moralnych, czyli ich boskie pochodzenie, przyjmowanie Boga jako ostateczne i wyłączne źródło, Prawodawcę i Sędziego, prawa moralnego, zostały mocno osłabione, a nawet podważone. Człowiek odkrywał coraz bardziej swoją autonomię i niezależność od Boga, a pośrednio także od Jego zasad. Bóg przestał być wyłącznym sędzią kodeksu moralnego, ponieważ prawo do tego zaczął uzurpować sobie również człowiek. W konsekwencji Bóg, który dotąd osądzał wszystko i był miarą doskonałości, raptem sam stał się przedmiotem oceny, a indywidualne sumienie stało się miarą postępowania i dokonywania oceny sytuacji.

Proces, którego początki datują się w okresie Oświecenia, stale przybierał na sile. Nowe trendy kulturowe mocno promowały ludzkie ego, dążąc do ubóstwienia człowieka, odbierając chwałę należną wcześniej Bogu. Dotychczasowa kultura, w której Bóg znajdował się w centrum, będąc punktem odniesienia dla wszystkich i wszystkiego,

[89] A. Auer, *Autonome Moral...*, dz. cyt., s. 341–342.

odchodziła w niepamięć. Jej miejsce zajmowała nowa, skoncentrowana na człowieku i jego potrzebach. Dawną religię zaczęła zastępować inna, świecka, która ubóstwiała człowieka i jednocześnie „uczłowieczała" Boga. Nadawała Mu rysy czysto ludzkie, zachowania typowe dla śmiertelnych, pełne emocji pozytywnych i negatywnych, a tym samym zmiennych, kapryśnych czy parcjalnych. Niewątpliwie zabieg ten przybliżył Boga do świata i jego mieszkańców, uczynił Go mniej odległym, mniej abstrakcyjnym i mniej autorytarnym, ale była to bliskość tylko pozorna. W rzeczywistości stracił On atrybuty boskie. Stracił autorytet Boga, Ojca i Pana, Stwórcy i Sędziego, jakim cieszył się dotąd w kierowaniu dziejami świata. Jako Bóg bardzo ludzki i niemal zmuszony do bycia miłosiernym, „tracił" przez to panowanie nad światem, które przypisał sobie człowiek. Bóg nie był już dłużej nadzieją świata, ratunkiem uciśnionych, Ojcem pokrzywdzonych, niezależnym Sędzią ludzkich czynów. Wszystko bowiem (lub prawie wszystko) znalazło się w rękach człowieka. On właśnie stał się – jak głosiła narracja dominująca – panem teraźniejszości i przyszłości, jedynym panem historii. Zwolennicy nowego porządku świata byli zdania, że „interioryzacja transcendencji jest warunkiem koniecznym również dla samej religii"[90].

Proces zmierzający do „odczarowania świata" miał wpływ na każdy niemal wymiar życia człowieka, zarówno na indywidualne przekonania religijne ludzi, ich zachowania, skalę wartości, jak i cele i pragnienia. Nowa kultura zaczęła promować nowe modele pseudoświętości, w wyniku czego dawnych świętych, żyjących według Bożych przykazań, zastąpili inni w postaci różnych „stars": celebrytów sportu, muzyki, rozrywki, polityki itd. Oni stawali się modelami życia dla współczesnych.

[90] L. Ferry, *Człowiek-Bóg...*, dz. cyt., s. 48.

Humanizacja źródeł

W parze z tym, co zostało powiedziane, szła również tzw. „humanizacja źródeł". Co ona oznaczała i jakie miała znaczenie dla naszego tematu? Sam w sobie, biorąc pod uwagę jego brzmienie, temat „humanizacji" wyglądał niewinnie. Na pozór nie wydawał się skrywać niczego negatywnego, raczej jego wydźwięk był pozytywny i przyjazny dla człowieka. Czyż zamiar nadania prawu (i prawdzie) odcieni bardziej ludzkich, bliższych jakoś jego duchowi, nie był rzeczywiście czymś dobrym? Tylko pozornie temat ten mógł się wydawać przyjazny. W rzeczywistości bowiem „humanizacja źródeł", czyli prawdy i prawa, prowadziła do humanizacji moralności i kultury, do jakiegoś spłaszczania (zawężania) ich do możliwości i (chwilowych) potrzeb człowieka, zamykając je w przestrzeni tymczasowości, chwilowych (często egoistycznych) wymagań, interesów, emocji.

Humanizacja źródeł prawdy i moralności znaczyła odchodzenie (mniej czy bardziej dynamiczne) od Boga i od transcendencji w rozumieniu prawdy i praw moralnych. Człowiek – mniej lub bardziej świadomie – odrzucił Boga, który był dotąd źródłem i najwyższym gwarantem obiektywności istniejących praw. Podważenie idei Boga, jako źródła prawdy i osądu ludzkich zachowań, naruszało jednocześnie wiarygodność tradycyjnej moralności, opartej na biblijnych przykazaniach. W konsekwencji moralność chrześcijańska nie tylko została poddana wyraźnej krytyce, ale powoli zaczęła być odrzucana, a wraz z nią w niepamięć poszły również boskie zakazy. Nie był to wprawdzie proces jednolity i nie dotyczył w równym stopniu wszystkich środowisk, był jednak mocno systematyczny, obejmując coraz szersze kręgi. W rzeczywistości stał się modny, co oznaczało, że był obowiązujący i promowany.

Jaka była reakcja Kościoła na ów fenomen? Oczywiście Kościół nie mógł nie reagować na zaistniały stan rzeczy. Jako „Matka i Nauczycielka", Kościół nie mógł pozostawić sprawy bez odpowiedzi. On również stanął w obliczu ważnego pytania: Jak pogodzić ze sobą objawienie i jego wymogi z duchem świata? Św. Jan Paweł II

ujął ten problem w inny jeszcze sposób, pytając: Jak ma się do siebie „blask prawdy" i „wolność indywidualna"? Od sposobu rozwiązania tego zagadnienia zależało bardzo wiele, przede wszystkim zaś kwestia, czy „chrześcijaństwo jest skazane na to, by być wyłącznie wiarą, pobożnością, która swe najbardziej istotne kwestie zawdzięcza moralności laickiej?"[91], czy też nadal będzie twórczą siłą, wyznaczającą kierunki życia społecznego i indywidualnego?

Humanum i *sacrum*

Encyklika Jana Pawła II *Veritatis Splendor*, ogłoszona 6 sierpnia 1993 roku, była merytoryczną reakcją Kościoła na dokonujący się proces humanizacji źródeł. Dokument papieski był głosem Kościoła w szerokiej debacie na temat kwestii etycznych. Papież zajmował w nim jasne stanowisko w kontekście pragnień ludzi posiadania własnej, indywidualnej, a tym samym bardziej lub mniej subiektywnej wizji prawdy i dobra oraz w konsekwencji – autonomii życia moralnego. Dokument przypomniał nauczanie Kościoła w tym temacie, wskazując równocześnie źródła moralności chrześcijańskiej, które mają swój początek w Bogu.

Tekstem biblijnym, który posłużył papieżowi za punkt wyjścia do dalszej, bardziej szczegółowej refleksji, była scena z Ewangelii wg św. Mateusza (19, 16–22), która opisuje spotkanie bogatego młodzieńca z Jezusem. W punkcie centralnym znalazło się pytanie młodzieńca, skierowane do Chrystusa: „Nauczycielu, co dobrego mam czynić, aby uzyskać życie wieczne?". Jan Paweł II uznał je za fundamentalne pytanie każdego człowieka, niezależnie od czasu i miejsca, kontekstu kulturowego czy politycznego, w jakim żyje. Pytanie to staje się szczególnie natarczywe w czasie utrapienia, w chwilach zwątpienia, choroby czy cierpienia, kiedy człowiek doznaje rozczarowań czy niepowodzeń, kiedy jego wysiłki nie przynoszą oczekiwanych

[91] L. Ferry, *Człowiek-Bóg...*, dz. cyt., s. 46.

owoców, a szczęście, którego pragnie, omija go szerokim łukiem. Ważność pytania wpływa również na konieczność udzielenia na nie jasnej i wyczerpującej odpowiedzi. Człowiek pyta więc, siebie i innych, czy zachowywanie przykazań wystarczy? Zastanawia się, że czy sam szacunek względem drugiego wystarczy, aby osiągnąć trwałe szczęście? I co mówi Jezus? Na pytanie majętnego młodzieńca, odpowiada: „Jeżeli chcesz być doskonały, idź, sprzedaj, co posiadasz, i daj ubogim [...]. Potem przyjdź i chodź za Mną".

Zaproszenie Jezusa tyko pozornie wydaje się łatwe, sugeruje prostą drogę do szczęścia. W rzeczywistości jest zaproszeniem do wejścia na ścieżkę pełną wymagań i wyrzeczeń, lecz zarazem możliwą do przebycia i osiągnięcia tego, za czym tęskni serce człowieka, czyli trwałego szczęścia. Jezus mówi, że pójście za Nim wymaga wprawdzie poświęceń, ale jest jedynym i wyłącznym sposobem pełnej realizacji pragnień i zapewnienia szczęścia sobie i tym, którzy są obok.

Biblijny młodzieniec odszedł zasmucony tylko dlatego, że miał wiele dóbr ziemskich, wiele przywiązań i pragnień, które więziły i hamowały jego pełny rozwój, czy wręcz go uniemożliwiły. Z własnej odpowiedzialności nie stał się tym, kim mógłby się stać, gdyby przyjął zaproszenie Jezusa i poszedł za nim. On jednak postanowił pozostać na drodze pozornie łatwiejszej, wybranej przez siebie, na miarę swojej wiedzy i swoich chwilowych pragnień. Istotnie, jego droga była pozornie łatwiejsza, lecz w rzeczywistości hamowała jego dalszy rozwój i ograniczała jego stan posiadania, zawężając go wyłącznie do dóbr materialnych. Niespodziewanie jego egzystencja osiągnęła swoisty limit. Nie mógł pójść dalej, nie mógł bogacić się jeszcze bardziej duchowo i intelektualnie. Zatrzymał się na drodze, którą już znał. Dał się uwięzić bogactwom, które już posiadał bez chęci ich pomnożenia. Zrezygnował z wstąpienia na drogę Jezusa, co prawda nieznaną i pełną tajemnic, ale jednocześnie pełną nowych obietnic i wielkich, nieznanych dla człowieka, możliwości. Tylko wstąpienie na nią mogło zapewnić mu autentyczne i trwałe szczęście. Nie uczynił tego, dlatego – jak czytamy w Ewangelii – odszedł smutny.

Konieczność przywracania Boga do głosu

W tym właśnie czasie, o którym piszę, żyli również święci, uznani następnie przez wierzących za ludzi szczególnych, wyjątkowych, heroicznych. Obecni wprawdzie w świecie „odczarowanym" z tajemnicy, duchowo byli blisko Boga, żyjąc według Jego przykazań, On stanowił dla nich miarę prawdy i dobra, źródło ideałów i ostateczny, najwyższy cel wszystkich pragnień, wysiłków, ofiary. Święci – ich nauka, którą głosili, i świadectwo, które składali, kłóciły się z tym, czym żył świat, za czym podążał i o co zabiegał. Misją świętych ludzi było słuchanie Boga i zachęcanie innych do tego samego. Starali się czynić to zawsze, coraz lepiej i na różne sposoby, a nierzadko również przez męczeńską ofiarę swojego życia.

W kulturze, która usuwała Boga na margines życia społecznego, błogosławieni i święci byli odważnymi i niestrudzonymi świadkami Jego obecności i panowania nad światem. Ich heroiczne życie czy męczeńska śmierć były wymownym świadectwem, że nie człowiekowi, ale Bogu należy się wyłączna cześć, że On jest najważniejszy i wieczny. Święci ludzie byli świadkami innej rzeczywistości, w której nie ma podziału na wrogów i przyjaciół, biednych i bogatych, lepszych i gorszych, gdyż Bóg jest Ojcem wszystkich swoich stworzeń. Ich męczeńska śmierć pokazywała też, do czego zdolny jest człowiek, kiedy zrezygnuje z Boga, odejdzie od Jego przykazań, wymaże Jego obecność z życia społecznego. Będąc wierni Bogu, święci stawali się źródłem nadziei i mocy dla sobie współczesnych i potomnych. Odrzucając fałszywą autonomię człowieka, wybierali Boga i w Nim odkrywali swoje autentyczne i trwałe piękno.

Ich życie udzielało negatywnej odpowiedzi na pytanie (ciągle aktualne, zarówno wczoraj, jak i dzisiaj): Czy sam ludzki rozum wystarczy do opracowania kryterium dobra i zła? I czy mają rację ci, którzy głoszą koniec etyki opartej na teologii, ponieważ uważają, że inteligencja człowieka poradzi sobie z rozwiązaniem trudnych kwestii, które stawia współczesność. Święci, a jeszcze wyraźniej męczennicy, mówili, że ludzki rozum nie może być wyłącznym kryterium

oceny dobra i zła, co oznaczało, że ludzkie sumienie nie jest wyłącznym źródłem stanowienia o tym, co dobre i złe, ale że potrzebuje zwrócić się do Boga, który ustala takie kryteria. Właśnie odrzucenie Boga – uczyli – zrodziło koszmar wojny, niesprawiedliwości i śmierci.

Porządek i sprawiedliwość w świecie przywrócić może wyłącznie Bóg, stąd potrzeba zwrócenia się do Niego i przyjęcia Jego prawdy. Święci przypominali (aż do ofiary życia), że człowiek nie może uzurpować sobie prawa do stanowienia o tym, co jest prawdą, ale winien stać się jej poszukiwaczem i raz odkrytej prawdzie okazać posłuszeństwo. Nie może też stawiać swoich praw, często subiektywnych i egoistycznych, ponad prawem Boga, które jest jedyną i niezmienną, „uniwersalną i obiektywną normą moralności”[92].

Naśladowanie Chrystusa

Droga, na którą zapraszał Jezus, miała charakter wewnętrzny. Związana była z przyjęciem Jego skali wartości i Jego sposobu postępowania. Kto na nią wchodził, przyjmował Chrystusa w swoje życie. Nie była to zatem wyłącznie droga *naśladowania*, ale stanowcza decyzja pójścia *za* Chrystusem, bycia tam, gdzie chce tego Chrystus, robienie tego, czego On oczekuje.

Decyzja *pójścia* za Jezusem była jednocześnie wyrażeniem zgody na to, aby On pierwszy *wszedł* w życie człowieka i kształtował je od środka, aby przemawiał do niego z samego wnętrza, karmił go swoją mocą, pisał mu plany na przyszłość. Ten, kto wprowadzał Chrystusa w swoje życie, decydował się oddać do Jego dyspozycji swój czas, zdrowie, zdolności, bogactwa natury itd. Postanowił nie chcieć już niczego, czego by nie chciał Jezus, powstrzymując się jednocześnie od wszystkiego, co byłoby niezgodne z Jego wolą. Wiedząc, że jest słaby, człowiek nie skupiał się na własnej słabości, lecz starał się

[92] Jan Paweł II, Encyklika *Veritatis splendor*, Watykan 1993, par. 60.

dostrzec obecność i bliskość Boga, który był dla niego źródłem siły, pociechy i nadziei na przyszłość.

Chrystus był odtąd pierwszym i najważniejszym przyjacielem człowieka. On również wyznaczał skalę doskonałości, cele do osiągniecia i sposób ich realizacji. Dlatego też od współpracy z Bogiem zależała jego doskonałość i wieczne szczęście. Oznaczało to zatem, że doskonałość osoby wierzącej różni się mocno od doskonałości, o jakiej pisali i o którą zabiegali filozofowie greccy. Ponieważ rozważali człowieka w *konkurencji* do bogów, w mniej lub bardziej wyraźnej do nich opozycji, dlatego uczyli, że doskonałość człowieka winna się równać doskonałości bogów. Zadaniem człowieka nie było *pójście* za bogami czy też ich *naśladowanie*, ale *bycie jak oni*. Narzędziem realizacji tego zadania była więc praktyka cnót, głównie kardynalnych, ale nie tylko. Wszystkie inne były ważne, jeżeli tylko upiększały życie i zbliżały człowieka do doskonałości bogów. Za równie ważne zajęcie uważano doskonalenie fizyczne i intelektualną sprawność, czego filozof był wyjątkowym przykładem.

Chrześcijaństwo odeszło od praktykowania czy proponowania tej drogi doskonałości. Nie podważało, oczywiście, znaczenia ludzkiego wysiłku, był on nadal bardzo ważny, a nawet nieodzowny, lecz sam w sobie nie wystarczał, a to dlatego, że doskonałość chrześcijańska nie jest skrojona na miarę ludzkich możliwości, ale na miarę Bożych pragnień. Ponieważ Bóg wyznaczył jej granice i opisał jej kształty, dlatego też On udziela siły (łaski) do jej osiągnięcia. A zatem doskonałość chrześcijanina jest w pierwszym rzędzie dziełem Bożej łaski, która daje się zabiegającym o nią i przyjmującym ją, kiedy przychodzi. Boża łaska sprawia, że człowiek słaby staje się mocny, grzesznik nawraca się i uświęca, a ten, który upadł, pozwala się podnieść i podążać na spotkanie z Bogiem. Teologia uczy, że doskonałość (świętość) jest owocem *współpracy,* synergią pragnień Boga i człowieka, działań Stwórcy i stworzenia, gdzie działanie Boga jest zawsze uprzedzające i najważniejsze.

Nie przychodzi to łatwo, lecz dla Boga nie ma nic niemożliwego. On potrafi wszystko, ale nie chcąc pogwałcić ludzkiej wolności, czeka

na zaproszenie. Dzięki łasce Ducha Świętego wierzący jest w stanie skierować do Boga zaproszenie i pozwolić Mu działać w swoim życiu i uświęcać go. Pozwala Bogu kierować sobą, ułatwia realizację Bożej pomocy w podejmowaniu życiowych wyborów i wierności im, idąc za jej wskazaniami. W ten sposób daje początek dobrej zmianie, której zwieńczeniem jest doskonałość na miarę pragnień Boga.

Odwołując się do biblijnej sceny (zob. Mt 19, 16–22), którą uznawał tym samym za historyczną, a nie mityczną, Jan Paweł II przypominał o ponadczasowej aktualności przesłania Chrystusa; uczył, że człowiekowi nie wolno podważyć boskiego charakteru moralności, że nie jest ona inwencją człowieka, ale darem/nakazem Boga. Nie człowiek ustalił normy moralne, aby móc je następnie zmienić, kiedy uznał, że są mu już niewygodne; ponieważ ustalił je Bóg, dlatego są obowiązujące zawsze, wszystkich i wszędzie[93]. Ich aktualność dzisiaj – uczył papież – jest równie ważna, jaką była „wczoraj". I nic nie przeszkadza, że są one dziełem Boga, czyli określonego autorytetu *zewnętrznego*, nie zaś tworem ludzkim. To właśnie ich boskie pochodzenie podnosi ich rangę, gwarantuje potrzebną obiektywność i powszechną obowiązywalność, inaczej – gdyby były dziełem człowieka – byłyby subiektywne, względne i parcjalne.

Prawo moralne, ponieważ posiada Boga za swojego dawcę i gwaranta, jest prawem wiecznym, obowiązującym jednakowo wszystkich ludzi, bogatych i biednych, wszystkich osądzających równo i sprawiedliwie. Papież nie omieszkał również przypomnieć, że nauczanie Pisma Świętego, chociaż przekazane nierzadko w formie opowiadań o charakterze mądrościowym czy moralnym, nie jest przez to mniej realne. Nie jest w żadnym przypadku symboliczne, jak było to w przypadku starożytnych mitów czy innych utworów poetyckich, znanych z literatury dawnej. Nauczanie Pisma Świętego miało i nadal posiada znaczenie realne; zawiera rzeczywiste pragnienie Boga w odniesieniu do człowieka. Papież odrzucał tym samym

[93] Jan Paweł II uczył pośrednio, że Biblia jest nadal źródłem prawd historycznych, które należy przyjmować i kierować się nimi w swoim życiu.

podejmowane dawniej i dzisiaj próby odczytywania wskazań Pisma Świętego w kluczu psychoanalitycznym[94].

Odwołanie się do Boga, jako źródła i gwaranta prawdy moralnej, miało swoje szerokie konsekwencje. Sumienie ludzkie nie otrzymało monopolu na ocenę etyczności czynu, lecz spoczywał na nim obowiązek ciągłego odwoływania się do Boga, jako wyłącznej, niezawodnej i transcendentej normy postępowania. Papież przypominał – ku niezadowoleniu wielu współczesnych – że Bóg jest jedynym nauczycielem ludzkiego sumienia, w Nim ma ono obowiązek się przeglądać i Jego nauką winno się karmić.

> Jeśli czyny są wewnętrznie złe – pisał Jan Paweł II – dobra intencja lub szczególne okoliczności mogą łagodzić ich zło, ale nie mogą go usunąć [...]. Tak więc okoliczności lub intencje nie zdołają nigdy przekształcić czynu ze swej istoty niegodziwego ze względu na przedmiot, w czyn „subiektywnie" godziwy lub taki, którego wybór można usprawiedliwić[95].

Odrzucona została więc tzw. etyka autentyczności, myląca szczerość z prawdą. Papież odrzucał również wszelkie przejawy postawy utylitarnej, widzącej sens i wartość poszczególnego czynu w zależności od tego, jakie niesie konsekwencje[96].

Święci żyją Bożą prawdą

W jaki sposób wpisują się święci i błogosławieni w powyższą tematykę? Jak widział ich św. Jan Paweł II? Jaki rodzaj świadectwa dawali swoim życiem? Powiedziałem już wcześniej, że papież Polak, na różne sposoby i przy różnych okazjach, wyrażał swój ostry sprzeciw

[94] Próby takie podejmował swego czasu Eugen Drewermann (ur. 1940), niemiecki teolog, psychoanalityk i psychoterapeuta, który 20 czerwca 2005 r. ogłosił w telewizji swoje odejście z kapłaństwa.

[95] Jan Paweł II, *Veritatis splendor...*, dz. cyt., par. 81.

[96] Postawa taka oznaczała, że dobry czyn to taki, który przynosi wymierną korzyść dla swojego sprawcy, zły z kolei, przeciwnie, korzyści nie przynosi.

względem wszelkiej formy „przystosowania się do obecnego świata". Uważał, że zadaniem chrześcijanina jest zmienić świat, nie zaś dopasowywać się do niego. Uczył, że uważa się za wierzącego, jest powołany do dawania czytelnego świadectwa o prawdzie, której dawcą jest Bóg, i że również Jego prawo ważniejsze jest od prawa ludzkiego; to ostatnie winno być podporządkowane prawu Bożemu.

Mówiąc to, papież chciał zarazem pokazać, że chociaż zadanie jest wielkie, jest ono możliwe; człowiek – ponieważ wspierany mocą z nieba – jest w stanie sprostać temu szlachetnemu zadaniu, czynić to, czego oczekuje od niego Bóg. Właśnie święci byli niezwykle przekonującym przykładem takiej postawy. Dlatego Jan Paweł II podczas pielgrzymek po różnych krajach prawie zawsze pozostawiał Kościołowi, który odwiedzał, nie tylko jasną naukę, ale również przykłady osób (błogosławionych czy świętych), które żyły Bożą prawdą, wprowadzały je w czyn i teraz cieszą się wiecznym szczęściem. Byli nimi właśnie święci i błogosławieni.

Spełniło się to również w dziewięciu pielgrzymkach papieża do Ojczyzny; nie tylko uczył Bożych przykazań, ale ukazywał swoim rodakom konkretne przykłady osób, które dały świadectwo życia Bożą prawdą, stawiając Boże prawo ponad prawo ludzkie, nawet za cenę ziemskiego życia, sławy czy przywilejów. Tak właśnie było podczas siódmej pielgrzymki do Polski, odbytej w dniach od 5 do 17 czerwca 1999 roku. Jej hasłem było zawołanie: „Bóg jest miłością". Jan Paweł II odwiedził aż dwadzieścia jeden miejscowości i beatyfikował stu ośmiu Polaków — męczenników z okresu drugiej wojny światowej. W swoich przemówieniach podkreślał rolę Kościoła w dokonujących się w Polsce przemianach ustrojowych, zwracał uwagę na znaczenie wartości etycznych w państwie demokratycznym i konieczność posłuszeństwa Bogu, dawcy norm moralnych. Poparł też wyraźnie kwestię integracji Polski z Unią Europejską. Po raz trzeci odwiedził rodzinne miasto Wadowice, gdzie – dialogując z jego mieszkańcami – powiedział znamienne słowa: „Tu, w tym mieście wszystko się zaczęło. I życie się zaczęło, i szkoła się zaczęła, i studia się zaczęły, i teatr się zaczął, i kapłaństwo się zaczęło".

Punktem kulminacyjnym pielgrzymki była Msza św. w Warszawie sprawowana na placu Zwycięstwa 13 czerwca 1999 roku. Podczas niej Jan Paweł II beatyfikował stu ośmiu męczenników drugiej wojny światowej. Wśród nich było również dwunastu męczenników poznańskich. W kazaniu beatyfikacyjnym mówił m.in.:

> „Wszechmogący, wieczny Boże, Ty dajesz nam nowe dowody swojej miłości, gdy pozwalasz Świętym uczestniczyć w Twojej chwale, spraw, aby ich modlitwa i przykłady pobudzały nas do wiernego naśladowania Twojego Syna" (Comune sanctorum et sanctarum, Collecta). Takie też wołanie zanosimy dziś, gdy podziwiamy przykład świadectwa, jakie dają nam wyniesieni przed chwilą do chwały ołtarzy błogosławieni. Żywa wiara, niezachwiana nadzieja i ofiarna miłość zostały im poczytane za sprawiedliwość, bo głęboko tkwili w paschalnym misterium Chrystusa. Słusznie zatem prosimy, abyśmy za ich przykładem wiernie podążali za Chrystusem[97].

Rola i misja świętych była ważna dla św. Jana Pawła II. Uważał ich za jasny, czytelny i trwały wzór najważniejszej prawdy na tej ziemi, która mówi, że Boga należy słuchać bardziej niż ludzi, że posłuszeństwo Bożym przykazaniom ważniejsze jest od posłuszeństwa prawu ludzkiemu. Święci i błogosławieni – uczył papież – są żywym świadectwem tego, że nauka Ewangelii nie posiada charakteru symbolicznego, jak chcieliby niektórzy, ale zawarte w niej prawdy i przykazania są historyczne; obowiązują wszystkich. Wszyscy ludzie zostaną rozliczeni w równy sposób, nawet ci, którym się wydaje się, że są ponad innymi, i którym zdaje się, że są twórcami praw obowiązujących innych. Oni również – tłumaczył papież – podlegać będą Bożemu osądowi.

---

[97] Jan Paweł II, *Świadkowie żywej wiary, niezachwianej nadziei i ofiarnej miłości.* Homilia podczas Mszy św. beatyfikacyjnej na placu Józefa Piłsudskiego. Warszawa, 13 czerwca 1999, https://opoka.org.pl/biblioteka/W/WP/jan_pawel_ii/podroze/pl-19990613_jp_homilia.html (19.11.2019).

Święci są obrońcami Bożej prawdy

Święci nie ulegają panice na widok szerzącego się zła czy niesprawiedliwości. Nie opłakują nieobecności Boga, ponieważ wierzą, że tak nie jest, że On żyje Nieprzerwanie. Są przekonani o Jego działaniu, mimo że często obecność Boga w świecie jest jakby ukryta, słabo widoczna, czy wręcz pozornie nieobecna. Święci przypominają sobie i współczesnym, że Bóg nie porzucił człowieka i dlatego Jego prawda jest nadal aktualna, a przykazania, które dał, obowiązują także dzisiaj. Zarówno samo istnienie Boga, jak również to, czego nauczał i czego wymagał, nie zależy od okoliczności, sytuacji, chwili, politycznych czy kulturalnych trendów, ale jest powszechne i ponadczasowe. Prawda, którą przekazał, jest jedna i ta sama, dana dla każdego i każdego obowiązuje. Wszystkich traktuje w równy sposób, poddając obiektywnej ocenie. Przyjęcie Bożej prawdy nie jest zależne od stanu posiadania, pozycji społecznej czy poziomu inteligencji, jest ona bowiem prawdą dotyczącą każdego w jednakowo mocny sposób.

Święci dali temu świadectwo. Byli wierni Bożej prawdzie w swojej codzienności, w mniejszych czy większych wyborach, a gdy pojawiła się taka konieczność, byli gotowi oddać również za nią swoje życie, wierząc, że otrzymają go w nadmiarze w przyszłym świecie. Święci żyli przekonaniem, że nie wystarczy znać Bożą prawdę, nie wystarczy o niej rozmawiać czy ją przepowiadać, ale rzeczą najważniejszą jest, aby stawać w jej obronie, kiedy jest taka potrzeba, i to niezależnie, czy okoliczności są sprzyjające czy nie. Święci i błogosławieni, jak pokazuje ich życie, byli bardziej zapatrzeni w Boga niż w świat i płynące z niego zagrożenia. Wierzyli bardziej w moc i skuteczność Bożego działania niż w siłę pokus. Wszyscy oni trwali zgodnie w przekonaniu, że Bóg nie tylko stworzył człowieka, ale że nadal jest mu bliski, opiekuje się nim, bo nie przestał go kochać, prowadząc sobie tylko znanymi drogami na spotkanie z Nim w wieczności. Święci byli w stanie wytrwać w wierności Bogu, bo się modlili. Modlitwa właśnie była tą więzią łączącą ich ze źródłem siły i życia.

Aktualność poznańskich błogosławionych

Kim byli poznańscy błogosławieni? Ci, którzy mnie interesują w tym momencie, to kolejno: bł. Edmund Bojanowski (1814–1871)[98], bł. siostra Sancja Szymkowiak (1910–1942), serafitka, oraz sześciu męczenników drugiej wojny światowej: bł. ksiądz Marian Konopiński (1907–1943), bł. ksiądz Józef Kut (1905–1942), bł. ksiądz Włodzimierz Laskowski (1886–1940), bł. ksiądz Narcyz Putz (1877–1942), bł. brat Józef Zapłata (1904–1945) i bł. brat Grzegorz Bolesław Frąckowiak SVD (1911–1943). Mamy wśród nich siedmiu mężczyzn i jedną kobietę.

Nie będę zatrzymywał się na każdym z nich, a tylko na kilku, aby podkreślić szczególność ich świadectwa oraz jego aktualność.

Mocnym głosem Ewangelii był bł. ksiądz Józef Kut (1905–1942), męczennik obozu koncentracyjnego Dachau. Świadkowie mówią, że nie skorzystał z możliwości zwolnienia z obozu zagłady za cenę wyrzeczenia się kapłaństwa. Pozostał wierny Bogu i swojemu powołaniu aż do utraty życia, aż do śmierci głodowej. Do grona świadków Chrystusa należy również bł. ksiądz Włodzimierz Laskowski (1886–1940), proboszcz z Lwówka, też więzień obozu w Dachau. Mężnie znosił szykany, przeciwności i cierpienia. Został pobity śmiertelnie tylko dlatego, że otwarcie przyznawał się do kapłaństwa, czyli do prawdy swojego życia, do swojej tożsamości, do tego, kim był i co robił, czemu (albo lepiej – Komu) oddał swoje życie, swój czas, zdolności, plany... Ks. Laskowski wiedział bardzo dobrze, że prawda, którą żył i którą przepowiadał, nie była jego własnością, ale własnością Boga, któremu należy się uległość i posłuszeństwo, nie zaś oprawcy. Stał na stanowisku, że tym, który ustanawia nienaruszalne prawa, jest Bóg, nie zaś niemiecki okupant. I chociaż poniósł za to śmierć, wierzył mocno, że Bóg jest dawcą życia wiecznego.

---

[98] Błogosławiony Edmund Bojanowski był osobą świecką, umieszczam go jednak w gronie osób duchownych jako założyciela Zgromadzenia Sióstr Służebniczek NMP.

Ofiarę miłości, której konsekwencją była śmierć, złożył również bł. brat Józef Zapłata (1904–1945), członek braci Serca Jezusowego, człowiek o wielkim sercu. Na kilka miesięcy przed wyzwoleniem obozu koncentracyjnego Dachau zgłosił się dobrowolnie do pielęgnacji chorych na tyfus, współwięźniów niemieckiego pochodzenia. Zmarł 19 lutego 1945 roku[99].

Nie tylko męczennicy drugiej wojny światowej byli świadkami i obrońcami Bożej prawdy i wiarygodnymi nauczycielami życia. Należał do nich również bł. Edmund Bojanowski (1814–1871), działacz społeczny, twórca ochronek wiejskich, założyciel Zgromadzenia Sióstr Służebniczek Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie Poczętej. Innym świadkiem Chrystusa, obrończynią Bożej prawdy i moralności, była osoba zakonna, bł. Sancja Szymkowiak (1910–1942), serafitka.

Wszyscy oni byli mądrymi i odważnymi świadkami obecności Boga w świecie. Na różne sposoby, czy to słowem, postawą, czy też czynami miłosierdzia świadczyli o tym, że prawda, zasady moralne nie są dziełem człowieka, lecz darem Boga (*teonomia*). Postawą swojego życia, wyborami, które podejmowali, uczyli prawdy, że człowiek jest w stanie osiągnąć pełną wolność, stać się autentycznie człowiekiem wtedy tylko, kiedy okaże posłuszeństwo Bogu i Jego przykazaniom. Zwrócił na to uwagę Jan Paweł II w kazaniu beatyfikacyjnym, kiedy charakteryzował życie bł. Edmunda Bojanowskiego. Powiedział wówczas:

> Apostolstwo miłosierdzia wypełniło również życie błogosławionego Edmunda Bojanowskiego. Ten wielkopolski ziemianin, obdarowany przez Boga licznymi talentami i szczególną głębią życia [duchowego], mimo wątłego zdrowia, z wytrwałością, roztropnością i hojnością serca prowadził i inspirował szeroką działalność na rzecz ludu wiejskiego. Wiedziony pełnym wrażliwości rozeznaniem potrzeb, dał początek licznym dziełom wychowawczym, charytatywnym, kulturalnym i religijnym,

[99] Obóz w Dachau został wyzwolony przez żołnierzy amerykańskich z 7 Armii gen. Pattona 29 kwietnia 1945 r.

> które wspierały materialnie i moralnie rodzinę wiejską. Pozostając świeckim człowiekiem, założył dobrze w Polsce znane Zgromadzenie Sióstr Służebniczek Bogarodzicy Dziewicy Niepokalanie Poczętej. We wszelkich działaniach kierował się pragnieniem, by wszyscy ludzie stali się uczestnikami odkupienia. Zapisał się w pamięci ludzkiej jako *serdecznie dobry człowiek*, który z miłości do Boga i do człowieka umiał skutecznie jednoczyć różne środowiska wokół dobra. W swojej bogatej działalności daleko wyprzedzał to, co na temat apostolstwa świeckich powiedział Sobór Watykański II. Dał wyjątkowy przykład ofiarnej i mądrej pracy dla człowieka, ojczyzny i Kościoła[100].

Pedagogiczny rys poznańskich błogosławionych jest ważny i niezwykle aktualny. Należą oni do ważnej kategorii ludzi, którzy „porządkują" świat, przywracają transcendencję i dopuszczają do głosu Boga. Na różne sposoby i przy pomocy różnych środków przywracali światu duchową równowagę, naprawiali zepsute relacje, naruszone lub całkowicie zniszczone przez galopujący humanizm, promujący etykę autonomiczną, niezależną od Bożych przykazań. Mimo czasowego oddalenia błogosławieni czynią to nadal. Przypominają ponadto ważną prawdę, że wszystko przemija, jedynie Bóg trwa i On jest jedynym Panem.

Hierarchia wartości, której służyli i w obronie której stawali święci i błogosławieni, była na wskroś ewangeliczna. Ich życie oraz głoszona przez nich prawda, nie była płynna czy rozmyta, ale osadzona na trwałym fundamencie Bożej prawdy. Z niej czerpali siłę i mądrość do *porządkowania* środowiska, w którym żyli lub w którym się znaleźli, zesłani tam przez władzę świecką, zaborczą czy władzę okupanta.

---

[100] Jan Paweł II, *Kazanie podczas Mszy św. beatyfikacyjnej 108 męczenników drugiej wojny światowej*, Warszawa, 13 czerwca 1999 r.

Prorok – świadek Bożej obecności w świecie

Kim jest prorok[101]? Czy można go przyrównać do osoby świętej, błogosławionej? Do pełnienia jakiej funkcji powołany był prorok i czy tę samą misję pełni święty/błogosławiony? Czyż nie jest on „nowym" prorokiem?

Czasownik hebrajski *nabach* (związany ze słowem *nabi* – prorok) oznacza kogoś, kto krzyczy, protestuje, niepokoi, mówiąc kolokwialnie – kogoś, kto „szczeka", „alarmuje", „wzywa do czujności". A zatem prorok w swojej funkcji podobny jest do *psa*, którego zadaniem jest „stać na straży" domu swego pana. Obowiązkiem psa jest ujadać, szczekać, zmuszając potencjalnego nieprzyjaciela do oddalenia się od domu pana. Analogiczna do tego była misja proroka – miał przypominać o Bogu i Jego przykazaniach. Mówić o prawdzie życia, o śmierci i życiu wiecznym, o sądzie ostatecznym, a wraz z nim o możliwej karze lub nagrodzie. Prorocy byli głęboko świadomi, iż „źródłem przesłania, które niosą ludziom, nie jest ich własne serce"[102], ale Bóg. W różnoraki sposób zapewniali oni słuchaczy, że ich słowa nie pochodzą od nich (por. Ez 13, 2), że ich dawcą jest Bóg.

Najważniejszą misją proroka nie było bynajmniej przepowiadanie przyszłości, ale przypominane o obecności Boga w świecie. To prawda, że niektóre z wypowiedzi proroków mogły mieć charakter przepowiedni o tym, co nastąpi w bliższym czy dalszym czasie, lecz nie to było głównym celem ich misji. Ponieważ prorok maksymalnie zbliżał się do Boga, zaczynał spoglądać na świat z Jego perspektywy. Autentyczny prorok w pierwszym rzędzie był określoną *informacją* od Boga. Jego funkcją było *pośredniczenie* między Bogiem a ludźmi, stąd po wypełnieniu zadania prorok znikał ze sceny. Dla wsłuchujących się w jego słowa był niejako przezroczysty, pozbawiony osobowości, unieważniony przez ogrom zadania, które zostało mu

[101] *Profeta*, w: J.L. McKenzie, *Dizionario Biblico*, [a cura di] Bruno Maggioni, Assisi 1978, s. 764n.

[102] A.J. Heschel, *Bóg szukający człowieka. Podstawy filozofii judaizmu*, tłum. A. Gorzkowski, Kraków 2007, s. 224.

powierzone. Prorok widział świat oczami Boga, dlatego uobecniał Jego punkt widzenia.

Prorok adresował swój przekaz do konkretnego odbiorcy – indywidualnego lub zbiorowego. Komunikował Bożą wolę, która dotyczyła konkretnej przyszłości. Zapewniał swoich słuchaczy, że mimo wielu zewnętrznych i wewnętrznych trudności, prześladowań, niewoli i ucisku itd. Bóg nie oddalił się od świata, nie zapomniał o swoim ludzie, nie wycofał swojej miłości. Ponieważ jest Bogiem żyjącym i działającym, do Niego należeć będzie ostateczne zwycięstwo. Przekaz proroka był orędziem nadziei; przydawał siły do wytrwania w przeciwnościach lub odwagi do ich zwalczania.

Prorok nie był wróżką ani jasnowidzem. Mówił jedynie to, co zlecił mu Bóg. Nie przekazywał osobistej mądrości czy doświadczenia, lecz wolę Najwyższego. Był przeźroczysty, był rodzajem duchowego *kanału*, przez który przepływa woda Bożej woli względem ludzi, aby ich podnieść na duchu lub skarcić. Św. Paweł pisał do Koryntian: „Ten zaś, kto prorokuje, mówi ku zbudowaniu ludzi, ku ich pokrzepieniu i pociesze" (1 Kor 14, 3). Ten sam charakter posiadały wypowiedzi proroków: niosły nadzieję i ufność, wlewały odwagę, dawały pocieszenie i zapewniały o ojcowskiej miłości Boga. Jeżeli było trzeba, karciły i groziły, nawołując do nawrócenia. Zapraszały również do pokuty, która była drogą do odnowienia przyjaźni z Bogiem i zyskania Jego miłosierdzia. Pouczał apostoł Paweł: „Ducha nie gaście, proroctwa nie lekceważcie. Wszystko badajcie, a co szlachetne – zachowujcie" (1 Tes 5, 19–21).

Prorocy i to, co mówili, było znakiem miłości Boga do ludu. Bóg korzystał z ich posługi słowa i przykładu, aby przypomnieć o Sobie, o należnym Mu posłuszeństwie i wierności oraz o przestrzeganiu Jego przykazań. Posługa proroka wpisywała się pośrednio w tę misję, o której mówił Jezus, że „jeszcze wiele mam wam do powiedzenia [...] ale teraz jeszcze znieść nie możecie. Gdy zaś przyjdzie On, Duch Prawdy, doprowadzi was do całej prawdy. Bo nie będzie mówił od siebie, ale powie wszystko, cokolwiek usłyszy, i oznajmi wam rzeczy przyszłe" (J 16, 12–13).

Bóg obdarzał proroków duchową siłą i mądrością, właściwą mową, umiejętnością korzystania z czynów, a wszystko po to, aby umieli przekonać odbiorców o autentyczności swojej misji i rzeczywistości Bożego głosu.

W życiu proroków najważniejsze było ich posłuszeństwo Bogu, mówienie tego, czego On żądał, i bycie tam, gdzie wysyłał. Prorocy nie zawsze znali sens swojej mowy, znaczenie znaków, które przekazywali, wierzyli jednak, że Bóg, który przekracza ich ludzkie rozumienie, zna ich sens i nośność. Wystarczyło im przekonanie, że czynią to, co zostało im zlecone przez Tego, który jest Panem nieba i ziemi. Jedynym ich zadaniem albo też jedynym wymogiem, jaki musieli spełnić i jakiego żądał od nich Bóg, było maksymalne otwarcie się na Niego, stanie się dobrym narzędziem w Jego rękach. Mówiąc inaczej – ich misją była misja świętych.

Święci — współcześni prorocy

Czy święci są prorokami? Pytanie nie jest nowe. Od zawsze otrzymywało ono pozytywną odpowiedź: święci czy błogosławieni pełnili rolę proroków, ponieważ byli głosem Boga dla tych, z którymi się spotykali. Byli też źródłem nadziei na końcowe zwycięstwo prawdy nad fałszem, dobra nad złością, miłości nad nienawiścią. Również błogosławieni „poznańscy" byli obrońcami Bożej prawdy, źródłem odwagi w czasie, kiedy wielu ogarniał lęk i zniechęcenie. Kiedy wielu miało wrażenie, jakby Bóg się ukrył, jakby zło stało się mocniejsze od dobra – nasi błogosławieni przeczyli temu, stając po stronie Boga, do którego należy ostateczne zwycięstwo. Było to wielkie zadanie, wyznaczone świętym przez Boga, któremu byli wierni, nawet za cenę życia.

Od zawsze Kościół odczytywał błogosławionych i świętych w obszarze dwóch ważnych charyzmatów, czyli *proroctwa* i *pracowitości*. Kościół widział w nich *proroków* obecności Boga w świecie,

zapracowanych w głoszeniu Jego chwały. Proroctwo i pracowitość są charakterystycznymi rysami świętych i błogosławionych. Na różne sposoby, przy użyciu różnych narzędzi i języka, święci/błogosławieni doświadczali bliskości mocy Boga i ją przepowiadali. Dawali świadectwo twórczej *obecności* Boga w świecie, w historycznym *tu i teraz*. Byli *zapracowanymi prorokami* za życia i nadal pracują bardzo intensywnie.

Błogosławieni i święci są darem Boga dla Kościoła. Są współczesnymi prorokami, którzy swoim życiem, słowem i czynami przypominają o Bogu, że jest, że daje przykazania i nagradza, że jest Panem historii i Jemu tylko należy się posłuszeństwo. Bóg nie potrzebuje proroków ani świętych, są mu zbyteczni. Potrzebują ich natomiast wierzący, niczym wody na pustyni. Są dla nich Bożą *iskrą*, która rozpala słabnącą często nadzieję na lepsze jutro, *światłem*, które wskazuje drogę wyjścia z sytuacji trudnych, a nawet pozornie bez wyjścia. Święci/błogosławieni są dowodem na to, że można wytrwać w wierze, dochować wierności i miłości, nawet w czasach trudnych, tragicznych. Są oni wreszcie *nauczycielami*, którzy nie tylko stawiają wymagania, ale idą wraz z nami przez życie, orędując, wypraszają Bożą pomoc. Uczą bojaźni Bożej i wierności trwania w Jego służbie. Są głosem i ręką Boga, Jego miłosierną obecnością pośród mizerii świata. W imieniu Najwyższego są wychowawcą Jego dzieci.

Św. Ireneusz z Lyonu (ok. 140–ok. 202), biskup, apologeta, ojciec Kościoła, męczennik, po wielekroć powracał do tego wymiaru. Adresatom swojego traktatu *Przeciw herezjom* mówił o edukacyjnej roli Boga w historii, którą pełni nadal poprzez posługę świętych. Pisał:

> Bóg sam nie potrzebował nigdy żadnej z tych rzeczy [tzn. przybytku, budowy świątyni, ustanawiania lewitów, składania ofiar i całopaleń, oczyszczeń rytualnych i tego wszystkiego, co dotyczyło służby kultu — Z.K.]. Zanim jeszcze bowiem Mojżesz począł istnieć, On już był zawsze pełen wszelkich dóbr, mając w sobie wszystką woń słodyczy i dymy kadzideł o przeróżnych zapachach. To On wychowywał ów lud, który tak łatwo skłaniał się

> ku bożkom, usposabiając go przez liczne przywileje do wytrwania w służbie Bożej i powołując go przez to, co drugorzędne, do spraw istotnych, to znaczy przez alegorie do prawdy, przez rzeczy doczesne do wiecznych, przez cielesne do duchowych tak, jak to powiedział Mojżesz: „Wszystko uczynisz według wzoru, jaki zobaczyłeś na górze".
>
> On sam bowiem przez czterdzieści dni uczył się zachowywać mocno w pamięci słowo Boże i niebieskie znamiona oraz duchowe obrazy i figury rzeczy przyszłych, jak to mówi św. Paweł: „Wszyscy pili z idącej za nimi skały, a skałą tą był Chrystus". Potem zaś po przypomnieniu wydarzeń, o których mówi Prawo, dorzuca: „A wszystko to przydarzyło się im jako zapowiedź rzeczy przyszłych, spisane zaś zostało ku pouczeniu nas, których dosięga kres czasów". Izraelici zatem przez figury uczyli się bojaźni Boga i trwania w Jego służbie. Tak więc Prawo było dla nich zarówno szkołą wychowania, jak i proroctwem o rzeczach, które miały się dokonać[103].

Prorocy są świadkami Bożego działania w świecie. Uczą bojaźni Bożej i wiernego trwania w Jego służbie. Ich życie jest szkołą wychowania i jednocześnie proroctwem, że wierność Bogu popłaca.

Przyszłość świata potrzebuje świadków prawdy

Czy współczesność potrzebuje świętych męczenników, nauczycieli prawdy, przewodników? Na pozór odnosi się wrażenie, jakby ich nie potrzebowała. Człowiek dzisiejszy zdaje się bardziej cenić świętych taumaturgów, błogosławionych, którzy działają cuda, pocieszają, uzdrawiają, leczą rany itd. Dalsi są mu natomiast święci jako nauczyciele wiary i obyczajów, pedagodzy, którzy stawiają wysokie wymagania i sami postępują zgodnie z nimi. Ruch pielgrzymkowo-turystyczny skierowany jest raczej do miejsc, gdzie spoczywają relikwie świętych taumaturgów. Groby męczenników, ludzi świętych,

[103] Ireneusz z Lyonu, *Przeciw herezjom*, (księga 4, 14.2–3; 15,1). *Liturgia godzin*, t. II: Środa II *Wielkiego Postu*, s. 143–144.

gorliwych w swojej służbie, wiernych prawdzie czy powołaniu są rzadziej odwiedzane, a nawet ignorowane. Człowiekowi naszych czasów święty *cudotwórca* wydaje się być bliższy niż święty *pedagog, nauczyciel* dobrego życia. Dlaczego? Trudno udzielić jednoznacznej i pełnej odpowiedzi, która nierzadko ma odcienie natury duchowej i psychologicznej, ale także egzystencjalnej czy ekonomicznej.

Człowiek współczesny, w tym również wierzący, raczej rzadko pyta: Jak żyć? W jaki sposób postawić Boga na pierwszym miejscu? Jak wysoka jest cena za wierność Bogu? Bywa, że prosi Boga o mądrość życia, lecz znacznie częściej prosi o Jego pomoc w życiu, które przeżywa, nawet wtedy, gdy odbiega ono od wskazań Ewangelii. Rzadko też prosi o łaskę prawdy, nawrócenia, pojednania, pokuty, wytrwania w dobrym, cierpliwości, miłości..., bardzo często natomiast o szczęście, pomyślność, zdrowie, dobrą i dobrze płatną pracę czy zgodę. Rośnie liczba wiernych, którzy nie pytają świętych, jak żyć, proszą ich natomiast o szczęście, które zaplanowali sami dla siebie. Oczekują od świętych cudów, które uczynią ich życie miłym, przyjemnym, pełnym radości i materialnego dobrobytu. Odnosi się wrażenie, jakoby współcześni wierni mniej pytali o przewodników w dobrym życiu, bardziej zaś szukali lekarzy dla swoich chorób.

Zdecydowana większość mieszkańców tego świata nie pyta o *cele* (ważne lub mniej ważne), ale o *środki* (narzędzia) do realizacji tego, co sami uznali dla siebie za ważne i co, jak sądzą, przyniesie im szczęście lub pomnoży przyjemność już posiadaną. Jednym słowem wielu wierzących dzisiaj udaje się chętnie z pielgrzymką do świętych, którzy czynią cuda, nie zaś do świętych – nauczycieli odwagi, wzywających do *metanoi*, czyli zawrócenia z drogi niepewnej czy wręcz grzesznej, aby wstąpić na drogę Bożych przykazań.

* * *

Święci/błogosławieni są nauczycielami wiary, świadkami prawdy Bożej, przyjaciółmi ludzi. Podobni są do miłosiernego Samarytanina, podnosząc upadłych, przypominając im o godności, którą otrzymali, i zachęcając do pójścia na spotkanie z Bogiem. Takich świętych

potrzebuje Kościół i współczesność. Są bardzo aktualni, wręcz nieodzowni dla tych, którzy są w drodze przez życie. Święci i błogosławieni dają świadectwo wiary, niezachwianej nadziei i ofiarnej miłości. Za życia tkwią głęboko w paschalnym misterium Chrystusa, natomiast po śmierci żyją z Nim w wieczności.

Święci są prorokami. Kiedy widzimy w nich tylko taumaturgów, świętych czyniących cuda, odzieramy ich z tego, co jest najważniejsze, czyli z proroctwa. Tylko jako procy, święci i błogosławieni uczą nas „powstrzymać" proces *odczarowania świata*, pomagają nam przywracać na nowo do głosu Boga, nadawać światu nowy, eschatologiczny wymiar, utracone sacrum, nieodzowne dla jego historii.

Nadzieja większa niż życie
Św. Brat Albert

Jak w pełni zrozumieć świętego? Jakiego klucza użyć, aby wejść w świat jego pragnień, celów...? Czym tłumaczyć jego odwagę bycia dobrym, kiedy wokół dobra brak, a nawet gorzej, jest tylko i wyłącznie zło? Skąd święty (lub święta) czerpał siłę (i środki), aby pomagać potrzebującym, skoro po ludzku tej siły nie posiadał i nie był obficie wyposażony w środki materialne? Dlaczego się nie poddawał, jak poddawało się wielu, których znał i których spotykał, którzy – być może – wręcz mówili mu, aby przestał i wrócił do „normalności"?

Życie tylko pozornie chaotyczne

Adam Bernard Hilary Chmielowski, znany następnie jako Brat Albert, urodził się w Igołomi pod Krakowem 20 sierpnia 1845 roku, zmarł zaś w Krakowie 25 grudnia 1916 roku. Pobierał nauki w Szkole Rolniczo-Leśniej w Puławach. Będąc wielkim patriotą, zaangażował się w działalność polityczną i wziął udział w powstaniu styczniowym. W jednej z bitew 1 października 1863 został ranny. Musiano mu amputować nogę, wstawiając w jej miejsce drewnianą protezę. Przyjaciele pomogli mu w ucieczce ze szpitala, ukrywając go w trumnie. Po tym zdarzeniu udał się na emigrację. Najpierw zamieszkał w Gandawie w Belgii, gdzie rozpoczął studia inżynierskie. Nie trwało to jednak

długo, bo szybo odkrył talent malarski i, aby go rozwijać, postanowił udać się do Paryża, a następnie do Monachium. Do kraju wrócił w 1874 roku, stając się znanym i popularnym artystą w Krakowie. Malarzem pozostał do roku 1885. Sława nie dawała mu jednak ani przyjemności, ani zadowolenia, przeciwnie – wprawiała wręcz w depresję, w związku z czym był nawet hospitalizowany. Coraz bardziej zaczął cenić życie pośród i dla ludzi, szczególnie dla tych, którymi inni pogardzali lub cenili zbyt mało. Powiedział o nim kiedyś kardynał Karol Wojtyła: „Rzucony na kolana przed majestatem Bożym, upadł na kolana przed majestatem człowieka i to najbiedniejszego, najbardziej upośledzonego, przed majestatem ostatniego nędzarza". Podjął służbę w schroniskach dla bezdomnych w Krakowie. Spotkanie z ludźmi z marginesu było inspiracją do namalowania jednego ze swoich najbardziej znanych dzieł, zatytułowanego *Ecce Homo*. Obraz przedstawia Jezusa Chrystusa w koronie cierniowej.

Lata głębokiej refleksji sprawiły, że Chmielowski porzucił karierę malarską. 25 sierpnia 1887 roku stał się tercjarzem franciszkańskim i zaczął nazywać się „Albertem". Śluby zakonne złożył rok później na ręce kard. Albina Dunajewskiego i zamieszkał pośród biednych, akceptując życie żebraka. Zamieszkał w krakowskiej miejskiej ogrzewalni razem z bezdomnymi i tułaczami, z alkoholikami i przeżywającymi przeróżne dramaty życiowe. Zostawił dla nich wszystko. Zrozumiał, że tylko w taki sposób będzie w stanie dać tym ludziom prawdziwą nadzieję; nadzieję pochodzącą od Boga. Poszedł drogą heroicznej miłości. Ofiarował nie tylko coś od siebie, ale przede wszystkim dał im samego siebie. Takim stylem życia potrafił zainspirować innych, zyskując sobie miano „najpiękniejszego człowieka swego pokolenia"[104]. W 1888 dał początek zgromadzeniu zakonnemu braci

[104] *Idźmy naprzód z nadzieją!* – List pasterski Konferencji Episkopatu Polski zapowiadający XVII Dzień Papieski obchodzony 8 października 2017 r., https://misericors.org/idzmy-naprzod-z-nadzieja-list-pasterski-konferencji-episkopatu-polski-zapowiadajacy-xvii-dzien-papieski-obchodzony-8-pazdziernika-2017-r/ (06.04.2020).

albertynów, a trzy lata później, 15 stycznia 1891 roku, powołał do istnienia zgromadzenie sióstr albertynek.

Ktoś, patrząc z zewnątrz, mógłby powiedzieć, że jego życie było chaotyczne, mało poukładane, nieuporządkowane. Był bowiem powstańcem, studentem inżynierii, malarzem, następnie prawie bezdomnym, żebrakiem, a wreszcie osobą zakonną, założycielem, świętym. Czy istotnie brakowało w tym wszystkim idei przewodniej, czegoś, co wiązało wszystkie te aspekty w jedną spójną całość? Myślę, że było nią szczere i bezinteresowne poszukiwanie autentycznej głębi i sensu życia. To sprawiło, że pozwalał prowadzić się Bogu, realizując to, czego On oczekiwał od niego. Pośmiertnie, w roku 1938, Wielką Wstęgę Orderu Polonia Restituta za wybitne zasługi, zarówno w działalności niepodległościowej, jak i na polu pracy społecznej, przyznał mu prezydent Polski Ignacy Mościcki. W 1983 roku został beatyfikowany, a w 1989 roku kanonizowany.

Żyć nadzieją na ukryty sens życia

Wróćmy do pytań ze wstępu. Co zatem sprawiło, że z Adama zrodził się Albert, że z człowieka zwyczajnego zrodził się święty? Myślę, że siłą przemieniającą życie (każdego) człowieka jest nadzieja obleczona w szaty miłosierdzia. Dzięki niej Adam, a później Brat Albert, spoglądał z chrześcijańską nadzieją w przyszłość, widząc w niej przyszłą niepodległość Ojczyzny, siebie czy biednych, którym posługiwał. Wszędzie i we wszystkim, i to mimo takich czy innych trudności, starał się dostrzegać głębszy sens tego, czego doświadczał lub czego był świadkiem. Dzięki wierze, która był dla niego źródłem nadziei, uczył się pokonywać swoje słabości, zachęcając do tego również innych.

Był nosicielem nadziei w środowiskach, w których postawił go Pan. Nadzieja, którą żył, pełna była wiary w Boże miłosierdzie. Ufał mocno, że Bóg jest mocny i przebacza, że miłuje człowieka i jest

gotów pomóc mu wyjść z egzystencjalnej nędzy; oczekuje jednak, że ten o to poprosi. Św. Brat Albert żył siłą wiary i miłosierdzia; to były dwie siły, które zmieniały jego i ludzi, wśród których zamieszkał. Bogactwo swojego ducha przekazał założonym przez siebie wspólnotom: albertynom i albertynkom, każąc im żyć wiarą w godność każdego człowieka i z nadzieją czynić miłosierdzie, które jest jedynie właściwą siłą zdolną zmienić potrzebującego, czyniąc go na nowo stworzeniem na Boży obraz.

Wiara z Boże miłosierdzie nie tylko ukazuje źródła niewyczerpanej energii świętego; jest ona także jego siłą do przemiany świata, w którym żyje. Wiara w Boże miłosierdzie jest dla każdego niezbędnym impulsem, mocną zachętą, aby naśladując świętych, sam stał się osobą wierzącą i czyniącą dzieła miłosierdzia.

Potrafił wznosić się ponad trudności

Rok 2017 został decyzją Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej ustanowiony Rokiem św. Brata Alberta. Obchody rozpoczęły się 25 grudnia 2016 roku, w dniu setnej rocznicy śmierci Świętego. Rok Albertyński stał się dobrą okazją, aby przybliżyć wiernym tę szczególną postać i to, co zrobił, szczególnie dla ludzi „bez twarzy", czyli opuszczonych, biednych, ludzi z marginesu, mocno poobijanych przez życie, bez nadziei i wiary na lepsze. Do postaci Brata Alberta powrócono w cytowanym wcześniej Liście pasterskim Konferencji Episkopatu Polski *Idźmy naprzód z nadzieją,* który zapowiadał XVII Dzień Papieski, obchodzony 8 października 2017 roku. Biskupi polscy podkreślili w nim cnotę nadziei jako coś charakterystycznego w życiu krakowskiego Świętego. Pisali:

> Przeżywamy obecnie rok Świętego Brata Alberta. Niewątpliwie był to człowiek, który potrafił dojrzewać w nadziei i miłości. Nie poddawał się, gdy przychodziły trudności, których doznał wiele. Był przy tym niezwykle konsekwentny w swych wyborach życiowych. Pozwolił, by kształtowała

> go miłość – jak napisał o nim młody kapłan Karol Wojtyła w dramacie pt. *Brat naszego Boga*. Życie św. Brata Alberta wydaje się mówić, że głęboko przyjęta chrześcijańska nadzieja nie jest indywidualistyczna, prowadzi do innych, zwłaszcza do potrzebujących. Nie cofa się przed cierpieniem, jest zdolna do wyrzeczeń, promieniuje na innych i ich inspiruje[105].

Do osoby Brata Alberta Jan Paweł II wrócił również w swoich wspomnieniach *Dar i Tajemnica*, gdzie pisał: „Dla mnie jego postać miała znaczenie decydujące, ponieważ w okresie mojego własnego odchodzenia od sztuki, od literatury i od teatru, znalazłem w nim szczególne duchowe oparcie i wzór radykalnego wyboru drogi powołania”[106]. Lecz nie on jeden widział w Świętym krakowskiego Kazimierza „oparcie i wzór”. Takich jak Karol Wojtyła/Jan Paweł II było i jest nadal bardzo wielu.

Nigdy się nie poddał

List biskupów, opublikowany w Zakopanem 7 czerwca 2017 roku, patrzył na życie Brata Alberta przez pryzmat nadziei. Biskupi zdawali się dostrzegać w niej jakiś szczególny rys w życiu Świętego. Czy istotnie nadzieja była tak ważna w jego życiu? Bardzo wiele wskazuje, że tak właśnie było, o czym przekonuje nas przedstawiane, bardzo zresztą pobieżnie, jego życie. Spójrzmy przelotnie jeszcze raz na nie.

Po ludzku sądząc, życie Adama Chmielowskiego skazane było na niepowodzenie: syn zubożałego szlachcica, biednego urzędnika komory celnej, sierota i okulawiony, uczestnik nieudanego powstania, później wygnaniec i tułacz, niedoszły inżynier, a wreszcie dobrze zapowiadający się malarz, który kończy karierę w miejskiej ogrzewalni, mieszkając z alkoholikami, biednymi i bez dachu nad głową... Patrząc od strony ludzkiej, jego życie przypominało porozrzucane

---

[105] *Idźmy naprzód z nadzieją!...*, dz. cyt.

[106] Jan Paweł II, *Dar i Tajemnica. W pięćdziesiątą rocznicę moich święceń kapłańskich*, Kraków 1996, s. 33.

klocki Lego. Nic nie zapowiadało pomyślnego końca. Rozsypane fragmenty życia i historii starał się złożyć w pewną całość, nadać mu sens, znaczenie, pewien cel, lecz przychodziło to z trudem, kosztowało wiele pracy i mozołu..., bardzo wiele nadziei, że w ogóle coś takiego jak „życie udane" ma sens i że on może je zrealizować.

Musiał, siłą rzeczy, być człowiekiem mocnej nadziei. Musiał ufać, że mimo wszystko, mimo tylu różnych przeciwności, uda mu się osiągnąć coś sensownego. Jego nadzieja była większa niż wydarzenia, w których uczestniczył. Zakotwiczona była bowiem nie w tym, co widział i czego doświadczał, lecz w czymś innym, głębszym, niewidzialnym. Nie znał jeszcze dobrze owego „źródła" swojej nadziei na życie udane, ale się nie poddawał. Nie wątpił, że je w końcu znajdzie. Tymczasem nie rezygnował z wysiłku, nie narzekał, szukając wytrwale głębszego sensu swojego życia. Wierzył, i nawet jeżeli jego wiara nie była jeszcze wystarczająco mocna, prowadził z nią wewnętrzny dialog, otwierał się powoli na jej światło, stając się uczniem Boga. Ciągle ją pogłębiał. Odkrywał coraz mocniej i wyraźniej wolę Boga. Studium malarskie nad *Ecce Homo* było momentem zwrotnym. Malując twarz Chrystusa ubiczowanego i cierpiącego, odkrył to, czego oczekiwał od niego Bóg. Rozpoznał w biednych i porzuconych cierpiącą twarz Syna Bożego. Zbliżył się więc do nich, stał się jednym z nich, mając nadzieję zmienić ich życie, pomóc odkryć im obecnego w nich Chrystusa i ich powołanie do bycia na Jego obraz.

Był nadzieją dla tych bez nadziei

Czym jest nadzieja? Jak ją odczytać i w jaki sposób zastosować w życiu? Temat przybliżył papież Franciszek w Liście apostolskim *Misericordia et misera*, opublikowanym 21 listopada 2016 roku na zakończenie nadzwyczajnego roku jubileuszowego. Opisując współczesną sytuację kulturową i społeczną, zauważa, że:

> W kulturze często zdominowanej przez technikę jest jakby coraz więcej różnych form smutku i samotności, w które popadają ludzie, także wielu młodych. Przyszłość rzeczywiście zdaje się być zakładnikiem niepewności, która nie pozwala na osiągnięcie stabilizacji. W ten sposób często rodzą się uczucia melancholii, smutku i nudy, które mogą powoli doprowadzić do rozpaczy. Potrzebni są świadkowie nadziei i prawdziwej radości, aby odpędzić iluzje, które obiecują łatwe szczęście ze sztucznymi rajami. Głęboka pustka wielu osób może być wypełniona przez nadzieję, jaką nosimy w sercach, z wypływającą z niej radością. Istnieje wielka potrzeba poznania radości, która objawia się w sercu dotkniętym przez miłosierdzie. Doceńmy zatem słowa Apostoła: „Radujcie się zawsze w Panu" (Flp 4, 4; por. 1 Tes 5, 16)[107].

Papież apeluje o nadzieję. Zgłasza potrzebę ludzi mocnych nadzieją, gotowych na czyny pełne miłości. Lecz w tym samym momencie rodzi się pytanie, gdzie szukać nadziei? Gdzie jest jej źródło? A kiedy się pojawi, czym ją umacniać? Co czynić, aby nie wygasła, ale narastała? Myślę, że odpowiedzią są słowa Benedykta XVI, który w Encyklice *Spe salvi*, opublikowanej 30 listopada 2007 roku, pisał:

> Pierwszym istotnym miejscem uczenia się nadziei jest modlitwa. Jeśli nikt mnie już więcej nie słucha, Bóg mnie jeszcze słucha. Jeśli już nie mogę z nikim rozmawiać, nikogo wzywać, zawsze mogę mówić do Boga. Jeśli nie ma już nikogo, kto mógłby mi pomóc – tam, gdzie chodzi o potrzebę albo oczekiwanie, które przerastają ludzkie możliwości trwania w nadziei – On może mi pomóc[108].

Bóg, który przychodzi do człowieka podczas modlitwy, przynosi lub umacnia nadzieję większą od trudności, które niepokoją jego

---

[107] Franciszek, *List apostolski Misericordia et misera*, opublikowany 21 listopada 2016 na zakończenie nadzwyczajnego roku jubileuszowego, http://www.vatican.va/content/francesco/pl/apost_letters/documents/papa-francesco-lettera-ap_20161120_misericordia-et-misera.html, n. 3 (06.04.2020).

[108] Benedykt XVI, Encyklika *Spe salvi*, opublikowana 30 listopada 2007, http://www.vatican.va/content/benedict-xvi/pl/encyclicals/documents/hf_ben-xvi_enc_20071130_spe-salvi.html, n. 32 (06.04.2020).

serce. Od tej chwili człowiek nie jest już całkowicie samotny. Kiedy się modli, słucha Boga i ma możliwość mówienia do Niego, dzięki czemu rośnie w nim siła nadziei. Jej owocem jest świadomość bliskości Boga, który wszystko może, a w Nim również wiele może ten, kto się modli. W sercu człowieka rodzi się wówczas odwaga i zarazem chęć powstania z biedy, w której się znajduje, uwolnienia się ze swoich trudności, wyjścia z grzechu i rozpoczęcia nowego życia. Odtąd człowiek, nawet w sytuacji trudnej, widzi drogę wyjścia, sposób na rozwiązanie swoich problemów.

Brat Albert modlił się i wzrastał w nadziei. Ufał w Boże miłosierdzie względem siebie i innych, dlatego zdecydował się zamieszkać w miejskiej ogrzewalni, aby przywrócić nadzieję na lepszą przyszłość tym, którzy w niej żyli. Ludziom z marginesu przypominał z odwagą o ich powołaniu do bycia dziećmi Boga. Udał się do krakowskiej ogrzewalni nie po to, aby w niej pozostać. Poszedł tam z nadzieją wprowadzenia dotychczasowych jej mieszkańców na nowo do życia w godności. Żył mocną nadzieją, ufał siłą wiary, że pomoże mu w tym Jezus Chrystus, który na długo przed nim stał się „dobry jak chleb". Mówił im więc o Bogu pełnym miłości i dobroci, o Bogu dobrym jak codzienny chleb. Żył Ewangelią i zachęcał ich, aby czynili to samo. Pociągał ich swoim przykładem. Po latach nawiązał do tego papież Benedykt XVI, który pisał, że:

> Kto nie zna Boga, chociaż miałby wielorakie nadzieje, w gruncie rzeczy nie ma nadziei, wielkiej nadziei, która podtrzymuje całe życie (por. Ef 2, 12). Prawdziwą, wielką nadzieją człowieka, która przetrwa wszelkie zawody, może być tylko Bóg – Bóg, który nas umiłował i wciąż nas miłuje „aż do końca", do ostatecznego „wykonało się!" (por. J 13, 1; 19, 30)[109].

[109] Benedykt XVI, *Spe salvi...*, dz. cyt., n. 27.

Nadzieja na przywrócenie godności

Kiedy nadzieja jest większa niż życie, kiedy jest przepełniona miłosierdziem, znaczy, że może życie zmienić, nadać mu nową, głębszą wartość. A wówczas pełno w nim konkretnych miłosiernych gestów i słów. Nadzieja bogata w miłosierdzie wybiega w przyszłość; już teraz pozwala marzyć o życiu nowym, lepszym, doskonalszym. Pozwala wierzyć, że nawet kiedy ktoś słaby, może – z Bożą pomocą – odmienić się i stać się mocnym, że może naprawić to, co uległo zepsuciu lub co zostało wypaczone. Taki człowiek ma nadzieję, że Bóg przywróci mu godność, ktorej się pozbawił, grzesząc.

Doświadczał tego św. Brat Albert, stając się światłem nadziei na lepszą przyszłość dla mieszkańców krakowskiej ogrzewalni. Postawą i słowami uczył, że nad cierpiącym, błądzącym człowiekiem pochyla się sam Chrystus, zwraca ku niemu swoje miłosierne Oblicze, podnosi z upadku i pomaga iść dalej z godnością. Odtąd Chrystus jest jego nadzieją i siłą na lepsze życie. Bóg jest pełen miłosierdzia. Jest gotów pomóc każdemu, kto upadł, aby stanął na nogi, zerwał z tym, co czyni go małym, co zamazuje powołanie do bycia na obraz i podobieństwo Boże. Bóg daje się każdemu, kto o to prosi. Ten rodzaj nadziei jest więc źródłem optymizmu, ale też i siły.

Przypomniał tę prawdę św. Jan Paweł II. W Encyklice *Dives in Misericordia*, opublikowanej 30 listopada 1980 roku, święty Papież pisał, że całe życie Pana Jezusa, Jego słowa i czyny, objawiają Boga Ojca bogatego w miłosierdzie, który zbliża się do człowieka, pragnąc go podnieść z upadku i przywrócić mu godność dziecka Bożego.

Do osoby Jezusa Chrystusa, pełnego nadziei miłosiernej, nawiązał również papież Franciszek w Bulli *Misericordiae vultus*, opublikowanej 11 kwietnia 2015 roku, w wigilię II niedzieli wielkanocnej, nazywanej Niedzielą Miłosierdzia. Pisał:

> Jezus Chrystus jest obliczem miłosierdzia Ojca. Wydaje się, iż tajemnica wiary chrześcijańskiej znajduje w tym słowie swoją syntezę. Ono stało się żywe, widoczne i osiągnęło swoją pełnię w Jezusie z Nazaretu. Ojciec

„bogaty w miłosierdzie" (por. Ef 2, 4), gdy objawił Mojżeszowi swoje imię: „Bóg miłosierny i litościwy, cierpliwy, bogaty w łaskę i wierność" (Wj 34, 6), sprawił, że człowiek mógł nieprzerwanie poznawać Jego boską naturę na różne sposoby i w wielu momentach historii[110].

Jan Paweł II i Franciszek mówią jasno, że autentyczne miłosierdzie i wielka nadzieja na jego otrzymanie, nie jest *czymś*, ale *Kimś*. Uczą, że nadzieja posiada konkretne, osobowe oblicze, a jest nim Jezus Chrystus. Boży Syn jest źródłem nadziei. Każdy człowiek, a tym bardziej ten, kto doświadcza słabości, kto żyje na marginesie życia, nadal jest Jego dzieckiem, powołanym do wspólnoty ze swoim Stwórcą, do zbawienia. Fakt ten posiada liczne konsekwencje. Jedną z najważniejszych jest ta, że aby móc mówić poprawnie o miłosierdziu, trzeba koniecznie poruszać się w obszarze wartości, jakimi jest wiara, nadzieja i miłość. Podważenie ich lub niedostateczne uwzględnienie szkodzi miłosierdziu.

Obszar wartości, w ramach których dokonuje się miłosierdzie, które w nadziei odkrywa swoje zakorzenienie, jest istotny. Wartości te, czyli wiara, nadzieja i miłość, są nieodzownym *tłem*, w kontekście którego (lub też na którym) można odczytać najważniejsze bolączki i problemy człowieka każdego czasu i miejsca, szukając zarazem sposobów na ich rozwiązanie. Kiedy brak wiary, nadziei czy miłości (zawsze bowiem występują wspólnie), bardzo trudno uzasadnić miłosierdzie. Nie ma też siły ani powodu, aby podejmować czyny dobroci względem potrzebujących czy odrzuconych.

Miłosierdzie, mocne nadzieją, zanim stanie się łańcuchem określonych czynności, jest wpierw apelem o odnowienie wiary, nadziei i miłości. W ich świetle objawia się dopiero pełna prawda o człowieku i świecie, ich pochodzeniu, powołaniu i otrzymanej misji. Głosić prawdę, pełną prawdę o świecie i człowieku, o Bogu, który dał początek ich wspólnej historii i który będzie zarazem jej zwieńczeniem,

[110] Franciszek, List apostolski *Misericordiae vultus*, www.vatican.va/content/francesco/pl/apost_letters/documents/papa-francesco_bolla_20150411_misericordiae-vultus.html (06.04.2020).

a tym samym również jej Sędzią, jest niezwykle ważną kwestią w obszernym temacie miłosierdzia. Ewangeliczna prawda o świecie, w którym żyje człowiek i w którym się rozwija, jest niewątpliwie jednym z najważniejszych wymiarów miłosierdzia. Był on ważny od zawsze, ale jego wartość wzrasta proporcjonalnie do stopnia zacierania tej prawdy, czy w ogóle prawdy jako takiej. W płynnej rzeczywistości postaw i celów, tak typowych dla współczesności, głoszenie prawdy, która wyrasta z Boga i do Niego prowadzi, jest czymś nad wyraz istotnym, jest wielkim miłosierdziem. Świadkiem tego był św. Brat Albert.

W świetle prawdy o Bogu i wszechmocy Jego miłości, która objawiła się najpełniej w osobie Jezusa Chrystusa, oraz prawdy o człowieku, powołanym na „obraz i podobieństwo" Boże, lecz zarazem słabym i upadającym, temat miłosierdzia znajduje swoje uzasadnienie. Warto o tym przypominać i nie ustawać. Odnosi się bowiem nierzadko wrażenie, jakby miało miejsce coś zupełnie (lub prawie zupełnie) odwrotnego, jakby współczesność była skłonna milczeć o prawdzie Jezusa Chrystusa i człowieka. Niewiele się mówi, a jeszcze mniej pisze, publikuje o prawdzie (dogmatycznej, moralnej, społecznej itd.), o wymaganiach, jakie stawia wiara, do czego zobowiązuje i przed czym przestrzega. Mówi się tymczasem wiele o czynach miłosierdzia, które jednak, pozbawione chrześcijańskiej nadziei, stać się mogą wręcz prozaiczne. Właśnie w temacie miłosierdzia mądrość musi koniecznie wyprzedzać działanie. W tym kontekście jest również miejsce dla nadziei, która wychodzi daleko poza aktualny stan człowieka, zarzucając swoją kotwicę w planach Bożych względem niego.

W kulturze płynnych wartości i płynnych celów Brat Albert mówił o Bożej prawdzie, która jest pełna czynów miłości. Właśnie prawda o Bogu, który objawił się w całej pełni, ostatecznie, w swoim Synu Jezusie Chrystusie, jest nieodzownym „tłem" do zrozumienia znaczenia i sensu miłosierdzia. Jest „tłem", które jednocześnie jest niewyczerpanym źródłem siły. Mówi bowiem autor Księgi Syracha: „Nie bądź odważny w języku, a gnuśny i leniwy w swych czynach" (4, 29).

* * *

Nadzieja nosi oblicze miłosierdzia i posługuje się konkretnymi ludźmi, którzy są jej świadkami. Jednym z nich był Brat Albert. Żyjąc nią, starał się spojrzeć z miłosierdziem na siebie i otoczenie. Mimo różnych trudnych doświadczeń, kalectwa, biedy, nie stracił ufnej nadziei, że jego życie ma głębszy sens. Wiarą tą dzielił się następnie z potrzebującymi, tłumacząc im, że są w stanie uwolnić się od słabości, zerwać z wadami, odzyskać utraconą równowagę i wrócić do życia w społeczeństwie. Żył mocną nadzieją, że w ostateczności dobro okaże się zwycięskie w jego życiu i życiu innych, że ich egzystencja nabierze właściwego sensu. Jan Paweł II w *Dives in Misericordia* w taki właśnie sposób starał się odczytać tajemnicę miłosierdzia. Kontemplował ją przez pryzmat nadziei, że dobro człowieka, jego godność, jego pełny rozwój... odzyskają należny im blask. Pisał:

> Relacja miłosierdzia opiera się na wspólnym przeżyciu tego dobra, którym jest człowiek, na wspólnym doświadczeniu godności, która jest jemu właściwa [...]. W swoim właściwym i pełnym kształcie miłosierdzie objawia się jako dowartościowanie, jako podnoszenie, jako wydobywanie się dobra spod wielkich nawarstwień zła, które jest w świecie i w człowieku [...]. Miłosierdzie odpowiada nie tylko najgłębszej prawdzie owej miłości, którą jest Bóg (i która jest Bogiem), ale także całej wewnętrznej prawdzie człowieka i świata[111].

Miłosierdzie ma wewnętrzny kształt takiej miłości, którą w języku Nowego Testamentu nazwano *agape*, mocno powiązanej z wiarą i nadzieją. Miłość taka zdolna jest do pochylenia się nad każdym synem marnotrawnym, nad każdą ludzką nędzą, nade wszystko zaś nad nędzą moralną, nad grzechem. Ten, który doznaje tego rodzaju miłości, nie czuje się poniżony, ale, owszem, odnaleziony i „dowartościowany". Bóg Ojciec, na różne sposoby, ukazuje mu radość z tego, że „się odnalazł", że „ożył". Jego radość wskazuje na dobro nienaruszone, że syn, nawet zagubiony, nie przestał być autentycznie

[111] Jan Paweł II, Encyklika *Dives in misericordia*, n. 6.

jego synem. W ten tylko sposób nadzieja, pełna miłosierdzia, staje się większa niż życie. Św. Brat Albert jest tego wzorem. Nie zwątpił w możliwość przywrócenia godności osób z miejskiej ogrzewalni, dlatego poszedł do nich z chrześcijańską nadzieją, która przemawia czynami. W każdym, którego spotykał, chciał dostrzec oblicze umęczonego Jezusa z obrazu *Ecce Homo*, który przemówił kiedyś do niego i radykalnie zmienił jego życie.

Miał coś z ognia
Św. Maksymilian Maria Kolbe

Ściąganie świętych

Barbara Jaworska: To Ojciec jest autorem tezy, że beatyfikacja czy kanonizacja to nie wynoszenie świętych na ołtarze, ale… ściąganie ich na ziemię[112].

Zdzisław Józef Kijas OFMConv: To, że Kościół kogoś kanonizuje czy beatyfikuje, nie oznacza, że wprowadza go do nieba. To jest dziełem Pana Boga, który jest Panem tamtej rzeczywistości. Ale gdy Kościół kogoś beatyfikuje czy kanonizuje, to wyciąga go z nieba i sprowadza znów na ziemię. Znów stawia niejako między żywymi. Aby dla tych, którzy są jeszcze w drodze, był albo przykładem życia, albo przykładem odwagi, albo przykładem wyborów, albo by zwyczajnie towarzyszył im, albo wstawiał się za nimi jako orędownik. To przywracanie świętych do życia społecznego. Przywracanie dla

[112] O wolności w… Auschwitz i o tym, co św. Maksymilian zrobił nie tylko dla Franciszka Gajowniczka, ale także dla Karla Fritzscha, oprawcy z obozu, mówi o. Zdzisław Józef Kijas OFMConv z Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych. Wywiad został opublikowany w: „Gość Niedzielny" 2019, nr 32, ss. 20–22.

wiernych Kościoła pielgrzymującego tych, którzy są już w Kościele chwalebnym, w Kościele królującym.

Co polskiemu Kościołowi i polskim wiernym dało sprowadzenie Maksymiliana na ziemię?

Dla Polski szczególnie ważna była beatyfikacja o. Maksymiliana. Trzeba pamiętać, że wcześniej ostatnim beatyfikowanym Polakiem był bł. Melchior Grodziecki, misjonarz jezuicki, zamordowany przez kalwinów w Koszycach, którego beatyfikacja odbyła się w 1905 roku. A ostatnim kanonizowanym był św. Andrzej Bobola, również męczennik-jezuita, zamordowany przez Kozaków, który został wyniesiony do chwały ołtarzy rok przed drugą wojną światową. Po drugie, beatyfikacja i kanonizacja o. Maksymiliana były ważnym elementem rozliczenia się z niedawną historią. Ważne więc było, że beatyfikowany został zakonnik z tzw. bloku wschodniego, zza „żelaznej kurtyny", skąd życie zakonne zostało niemal całkowicie wyeliminowane. Istotne było również to, że przygotowania do beatyfikacji zbiegły się w czasie z Wielką Nowenną przed tysiącleciem chrztu Polski. Wybór o. Maksymiliana zachęcał do gestów przebaczenia i pojednania. Znaczenie miał również fakt, że beatyfikacja w 1971 roku odbyła się we Włoszech, co pozwoliło wielu rodakom po raz pierwszy wyjechać za granicę. Natomiast kanonizacja w 1982 odbyła się w czasie trwającego w Polsce stanu wojennego, do czego nawiązał w przemówieniu Jan Paweł II.

Duchowość o. Maksymiliana opierała się na trzech filarach: posłuszeństwie, modlitwie i pracy. Zwłaszcza to posłuszeństwo jakby nie przystaje do naszych czasów, gdy każdy jest indywidualistą, a świat promuje tezę: „Wszystko zależy tylko od ciebie".

Posłuszeństwo Maksymiliana było przede wszystkim posłuszeństwem ideałom, z którymi rósł. Posłuszeństwo przełożonym

zakonnym czy kościelnym to było odczytywanie tego posłuszeństwa podstawowego, które się objawiło później w pełni właśnie w obozie Auschwitz. Kiedy on oddaje życie za współwięźnia Gajowniczka, nie jest nikomu posłuszny, on jest posłuszny sobie. I to jest szczyt posłuszeństwa Maksymiliana. Nikt go nie zmusza, żeby szedł na śmierć. To jest jego posłuszeństwo własnemu sercu, sumieniu, własnym wyborom, w których centrum jest zawsze jakiś rodzaj miłości Boga i bliźniego.

Dlaczego zatem taki opór budzi słowo „posłuszeństwo”?

Jeżeli my kłócimy się z posłuszeństwem, które bywa niewygodne, to znaczy, że my je niewłaściwie rozumiemy. Bo my bardzo często odbieramy posłuszeństwo w relacji zewnętrznej, jako posłuszeństwo komuś. A chodzi przede wszystkim o posłuszeństwo samemu sobie. Samemu sobie nie w sensie grzechu, tylko ideałom, które wybrałem. Nawet jeżeli życie mnie stawia przed różnymi wyzwaniami, ja jestem zapraszany, aby być posłusznym temu, co uznałem za ważne w swoim życiu. I ten rodzaj posłuszeństwa jest ciągle aktualny, może dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek. Maksymilian jest doskonałym, ściągniętym z nieba, patronem, przewodnikiem, doradcą, który nie będzie posłuszny modzie czy trendom, ale będzie posłuszny swojemu sumieniu, gdzie przemawia Bóg.

Wartość posłuszeństwa w świętości

Ale posłuszeństwo przełożonym też jest chyba ważne?

Czasami jest ważne. Wiadomo, że jesteśmy uwikłani w więzi społeczne. Posłuszeństwo Maksymiliana miało wiele z tego posłuszeństwa, którym żył Chrystus. Jezus był w pełni wolny, a jednocześnie w pełni posłuszny swojemu Ojcu w tym, co dotyczyło planu

zbawczego, czyli naszego zbawienia. I Maksymilian był wolny, a jednocześnie posłuszny. Nie było osoby bardziej wolnej od Maksymiliana i nie było osoby bardziej posłusznej od Maksymiliana.

Można być wolnym w obozie koncentracyjnym?

To był szczyt jego wolności! On w sposób wolny i dobrowolny, posłuszny jedynie swoim wciąż żywym ideałom – że drugi człowiek jest dla niego skarbem, kimś najważniejszym – występuje z szeregu i mówi: „Ja będę szedł w miejsce tego tutaj skazanego".

Z tej wolności nie wyciągnął wniosków przeprowadzający selekcję Karl Fritzsch.

Stało się coś niesłychanego. Karl Fritzsch nawiązuje rozmowę z więźniem! To graniczy z cudem, że esesman nagle zareagował jak człowiek i zapomniał na chwilę, kim był dotychczas – że nie jest wyłącznie agentem systemu, ale osobą wolną i niezależną, której na imię Karl. Trwało to jednak zbyt krótko, by mogło go zmienić. Nie podjął wezwania i nie odczytał znaku, jaki otrzymał. Odrzucił dar, który – z wielu względów – był cenniejszy od daru, jaki Kolbe ofiarował Gajowniczkowi. Bo Polakowi przywracał wprawdzie życie, ale Fritzsch otrzymywał w darze wolność, czyli realną możliwość stania się w całej pełni człowiekiem. Wydawało się, że przez moment esesman odczytał ten gest. Jednak skończyła się rozmowa, skończyło się poszukiwanie wolności. Na nowo stał się katem.

Miłość ma wiele odcieni

Z drugiej strony, gest Maksymiliana to nie była miłość do konkretnego człowieka. Nie poszedł na śmierć, bo bardzo lubił Franciszka Gajowniczka.

Miłość ma wiele odcieni. Odcieniem miłości jest wierność, właśnie też posłuszeństwo, bycie obok, wspomaganie... My współcześnie odsunęliśmy odcienie miłości, mówiąc o samym słońcu. A przecież rolą słońca jest podtrzymywanie całego układu słonecznego czy ożywianie go. Mówimy o samym słońcu, nie mówiąc o układach. Tymczasem dla Maksymiliana ważne były układy. Poprzez układy on się zbliżał do słońca. Dlatego Maksymilian nie mówił wiele o miłości, ale mówił o przykładzie, o odpowiedzialności, o pracowitości, o narzędziach, które pozwalają człowiekowi być odpowiedzialnym, pracowitym, czyli o poście, umartwieniu, o ascezie. To są narzędzia, które podtrzymują mnie na drodze do realizacji celów, jakie sobie nakreśliłem.

Te wszystkie cechy sprawiają wrażenie, że Maksymilian to był człowiek bardzo surowy, „zafiksowany" na celu, jaki sobie postawił...

W książce próbuję[113], w oparciu o jego listy, pokazać jego relacje z drugimi. W jaki sposób odnosi się do tego, kto ma trudności, kto się załamuje... Z opowiadań i różnych relacji jawi się jako ten, który z jednej strony miał mocny ideał i realizował go, a jednocześnie był zarazem i braterski, i ojcowski. Ojcowski w sensie pozytywnym, bo my ojcostwo często rozumiemy w sensie karzącym. A mnie chodzi o rys ojcowsko-matczyny. Bardzo często cytuję jego słowa z listów, które kierował do braci, gdy być może załamywali się, sądząc, że ten ideał nie jest dla nich, że są za słabi, że upadają, że ich grzech rujnuje dzieło... On wykazywał niezwykłą cierpliwość. Z jednej strony dążył do realizacji pewnych ideałów, a z drugiej był od nich bardzo jak gdyby wolny. Gdy wybuchła wojna i nie miał możliwości realizowania swoich celów, mówił: „Taka jest wola Boga. Kiedy mogliśmy robić, robiliśmy. Nie możemy robić, nie robimy". To pokazuje, jaki on był wewnętrznie dojrzały. Nie był zafiksowany na robieniu tego,

[113] Z.J. Kijas, *Życie jako dojrzewanie świętości. Maksymlian Maria Kolbe...*, dz. cyt.

co uważał za słuszne. Ale nie chciał z pewnością marnować czasu. Gdy był misjonarzem – był misjonarzem. Gdy wydawał – wydawał. Kiedy był kierownikiem duchowym – był kierownikiem duchowym. Kiedy był przełożonym – starał się być przełożonym. Kiedy nie mógł robić ani tego, ani tego – był więźniem. I był dobrym więźniem. Kiedy okazywało się, że życie stawia przed nim nowe wyzwania, wychodził naprzeciw nowym wyzwaniom. Był w Japonii, rozwijał działalność. Potem przełożeni powiedzieli mu: „Zostawiasz Japonię, wracasz do Niepokalanowa. Bo nikt nie jest w stanie sobie poradzić z rozrostem aktywności klasztoru".

W momencie największego rozkwitu tam było chyba siedmiuset zakonników.

Były też takie momenty, że razem z „małoseminarzystami" było gdzieś tam do tysiąca. To był potężny ośrodek. I wybucha wojna, no i właściwie przestaje to funkcjonować. Ktoś mógłby się załamać: tyle mojego życia idzie na marne. A dla niego nie było problemu. Otworzył bramy klasztoru i mówi: „Przyjmujemy wszystkich uchodźców". Niezależnie, czy to byli Polacy, czy Żydzi, czy ktokolwiek inny. Potrzebują pomocy – udostępniamy im cały klasztor niepokalanowski. I teraz naszą działalnością jest opieka nad nimi.

Dobrze, że Ojciec wspomniał o żydowskich uciekinierach. Jak się to ma do oskarżeń o. Maksymiliana o antysemityzm, które nasiliły się w czasie procesów beatyfikacyjnego i kanonizacyjnego?

W owym czasie w Europie, i w Polsce tak samo, gros przemysłowców było pochodzenia żydowskiego. To nie były przemówienia skierowane przeciwko nacji, tylko przeciwko pewnej grupie, która wyzyskiwała innych ludzi. To nie miało nic wspólnego z antysemityzmem, skierowanym przeciwko narodowi, pochodzeniu. To było wołanie przeciwko uciskowi, ciemiężeniu biednych, ubogich

robotników. XIX wiek, początek XX wieku w Europie to był agresywny kapitalizm. I on niszczył każdego – dzieci czyściły kominy czy były tanią siłą roboczą w kopalniach, tam, gdzie dorosły by nie wszedł. To była zupełnie inna rzeczywistość. Nie było żadnych związków zawodowych, żadnej opieki społecznej. To się pojawiło dopiero później.

Wracając do Niepokalanowa – czy łatwo powiedzieć, gdy widzi się „upadek" dzieła swojego życia: „Jeśli to dzieło Niepokalanej, to przetrwa, a jeśli nie, to zajmiemy się czymś innym"?

To pokazuje, że on miał dystans. Dystans do tego, co robił. Miał przywiązanie do osób, ale nie miał przywiązania do instytucji czy do dzieł materialnych. Zależało mu na braciach, zależało mu duchowo na Niepokalanej. Zależało mu na Panu Bogu. Dla niego to był cały świat i za to był gotów oddać życie. A reszta była tylko narzędziem. To pokazuje wielkość człowieka i w zasadzie to, na czym polega świętość: że nie pozwala spać, gdy trzeba dzieło realizować, a jednocześnie potrafi przejść mimochodem nad tym, że coś tam nie funkcjonuje, bo to odczytuje jako znak Boży. On nie żyje, jakby wszystko zależało od Boga, ale jakby wszystko zależało od niego. A jednocześnie wie, że wszystko zależy od Boga.

Kwestia lęku

Czy Maksymilian się bał?

Każdy, kto angażuje się w drogę, odczuwa lęk. Myślę, że lęk jest wyrazem pewnej dojrzałości człowieka. Kto się nie lęka, nie przygotowuje się do drogi. Jest nonszalancki i łatwo spowoduje wypadek. Gdy doskonały aktor wychodzi na scenę bez minimum tremy, to znaczy, że on lekceważy, nie traktuje poważnie widza. Pewien rodzaj

lęku jest nieodzowny, żeby robić dobre rzeczy. Nie chodzi o lęk, który paraliżuje, ale lęk, który rodzi ostrożność, rozwagę. Maksymilian odczuwał różne rodzaje lęku. Przede wszystkim był to lęk, czy ideały, które on zawsze odczytywał jako dar od Boga, jest w stanie realizować. Dlatego narzędziami do realizacji tych ideałów i do walki z lękiem były: modlitwa, asceza, rodzaj takiej czy innej pokuty. Lęk rodził u niego ostrożność. Ostrożność w przypadku osoby mądrej jest skarbem. Pozwala jej nie liczyć tylko na własne siły, ale również przede wszystkim na pomoc od Boga i na pomoc innych.

Chce Ojciec powiedzieć, że on był gigantem.

Jeśli świadkowie mówią, że odprawiał Msze, że modlił się, że błogosławił przy drzwiach baraku tych, których wynoszono już na cmentarz czy umierających, choć to nie było dozwolone, znaczy, że to wszystko przeżywał, a nie chciał być jakimś bohaterem w wymiarze ludzkim. Z tekstów listów wynika, że zawsze wierzył, iż tak czy owak Bóg zwycięży. I to była jego pewność, która była lekarstwem na ludzki lęk. Maksymilian był święty nie przez to, co robił, ale przez to, kim był.

I był tytanem pracy.

Ale nie był pracoholikiem. Dbał, by nie zamienić życia w pracę. To nie było tak, że on musiał tyle i tyle egzemplarzy „Rycerza Niepokalanej" wydać. Ważna była tylko ciągła praca nad sobą. Dzisiaj pewnie nikogo to nie zauroczy. Szukamy raczej pracy przyjemnej, zajęcia, które jest wysoko opłacane, prestiżowe, medialne. Są tacy, którzy mają „parcie na szkło", żeby tylko o nich mówiono czy pisano. Dla Maksymiliana ważna była sama praca. Praca jako wartość, jako coś, co pozwala mi upodobnić się do Boga.

Co jeszcze – oprócz posłuszeństwa własnym ideałom i pracy nad sobą – ma do zaproponowania dzisiejszemu światu ściągnięty na ziemię Maksymilian?

On cieszył się życiem. Potrafił się cieszyć się tym, co umie zrobić, i akceptować to, czego nie mógł zrobić. Był człowiekiem, który służył radą, gdy ktoś był w potrzebie. Był dobrym przyjacielem. Mimo że był w dalekiej Japonii, nigdy nie zapomniał o tych, którzy byli w kraju. Zachowywał żywe kontakty, pisał, martwił się, radził, pocieszał, podnosił na duchu. Czuł się współuczestnikiem losu innych ludzi, co później w Auschwitz okazało się niezwykle ważne. To był prawdziwy humanista.

Czy Maksymilian miał w ogóle jakieś wady?

Czym innym jest wada, a czym innym cecha charakteru. Na pewno był człowiekiem cholerycznym. U takich osób niecierpliwość jest czymś naturalnym. Ja myślę, że wady idą razem z cnotami. Jeżeli ktoś powstrzyma naturalną niecierpliwość, to jest to cnota. Dlatego im trudniejszy charakter, tym większa cnota, jeżeli potrafi go zdominować. Praca nad charakterem to świadome odwracanie pewnych postaw. Maksymilian, jak każdy z nas, być może miał słabości, o których my często nie wiemy, bo to były momenty sporadyczne. Wady natomiast to nie tylko chwilowe, ale systematyczne, świadome uleganie pewnym negatywnym skłonnościom. Aczkolwiek jeśli chodzi o cierpliwość, to myślę, że on był niezwykle cierpliwy. Proszę sobie wyobrazić, że gość, który ma przyspieszenie dwieście kilometrów na godzinę, musi jechać pociągiem, który się wlecze czterdzieści. Który rysuje plany podboju kosmosu, a musi chodzić z braciszkami, którzy czytać nie umieją. Jeżeli on zamierza wystąpić z seminarium, bo chce walczyć, i spotyka matkę, która mówi: „Ja już chciałam cię odwiedzić, bo cieszę się, że jesteś w klasztorze", więc wraca do klasztoru... Czyli miał w sobie coś z ognia. I to, że czasami musiał się tlić jak pozostali, tylko pokazuje jego ciągłe mocowanie

się z własnym charakterem. Jeżeli Maksymilian był niespokojny duchem, chciał to i to, i to, a potem osiada w Niepokalanowie i staje się administratorem, to dla takiego ideowca nie były to sprawy łatwe. On nie był urzędnikiem, a jednak to robił. To pokazuje, że on ciągle pracował nad sobą. Odkrywał jak gdyby nowy głos Boga względem swojego życia.

Jego ogień ciągle rozpala serca ludzi

Bardzo wiele zostało już napisane o św. Maksymilianie Marii Kolbe (1894–1941) i nie sposób wnieść cokolwiek nowego w jego krótkie, ale nad wyraz bogate, intensywnie przeżywane życie. Trwało zaledwie czterdzieści siedem lat, ale tym, co zrobił, mógłby obdzielić kilka osób. Spalał się, może niekiedy wręcz rozrzutnie, ale z pewnością nie bezmyślnie. Wszystko miarkowała wielka i czysta miłość do Boga na miarę Niepokalanej. Uczył się jej od młodości, doskonaląc swoją odpowiedź. Oczywiście, niewiele liczył na własne, ludzkie siły, które często zawodzą, ale bardzo liczył na pomoc Maryi.

Podziw

Świat podziwia Maksymiliana, że wierzył, iż jego wiara była szlachetna, coraz głębsza i mocniejsza. Wierzył, że światem rządzi wszechmocny Bóg, nie zaś ślepy przypadek, że Bóg jest dobry i że rozmawia ze swoim stworzeniem językiem miłosierdzia, a nie zemsty. Lecz wierzył także w człowieka i wierzył człowiekowi. Wiara w niego, w jego dobroć, w możliwość bycia lepszym nie zachwiała się nawet w obozie zagłady. Było to możliwe, ponieważ swoją wiarę wznosił na fundamencie wiary we wszechmocnego Boga.

Ideałem piękna człowieka była dla Maksymiliana Maryja Niepokalana, dlatego stał się Jej bezgranicznie oddany. Ona była

jedyną Damą jego serca, a on Jej rycerzem. Ojciec Kolbe wierzył również w prawdę, która jest jedna i potężna, która jedna zapewnić zdoła prawdziwe szczęście i która w końcu zawsze zwycięża. Wierzył w nią mimo przykrych doznań, mimo wojny oraz wszechobecnej nienawiści i śmierci. Wbrew wielu zakłamaniom Maksymilian wiedział, że prawda zwycięży, ponieważ jest od Boga, który wszystko zwycięża. Polski franciszkanin wierzył w miłość, która jedyna zapewnić może właściwą przyszłość człowiekowi i światu. Bez niej nic i nikt nie ma wartości, ponieważ ona tylko nadaje wartość każdej osobie i każdemu dziełu.

Miłość otwierała go na innych, na ich odmienność, piękno z niej wynikające, na ich duchowe bogactwo i zdolności otrzymane od Stwórcy. Korzystał z nich, aby mówić, pisać, informować świat poprzez zakładane przez siebie pisma, że miłość nie jest kochana albo jest kochana za mało. Wierzył także w wartość i potęgę przebaczenia. Sam się go uczył, a później uczył go innych. Na wiele różnych sposobów przypominał, że droga ku przyszłości prowadzi wyłącznie przez przebaczenie, a nie przez zemstę. Myśląc po ludzku, miałby wiele powodów, aby się od niego odżegnać, nie docenić jego wartości lub przemilczeć jego wartość. Tymczasem nie! Nawet w bunkrze głodowym Auschwitz prosił swoich współwięźniów, aby przebaczyli tym, którzy ich na śmierć skazali. Ponadto ojciec Maksymilian wierzył, że do rzeczy wielkich dojść można tylko razem. Był geniuszem współpracy, angażowania innych do pomocy, zapalania w nich tych pragnień, którymi sam płonął. Nie był egoistyczny. Chciał dzielić się z innymi tym, co posiadał, a także tym, co pragnął osiągnąć, a dokąd kierowały go jego wzniosłe ideały.

Zwieńczenie

Ostatnia, XIV stacja ziemskiej drogi krzyżowej o. Maksymiliana. Góra Ukrzyżowania. Jest plac apelowy niemieckiego obozu koncentracyjnego

Auschwitz. Była końcówka lipca 1941 roku. Franciszkanin nie był sam. Rzadko zresztą bywał w życiu sam. Lubił ludzi, szukał ich, rozmawiał i chętnie słuchał..., a kiedy ktoś napotykał trudności, starał się pomóc – słowem lub czynem. Z myślą o ich potrzebach – szczególnie duchowych, ale nie tylko – zakładał klasztory i wydawnictwa, wydawał gazety, wyjeżdżał na misje... Pełno było w nim życia, nadziei, miłości. Cały chciał być dla Boga i cały dla ludzi, a wszystko czynił przez Niepokalaną. Dlaczego? Bo Ona niczego nie zatrzymywała dla siebie, ale wszystkim się dzieliła – najpierw z Bogiem, a później z innymi. Kolbe chciał bardzo Ją w tym *dawaniu* naśladować.

Ostatnia stacja jego ziemskiej drogi krzyżowej ponownie postawiła go pośród ludzi. Tym razem jednak nie był między nimi dobrowolnie. Został zmuszony. Aresztowany za to, że dobrze czynił, z Niepokalanowa – przez Warszawę – został wysłany transportem do Auschwitz. Tych, pośród których stał, było wielu. Ilu dokładnie? Nie sposób powiedzieć! Myślę, że było ich tylu, ile twarzy ma ludzkie cierpienie i ile ran może zadać zło, grzech, nienawiść. Każdy z obecnych wobec „góry cierpienia", jaką był dla nich plac apelowy Auschwitz, był skulony, zamknięty w swoich myślach i lękach, w napięciu oczekując na werdykt, ewentualne wskazanie palcem i „wybiórkę" na śmierć głodową. Sytuacja była istotnie dramatyczna: beznadziejność, niemoc, niemożność zmiany swojego losu... Już nie pracują, są „bezrobotni", nie mogą nic czynić, niczego zmienić, na nic i na nikogo nie mogą wpłynąć, aby ich los się odmienił. Dramat rozgrywa się w ich wnętrzu. Nie patrzą na sąsiada, ich oczy wryte są w ziemię, a tak naprawdę utkwione we własnym wnętrzu..., może jest to ich ostatni apel, ostatnie spojrzenie na słońce, ostatnia myśl o bliskich..., ostatnie wspomnienie doświadczonego dobra czy przeżytej miłości...? Są jak nieuleczalnie chorzy, niezdolni wpłynąć na zmianę swojej dramatycznej sytuacji.

Człowiek dotknięty nieszczęściem, chory czy doznający różnej formy niesprawiedliwości i cierpień, przeżywa stacje swojej osobistej drogi krzyżowej, włącznie z upadkami i ukrzyżowaniem. Lecz cierpiąc, szuka pomocy. Chodzi do lekarzy. Chętnie poddaje się badaniom

i operacjom, regularnie zażywa przepisane lekarstwa. I choć najczęściej przynosi to ulgę i poprawę stanu zdrowia, boi się, co będzie dalej... Za miesiąc, za pół roku, za rok... Ze strachem spogląda w przyszłość, bo tyle jest chorób, których medycyna nie jest w stanie powstrzymać. Gdy lekarze przyznają, że są bezsilni, wydaje się, że nie ma już szansy na wyzdrowienie... Wtedy zwraca się o ratunek do świętych i prosi o cud – nagły, trwały.

Trwać wiernie na posterunku

Powróćmy jednak na plac obozowy Auschwitz. Im dłuższy był czas czekania w niepewności, tym większe było poczucie beznadziejności i cierpienia wśród więźniów. Maksymilian był z nimi. Patrząc z zewnątrz, niczym nie różnił się od pozostałych. On również był dramatycznie wychudzony, zmęczony, przygarbiony, ubrany w obozowy łachman. Świadkowie mówią, że mimo zewnętrznych podobieństw wydawał się być inny. Słuchał nie tylko bicia własnego serca, ale również głosu Boga, słuchał uważnie tego, co mówią współwięźniowie. Modlił się, trzymając w dłoniach krzyż Chrystusa, który oddał, wychodząc z szeregu.

Stanie na placu apelowym nie było stratą czasu. Kolbe nie stał daremnie. Nie czekał na coś, ale na Kogoś – na objawienie się mocy i miłości Bożej. Być może powtarzał w duchu słowa Chrystusa z krzyża: „Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił?" (Ps 22, 2; Mt 27, 46; Mk 15, 34), ale jednocześnie wiara pozwalała mu powtarzać za Jezusem słowa: „Ja nie jestem sam, bo ze Mną jest Ojciec, który Mnie posłał. [...] Ten, który Mnie posłał, jest ze Mną; nie pozostawił Mnie samego, bo Ja zawsze czynię to, co się Jemu podoba" (8, 16. 29).

Kolbe stał niczym rycerz na placu boju, na którym ma rozegrać się ostateczna batalia, starcie dobra ze złem, światła z ciemnością. Nie czekał na głos Fritzscha, komendanta obozu zagłady, ale rozkaz boskiego Mistrza. Usłyszał go w ciszy swojego serca i był mu

posłuszny. Kochał posłuszeństwo, którego Niepokalana była wzorem. Wyszedł z szeregu. Odważył się. Nikt go do tego nie zmuszał. Uczynił to świadomie, dobrowolnie, z miłości do brata. Kiedy usłyszał, że Franciszek Gajowniczek – wyliczony do bunkra głodowego – ma żonę, dzieci..., zrobiło mu się go bardzo żal i postanowił przyjść z pomocą. Był to głos miłości i odpowiedział miłością.

Maksymilian mógł uratować swoje życie. Mógł przeżyć koszmar Obozu i po wojnie rozwijać jeszcze bardziej swoje dzieło. Nie zrobił tego. Dlaczego? Bóg to wie. Nam pozostaje wierzyć, że los człowieka, i to niezależnie, jakiego stanu, języka, kultury..., był dla niego najważniejszy! Był ważniejszy od większych czy mniejszych dzieł. Kolbe wiedział, że człowiek jest największym dziełem na ziemi, stąd jego gotowość ratowania go za wszelką cenę.

Krótko trwał dramat, jaki rozegrał się na placu obozowym. Może kilka minut. W tych kilku minutach dokonał się cud miłości i cud życia: cudem miłości była ofiara życia św. Maksymiliana, cudem życia – było uratowanie męża i ojca rodziny. Lecz Kolbe uratował również godność człowieka, którą niszczył hitlerowski oprawca, obronił nadzieję na ostateczne zwycięstwo miłości. W mgnieniu oka tak wiele cudów!

Święty cudów

Cud zawsze wywołuje zdumienie. Wiara uczy, że cudu dokonać może tylko Bóg. „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię" – to pierwszy opisany w Biblii cud Boga. Nowy Testament przynosi opisy kolejnych cudów. Jezus, żyjąc wśród ludzi, uzdrawiał, wskrzeszał zmarłych i wypędzał złe duchy. Wiemy, że zamienił wodę w wino, uciszył burzę, chodził po morzu, rozmnożył chleb... A ukrzyżowany – trzeciego dnia zmartwychwstał. Jezus czynił cuda i w Jego imię czynią je ci, którzy należą do Niego, którzy swoje życie oparli na Jego przykazaniach. Nic dziwnego więc, że człowiek, który wierzy w Boga,

może wypraszać u Niego łaskę cudu; im bliżej Boga, tym mocniejsza prośba i szybciej wysłuchana.

Cuda są znakami od Boga, palcem Boga. Przez nie ukazuje On swoją dobroć i troskę. Uczy modlić się z ufnością, a w chwilach trudnych nie tracić nadziei. To, co uczynił Kolbe w Auschwitz, było cudem Boga, nie dziełem zwykłego człowieka; uczynił możliwym to, co wydawało się być niemożliwym – zachować godność człowieka i oddać z miłości życie za brata w Obozie, w którym wszystko przeczyło godności i miłości.

Choć o tym nie wiedział, całe życie Maksymilian przygotowywał się do tej chwili. Po prostu szedł wiernie swoją drogą krzyżową, stacja po stacji, ufając bardziej Bogu niż sobie, prosząc Niepokalaną i wzorując się na Niej. Wiedział, że nierzadko życie może człowieka *zaskoczyć*, ale jeśli idzie wiernie swoją drogą życia, kiedy się modli i rozdaje miłość na ile może, życie, choroba, cierpienie... go *nie załamią*.

Być blisko osoby cierpiącej
Bł. Hanna Chrzanowska

Beatyfikowana w Krakowie, w Sanktuarium Miłosierdzia Bożego, 28 kwietnia 2018 roku Hanna Chrzanowska należy do wyjątkowych kobiet okresu powojennego. Na wzór swoich bliskich Hanna również starała się być blisko potrzebującego i w ten sposób odkrywać bliskość Boga. Pomagała nie tylko materialnie, nie tylko służyła pomocą jako pielęgniarka, nie tylko odwiedzała chorych, ale także uczyła. Przekazywała swoim słuchaczom, jak doskonalić swoje umiejętności, jak osiągać wyższe kwalifikacje w zawodzie pielęgniarki. Chciała pomagać mądrze, być blisko w sposób inteligentny, twórczy i odpowiedzialny. Warto spojrzeć na nią nieco bliżej, szukając jednocześnie odpowiedzi na pytanie: wokół czego, wokół jakiej naczelnej idei Hanna Chrzanowska organizowała swoje życie, skąd czerpała siłę do realizacji swoich szlachetnych marzeń?

Nie zanosiło się, że będzie świętą

Urodziła się na Mazowszu. Przyszła na świat 7 października 1902 roku jako drugie dziecko Wandy i Ignacego Chrzanowskich. Przodkowie „po mieczu" to wybitne jednostki o historycznych nazwiskach i różnorakich talentach. Wśrod nich są: Ciszowscy, Dmochowscy, Lelewel, Sienkiewicz. Poprzez troskliwe wychowanie córki Ignacy

Chrzanowski (profesor historii literatury polskiej na UJ) rozbudził w niej nie tylko zainteresowania historią, literaturą, malarstwem, muzyką, ale kształtował takie przymioty, jak: szacunek dla drugiego człowieka, rzetelność i uczciwość w działaniu, tolerancyjność. Wspominała później Hanna Chrzanowska: „Bardzo wcześnie nasze porozumienie i nasza przyjaźń rozkwitła na tle porozumienia w świecie artystycznym, utworów literackich, którymi ojciec nasycił całe moje dzieciństwo. Był fanatykiem obowiązku przede wszystkim patriotycznego". I dodawała: „Dobroć mojego ojca, dobroć cudowna, była na pewno dalszym ciągiem dobroci tego domu. Była to dobroć w stosunku do drugiego człowieka, konkretnego tego właśnie bliźniego"[114].

Ogromny wpływ na Jej postawę miała też rodzina ze strony matki. Dawny ród protestancki osiadły w Polsce w XVII wieku. Wywodzą się z niego przemysłowcy, pedagodzy, mecenasi sztuki, działacze zasłużeni dla Warszawy, uczestnik powstania styczniowego 1863 roku, wybitna pielęgniarka, a także młodzi powstańcy walczący w powstaniu warszawskim. Z kolei dziadek ze strony matki, Karol Szlenkier, założył mały szpital dla dzieci robotników, którzy pracowali w jego fabrykach, a także szkołę dla dzieci rzemieślników pracujących na Woli. Wszystko to miało ważny wpływ na kształtowanie się wrażliwości społecznej Hanny Chrzanowskiej. Wspomina o tym w pamiętniku, kiedy pisze: „Moi dziadkowie ze strony macierzystej byli najautentyczniejszymi filantropami. Wyrosłam w atmosferze pomocy drugim i tzw. wówczas dobroczynności jako najnaturalniejszej aurze"[115] .

Obydwie rodziny, zarówno Szlenkierów, jak i Chrzanowskich, przekazały Hannie wartości humanistyczne. Ceniła to bardzo, co

---

[114] Cytaty, jeżeli nie zaznaczono inaczej, zostały zaczerpnięte z tekstu: I. Ćwiertnia, *Idea pielęgniarstwa rodzinnego w działalności Hanny Chrzanowskiej*, „Ad vocem. Pismo Małopolskiej Okręgowej Izby Pielęgniarek i Położonych", Kraków, listopad–grudzień 2011, nr 101, http://www.moipip.org.pl/media/doc/ad_vocem_101.pdf (04.04.2018).

[115] *Pamiętnik,* pisany w 1956–1960, w: Archiwum KSPiPP OK. Należy ponadto skonsultować materiał przygotowany do beatyfikacji Hanny Chrzanowskiej: ANNAE CHRZANOWSKA. CRISTIFIDELIS LAICAE (1902–1973). POSITIO SUPER VITA, VIRTUTIBUS ET FAMA SANCTITATIS, ROMA. 2011, s. 482 (dalej: *Positio*).

odnotowała w późniejszych wspomnieniach. Pisała: „Dzieciństwo moje tak bardzo szczęśliwe, było szczęśliwsze jeszcze przez to, że obie moje rodziny: ojcowska i macierzyńska – miały każda na swoj sposób bardzo wysoki zmysł społeczny". Zofia Szlenkier, młodsza siostra matki, ciocia Hanny, była uczennicą angielskiej pielęgniarki Florencji Nightingale (1820–1910), uważanej za twórczynię nowoczesnego pielęgniarstwa. Dla Hanny była ona osobą szczególną, która wywarła największy wpływ na późniejsze jej zainteresowania społeczne i wybór zawodu pielęgniarki.

W 1910 roku rodzina Chrzanowskich przeniosła się do Krakowa, gdzie Hanna zaczęła uczęszczać do szkoły panny Okołowiczówny (1910–1912), aby następnie kontynuować naukę w gimnazjum sióstr urszulanek. Ukończyła je egzaminem maturalnym w 1920. Kolejną uczelnią był Wydział Filologiczny UJ, na który uczęszczała przez dwa lata. Obok zajęć na krakowskiej Alma Mater angażowała się mocno w prace Ambulatorium Pań Ekonomek w Krakowie, przy ul. Warszawskiej, dokąd skierowała ją Magdalena Maria Epstein (1875–1947), późniejsza dominikanka i Służebnica Boża[116].

Odkrycie drogi życia

Po dwóch latach, czyli w 1922 roku, przerwała studia i wyjechała do Warszawy, aby podjąć naukę w Warszawskiej Szkole Pielęgniarstwa. Dwa lata później otrzymała dyplom pielęgniarki dyplomowanej. Kilkakrotnie wyjeżdżała na stypendia zagraniczne, gdzie zapoznawała się z funkcjonowaniem pielęgniarstwa społecznego. Nie została

[116] 1 stycznia 1931 r. zrezygnowała ze stanowiska dyrektorki szkoły uniwersyteckiej i w wieku 55 lat wstąpiła do klauzurowego klasztoru Sióstr Dominikanek na Gródku w Krakowie. 24 marca 1931 r. w obecności swojego przyjaciela, kard. Adama Stefana Sapiehy, nałożyła habit zakonny, obierając imię zakonne Magdalena. 4 września 1936 r. złożyła śluby wieczyste. W zakonie pełniła funkcję m.in. organistki i kronikarki klasztornej. Zmarła 6 września 1947. 30 września 2004 został rozpoczęty jej proces beatyfikacyjny.

za granicą, ale wróciła do kraju, do Krakowa, podejmując pracę w Uniwersyteckiej Szkole Pielęgniarstwa.

W pracy pedagogicznej przekazywała wartości otrzymane zarówno w domu rodzinnym, jak również w Warszawskiej Szkole Pielęgniarstwa, którymi były: miłość do człowieka, wrażliwość na potrzeby ludzi cierpiących, tolerancja dla osób o innych światopoglądach, mocna wiara w dobro, uczciwość, a także szacunek do zawodu. Korzystając z doświadczeń zdobytych podczas stypendiów zagranicznych, opracowała i wprowadziła w praktykę zasady pielęgniarstwa społecznego. Nie kopiowała bezmyślnie struktur pielęgniarstwa, jakie poznała w krajach Europy Zachodniej (Anglii, Belgii), ale wprowadzała wiele nowości, czerpiąc z osobistego doświadczenia. Pisała bowiem:

> Daleka jestem od chęci wiernego przejmowania zagranicznych wzorów. Pragnę jedynie pobudzić naszą myśl, rozszerzyć jej horyzonty dla ulepszenia metod naszych prac, czy pogłębienia zasad organizacyjnych.

Nie tylko prowadziła wykłady i posługiwała chorym, pisała również artykuły i książki na temat pielęgniarstwa. Jej autorską pozycją było *Pielęgniarstwo w otwartej opiece zdrowotnej.* Pierwsze wydanie ukazało się nakładem Polskiego Związku Wydawnictw Lekarskich w 1960 roku. Był to pierwszy polski podręcznik do nauki pielęgniarstwa społecznego. Dotąd środowisko polskie korzystać musiało z pracy *Wytyczne pracy pielęgniarki społecznej*, będącej zbiorem artykułów drukowanych w miesięczniku „Pielęgniarka Polska".

W swoich publikacjach Hanna Chrzanowska udzielała rad i wskazówek, np. jak prowadzić wywiad z osobami chorymi, w jaki sposób dokonywać wnikliwej obserwacji środowiska, w którym żyją i chorują. Uczyła form rozpoznania sytuacji osoby chorej, tworzenia planu postępowania i jego skrupulatnej realizacji. Przestrzegała przed jakąkolwiek rutyną w podejściu do osoby chorej, przypominając, że każdy chory jest jedyny w swoim rodzaju, cieszy się szczególną godnością i ma inne nieco potrzeby.

Wrażliwa na potrzeby bliźniego

Druga wojna światowa przerwała zajęcia pedagogiczne Hanny Chrzanowskiej. Nadal jednak pamiętała o potrzebujących, o rodzinach uchodźców, prześladowanych, biednych, i to pomimo wielu bolesnych doświadczeń osobistych[117]. Organizowała posiłki dla głodnych, ukrywała Żydów, szukała rodzin zastępczych dla sierot wojennych.

Po zakończeniu wojny wróciła do pracy dydaktycznej w Uniwersyteckiej Szkole Pielęgniarek w Krakowie. Z myślą o swoich słuchaczach opracowała i wprowadziła do programu szkolenia teoretycznego i praktycznego nową specjalizację, jaką było pielęgniarstwo domowe. Jednak czas panowania komunizmu był dla niej nie lada wyzwaniem. Trzeba mieć na uwadze, że w latach powojennych, szczególnie zaś między rokiem 1953 a 1970, przeważał pogląd, że ustrój socjalistyczny, który zapewnia wszystkim obywatelom pracę, usuwa również ubóstwo i nędzę, co – jak głosiła komunistyczna propaganda – było natomiast obecne w kapitalizmie. W konsekwencji sądzono, że skoro wszyscy pracują i zarabiają, pomoc społeczna nie ma racji bytu. Sprawiło to, że pomoc społeczna została mocno ograniczona, czy wręcz zepchnięta na margines. W tej sytuacji Hanna Chrzanowska musiała szukać innego sposobu pomocy chorym. Było to dla niej nie lada wyzwanie. Początkowo nie wiedziała, jak mu sprostać. W końcu, niemal przypadkowo, postanowiła zwrócić się o pomoc do Kościoła katolickiego, licząc na pozytywną odpowiedź.

[117] Do tych bolesnych doświadczeń należała śmierć jej cioci, Zofii Szlenkier, następnie śmierć ojca w obozie w Sachsenhausen (6 listopada 1939 Gestapo przeprowadziło akcję pod kryptonimem Sonderaktion Krakau, wymierzoną w polską elitę naukową. Tego dnia Niemcy aresztowali stu osiemdziesięciu trzech pracowników UJ i AGH. Wśród nich znalazł się także Ignacy Chrzanowski. Był on więziony najpierw w Krakowie, potem przewieziono go do Wrocławia, a następnie do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. 23 stycznia 1940 rodzina otrzymała wiadomość o jego śmierci) oraz mord polskich oficerów w Katyniu – był wśród nich jej brat, dr filozofii Bogdan Chrzanowski.

Tak też się stało. Liczyła również, że znajdzie chętne kobiety, które – po krótkim szkoleniu – będą w stanie podjąć się najprostszych zabiegów pielęgnacyjnych. Mówiła przy tym:

> Byle chorzy nie cierpieli więcej niż muszą, byle nie leżeli w brudzie i zaduchu, w zaniedbaniu ciała i duszy.

Cierpienie osób chorych, poczucie samotności i opuszczenia, ich i jej bezradność na widok ludzkich tragedii, zbliżały Chrzanowską do spotkania z Bogiem, którego dotąd jakby trochę brakowało w jej życiu. Początkowo pomagała niesiona raczej duchem filantropijnym, z czasem jednak świadczona przez nią pomoc zaczęła nabierać rysów coraz bardziej charytatywnych. Był to owoc pogłębiającej się relacji z Bogiem, bardziej osobistej i intymnej. W cierpieniu innych, w ich chorobie i samotności, materialnej i duchowej biedzie, coraz wyraźniej odkrywała bliskość i miłość Boga. Widziała ją zarówno w osobach dotkniętych trudnościami, jak również w życiu tych, którzy – jak ona – nieśli im pomoc. Coraz więcej czasu spędzała na modlitwie, odkrywając zarazem Boga pełnego miłości miłosiernej, który był dla niej nauczycielem cierpliwości, pokory, mądrego wymagania od siebie i nie zrażania się trudnościami. Coraz częściej zaczęła powtarzać zawołanie św. Pawła: „Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia" (Flp 4, 13).

Świat nie jest pusty – pod takim tytułem opublikowała artykuł w „Tygodniku Powszechnym", w październiku 1957 roku[118]. Był to ważny tekst. Wyraziła w nim tragiczną prawdę o losie bezimiennych chorych, którzy leżą zapomniani lub opuszczeni, pozbawieni elementarnej opieki. Pisała ten tekst dotknięta cierpieniem bliźnich. Czuła wewnętrzny ból i ludzką bezradność. Wielkość ludzkiego cierpienia i biedy, z którymi stykała się niemal na co dzień, zdawała się być przeogromna. Nabierał jednocześnie intensywności jej dialog z Bogiem, którego prosiła o mądrość i wsparcie. Marzena Florkowska, osoba bliska, w takich słowach opisywała to doświadczenie:

---

[118] *Świat nie jest pusty*, „Tygodnik Powszechny" 1957, nr 42.

> Rok 1957 był momentem przełomu w jej życiu i to nie tylko ze względu na przejście do szkoły w Kobierzynie. W *Pamiętniku* wspominała o ogromnym cierpieniu, którego wówczas doświadczyła, nie zdradzając jednak, co było jego źródłem. Jak zawsze dyskretna i powściągliwa w mówieniu o sobie i swoich sprawach, zapisała jedynie: „Są cierpienia tak ostre, że na szczęście dla człowieka, już się całej ich ostrości nie odczuwa, jak się nie słyszy ultradźwięków. Widzi je, słyszy i ocenia jeden tylko na szlakach swej własnej, dla nas niedostępnej, absolutnej sprawiedliwości, Bóg Syn, który – On jeden – wypił kielich do dna. To pewne, że Jemu oddane cierpienie nie idzie na marne, inaczej przeczyłby sam sobie. Cierpienie oczyszczone, wraz z grzechami przebite do Krzyża. Nie byłabym w prawdzie, gdybym nie chciała połączyć tego bólu z ową myślą, która mi zaświtała na wałach wiślanych koło Tyńca. Odczuwam ją jako skutek cierpienia i pokuty, nade wszystko jako skutek pójścia za wezwaniem, bolesnego wyrwania, wywikłania się z obieży.
>
> *Ipse liberavit me de laqueo venantium...*
>
> Oto myśl, co zaświtała mi w głowie: oprzeć opiekę nad chorymi o Kościół". Odtąd zaczęła gwałtownie w sobie i na zewnątrz domagać się i walczyć o urzeczywistnienie tej myśli[119].

Odtąd Kościół stał się dla Chrzanowskiej już nie tylko instytucją, jak wiele innych, ale „miejscem" szczególnym, nieodzownym „narzędziem" do pomagania tym, którzy byli w wielkiej potrzebie. Bardzo szybko nawiązała kontakt z bp. Karolem Wojtyłą i proboszczem parafii mariackiej, ks. Ferdynandem Machayem, któremu również leżała na sercu pomoc chorym i potrzebującym. Wspomógł ją finansowo i udostępnił część pomieszczeń parafialnych przy ul. Szpitalnej, gdzie zorganizowano jadalnię dla biednych. W bólach rodziło się pielęgniarstwo parafialne, które później okazało się być pionierskim przedsięwzięciem jej życia. Ochotników do pracy szukała

[119] M. Florkowska, *Radość dawania. Hanna Chrzanowska we wspomnieniach, listach, anegdotach*, Kraków 2010, s. 155–156.

wśród studentów czy kleryków. Znający ją wspominali po latach, z jakim zapałem i charyzmą zjednywała ludzi do pracy nad chorymi. Wyszukiwała ich, chodząc, pukając od drzwi do drzwi, zaglądając do środka, szukając ich w miejscach pozornie niedostępnych, wegetujących i umierających, w samotności, na zgniłym materacu. Zaczynała od elementarnych czynności: umycia, odwszawienia, nakarmienia.

Całe życie chciała pomagać lepiej

Wraz z przyjęciem przez ks. Karola Wojtyłę sakry biskupiej w 1958 roku ożywiła się praca w diecezji, także na polu opieki nad chorymi. W 1960 roku świeżo konsekrowany bp Karol odwiedził trzydziestu pięciu chorych, spotkanie zorganizowała i prowadziła Hanna Chrzanowska[120]. Spotkanie z chorymi na stałe już wpisało się w agendę młodego biskupa, który pozostał mu wierny także jako papież. Drzwi krakowskiej kurii były zawsze otwarte dla biedych, zaś podczas wizytacji duszpasterskich Wojtyła odwiedzał chorych w ich domach.

W 1963 roku Hanna Chrzanowska nakreśliła wytyczne dla pielęgniarki parafialnej. Wymagał tego dynamiczny rozwój tej formy pomocy dla chorych, o czym świadczyły liczby przedstawione w rocznych relacjach dla kurii. Pokazywały one, że w roku 1957 opiekowano się dwudziestoma pięcioma chorymi, a rok później było ich już sześćdziesięciu dziewięciu. W roku następnym siedemdziesięciu dwóch, zaś w roku 1960 aż stu siedemdziesięciu siedmiu. Dziewięć lat później opiekowano się czterystu osiedziesięcioma pięcioma chorymi, natomiast w roku 1970 pielęgniarki parafialne miały pod stałą opieką pięciuset sześćdziesięciu trzech chorych, odwiedzały zaś regularnie czterystu dziewięćdziesięciu jeden[121].

---

[120] *Positio...*, dz. cyt., s. 521.

[121] M. Florkowska, *Radość dawania...*, dz. cyt., s. 186.

Hanna Chrzanowska chciała, aby pielęgniarka była pracownicą parafii, która wypłaca jej pobory i ubezpiecza. Uważała, że osoba taka powinna pracować na pełnym etacie lub w ściśle określonym wymiarze godzin. Taki układ sprawiał, że jej praca nie była pracą dorywczą, czysto dobrowolną i że nie była wykonywana jedynie na marginesie innych zajęć. Tylko stała, systematyczna praca gwarantowała stałą troskę o chorych.

Zakres czynności i kompetencji, jakie były wymagane od opiekunki parafialnej, był bardzo zbliżony do kompetencji wymaganych od współczesnego pracownika socjalnego. Można zatem się zgodzić z twierdzeniem, że bł. Hanna Chrzanowska była jedną z prekursorek pracownika socjalnego. W następujących słowach opisywała zakres pracy opiekunki parafialnej i pielęgniarki:

> Opiekunka parafialna zgłasza pielęgniarce każdego obłożnie chorego, natomiast pielęgniarka zgłasza opiekunce te przypadki, w których jest potrzebna pomoc materialna oraz wszelkie sprawy środowiskowe nie dotyczące bezpośrednio chorego, ale zauważone podczas pracy.

Jej troska obejmowała również opiekę nad umierającymi. Była głęboko przekonana, że obecność przy tych, którzy odchodzą z tego świata, jest ważna i potrzebna, wręcz nieodzowna. Zachęcała ponadto, aby – w sposób mądry i roztropny – „oswajać" chorych oraz ich bliskich z myślą o ewentualnej śmierci. Ten rodzaj wcześniejszego przygotowania na śmierć był, jej zdaniem, pomocny w sytuacjach granicznych, kiedy odejście z tego świata stawało się już nieuchronne. Stopniowe przygotowanie chorych na spotkanie z Bogiem miało ich bronić przed pokusą złorzeczenia, obwiniania Boga za chorobę czy inne nieszczęścia, a nawet oddalać pokusę niewiary, szczególnie mocną w chwili śmierci. Siebie i osoby sobie bliskie zachęcała do traktowania śmierci jako części życia. Nie chciała, aby śmierć była odczytana jako zaskoczenie, lecz raczej jako możliwość bliższego jeszcze spotkania z Tym, który żyje i daje życie.

> Tak często wśród najbliższych chorego osób – pisała – panuje zmowa milczenia. A przecież każdy ciężko chory pragnie poważnej rozmowy, nurtuje go wiele pytań, obaw. Długotrwałe kontakty z chorymi uczą, że najczęściej takie rozmowy uspakajają ich, dodają otuchy.

Niosła w sobie cierpienie innych

Wachlarz nowości wykorzystanych w trosce o chorych i umierających był szeroki. Wiele z jej praktyk zostało zastosowanych na większą skalę przez ruch hospicyjny, lecz nastąpiło to dwadzieścia lat później. Błogosławionej Hannie nie chodziło jednak wyłącznie o opiekę nad chorymi i towarzyszenie umierającym. Jej pragnieniem było również być im bliską. Pragnienie takie wynikało z wiary, która właśnie w cierpieniu innych odkrywa obecność cierpiącego Chrystusa i która sprawia, że osoba wierząca pociesza cierpiących Jego słowami, podnosi ich na duchu przykładem Jego cierpienia. Hanna stawała więc przy łóżkach chorych i umierających pełna chrześcijańskiej miłości, mocna nadzieją na życie wieczne.

Wiara w Boga, będącego najlepszym lekarzem dusz ludzkich, była źródłem inspiracji, aby organizować wczaso-rekolekcje dla chorych. Pierwsze takie wakacje zorganizowała w Otwocku, kolejne natomiast, od 1964 roku, w Domu Rekolekcyjnym xx. Salwatorianów w Trzebini. Jej pragnieniem było, aby chorzy, szczególnie zaś ci, którzy od lat byli przykuci do swych łóżek, leżąc w milczeniu i zapomnieniu, mogli spotkać innych chorych i ludzi zdrowych, aby nawiązali z nimi dialog. Czas spędzony razem stwarzał okazję do modlitwy i rozmowy, momentów radości, a nawet nawiązania nowych znajomości czy wręcz przyjaźni itd. Rekolekcje pomagały również odkryć lub wzmocnić wiarę, którą cierpienie lub choroba wystawiały na mocną próbę. Obecność kapłanów, osób zakonnych, kleryków podczas takich rekolekcji sprzyjała temu. Stałym gościem na tych wczaso-rekolekcjach był również kardynał Karol Wojtyła.

Hanna Chrzanowska odeszła po wieczną nagrodę w swoim krakowskim mieszkaniu 29 kwietnia 1973 roku. Pochowana została również w Krakowie, na cmentarzu Rakowickim. Pogrzeb prowadził kardynał Karol Wojtyła, który na wieść o jej śmierci przerwał obrady Konferencji Episkopatu Polski i czym prędzej przybył do swojego miasta. W kazaniu, które wygłosił, powiedział m.in.:

> Dziękujemy Ci Pani Hanno, że byłaś wśród nas, że byłaś taką, jaką byłaś z tą Twoją wielką prostotą, z tym wewnętrznym żarem, że byłaś wśród nas jakimś wcieleniem Chrystusowych błogosławieństw z Kazania na górze, zwłaszcza tego, które mówi: „błogosławieni miłosierni". Dziękujemy Panu Bogu za to życie, które miało taką wymowę, które pozostawiło nam świadectwo tak bardzo przejrzyste, tak bardzo czytelne [...] Niech Twoją nagrodą będzie sam Pan, niech promieniowanie Twojej posługi trwa wśród nas i wszystkich nas nieustannie uczy, jak służyć Chrystusowi w bliźnich.

Najbardzaiej starała się być bliską Boga

Hanna Chrzanowska organizowała swoje życie, swój czas i zdolności, wokół jednej naczelnej idei, a była nią potrzeba bycia *bliską* człowiekowi w potrzebie. Pragnienie to było przewodnią myślą jej życia, szczerym pragnieniem i wielką siłą, która dynamizowała ją od środka, wymusiła na niej zmianę kierunku studiów, częstą zmianę miejsca, gotowość do licznych wyrzeczeń, a także, kiedy było to konieczne, rezygnację z innych spraw, uznanych za mniej ważne. W jej pragnieniu bycia *obok* osoby chorej nie było nic z pustej retoryki, z obietnic bez pokrycia, z deklaracji bez czynów. W rzeczywistości mówiła niewiele, lecz w zamian czyniła bardzo dużo. Jej szczera chęć pomocy osobie w potrzebie materializowała się w inteligentnej trosce i ofiarnej służbie. Była radosna z samego faktu możliwości niesienia pomocy innym, odwiedzania ich w mniej czy bardziej skromnych mieszkaniach.

Rodzi się zatem pytanie, z czego wyrastało w niej pragnienie bycia bliską temu, kto był w potrzebie? Czy był to tylko wpływ rodziców, matki, ciotki, ojca? Czy rozwój jej posługi charytatywnej wynikał z nawrócenia? Czy miało na to wpływ przyjęcie Chrystusa, otwarcie się na Jego błogosławieństwa? A może było to działanie Najwyższego, który w cudowny sposób dotyka duszę wrażliwą, kierując ją na nowe, nieznane sobie dotąd drogi? A może pragnienie bycia blisko chorych nosiła od zawsze, niczym platońską ideę, szukając dogodnej okazji, aby mogła zajaśnieć? Pytania te nie znajdą odpowiedzi, pozostaną na zawsze okryte tajemnicą.

Platon, grecki filozof żyjący na przełomie V i IV wieku przed Chr., uważał, że istnieją dwa światy: świat materialny, w którym nic nie jest trwałe, oraz świat idei, gdzie istnieją stałe i niezmienne „formy" czy też „idee". Wszystko zatem – sądził – co należy do pierwszego świata, istnieje na wzór „formy", idealnego wzoru ze świata drugiego. Grecki filozof szedł dalej i twierdził, że sam zbiór idei jest światem, jakby drugą płaszczyzną, równoległą do tej, na której żyje nasze ciało, czyli materialne odbicie naszej duszy. Wynikało stąd, że w materialnym (cielesnym) życiu człowiek nie uczy się niczego nowego, lecz jedynie rozpoznaje odbicie znanej sobie już wcześniej formy, odciśniętej na nim ze świata idei.

Bywa, że pojęcia abstrakcyjne im częściej są używane, tym bardziej są kontrowersyjne. Dotyczy to również świata idei. Etymologia, która w wielu przypadkach jest mądrzejsza od wiedzy, wiąże je z obrazami, z jakimś rodzajem twórczej imaginacji (εἶδος, ἰδεῖν, εἴδω). Oznacza to, że idee mają wiele wspólnego z wizjami. Są rodzajem duchowej rzeczywistości, tworem myśli, która je „produkuje" lub „odkrywa", aby wejść następnie w kontakt z nimi i przyjąć je jakby coś rzeczywistego, co zaczyna dynamizować człowieka od środka i zmieniać jego relację ze światem zewnętrznym. Nierzadko łapiemy się na takich sformułowaniach, jak np. „przychodzi mi na myśl". Właśnie tym, co w takich sytuacjach *przychodzi na myśl*, są idee, jakieś pomysły, rozwiązania, jakiś rodzaj „programu" na życie. Lecz

można spojrzeć na to również z odwrotnej strony i uznać, że nasze myśli rodzą się ze świata idei, że bez idei myślenie nie istnieje. Czyż nie jest tak, że kiedy mówimy, że ktoś cierpi na *demencję,* wskazujemy, że pozbawiony jest idei? Że nie ma „pomysłu" na życie? Można się zgodzić, że myśl i idee tworzą pewną jedność, co oznacza, że myśl zwraca się w stronę świata idei, upatrując w nich swoje zwieńczenie, swoją realizację, swoją idealną pełnię. Starożytni twierdzili, że szczęście, którego każdy z ludzi pragnie, jest dążeniem do osiągnięcia czy realizacji czegoś, co nosi w sobie od początku, co skrywa się w jego naturze, czyli żyje w świecie idei. Kiedy więc następuje ich realizacja, dają człowiekowi poczucie szczęścia, radości, swoistej pełni. Z kolei niemożliwość ich urzeczywistnienia rodzi nieszczęście, smutek, brak radości.

Czy coś takiego dokonało się w życiu Chrzanowskiej? Nie wiemy. Rzeczą pewną natomiast jest to, że w jej postawie względem chorych kryło się wiele z platońskiej filozofii idei; odciskała w jakimś stopniu noszone w sobie dobro i wrażliwość na życiu konkretnych osób. Odkrycie drogi życia, którą była troska o chorych i umierających, uczyniło z niej osobę pełną i szczęśliwą, dojrzałą i wewnętrznie zrealizowaną. Nie znaczy to jednak, że przestała być jednocześnie wolną od zmartwień i cierpienia. Owszem, może zmartwień miała nawet więcej niż wcześniej, lecz teraz, kiedy robiła to, co było jej „powołaniem", miały one właściwy, głębszy sens; jej życie otrzymało pełniejsze wytłumaczenie, a trudności dnia codziennego nie były przeszkodą, lecz raczej sposobem do pełnej realizacji.

Bycie blisko chorego było ukrytym pragnieniem (przewodnią ideą) życia bł. Hanny Chrzanowskiej. Nosiła go od dawna, ignorując najpierw jego obecność. Odkrywała go powoli, ale w stopniu wzrastającym. Służyły temu okoliczności historyczne i osoby, które spotykała. Niemałą zasługę mieli w tym jej rodzice i krewni, w szczególny sposób siostra mamy, Zofia Szlenkierowa, również pielęgniarka

i fundatorka szpitala dziecięcego w Warszawie[122]. Całej reszty dopełniło natomiast odkrycie bliskości Jezusa Chrystusa, Boga i Przyjaciela chorych i cierpiących.

Jest rzeczą ważną posiadać *ideę*, jakiś zamysł, plan na życie, pozwalając jednocześnie, aby się rozwijała i kształtowała życie. Piękna idea, wartościowa myśl, nie jest bowiem niczym innym jak dobre ziarno rzucone w ziemię. Jeżeli pada na ziemię urodzajną, wyrasta i przynosi upragniony owoc. Tak właśnie postępowała Błogosławiona. Troszczyła się o chorych w teorii i praktyce. Szukała nowych sposobów przychodzenia im z pomocą, których skuteczność sprawdzała w praktyce. W jej przypadku pomoc umierającym nie była tematem towarzyskich rozmów, sporów, akademickich dyskusji, ale ciągłych trudów i nieustannych wymagań od siebie. Rzeczywiście chciała nieść i niosła pomoc ludziom. Pomoc innym zmieniała jej życie, wyznaczając jej nowe drogi, nowe kierunki, często bardzo inne od wcześniej przez nią planowanych.

Była wrażliwą na godność człowieka cierpiącego

Hanna Chrzanowska, idąc do chorych, świadomie i dobrowolnie wybrała pewien rodzaj peryferii egzystencjalnych. Przez całe dorosłe życie poruszała się w wąskiej przestrzeni między radością a smutkiem, nadzieją a desperacją, wiarą a niewiarą. W sposób mądry musiała (i umiała) dobierać słowa i gesty, stosować odpowiednie formy pomocy, aby ulżyć w cierpieniu lub oddalić chorobę.

Widziana z perspektywy pomocy, której udzielała chorym, Hanna Chrzanowska była poniekąd artystką. Jej umysł, czuły i wrażliwy, był bardzo wyczulony na duchowe piękno osoby cierpiącej. Odkrywała w niej, pod powłoką bólu, egzystencjalnej biedy, materialnego opuszczenia, coś z piękna biblijnego syna człowieczego i odkrywając je,

[122] Założony przez nią Szpital im. Karola i Marii, oddany do użytku w 1913 r., okazał się jednym z najnowocześniejszych szpitali w Europie. Obecnie już nieistniejący.

pokazywała innym. Z troski o człowieka chorego, słabego, cierpiącego uczyniła miarę człowieczeństwa.

Z perspektywy chorego spoglądała również na siebie, na swoje możliwości intelektualne i egzystencjalne, na otoczenie. Była malarzem ludzkich wnętrz. Wyprowadziła na światło dzienne chorych, w sensie dosłownym i metaforycznym. Ukazywała ich godność i noszoną przez nich tęsknotę za radością, przyjaźnią, bliskością. Tłumaczyła innym, że ciągle żywe są w nich pragnienia, nadzieje i tęsknoty.

Krakowska Błogosławiona nie zajmowała pierwszych miejsc na salonach. Nie pracowała w „nawie głównej" życia społecznego czy kulturalnego. Nie była politykiem czy ekonomistą. Nie należała do sławnych profesorów akademickich (jak jej ojciec Ignacy) ani przemysłowców (jak dziadkowie). Na miejsce swojej pracy wybrała „nawę boczną" ludzkiej egzystencji, czyli osobę chorą, przetrąconą przez życie, z różnych względów zepchniętą na margines do nawy bocznej, do przysłowiowej „bocznej kaplicy" życia społecznego. I w tej „bocznej kaplicy" Chrzanowska wyczarowała coś wyjątkowego. To był cud. Raptem „kaplica boczna", do tej pory prawie niezauważalna, zaczęła przyciągać obecnych w nawie głównej. Miało się wrażenie, jakby nagle nawa się przesunęła. Wszystko to było zasługą jej wielkiej kultury osobistej i duchowej, wspartej ewangeliczną miłością i cierpliwością, urokiem i taktem. Delikatnymi muśnięciami języka troski, pędzla pielęgniarskiej posługi, bł. Hanna przywróciła właściwe proporcje godności dla tego, kto cierpiał i umierał w zapomnieniu. Tym, którzy chorowali, przypominała, że ona i wielu innych o nich pamiętają, do zdrowych natomiast nie przestawała słać apeli, że każdy rodzaj cierpienia posiada ukryty sens, jest źródłem wewnętrznej siły, które – jeśli przyjęte – stać się może okazją do dalszego wzrostu.

Chrzanowska zaproponowała nowy sposób widzenia świata. Spoglądała na niego oczami i wrażliwością osoby chorej, słabej, często opuszczonej, odchodzącej z tego świata i przygotowującej się na spotkanie z Bogiem. Psychiczny i duchowy stan tej osoby stał się dla niej miarą wszystkiego, centrum świata. W trosce o nich przerwała

studia polonistyczne, rezygnując z możliwości kariery naukowej, której – będąc uzdolnioną i córką sławnego ojca – mogła się spodziewać. Z miłości do chorych odrzuciła również scenerię ułudy, bogatą kolorystykę, materialne bogactwo. Nie była kobietą baroku ani rokoko. Gotyk również nie był jej bliski. Nie organizowała swojego życia wokół idei piękna, ale wokół idei dobra. I to nie dobra abstrakcyjnego, ale dobra bardzo konkretnego; postanowiła nieść ulgę tym, którzy cierpieli, nadzieję chorym lub jakiś rodzaj wewnętrznego pokoju dla tych, którzy przygotowywali się na spotkanie ze śmiercią.

Krakowska Błogosławiona dobrowolnie zrezygnowała z pewnej bajkowości, która mocno przyciąga i kusi zawsze, chociaż współcześnie o wiele mocniej niż kiedyś. Chrzanowska wybrała życie skromne, a nawet ubogie, mimo iż jako córka majętnych i sławnych rodziców – gdyby tylko chciała – mogłaby wieść życie na salonach. Opowiedziała się jednak po stronie samego życia, odrzucając zaś jego ramy. Świadomie odrzuciła zbędne ozdoby. Nie zgadzała się na nadmiar ornamentyki, ale skupiła się na tym, co ważne, co najważniejsze na tym świecie, czyli na człowieku. Wzmacniana Bożą łaską postanowiła oddać swoje życie, wszystkie talenty natury, człowiekowi choremu, którego godność degraduje cierpienie, choroba, opuszczenie.

Jej wytrwałość była darem Bożej łaski

Jeżeli jest rzeczą trudną odkryć ideę swojego życia, tzn. swoje powołanie, misję, jaką wyznaczył nam Stwórca, tym trudniej jeszcze pozostać jej wiernym, kiedy zostanie już odkryta. Wierność swojej misji, swojemu powołaniu, swojej *idei* jest bowiem czymś szczególnie trudnym i wymagającym; z jednej strony wymaga bowiem określonej ostrożności, z drugiej zaś strony niemałej odwagi, którą zapewnić jej zdoła ciągły rozwój, w przeciwnym razie karłowacieje i obumiera.

Wierność jest cnotą rzadką. Dlaczego? Z tej prostej racji, że aby pozostać wiernym swojemu powołaniu, nie wystarczy początkowy entuzjazm ani dobre postanowienia, potrzeba czegoś jeszcze. Tym „czymś" jest modlitwa, której brak osłabia wierność, wypala entuzjazm. Bez praktykowania modlitwy człowiek naraża się na wiele niebezpieczeństw. Unikając modlitwy, nie szukając pomocy u przewodnika duchowego, nie zabiegając o dobre środowisko, czyli dobre osoby, wierność – nawet jeżeli początkowo była mocna – zaczyna słabnąć, kruszy się. Wierność powołaniu (wewnętrznej idei), gorliwość podążania na raz obranej drodze życia, jest możliwa tylko wtedy, kiedy pielęgnuje się modlitwę i żyje jej owocami.

Hanna Chrzanowska była tego świadoma, stąd jej tęsknota za modlitwą i jej codzienna praktyka. Stąd również jej decyzja wejścia do wspólnoty oblatów św. Benedykta przy opactwie benedyktyńskim w Tyńcu. Wiedziała, że jeżeli ważna jest modlitwa osobista, tym cenniejsza modlitwa wspólnotowa. Wsparcie innych, ich solidarność w drodze, towarzyszenie, kiedy ciężar krzyża przytłacza. Chrzanowska wiedziała o tym bardzo dobrze. To właśnie dlatego organizowała rekolekcje dla chorych, stwarzając również okazję do wspólnej modlitwy.

Wierność (komuś lub czemuś) jest owocem autentycznego doświadczenia Boga, które nigdy nie zamyka się w sobie, lecz otwiera się jak niekończąca się spirala. Przyjęcie Boga w swoje życie daje w zamian wspaniałomyślne otwarcie na siebie i na tych, którzy są w potrzebie. Uczy mądrego i odpowiedzialnego bycia *bliskim* tym, którzy są w potrzebie. Otwarcie się na Bożą pomoc i przyjęcie jej prowadzi w konsekwencji do wierności podjętym zobowiązaniom, nawet wtedy, kiedy są wymagające, kiedy wydają się być mało popularne czy tzw. staroświeckie. Głębokie doświadczenie Boga, heroiczna wręcz miłość do Niego, sprawiła, że Hanna Chrzanowska była nad wyraz osobą dyspozycyjną w Jego rękach i wierną temu, czego Bóg od niej wymagał. Stała się skutecznym narzędziem Bożej troski o człowieka, szczególnie zaś o człowieka chorego, cierpiącego, doświadczanego przez życie.

Swój powrót do wiary odczytała jako dar Bożej łaski. Brakowało go jej rodzicom, ona natomiast ją otrzymała. O rodzicach pisała w swoim pamiętniku:

> Oboje byli niewierzący: i moja matka (w paszporcie wyznania ewangelicko-augsburskiego), długie lata w mękach ateistycznego pesymizmu i mój ojciec (w paszporcie rzymski katolik) pozytywistyczny wówczas liberał co się zowie! Ale każde z nich straciło inną wiarę i każdemu z nich został po niej inny osad.

Z łaską wiary przyszła również łaska wierności potrzebującym w sposób mądry i odpowiedzialny. Tak właśnie bywa, że człowiek, który jest wierny Bożym planom, otwiera się na Jego łaskę, która wzmacnia jego wierność, nadając jej rysy mądrej miłości. Zresztą wielu przyznawało, że jej heroiczna wręcz troska o chorych nie byłaby możliwa, gdyby opierała się wyłącznie na ludzkich siłach. Z pomocą przychodził jej Chrystus, który wzmacniał jej wolę, czynił jej serce bardziej wrażliwym, oczy zaś badziej spostrzegawcze na tych, którzy byli w potrzebie. Jej otwarcie się na Ducha Świętego pozwalało wiernie trwać na straży godności tego, kto cierpi.

* * *

W postawie bł. Hanny Chrzanowskiej można odkryć wiele rysów, które były typowe dla św. Brata Alberta. Nie poszła wprawdzie mieszkać do miejskiej ogrzewalni, bo czasy były inne i zmieniły się również „ogrzewalnie". W zamian jednak poszła do mieszkań chorych, często brudnych, ciemnych, cuchnących, zapomnianych przez ludzi... Poszła do nich, niosąc im nie tylko profesjonalną pomoc, ale także Jezusa Chrystusa, lekarza duszy i ciała, który jest źródłem nadziei na powrót do zdrowia, ale również nie mniejszej nadziei na życie wieczne.

Duchowo była również bardzo bliską postawy św. Teresy z Kalkuty. Wzorem albańskiej świętej szukała chorych, nie czuła wstrętu do nich, nie brzydziła się ich chorobą czy warunkami, w jakich egzystowali. Świadczyła im pomoc, niosła nadzieję, przywracała godność, którą podważyło cierpienie. Właśnie dlatego Hanna Chrzanowska jest ważna i niezwykle aktualna.

Nie było dla niego sytuacji bez wyjścia Stefan kard. Wyszyński

Są trzy perspektywy w ocenie świętości[123]. *Pierwsza* uczy, że każda osoba „uświęca się" wewnątrz pewnego kontekstu religijnego, na który składają się zwyczaje, normy prawne, pojęcia etyczne i estetyczne. Historia *ciąży* na człowieku, podobnie jak on naznacza sobą historię. *Druga perspektywa,* biorąc pod uwagę to, co zostało powiedziane wyżej, przypomina, że specyficzne rysy świętości, właściwe dla niej lub dla jej pokolenia, zależą bardzo od historii, w której żyje i w tworzeniu której współuczestniczy. Pełna zatem ocena świętości osoby, ukazanie jej cech charakterystycznych, rysów specyficznych, nie może pominąć tego kontekstu, nie może nie wziąć pod uwagę epoki, w której żyła, ówczesnej sytuacji gospodarczej i politycznej, jej wymagań i potrzeb. Wszystkie te uwarunkowania wpływają na sposób modlitwy, praktykowane przez świętego formy pokuty/ascezy, duchowe ideały, sposoby zaangażowania się w życie Kościoła i społeczeństwa, którego historię współtworzy. Świętość, chociaż zawsze jedna i ta sama, ponieważ jej źródłem jest zawsze ten sam Bóg, w każdej epoce i w każdej osobie „wypowiada się" jednak jakoś „inaczej". Wpisuje się w historię, poddana jest jej wpływom, ale nie pozwala się im zniewolić. Wykracza poza nie, wytyczając jej nowe

[123] Tekst ukazał się w pozycji: *1966. Milenium Chrztu Polski Prymasa Stefana Wyszyńskiego. Perspektywa teologiczno-społeczna*, red. E.K. Czaczkowska, Warszawa 2016, s. 15–36.

kierunki i nowe wzorce do realizacji. Tak było właśnie w przypadku Prymasa Wyszyńskiego, który wpisywał się w ramy konkretnej historii, a zarazem wykraczał poza nie, zmieniał ją, wyznaczając dla niej nowe kierunki. W pewnym więc stopniu epoka, w której przyszło mu funkcjonować, *zaważyła* na nim. Obrany stan życia, powierzone mu obowiązki, sytuacja geopolityczna itd., zakreślały obszar jego działań, narzucały określony styl zachowania i zakres władzy, którą dysponował. Jednak z drugiej strony, również Wyszyński za/*ciążył* w pewnym stopniu na historii, nadając jej nową jakość, której byłaby pozbawiona bez jego udziału.

Z kolei *trzecia* perspektywa mówi, że obrazy świętych, które do nas docierają, przekazywane są poprzez świadectwa innych, tj. osób, które ich znały, żyły razem z nimi lub obok i teraz o nich piszą lub opowiadają.

Świadectwa te zależą w większym lub mniejszym stopniu od duchowej wrażliwości i intelektualnej wiedzy piszącego o świętym. Zależą również od literackich uzdolnień piszącego, a także od potrzeb chwili, szlachetnych ideałów lub prozaicznych celów, jakie stawiał sobie ich autor itd.

Z wielu względów każdy święty jest nieco inny, charakterystyczny dla siebie, w jakimś stopniu jedyny. Bo chociaż każdy święty posłuszny był tym samym Bożym przykazaniom, to jednak różnił ich kontekst czasowy, uwarunkowania społeczne i ekonomiczne, zdrowie, inteligencja, warunki rodzinne czy duchowe. Wszyscy oni żyli w podobnym napięciu miłości, posłuszni dynamice wiary, ale każdy z nich na swój sposób, na miarę swoich możliwości. Wspólna była im wewnętrzna dynamika, jakiś rodzaj duchowego *otwarcia*, w pierwszej kolejności na Boga, a następnie na człowieka i jego potrzeby[124]. To właśnie wewnątrz tej dynamiki, którą można uznać również za jakiś rodzaj duchowej *wrażliwości*, rodzi się pragnienie świętości i następuje jej urzeczywistnianie. To sprawia, że w świętości każdego człowieka spotkać można zarówno to, co zmienne, czyli wszystko

[124] Zob. Z.J. Kijas, *Inna strona Kościoła,* Pelplin 2011.

to, co jest związane z czasem i miejscem, jak również to, co jest stałe i niezmienne, wynikające z relacji z Bogiem. To ostatnie nie może ulec przeinaczeniu. Nie może odejść w historyczną niepamięć, lecz jest ciągle żywe i aktualne, nieprzerwanie ewoluuje, zachęca do naśladowania lub do robienia rachunku sumienia. Spoglądając z tej właśnie perspektywy na dawnych świętych, odkrywamy ich ciągłą aktualność. Dostrzegamy w nich jakiś rodzaj duchowej „nowoczesności". Bóg, który stał się żywy w ich życiu, będąc Bogiem ponadczasowym, nie pozwala teraz, aby świętych, nawet tych tzw. „dawnych", zamknąć w annałach historii i mówić o nich jak o zmarłych. Przeciwnie, oni są duchowo ciągle żywi i nadal bardzo aktualni. A nawet bywa i tak, że aktualność ich życia i przesłania narasta w czasie.

Antropologia świętości bierze na poważnie wspomniany splot zagadnień, historyczno-polityczny kontekst życia świętego. Traktuje go na serio, lecz się na nim nie zatrzymuje. Idzie dalej i głębiej. Chce dotrzeć niejako do serca osoby świętej, obnażyć ją niejako z płaszcza historii, aby odkryć jej najbardziej autentyczne „ja", istotę piękna. Antropologia świętości stara się wydobyć na zewnątrz z osoby świętej to, co było jej wewnętrzną siłą, co poruszało ją od środka, co, mimo trudnych nieraz uwarunkowań historycznych, pozwoliło jej się ciągle rozwijać i coraz bardziej pięknieć.

Antropologia świętości bierze pod uwagę wnętrze świętego i kontekst zewnętrzny; czasy, w których żył, pełnione przez niego urzędy, wykonywane funkcje, wszystkie sytuacje, w jakich postawiło go życie. Właściwa znajomość „kontekstu" historycznego jest nieodzowna do odczytania pełnej *specyfiki* świętego i jego przesłania dla współczesnych. Przy lekturze świętego nie można jednak ograniczyć się do samej analizy sytuacji historycznej, w której wzrastał. Trzeba koniecznie zajrzeć do tekstów świętego[125]. Dużą pomocą w poznaniu autentycznych odczuć świętego mogą być teksty i dokumenty

[125] Ważne jest również, aby nie była to lektura jego tekstów najbardziej znanych czy najbardziej rozpowszechnionych, ale także tych mniej znanych i mniej rozpowszechnionych.

dotąd może mało znane, rzadziej pojawiające się w obiegu. Często one właśnie pozwalają wejść głębiej w intymne życie osoby świętej, poznać najgłębsze jej pragnienia, ideały, tęsknoty. Ważne jest również, aby sięgać do świadków jego życia, nie tylko tych powszechnie znanych i cenionych, mocno zaangażowanych w życie świętego, ale także tych z drugiej linii, traktowanych jako dalekich i dlatego nieczęsto pytanych o zdanie. Warto ponadto korzystać z tekstów autorów współczesnych świętemu. Ten rodzaj analizy próbuje wejść głębiej w życie świętego, odkryć jego autentyczne pragnienia i cele ostateczne, jego związek z Bogiem i bliskość z ludźmi. Chce poznać autentyczne „ja" świętego, które – w miarę rozwoju jego życia – nabierało różnych odcieni, powiązań, odniesień. Przyjmowało takie czy inne rysy, eksponowało taką czy inną jego cechę, której źródło jest jednak ukryte gdzieś znacznie głębiej.

Ten „oddolny" sposób widzenia człowieka można i należy wzbogacić o sposób „odgórny", który nadaje pełny sens temu, co z punktu widzenia historii wydaje się nie posiadać większego lub żadnego znaczenia. Antropologia świętości posiada więc w sobie coś z ludzko-boskiego złożenia. Niesie w sobie coś z wymiaru Jezusa, jako człowieka, i Chrystusa, jako namaszczonego Bożego Syna. Antropologia świętości chce dotrzeć do najgłębszych pragnień i intencji człowieka, często ukrytych lub mało czytelnych dla zewnętrznego obserwatora.

Każda antropologia spogląda na człowieka pod pewnym kątem, z właściwej dla siebie perspektywy. *Antropologia sportu* analizuje relacje, jakie mają miejsce między różnymi społeczeństwami a sportami, które uprawiają. Bada ich wpływ na rozwój gospodarczy, polityczny czy społeczny. Z kolei *antropologia tańca* stara się wyjaśnić powiązania pomiędzy formami ruchu a kulturą, a *antropologia ciała*, analizując różne koncepcje i wykorzystanie ciała ludzkiego i jego organów w różnych kulturach, skupia się na działaniach, w których świat zewnętrzny, rzeczywistość, w której jednostka uczestniczy i jest jej częścią – społeczeństwo, tradycja, władza, wiedza, polityka, sport, postęp technologiczny i inne, odbijają na ciele ludzkim swoje piętno, „konstruują" je.

Antropologia świętości bierze pod uwagę powiązania zewnętrzne, sytuacje i konteksty historyczne, w jakich wyrastała świętość danej osoby, ale szuka czegoś jeszcze więcej. Pragnie dotrzeć do *powiązań* duchowych. Chce odkryć wewnętrzne źródło ognia, który rozpalał błogosławionego lub świętego, w naszym zaś przypadku Prymasa Wyszyńskiego, do praktykowania tej formy życia.

W niniejszym tekście pragnę wskazać jedynie na kilka z nich, które uważam za bardzo ważne, ale być może nie jedyne. Są nimi: a) pragnienie bycia dobrym człowiekiem i dobrym obywatelem; b) szczególne znaczenie pracy i modlitwy; c) doświadczanie Boga jako Ojca; d) szacunek dla godności człowieka; e) troska o harmonię.

Trudny kontekst mówienia o świętości

Nie jest w modzie mówić dzisiaj o „świętości życia". Język, którym się posługujemy, uległ poważnej sekularyzacji, stał się świecki i dlatego odległy od obszaru świętości. Jesteśmy raczej skłonni wyrażać się w formie: „Chcę realizować się jako osoba, aspiruję, aby być sobą, chcę być autentyczny, jestem zadowolony z siebie i nie zamierzam się zmieniać, musisz zaakceptować mnie takim, jakim jestem" itd. Nie uchodzi za „kulturalne", a więc nie jest rzeczą mile widzianą na salonach, mówić: „Chcę być święty, ze wszystkich moich sił staram się zmienić, aby mieć te same uczucia, które miał Jezus Chrystus, jestem gotów, abyś ujawnił moje wady i pomógł się poprawić; nie jestem zadowolony z tego, co już osiągnąłem, dlatego muszę się nawrócić i stać się lepszym" itd. Tak zwykły mówić osoby wierzące, które świadomie podjęły się innego stylu życia. Nie uciekają od świata, lecz chcą być w nim obecne na *inny nieco sposób*, zobowiązując się do działań, które odmienne są od posunięć tych ludzi, którzy wierzącymi nie są.

Czy Wyszyński był więc staroświecki, kiedy mówił o świętości? Nie sądzę! O świętości można mówić na różne sposoby. Można o niej

mówić, stosując przymiotnik „święty", ale przecież można mieć ją również na myśli, kiedy mówi się o pięknie życia człowieka, o jego szlachetnej naturze, którą się winno ciągle rozwijać i upiększać, o powołaniu/wezwaniu człowieka do ciągłego wzrastania w mądrości, dzięki której zbliża się do Mądrości Odwiecznej i jest zdolny dokonywać w życiu właściwych wyborów. Można mówić pośrednio o świętości, kiedy zwraca się do słuchaczy z apelem, aby uczyli się odkrywać coraz wyraźniej obecne wokół siebie piękno, którego są odbiorcą, nie zaś stwórcą itd. To wszystko pokazuje, że świętość niejedno ma imię. Wiedział o tym Kardynał Prymas, dlatego rzadko korzystał z terminu „świętość", za to starał się ciągle przebywać w jej blasku, w promieniach doskonałości. Jego świętość realizowała się poprzez dobre życie (czyny i słowa) w tych sytuacjach, w których postawił go Pan Bóg, realizując mądrze i wiernie wyznaczone sobie zadania.

Dobry człowiek

Każdy czegoś pragnie, za czymś tęskni, do czegoś dąży. Czego zatem pragnął Wyszyński? Co chciał osiągnąć w swoim życiu? Jakim chciał być człowiekiem? Z analizy jego wypowiedzi, pochodzących z różnych okresów życia, należy sądzić, że jego wielkim pragnieniem było bycie przede wszystkim dobrym człowiekiem. Dobra, którego pragnął, nie wymyślał jednak sam, ale przyjmował to, które zsyłał mu Bóg. A ponieważ wierzył w Bożą mądrość, wiedział, że On kieruje jego życiem i daje mu to, co uznał dla niego za ważne lub też wysyła go w miejsca dla niego najlepsze. Nie zawsze od razu rozumiał w pełni ich sens czy wartość, ale zawsze starał się wypełnić dobrze powierzane sobie zadania i gorliwie wypełniać powierzoną sobie misję. Zresztą bardzo często święci żyją w ciągłym zdziwieniu albo, mówiąc jeszcze inaczej, są ciągle zaskakiwani przez Boga. Wyszyński chciał być uczciwym względem siebie i względem drugich. Chciał bardzo sprostać Bożym wymaganiom, szanując jednocześnie

człowieka, którego spotykał na swojej drodze, i to niezależnie od jego przynależności partyjnej czy narodowej. Spoglądał na niego bowiem z „Bożej perspektywy".

Swoistym potwierdzeniem prawdziwości naszych spostrzeżeń jest prymasowski *dekalog bycia dobrym człowiekiem*. W dziesięciu zasadach ujął Wyszyński nowy program duszpasterski, tzw. Społeczną Krucjatę Miłości[126], którą ogłosił 8 lutego 1967 roku, zaledwie miesiąc po zakończeniu obchodów Milenium. Czytając poszczególne punkty programu bycia dobrym człowiekiem, ma się wrażenie, jakoby Prymas wyrażał w nich to, w co głęboko wierzył, czym żył od zawsze, co praktykował od dzieciństwa. Uderza w nich mocny apel o bycie *dobrym* w relacjach międzyludzkich i o bycie *solidnym* w pracy. Oto, co pisze Prymas:

1. Szanuj każdego człowieka, bo Chrystus w Nim żyje. Bądź wrażliwy na drugiego człowieka, Twojego brata.

2. Myśl dobrze o wszystkich – nie myśl źle o nikim. Staraj się nawet w najgorszym znaleźć coś dobrego.

3. Mów zawsze życzliwie o drugich – nie mów źle o bliźnich. Napraw krzywdę wyrządzonym słowem. Nie czyń rozdźwięku między ludźmi.

4. Rozmawiaj z każdym językiem miłości. Nie podnoś głosu. Nie przeklinaj. Nie rób przykrości. Nie wyciskaj łez. Uspokajaj i okazuj dobroć.

5. Przebaczaj wszystko wszystkim. Nie chowaj w sercu urazy. Zawsze pierwszy wyciągaj rękę do zgody.

6. Działaj zawsze na korzyść bliźniego. Czyń dobrze każdemu, jakbyś pragnął, aby Tobie czyniono. Nie myśl o tym, co Tobie jest ktoś winien, ale co Ty jesteś winien innemu.

[126] E. Czaczkowska, *Kardynał Wyszyński. Biografia*, Kraków 2013, s. 405.

7. Czynnie współpracuj w cierpieniu. Chętnie spiesz z pociechą, radą, pomocą, sercem.

8. Pracuj rzetelnie, bo z owoców Twej pracy korzystają inni, jak ty korzystasz z pracy drugich.

9. Włącz się w społeczną pomoc bliźnim. Otwórz się ku ubogim i chorym. Użyczaj ze swego. Staraj się dostrzec potrzebujących wokół siebie.

10. Módl się za wszystkich, nawet za nieprzyjaciół[127].

Historia, w której żył, uczyniła Wyszyńskiego „instytucją", gdy tymczasem sam chciał być przede wszystkim dobrym, uczciwym i szczerym człowiekiem. Niczego nie chciał robić „na pokaz", „pod publiczkę". Nie chciał się nikomu przypodobać, aby coś w zamian zyskać. Chciał być zawsze sobą. Dobroć, którą praktykował, nie była udawaną. Oczywiście, zachował prawo do własnego zdania – o czym będę jeszcze mówił – i nie pochwalał postawy, jeżeli nie była ona dobra i szczera. Potrafił odróżnić dobro od zła.

Dobry obywatel

Prymas był dobrym człowiekiem, dobrym seminarzystą, dobrym księdzem i biskupem, ale też dobrym, uczciwym obywatelem. Posiadał cnoty obywatelskie. Miał zdolność do przedkładania dobra publicznego nad dobro osobiste. Był prawdomówny, tolerancyjny, wiarygodny i uczciwy. Czuł się bardzo odpowiedzialny za tych, którzy zostali powierzeni jego opiece duszpasterskiej, a pośrednio czuł się odpowiedzialny za wszystkich obywateli kraju, którego był – z woli Bożej – prymasem. Pełnił aktywnie swoje obowiązki, starał się współpracować – na ile było to możliwe – z innymi, również tymi, którzy nie należeli do Kościoła.

---

[127] S. Wyszyński, *Nauczanie społeczne 1946–1981,* Warszawa 1990, s. 498.

Jako dobry obywatel swojego kraju, Wyszyński starał się być bardzo lojalny wobec władz swojego państwa i chociaż nie podzielał poglądów ówczesnych rządzących, nie wzywał bynajmniej do siłowego ich obalenia. Ówczesny system polityczny i gospodarczy chciał reformować od środka, odwołując się do dialogu, który praktykował mądrze i cierpliwie. Ponieważ wierzył głęboko w ukrytą dobroć człowieka, dlatego korzystał z metody dialogu jako środka, narzędzia czy też duchowej drogi odkrycia dobra w drugim człowieku i jego maksymalnego rozwoju. Wierzył w dobroć drugiego także wtedy, kiedy rzeczywistość zdawała się temu przeczyć, kiedy – mimo wysiłków – efekty starań były marne lub nie było ich w ogóle. On nadal ufał.

Prymas odznaczał się odwagą w mówieniu prawdy, kiedy był w kraju, i obroną godności swojej ojczyzny, kiedy był poza jej granicami. Jednym słowem – Prymas był patriotą i kochał swoją ojczyznę. Czuł się bardzo odpowiedzialny za los jej mieszkańców – mimo ich różnych przynależności partyjnych. Odpowiedzialności tej uczył się przede wszystkim z wiary, która przypominała mu, że Bóg troszczy się jednakowo o wszystkie swoje stworzenia i „sprawia, że słońce Jego wschodzi nad złymi i nad dobrymi, i On zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych" (Mt 5, 45).

Boga się nie lękał, ale szanował. Podziwiał przede wszystkim Jego dobroć i mądrość, którymi się kieruje w rządzeniu światem. Historia postawiła Wyszyńskiego w trudnych sytuacjach, do których się nie przygotowywał. Wchodził w nie trochę z zaskoczenia, zawsze zabierał jednak ze sobą te dwa ważne dla niego pragnienia: bycia dobrym człowiekiem, kapłanem, biskupem, prymasem, a także dobrym obywatelem swojej ojczyzny. One nadawały kształt temu wszystkiemu, co robił i z kim się spotykał.

Szacunek i wartość pracy

Biografów Wyszyńskiego uderza jego pracowitość i systematyczność. Zgodnie przyznają, że w zasadzie nic nie przychodziło mu

łatwo. Do wszystkiego musiał przygotowywać się długo i solidnie. Wszystko wymagało bowiem od niego pracy, wysiłku, wyrzeczeń, cierpliwości, ale w zamian to, co osiągnął, umiał cenić i szanować. Jego kolega z seminarium, Henryk Ryszewski, który później wystąpił i stał się informatorem Służb Bezpieczeństwa, w takich słowach charakteryzował Wyszyńskiego:

> Był niesłychanie pracowitym, w nauce – ambitny i zapamiętały. Może dlatego, że wiele rzeczy zdobywał z trudem (np. nie miał zdolności językowych). Przysłowiowym „kowalem" jednak nie był. Po ojcu nie odziedziczył ani muzykalności, ani głosu i do chóru kleryckiego nie należał. [...] Znam go jako dobrego kolegę. Krzywdy nie robił, donosicielstwem, które w szczególny sposób kwitło w seminarium, brzydził się. Lubił się pośmiać, pożartować z kolegami i z kolegów, ale czynił to w ich obecności, nie dopuszczał nadużyć. Nie powiem, że lgnął do szerszego koleżeństwa. Już w seminarium zdradzał się jako samotnik w pracy i w walce[128].

Praca – powiedziałbym – była w pewnym stopniu „codziennością" Prymasa, przestrzenią jego życia, kuźnią charakteru, woli, cnót. Jego publikacja *Duch pracy ludzkiej* była mu książką szczególnie bliską, dziennikiem zwierzeń. W ostatnich miesiącach przed śmiercią prosił o kolejne jej wydanie. Po raz pierwszy ukazała się w 1946 roku, w trudnym okresie powojennym. Była jego odpowiedzią na potrzeby ludzi, którzy powracali do zniszczonych domów, do ruin i zgliszcz, kiedy – jak pisał Prymas we wstępie do pierwszego wydania – powszechne było wielkie pragnienie „spokojnej, owocnej, błogosławionej pracy". We wprowadzeniu do wydania trzeciego, z 1953 roku, pisał z kolei, że:

> Nieprzerwany trud pracy wiąże nieustannie najwartościowsze siły fizyczne i władze duchowe człowieka. Ulegając prawom życia osobistego i społecznego, oddajemy pracy poważniejszą część tego życia. Jesteśmy przekonani, że praca ludzka, pomimo jej ciężaru, jest naszą potrzebą, naszą radością, jest wielkim błogosławieństwem ludzkości. I dlatego przyjmujemy na

[128] E. Czaczkowska, *Kardynał Wyszyński...*, dz. cyt., s. 37.

> siebie zadanie pracy w poczuciu pełnej gotowości. Ta postawa nie chroni nas jednak od przeróżnych cierpień, fizycznych i duchowych, łączących się z pracą. Można jednak zmniejszyć je w wybitnym stopniu. Można podnieść znaczenie wychowawcze pracy ludzkiej zarówno w osobistym, jak i społecznym zakresie, dzięki temu praca ludzka pełniej okaże właściwe swoje oblicze: ludzkie, moralne, religijne, kulturalne, społeczne, gospodarcze[129].

Prymas oddychał pracą. Niezależnie od tego, co działo się wokół, jakie szalały burze historii, on robił „swoje" wytrwale, systematycznie, bez większego hałasu... robił swoje. Pisał listy, udzielał rad, przygotowywał programy duszpasterskie, realizował podjęte prace... I chociaż nie zawsze był pewny, czy będzie mu dane zbierać owoce swojego duszpasterskiego zasiewu, nie przestawał jednak siać. Był rolnikiem, który siał słowo Boże, wierząc, że stanie się ono chlebem w sercach ludzkich. Po długich latach wspominał pewną scenę z początków wojny, której był świadkiem:

> Rolnik, którego spotkałem we wrześniu 1939 roku pod miasteczkiem Irena nad Wieprzem, siał, podczas gdy wszyscy uciekali, gdzie kto mógł. Właśnie spowiadałem w rowie żołnierza i obserwowałem tego człowieka, który spokojnie siał. A żołnierz, płacząc jak dziecko, powtarzał: Proszę księdza, co oni z nami zrobili? Co z nami będzie? – niewiele miałem mu do powiedzenia. Wskazałem ręką: Widzisz tego siewcę? Patrz, on nie płacze, on sieje. Gdy udzieliłem żołnierzowi rozgrzeszenia, podeszliśmy razem do siewcy. Zapytałem: Pan sieje? Czy Pan nie widzi, jak szosą na Lublin wszyscy uciekają? – A on odpowiedział: Proszę księdza, jak zostanie ziarno w spichrzu, to się spali, a jak będzie w ziemi, to zawsze ktoś chleb zbierze. Nie myślał o sobie. Nawet w takiej sytuacji myślał o innych[130].

Wyszyński nie był co prawda żołnierzem, ale posiadał w sobie bardzo wiele z ducha rycerskości. Był waleczny. Nie był strategiem militarnym czy politycznym, ale osobą mądrą i doświadczoną, był

---

[129] S. Kard. Wyszyński, *Duch pracy ludzkiej. Myśli o wartości pracy*, Warszawa 1991, s. 5.

[130] A. Rastawicka, *Opatrznościowy Pasterz. Stefan Kardynał Wyszyński,* w: *Święci są wśród nas*, red. G. Bartoszewski, Warszawa 2012, s. 16.

duchowym rolnikiem, który wie, jakie ziarno w jaką ziemię i o jakiej porze roku należy wrzucić. Troszczył się zarówno o ziemię, jak również o ziarno. Nic nie było bez znaczenia: ziemią był człowiek, ziarnem zaś Boże przykazania.

Wyjątkowość modlitwy

Na równi z pracą szła *modlitwa*. Dzień przed aresztowaniem, 25 września 1953 roku, gdy po wieczornym nabożeństwie został zatrzymany przez studentów i kobiety zaniepokojone o jego los, powiedział krótko: „Mówcie różaniec. Znacie obraz Michała Anioła – Sąd Ostateczny. Anioł wyciąga z przepaści na różańcu. Mówcie za mnie różaniec”[131].

Modlitwie był wierny od zawsze. Pisał o niej w swojej książce *Ojcze nasz*, którą cenił podobnie jak wspomnianą wcześniej o pracy. W jakiś mistyczny wręcz sposób zespalały się one ze sobą, praca i modlitwa, wiązały się niczym zakochani, nie mogąc żyć bez siebie. Dla Wyszyńskiego praca była modlitwą, podobnie jak modlitwa – była również formą duchowej pracy, zmagania się ze zrozumieniem Bożej woli i wiernym jej wypełnieniem.

Maria Leonia Graczyk, współwięźniarka Prymasa Wyszyńskiego, daje takie świadectwo o jego modlitwie:

> W Stoczku nauczyłam się od Ojca modlitwy bez brewiarza, modlitwy bezpośredniej, jak gdyby obcowania bezpośrednio z Bogiem. Tak jakby człowiek stał przed Nim i mówił do Niego[132].

---

[131] S. Kard. Wyszyński. Prymas Polski, *Zapiski więzienne*, Paris 1982, s. 11.

[132] J. Żakowski, *Mroczne wnętrza. Uwięziony Prymas prywatnie w oczach współwięźniów i swojej siostry. Maria Leonia Graczyk, ksiądz Stanisław Skorodecki, Julia Wyszyńska,* Warszawa 2000, s. 25.

Nieodozowność Boga Ojca

Bardzo dużo zostało już powiedziane i napisane o maryjności Prymasa. Nie brakowało między ludźmi także i takich, również wśród zdeklarowanych katolików, którzy zarzucali mu maryjną niepoprawność, informując o tym zagraniczne episkopaty. Istotnie, Wyszyński powracał często do postaci Maryi, co wyniósł poniekąd z domu, o czym obszernie i mądrze pisze Ewa Czaczkowska[133]. Skupiając się jednak na maryjności Prymasa, zapomina się tymczasem postawić pytania: W jaki sposób odnosił się on do Boga? Kim był Bóg dla niego? W jakich słowach Prymas zwracał się do Najwyższego? Są to ważne pytania, ponieważ odpowiedź na nie pozwoli – jak sądzę – ująć we właściwy sposób jego relację z Maryją, która była relacją pochodną jego osobistego stosunku do Boga jako Ojca.

Miał bardzo wiele racji o. Jerzy Tomziński, paulin, kiedy mówił, że Prymas:

> Na Maryję postawił w latach więzienia. Na Maryję postawił, pisząc w 1956 r. *Wielkie Śluby Narodu*. Na Maryję postawił w czasie naszego Milenium, oddając Polskę w Jej macierzyńską niewolę miłości. Na Maryję postawił, inicjując peregrynację kopii Cudownego Obrazu Jasnogórskiej Pani we wszystkich parafiach. Po tej maryjnej drodze toczyły się sprawy Kościoła w naszej Ojczyźnie w ciągu 33 lat jego prymasowania[134].

Sądzę, że jest to jednak wypowiedź trochę niepełna. Trzeba bowiem koniecznie uzupełnić ją o coś bardzo ważnego, mianowicie o jego głębokie doświadczenie Boga. Uważam, że od początku, od pierwszych dni swojego świadomego życia, Prymas stawiał w pierwszym rzędzie na Boga. On zakreślał horyzont jego życia, jego pragnień i był źródłem mocy. Maryja była drogą do Niego.

---

[133] E. Czaczkowska, *Kardynał Wyszyński...*, dz. cyt., s. 31.

[134] M.P. Romaniuk, *Kardynał Stefan Wyszyński. Prymas Tysiąclecia. Przewodnik bibliograficzny 1921–2005*, Radom 2006, s. 17.

Duchowym obszarem, w którym Prymas żył i myślał, rozważał swoje życie i powołanie kapłańskie, interpretował historię swojej ojczyzny i dzieje Kościoła; horyzont, wewnątrz którego starał się odczytać głębszy sens tego, co go spotykało osobiście, jak również sens swoich ukrytych pragnień, stanowił tylko i wyłącznie Bóg. Prymas od młodości żył i myślał w *przestrzeni* Bożej obecności, Bożej wszechmocy i wszechwiedzy. Wiedział, że Bóg rządzi światem i dlatego mądrze kieruje również jego życiem. Wiara uczyła go, że nic i nikt nie może ukryć się przed Bożym okiem, pełnym miłości i dobroci, ale zarazem okiem mądrym i sprawiedliwym. Świadek jego więzienia, s. Leonia Graczyk, zeznawała, że Prymas:

> Zawsze mówił, żeby się nie martwić, bo wszystko jest w rękach Opatrzności Bożej, bo wszyscy jesteśmy we władzy najlepszego Ojca, który najlepiej wie, co nam jest w życiu potrzebne[135].

Bóg Kardynała Prymasa nie jest bezimienny, ale nosi konkretne imię, posiada wyraźne rysy *Ojca*. Dlatego Boga-Ojca umieścił Wyszyński w *centrum* wszystkich odniesień; swoich osobistych, kościelnych i historycznych. Wokół Boga, czyli wokół Jego boskiej woli, wokół Jego odwiecznych planów, znaczonych miłością, „kręciło się" wszystko: dzieje świata, Kościoła i jego własne. Biskupie zawołanie Wyszyńskiego – *Soli Deo* wskazuje bardzo wyraźnie na tę perspektywę myślenia. W pełnej formule zawołanie to brzmi: *Soli Deo honor et gloria*, czyli *Samemu Bogu cześć i chwała!* Sentencja łacińska, zaczerpnięta z Wulgaty, pochodzi z *Pierwszego Listu do Tymoteusza* (1, 17). Czytamy w nim następuje słowa: „A Królowi wieków, nieśmiertelnemu, niewidzialnemu, Bogu samemu – cześć i chwała na wieki wieków. Amen". Z kolei w *Liście św. Judy* zawołanie to jest zwieńczeniem listu i posiada formę końcowej doksologii: „Jedynemu Bogu, Zbawcy naszemu, przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego, chwała, majestat, moc i władza przed wszystkimi wiekami i teraz, i po wszystkie wieki. Amen" (Jud 1, 25).

---

[135] J. Żakowski, *Mroczne wnętrza...*, dz. cyt., s. 25.

Jako człowiek, znał doskonale swoją niemoc. Wiedział, że jego starania o szerzenie Bożej chwały – nawet szczere i wielkie – znaczone są zawsze pewnym ludzkim egoizmem, słabością, interesem, dlatego chętnie dodawał określenie *per Mariam*: *„Soli Deo per Mariam" – Samemu Bogu przez Maryję*. Ona była dla Prymasa „drogą", narzędziem, środkiem do szerzenia chwały Boga Ojca.

Oblicze Boga, jako Ojca, Prymas odkrywał również poprzez łzy, które wylewał po śmierci matki. Bardzo szybko, kiedy miał zaledwie dziesięć lat, umarła mu matka. Był 31 października 1910 roku. Po latach, w siedemdziesiątą rocznicę jej śmierci, 31 października 1980 roku, a pół roku przed swoją śmiercią, pisał:

> Ojcze Niebieski, zabrałeś nam, dzieciom, matkę Juliannę i zostawiłeś nas sierotami. Wiemy, że wszystko czynisz przez Miłość. Ale związek z matką, którą dałeś, jest tak wielki, że trudno pojąć, że miłość Boża pozbawia nas miłości macierzyńskiej. Fiat Voluntas Tua [niech się stanie wola Twoja][136].

Początki bliskości z Bogiem, jako Ojcem, nie były więc dla Wyszyńskiego nazbyt łatwe, gdyż znaczone cierpieniem i śmiercią matki. Jednak z upływem lat narastała w nim świadomość bycia całkowicie „w rękach" dobrego Pana, który wszystko może i wszystkim mądrze rządzi. Z okresu nabywana tej świadomości pochodzą momenty szczególne, przeżycia głębokie i ważne, które odcisnęły wyraźny ślad na duchowości i psychice Kardynała. Świadomość ta krystalizowała się szczególnie mocno w okresie powojennym, jak również w okresie późniejszym, kiedy będąc prymasem, musiał podejmować ważne/odpowiedzialne decyzje, nie mogąc przewidzieć ich końcowych efektów. Coraz bardziej odkrywał w Bogu – Ojca.

W latach pięćdziesiątych, będąc już w pełni dorosłym człowiekiem, podczas przemówienia na Jasnej Górze, 26 sierpnia 1957, Prymas mówił:

---

[136] S. Wyszyński, *Z pro memoria*, 31 X 1980, w: P. Raina, *Kardynał Wyszyński i Solidarność,* Warszawa 2005, s. 131; E. Czaczkowska, *Kardynał Wyszyński…*, dz. cyt., s. 33.

> Wierność Bogu oznacza przede wszystkim wierność Ojcu. Wiemy, że to Pan, Władca, Król, Mocarz i Wszechpotęga. My, pyłki Boże rozproszone w życiu Jego władczej i życiodajnej dłoni, czujemy się w obliczu tej potęgi, której nawet ogarnąć nie możemy, jak niemowlę u piersi matczynej na jej kolanach. Jesteśmy jak ten drobiazg bezradny na łonie Ojca naszego. Czemuż to mamy milczeć o tej wielkiej Potędze, skoro serce nasze rwie się do najlepszego serca Boga Ojca? Jak bardzo trzeba nam dzisiaj pamiętać o tym, że Bóg jest Ojcem![137].

W tym samym przemówieniu, pytając retorycznie, Wyszyński dodawał inne jeszcze ważne dla nas słowa:

> Któż więc weźmie nas za serce? Tylko Ojciec – najlepszy Ojciec! Nam jest potrzebny Ojciec, my pragniemy Ojca! Chcemy żyć w Imię Ojca, chcemy wołać: „Ojcze". Chcemy widzieć wszędzie Boże Ojcostwo[138].

Sądzę, że jest to ważna uwaga. Zmusza do zweryfikowania, chociażby w części, jego mariologii, do spojrzenia na nią przez pryzmat jego stosunku do Boga, miejsca, które Bóg-Ojciec zajmował w jego pobożności. Tylko wówczas da się właściwie „ulokować", czy też opisać miejsce, jakie zajmuje Maryja w jego spojrzeniu teologicznym. Nie trzeba dać się zwieść słowom, ale chcieć sięgnąć głębiej, dotrzeć do samych pokładów antropologii świętości Prymasa Tysiąclecia.

Niepodważalna godność człowieka

Wyszyński był postacią bardzo złożoną, stąd też bardzo trudną do jednoznacznej i prostej oceny. Ta trudność w ocenie wynikała po części z samej osoby, wewnętrznie bogatej, jak również z racji pełnionych przez niego funkcji publicznych w czasach nad wyraz skomplikowanych. Co przeważało? Trudno powiedzieć, dlatego trzeba się zgodzić z faktami i przyjąć prawdę o jego złożoności. W pierwszym

[137] S. Kard. Wyszyński, *W światłach tysiąclecia*, Kraków 1961, s. 48.
[138] S. Kard. Wyszyński, *W światłach tysiąclecia...*, dz. cyt., s. 49.

odbiorze, przy pierwszym spotkaniu, mógł wydać się szorstki, mało przystępny, wyniosły i dlatego nawet trochę odpychający. Stąd też dla wielu pierwsze spotkanie z Prymasem nie zawsze należało do przyjemnych i miłych. Było raczej chłodne i oschłe. Dużo jego rozmówców uciekało wręcz przed jego spojrzeniem, które było przenikliwe, wchodziło w samo serce rozmówcy. W efekcie często ktoś taki, na kogo spojrzał, zapadał w milczenie.

Nie zawsze jednak tak było. Nie od początku Prymas zachowywał się w ten sposób i nie ze wszystkimi. Jego młodsza siostra – Julia Wyszyńska – wspomina, że:

> Normalnie był bardzo dowcipny i lubił się śmiać. W domu w czasie świąt był prawdziwym gejzerem humoru i radości. Cała nasza rodzina – dodaje – nie była pozbawiona poczucia humoru, ale Stefan i Tadeusz potrafili wszystkich rozśmieszyć do łez. Pamiętam, kiedyś wróciłam ogromnie zmęczona do domu po całym dniu podróżowania na rowerze od wsi do wsi. Wydawało się, że nie mam już siły klęczeć przez cały różaniec, który zawsze odmawialiśmy wieczorem. Powiedziałam, że będę się modlić na leżąco. A brat na to stentorowym głosem: „Kto mówi pacierz na leżąco, tego Pan Bóg słucha na śpiąco". Naprawdę umiał obrócić w żart trudną sprawę[139].

Inni, bliscy znajomi życia Prymasa, również świadczą, że był osobą serdeczną, skromną i zarazem otwartą. Wierny w przyjaźni, dyskretny w mowie i z szacunkiem odnoszący się do otoczenia, nie obgadywał i nie był krytykancki. Nie narzekał, lecz w każdej sytuacji starał się znaleźć coś pozytywnego, jakiś promyk Bożej łaski. Nie narzucał się, ale z godnością traktował każdego, kogo spotykał.

Określony majestat, hieratyczność postaci, idąca wraz z nią pewna nieprzystępność, wygląd władczy, a nawet oschłość w kontakcie z innymi, wszystko to przyszło później, niejako z zewnątrz. Poniekąd zostało mu narzucone. Wynikało w dużym stopniu z pełnionych funkcji i sytuacji politycznej, w której musiał je pełnić. Julia Wyszyńska mówi, że brat „doskonale zdawał sobie sprawę, że

[139] J. Żakowski, *Mroczne wnętrza...*, dz. cyt., s. 84.

biskupstwo, a jeszcze bardziej prymatura, oznacza śmierć cywilną. W jednym z listów użył nawet takiego określenia" – dodaje[140]. Obowiązki prymasa, klimat polityczny, świadomość bycia „na celowniku" ówczesnych władz, bycia podsłuchiwanym i śledzonym w każdym miejscu i czasie, rzutowała, musiała rzutować, na jego osobowość. Dotąd raczej radosna i otwarta, nie mogła już dłużej ukazywać się „w ludzkiej szacie".

Prymas, czego osobiście był bardzo świadomy, dźwigał na swoich barkach „instytucję". W pierwszym rzędzie był nią Kościół, ale nie wyłącznie. Poniekąd był nią również „naród", w różnorodności swoich historycznych i ludzkich złożeń, któremu ideologia komunistyczna odmówiła możliwości oddychania powietrzem swojej wiary (nie tylko chrześcijańskiej), wielowiekowej tradycji, przyjętych dawniej zwyczajów itd.

Tak więc, z konieczności, Wyszyński zmuszony był do „odłożenia" na bok, zapomnienia o swojej prywatności, przyjmując – dla dobra funkcji, którą pełnił – oblicze „instytucji". Trzeba koniecznie mieć na uwadze ów mechanizm instytucjonalno-historyczny, kiedy spogląda się na osobę Sługi Bożego. Świadomość ta nakazuje powstrzymać się przed szybką, jednoznaczną oceną jego zachowań, znanych z przekazu medialnego, pytając, czy są inne, czy pod „zasłoną", o której donosiły ówczesne media lub przypadkowi obserwatorzy, nie kryje się coś innego, o czym wiedzą jemu najbliżsi, osoby, które współpracowały z nim na co dzień. Myślę, że dla nich właśnie Prymas był osobą delikatną, wrażliwą na to, co przeżywają i czego doświadczają, chętnie służącym radą czy materialną pomocą, jeżeli zachodziła taka konieczność. Biorąc to wszystko pod uwagę, można dopiero pokusić się o opisywanie osobowości Wyszyńskiego. Jego męskość szła w parze z delikatnością zachowań, wrażliwością na piękno otoczenia i na sytuacje egzystencjalne osób, które były wokół. Znał wartość przyjaźni i potrafił ją docenić. Bliskie mu były wymogi odpoczynku i znał radość, jaka kryje się w zwykłym uśmiechu.

[140] J. Żakowski, *Mroczne wnętrza...*, dz. cyt., s. 92.

Odnajdywał się w każdej sytuacji

Sądzę, że o wielkości Prymasa mówi wiele jego duchowa zdolność „odnajdywania się" w każdej niemal sytuacji, w jakiej postawiło go życie. Umiał być studentem i kapłanem, przyjacielem i kierownikiem duchowym, prymasem, ale także więźniem, doradcą, kiedy był o to proszony, a również słuchaczem w pewnych sytuacjach. Wytyczał nowe kierunki życia Kościoła, ale w potrzebach potrafił być również posłuszny innym, decyzjom, które przychodziły z zewnątrz. Nie oznacza to, że nic go one nie kosztowały. Owszem, kosztowały wiele, ale potrafił się odnaleźć również w postanowieniach podjętych przez innych. Jego osobowość była bardzo bogata, niezwykle wieloraka. Uderzające, że on ciągle pracował nad sobą, ciągle dorastał do nowych sytuacji, które stawiało przed nim życie.

Wyszyński cenił człowieczeństwo, ponieważ cenił tego, który podarował mu ten dar. W antropologii świętości Prymasa rys „ludzki" jest bardzo charakterystyczny. Wynikał on z wielkiego szacunku do człowieka, do każdego człowieka. Poniekąd był to owoc jego duchowej dojrzałości, poniekąd zaś – i chyba przede wszystkim – głębokie przekonanie o prawdzie stworzenia, która uczy, że Bóg stworzył człowieka i powołał go do życia w przyjaźni z sobą, zapraszając wręcz do bycia Mu podobnym. Wyszyński wierzył, że początek godności człowieka ukryty jest w Bogu, który jest miłosiernym Ojcem. To Bóg rozpoczynał *dialog* z człowiekiem, który ten winien kontynuować. Bóg Ojciec zaprasza go do udziału w rozmowie, która przekształca się powoli w historię zbawienia. We Włocławku, w roku 1945, mówił:

> Ten, który stworzył nas na obraz i podobieństwo swoje, udziela nam [...] nie tylko swego dzieła twórczego, nie tylko daje nam życie. On je zabezpiecza, utrzymuje, On je przedłuża w całą wieczność. Tak wysoka, niezniszczalna jest wartość osoby ludzkiej, że człowiek raz poczęty już nie może być zniszczony. Człowiek ma początek, bierze go z miłującej woli Ojca, ale jego istnienie już nie ustaje [...] mamy tylko jedno życie, ale za to niekończące się [...]. Jest to godność tak wielka, że chociażbyśmy odczuwali

> naszą słabość, aż do upadku, to jeszcze jesteśmy dziećmi Bożymi, dziećmi Najświętszej Miłości, która nie umiera. Godność człowieka jest tak unikalna, że człowiek nigdy nie ustaje, nigdy się nie kończy, zawsze – zgodnie z wolą Bożą – trwa dalej. Wszystko ustanie, tylko człowiek pozostanie, wszystko umiera, a człowiek chociażby umarł, żyć będzie! Stąd wielka wartość i godność człowieka[141].

Często powracał myślami do tej prawdy. Przypomniał o niej niemal na rok przed swoją śmiercią, w przemówieniu w archikatedrze św. Jana Chrzciciela, w uroczystość Objawienia Pańskiego, w Warszawie, 6 stycznia 1980 roku, kiedy mówił:

> [...] Człowiek! Wśród zasadniczych mocy, które są uruchomione dla harmonii życia i współżycia, na czoło wysuwa się zaraz po Bogu – człowiek. Jak Bóg uznany i umiłowany, tak człowiek powinien być uszanowany aż do granic zda się nieodstępnych dla wielu – do granic umiłowania. Człowiek uszanowany – to znaczy uznana jego wysoka godność, godność dziecka Bożego. [...] Trzeba więc uznać wysoką godność człowieka. Trzeba – po drugie – uznać jego znaczenie dla rodziny i narodu[142].

Tylko z rozmowy z Bogiem rodzi się prawdziwy człowiek. Wyłącznie w Bogu zdoła odkryć swoją autentyczną i niezniszczalną godność, swoje powołanie, swoje zadania i zobowiązania, odkrywa sens w cierpieniu, chorobie czy przeciwnościach. Tej prawdy o swoim pochodzeniu i powołaniu człowiek musi strzec, kiedy jej nie zna, musi ją odkrywać, a kiedy i tego nie może czynić, z pomocą winni przyjść mu inni, którzy tę prawdę znają, pozwalając mu stać się tym, kim chciał Stwórca. To rola służebna, ale niezwykle ważna. Tak właśnie odbierał ją Prymas, który w kazaniu wygłoszonym w kościele Świętego Krzyża w Warszawie, 13 stycznia 1974, mówił:

---

[141] A. Rastawicka, *Opatrznościowy Pasterz...*, dz. cyt., s. 26.

[142] *Więksi i mniejsi prorocy Europy środkowo-wschodniej XX wieku. Materiały I i II Forum Teologów Europy Środkowo-Wschodniej,* Lublin 30 listopada – 1 grudnia 2001 r., Lublin, 6–8 maja 2003, red. K. Klauza, S.C. Napiórkowski OFMConv, K. Pek MIC, Lublin 2003, s. 349.

> Jest więc element zasadniczy: wola trwania bez końca, wola nieśmiertelności i wiecznego życia. Ale obok tej właściwości, której genezy w sobie nie znajdujemy, jest inna. Człowiek chce trwać w prawdzie. Oczekuje od otoczenia, aby było w prawdzie i sam czuje obowiązek trwania w prawdzie. Jest zażenowany, gdy musi symulować, udawać co innego, niż jest w rzeczywistości, ukrywać prawdę [...]. Człowiek sam nie doszedłby może do rozeznania tego źródła, gdyby nie wielka miłość Ojca, który zesłał nam Syna swego, wołającego „Abba, Pater, Ojcze" (Rz 8, 15) [...]. Otóż człowiek, który odkrywa w sobie właściwości Boże, musi mieć wolność rozwijania ich. Trzeba wytworzyć taką sytuację społeczną, pedagogiczną, kulturalną i polityczną, w której właściwości Boże, odkrywane jako dążenia ludzkie, pomogłyby ludziom, Bożym dzieciom, być sobie wzajemnie braćmi i odnosić się do siebie po Bożemu[143].

Dlatego mocno sprzeciwiał się każdej formie egoizmu, który – jak sądził – zaciemnia korzenie pochodzenia. Mówił w kazaniu do kapłanów archidiecezji gnieźnieńskiej, zgromadzonych przy grobie św. Wojciecha, w Gnieźnie 23 kwietnia 1959:

> Chrońcie się jednego: szukania swej chwały! Dzisiaj jest wielu ludzi, którzy to czynią. Szukają swego, swej mocy i potęgi, ubiegają się o znaczenie i wpływy, zazdrośni są o władzę i wciąż zatęsknieni o nią. Ta zazdrość i lęk to straszliwa niewola! Człowiek, który się poddaje temu lękowi, jest niewolnikiem, choćby posiadał władzę[144].

Ideałem jego życia była harmonia

Idea harmonii między Bogiem i człowiekiem. Zabiegał także o jedność, owocną współpracę, zgodę i wspólne działania wszystkich środowisk w kraju i za granicą, dla dobra powszechnego itd. W istocie

---

[143] S. Kard. Wyszyński. Prymas Polski, *Prymat człowieka w ładzie społecznym*, Londyn 1976, s. 209.

[144] S. Kard. Wyszyński, *W światłach tysiąclecia...*, dz. cyt., s. 79.

Prymas był poniekąd idealistą, marzycielem. Przez całe swoje życie wierzył, marzył, tęsknił i zarazem czynił wiele, aby przywrócić czy stworzyć harmonię w społeczeństwie rozbitym przez komunizm. Zabiegał o zespolenie przeciwieństw, (ponowne) zebranie w jedno rozbitych czy rozproszonych fragmentów jednej całości. Nie sposób powiedzieć wszystkiego w tak krótkim tekście, lecz chciałbym zachęcić do podjęcia prac w tym kierunku, gdyż jest to wielki ideał życia Sługi Bożego. Ideał ten Prymas starał się realizować na wielu poziomach, zarówno ludzkim (jedność duszy z ciałem), jak i wychowawczym (jedność wartości duchowych i materialnych), społecznym (jedność obywateli różnych stanów i przynależności partyjnych) itd. W ten ideał wpisywała się również głęboka troska o jedność Kościoła ze swoim narodem.

Prymas uważał ten ideał za wybitnie katolicki. W raczej bardzo mało cytowanym tekście Wyszyński stawiał ważne pytanie, jaki jest *Katolicki ideał wychowawczy,* odpowiadając zarazem:

> Jest on przede wszystkim ideałem ludzkim, tak jak ludzki jest Kościół, który jako dzieło Boga-Człowieka jednoczy w sobie wartości ludzkie i Boże. Humanis divina junguntur – sprawy ludzkie powiązane są z Bożymi. Tak powstaje wewnętrzna jedność wychowania.
>
> Ideałem katolickiego wychowania jest jedność wychowawcza, jedność wartości materialnych i duchowych, ciała i duszy, natury i łaski. Z tej jedności łatwo już można wyprowadzić harmonię umysłu, woli i serca. Katolicki ideał wychowawczy jest ideałem przedziwnej jedności rozumu i wolnego dążenia do dobra – w miłości[145].

Ideał harmonii czy jedności uzasadniał poniekąd metodę, którą posługiwał się Prymas, dochodząc do realizacji szlachetnych celów.

---

[145] *Kazanie do katolickich wychowawców i nauczycieli, zgromadzonych na Jasnej Górze, 19 kwietnia 1959*, w: S. Kard. Wyszyński, *W światłach tysiąclecia...*, dz. cyt., s. 114.

Andrzej Micewski opisał ją jako metodę niezłomności zasad[146] i elastyczności w działaniu. Oto co pisze w swojej monografii o Prymasie:

> Nasuwa się pytanie, co nazywamy wielkością, trzeba to pojęcie jakoś zdefiniować. Myślę, że stosunkowo łatwo jest zdefiniować wielkość ludzką w warunkach systemu totalnego, a o to nam chodzi, gdy zastanawiamy się nad wielkością kardynała Wyszyńskiego, zwłaszcza w okresie stalinizmu. Wielkość historyczna wynika z niezłomności zasad, połączonej z elastycznością w działaniu. Niezłomność zasad wiąże się z wielkością,

[146] 9 lutego 1953 r. władze komunistyczne wydały dekret o obsadzaniu wszystkich stanowisk duchownych, włącznie z biskupami. Ta bezprecedensowa decyzja miała doprowadzić do całkowitego podporządkowania Kościoła państwu. Kardynał Stefan Wyszyński uznał, że czas kompromisu minął i trzeba uzurpacji władzy powiedzieć „nie". 8 maja 1953 r. podczas Konferencji Episkopatu Polski w Krakowie został przyjęty list napisany przez Kardynała Stefana Wyszyńskiego do I Sekretarza KC PZPR Bolesława Bieruta. W liście tym biskupi przypominali wszystkie szykany, jakie dotknęły Kościół w powojennej Polsce: aresztowanie i przesiedlenia biskupów, księży, zakonnic i zakonników, niszczenie polskiej administracji kościelnej na ziemiach zachodnich, rozbijanie Kościoła od wewnątrz przez PAX i tzw. „księży patriotów", konfiskatę szpitali, szkół i innych placówek kościelnych, likwidowanie i szykanowanie katolickich wydawnictw i prasy. Jednocześnie Episkopat podkreślał gotowość do rozmów, pod warunkiem jednak poszanowania niezbywalnych praw Kościoła. List kończył się słowami:

„A gdyby się zdarzyć miało, że czynniki zewnętrzne będą nam uniemożliwiały powoływanie na stanowiska duchowne ludzi właściwych i kompetentnych, jesteśmy zdecydowani nie obsadzać ich raczej wcale, niż oddawać religijne rządy dusz w ręce niegodne. Kto by zaś odważył się przyjąć jakiekolwiek stanowisko kościelne skądinąd, wiedzieć powinien, że popada tym samym w ciężką karę kościelnej klątwy. Podobnie, gdyby postawiono nas wobec alternatywy: albo poddanie jurysdykcji kościelnej, albo osobista ofiara – wahać się nie będziemy. Pójdziemy za głosem apostolskiego naszego powołania i kapłańskiego sumienia, idąc z wewnętrznym spokojem i świadomością, że do prześladowania nie daliśmy najmniejszego powodu, że cierpienie staje się naszym udziałem nie za co innego, lecz za sprawę Chrystusa i Chrystusowego Kościoła. Rzeczy Bożych na ołtarzach cesarza składać nam nie wolno. Non possumus!".

Słowa te okazały się prorocze i 25 września 1953 r. Prymas Polski Kardynał Stefan Wyszyński został aresztowany, a list do Rządu przeszedł do historii pod nazwą *Non possumus*.

> głęboką wiarą. Jest ona przede wszystkim łaską, darem Boga. Elastyczność działania wynika z umiejętności przewidywania, z wyobraźni, z przymiotów umysłu. W nowych warunkach tylko Wyszyński umiał łączyć te dwie cechy i zalety. [...] Gdyby nie miał niezłomnej wiary i zasad, nie odegrałby żadnej roli, stałby się mierzwą historii, jak tylu ludzi pozbawionych własnej idei i koncepcji wchodzących w z góry przegrane układy z komunistami[147].

Ważnym świadectwem prymasowskiej zasadności w kwestiach istotnych, i jednocześnie elastyczności w działaniu, jest wypowiedź prof. Jerzego Eislera opublikowana na łamach „Rzeczpospolitej. Plus Minus" 6 marca 2004. Profesor odnosił się w niej do postawy Wyszyńskiego w związku z wydarzeniami roku 1968. Czytamy w tekście prof. Eislera: „Tak na te sprawy patrzyłem przez wiele lat, lecz dziś, w wyniku dokonanego ostatnio odkrycia moje postrzeganie tamtej kwestii uległo zmianie. W Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej natrafiłem na sporządzoną 15 maja 1968 roku przez dyrektora Departamentu IV MSW płk. Stanisława Morawskiego informację o nadejściu do Sekretariatu Prymasa Polski kopii pism skierowanych do marszałka Sejmu PRL Czesława Wycecha, przewodniczącego Rady Państwa marszałka Mariana Spychalskiego oraz prezesa Rady Ministrów Józefa Cyrankiewicza. Listy te 9 maja zostały wystosowane przez Naczelny Rabinat Związku Kongregacji Wyznania Mojżeszowego w PRL. Jest w nich następujący fragment dotyczący postawy kardynała Wyszyńskiego:

> Na tle dziko rozpasanej obecnie, niepohamowanej kampanii antyżydowskiej zasługuje na szczególne uznanie pełne mądrości politycznej postępowanie Czcigodnego Zwierzchnika Episkopatu Polskiego, który stając w energicznej obronie studentów i młodzieży polskiej, spragnionej nieskłamanej wolności, znalazł jednak dużo taktu i umiaru dla uniknięcia zaostrzenia sytuacji, a czynił wszystko dla poszanowania Majestatu Państwa Polskiego i dla zachowania powagi Władzy Państwowej ustanowionej

[147] A. Micewski, *Kardynał Wyszyński. Prymas i mąż stanu*, Paris 1982, s. 10.

> Opatrznością Bożą, przeto umiejętnie działał dla złagodzenia i uciszenia podrażnionych namiętności.
>
> Powinniśmy też wyrazić serdeczne podziękowanie za wygłoszone – jak słyszymy ostatnio – kazanie, w którym łagodnymi, lecz stanowczymi słowami napiętnowane zostały chyba też wystąpienia antyżydowskie i głośno potępione zostało podjudzanie jednej części społeczeństwa do nienawiści przeciwko drugiej i namawianie, aby brat podnosił rękę i używał nikczemnych gróźb przeciwko swojemu bratu, jakby obaj nie byli synami tej samej Ziemi – Ojczyzny. Głęboka jest nasza wdzięczność dla Dostojnego Prymasa Polski, który w ciężkiej dla nas chwili podniósł swój głos protestu przeciwko szerzeniu nienawiści i niestrudzenie nawołuje do miłości, do pojednania i konsolidacji całego narodu”[148].

Jest to świadectwo niezwykle. Mocno pokazuje prymasowską troskę o człowieka, każdego, niezależnie od wyznania czy przynależności partyjnej, a zarazem jego określoną elastyczność w dochodzeniu do prawdy.

Na ostatnie dwa lata życia Wyszyńskiego przypadły kolejne trudne wydarzenia narodowe. Doszło do napięć politycznych, a potem zaognił się spór między władzami i tworzącą się „Solidarnością”. Kardynał Wyszyński pełnił rolę mediatora. Pragnął uspokoić nastroje i obawiając się rozwiązań siłowych, apelował do Polaków, by nie wymuszali strajkami gwałtownych zmian.

25 sierpnia 1980 roku Prymas spotkał się z l sekretarzem PZPR Edwardem Gierkiem, który potrzebował pomocy Wyszyńskiego, aby zażegnać powstałe na Wybrzeżu konflikty. Spotkanie miało się odbyć w rządowym pałacyku w podwarszawskim Natolinie. Kiedy Prymas tam przyjechał, Gierek wyszedł zdenerwowany do samochodu:

„– Przepraszam, ale w środku jest remont, nie możemy tam rozmawiać – powiedział.

– To usiądźmy sobie tu, na kamieniu – odparł Wyszyński.

---

[148] Korzystam tutaj z tekstu: http://polish-jewish-heritage.org/pol/marz_04_Prymas_Wysztnski.htm (02.02.2016).

«Musi to być już koniec Gierka, skoro nawet nie wie, że jego siedzibę remontują»" – pomyślał wtedy Prymas, jak potem opowiadał.

Prymas radził Gierkowi, aby zgodził się na powstanie niezależnych związków zawodowych, czego m.in. domagali się strajkujący na Wybrzeżu robotnicy. Sugerował mu też wyjazd do Gdańska, na rozmowę ze strajkującymi. Prosił też, by władze zniosły cenzurę i zwracał uwagę rządzących na ruinę gospodarczą, stąd konieczność ratowania kraju. Gierek jednak nie posłuchał Prymasa. Strajki na Wybrzeżu szybko wymknęły się spod kontroli i opanowały całą Polskę[149].

* * *

Nie udało się powiedzieć wiele, bo osoba, o której tutaj pisałem, jest duchowo i historycznie nazbyt wielka, aby wyczerpać jej bogactwo na kilku stronach. Lecz bynajmniej nie to było moją najważniejszą intencją. Chciałem jedynie wskazać na kilka aspektów jego życia, które zdają się uchodzić uwadze hagiografów, zauroczonych jego wielkością historyczną. Szczegóły te pokazują postać świętego, który – dzięki swojemu bogatemu życiu wewnętrznemu – nigdy nie czuł się w sytuacji bez wyjścia. Praca i modlitwa, szacunek do bliźniego i do wspólnoty, w której żył i czuł się pełnoprawnym członkiem, miłość do Boga, jako Ojca, i Jego Matki czyniły go człowiekiem pełnym nadziei i optymizmu. Nie oznaczało to bynajniej, że nie doświadczał trudności, że nie stawiał Bogu trudnych pytań, które niosło życie. Owszem, stawiał, ale nawet wówczas, kiedy Bóg nie odpowiadał natychmiast, Wyszyński nie wątpił, że nie tylko odpowiedź nadejdzie, ale że wraz z nią otrzyma nieodzowne siły na wyjście zwycięsko z trudnej sytuacji. To wszystko czyniło z niego duchowego przewodnika polskiego Kościoła, prymasa w nadziei na lepsze jutro, na przyszłość bliższą Bogu.

[149] Por. E. Czaczkowska, *Kardynał Wyszyński...*, dz. cyt., s. 674.

Wielki święty mimo przeciwnych wiatrów Jan Paweł II

„Miłość Chrystusa była główną siłą naszego umiłowanego Ojca Świętego" – mówił w homilii wygłoszonej w czasie pogrzebu Jana Pawła II, 8 kwietnia 2005 roku, kardynał Joseph Ratzinger, wówczas jeszcze prefekt Kongregacji Doktryny Wiary i zarazem dziekan Kolegium Kardynalskiego. „Wie to, kto widział go modlącego się lub kto słyszał, jak przepowiada – kontynuował purpurat. Dzięki temu głębokiemu zakorzenieniu w Chrystusie był w stanie nieść ciężar, który przekracza zwyczajne siły ludzkie, a którym jest ciężar bycia pasterzem trzody Chrystusa i Jego Kościoła powszechnego"[150].

W podobnym tonie brzmiała wypowiedź kardynała Camillo Ruiniego, wygłoszona 2 kwietnia 2007 roku w bazylice św. Jana na Lateranie. Z głębokim przejęciem w głosie kardynał, wikariusz papieża na diecezję rzymską, mówił, że „świętość Jana Pawła II była czymś tak bardzo czytelnym, że wszyscy mogli ją rozpoznać, i dlatego też przebieg fazy diecezjalnej (procesu) wychodzi naprzeciw tego powszechnego odczucia". W ten sposób kard. Ruini „usprawiedliwiał" niejako fakt szybkiego, ponieważ jeszcze przed upływem dwóch latach, zamknięcia diecezjalnego etapu procesu beatyfikacyjnego Karola Wojtyły. Dwa lata później dobiegał również

[150] *Homilia Kard. Ratzingera na pogrzebie Papieża*, http://www.kosciol.pl/article.php?story=2005040823023011 (09.12.2019).

końca tzw. proces watykański Sługi Bożego Jana Pawła II; 20 grudnia 2009 roku, w sobotę, papież Benedykt XVI przyjął na prywatnej audiencji arcybiskupa Angelo Amato, prefekta Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych, i podpisał dekret heroiczności cnót Sługi Bożego, urodzonego 18 maja 1920 roku w Wadowicach, zmarłego natomiast w Rzymie 2 kwietnia 2005 roku.

W niniejszym tekście pragnę przybliżyć rozumienie i przeżywanie świętości przez Jana Pawła II. Nie będę jednak odwoływał się w pierwszym rzędzie do jego tekstów; chcę oprzeć moje wypowiedzi o „lekturę" jego postaci. Moim pragnieniem jest korzystać, oczywiście, z jego słów, ale jeszcze bardziej odwołać się do jego czynów, specyficznych zachowań, o których mówili świadkowie, jego sposobu przeżywania trudności i cierpienia, odczuwania radości czy nadziei. Tylko sporadycznie korzystał będę z tego, co na temat świętości powiedział on sam. O wiele bardziej będę chciał czerpać z wypowiedzi osób, które go znały, które współpracowały z nim, już wówczas dostrzegając w nim kogoś wyjątkowego, czyli świętego. Pozwolę przemawiać osobom świeckim, nie duchownym, czyniąc swój przekaz może jeszcze bardziej obiektywnym i zarazem przystępnym. Pokazują one, że Jan Paweł II nie przerażał wielkością swojego życia. Jego świętość, przeżywana na co dzień, nie oddalała od niego, ale, owszem, przyciągała, zachęcając tych, którzy byli obok, do naśladowania. Bez większej chęci pouczania Jan Paweł II stawał się jednak nauczycielem życia dla wielu; wielu obrało go sobie za mistrza duchowego, przewodnika po trudnych ścieżkach historii.

Ten rodzaj metodologii w odczytywaniu świętości pozwoli – jak sądzę – odsłonić lepiej rzeczywistość świętości w życiu codziennym. Będzie to zarazem oblicze świętości mniej teoretyczne i abstrakcyjne, bardziej zaś personalne i praktyczne. Śmiem sądzić, że świętość, której przykładem było życie Jana Pawła II, jest możliwa do realizacji również przez innych, większych i mniejszych, bogatych i biednych. Święte życie Jana Pawła, papieża, może stać się inspiracją do dobrego (świętego) życia dla wszystkich. Przykładem swojego życia pokazuje, że tym, co w życiu najważniejsze, to przyjmować z ufnością krzyże,

które nakłada życie, wierząc mocno, że Bóg pomaga w ich niesieniu. Jest niczym dobry „Symeon", który przyjmuje na siebie nasze ciężary i pomaga nam wejść na górę przemienienia, która jest naszą góra świętości. Jan Paweł jest przykładem takiej postawy. A ponieważ wierzył mocno, że Bóg pomaga mu w dźwiganiu jego krzyża, sam chętnie spieszył z pomocą potrzebującym, aby w drodze nie ustali, aby się nie poddali i nie wycofali z życia, ale ufni w Bożą pomoc szli wytrwale aż na szczyt świętości.

Natura świętości

Świętość posiada charakter ontyczny. Oznacza to, że nie odnosi się do tego, co widoczne, ale do tego, co ukryte i wewnętrzne, co należy do istoty człowieka, ale co jednak przejawia się na zewnątrz, podobne do promieni słońca. Świętość oznacza to samo, co bycie „wyjętym" z jakiegoś uprzednio istniejącego stanu i przeznaczonym do czegoś innego, wyjątkowego i boskiego. Najczęściej stan ten odnosi się do osób, ale pośrednio stosowany być może do przedmiotów, czasów lub miejsc. Świętość ontyczna przekłada się następnie na świętość etyczną, czyli na czystość serca, nieskażonego i wolnego od grzechu, skierowanego na Boga. Czystości tej człowiek nie jest w stanie osiągnąć własnymi siłami. Jego indywidualny wysiłek tutaj nie wystarczy i dlatego potrzebne jest działanie Ducha Świętego, łaska przychodząca z góry.

Uświęcenie jest długim procesem. Obejmuje w istocie całe życie człowieka. W odróżnieniu od rzeczy i miejsc, które uświęcone zostały przez Boga, człowiek jest istotą wolną, stąd też swoje wybory podejmować musi w sposób wolny, świadomy i dobrowolny. W praktyce oznacza to, że nawet jeżeli jego decyzja jest na wstępie pozytywna, nadal *może* zgrzeszyć, zejść z drogi przykazań, oddalić się od Boga. Dzieje się tak dlatego, że również po dokonaniu wyboru, aby być „dla Boga", człowiek nadal zachowuje swoją wolność i tym samym

możliwość odwołania swojej decyzji – świadomie lub nieświadomie – odwracając się od Stwórcy. Określony wpływ na to mają, oczywiście, warunki zewnętrzne, sytuacja, w jakiej się znajduje, trudności, którym stawiać musi czoła. To sprawia, że autentyczna świętość zakłada z konieczności pewien element duchowej walki. Jest efektem wewnętrznego zmagania, ciągłego i niewygodnego sporu pomiędzy starą a nową naturą, czyli pomiędzy słabością a mocą, pokusą i cnotą, negatywnymi przyzwyczajeniami i szlachetnymi pragnieniami. Jest to trudna walka z tym wszystkim, co „ściąga" niejako duszę w dół, ku sprawom ziemskim, zanurzając ją w słabościach i nie pozwalając tym samym wzrastać w doskonałości, wzlatywać w stronę Boga. Ten rodzaj walki w następujących słowach opisuje autor Listu do Galatów:

> Otóż powiadam: postępujcie według Ducha, a nie będziecie spełniali pożądań ciała. Gdyż ciało pożąda wbrew Duchowi, natomiast Duch przeciwko ciału. Jedno przeciwstawia się drugiemu, tak że czynicie nie to, co chcecie (Ga 5, 16–17).

Co jednak oznacza, że święci są „wyłączeni"? Bynajmniej nie to, że są oni „zawieszeni" w jakiejś próżni, że funkcjonują poza nawiasem życia codziennego, że obce były im troski czy problemy innych, ich cierpienia i tęsknoty, doświadczana przez nich niesprawiedliwość czy krzywda. Kiedy mówi się, że święci są „wyłączeni", oznacza to, że zdobyli się oni na rezygnację z własnego „ego", że porzucili własny egoizm, odrzucili grzeszny indywidualizm po to, aby móc jeszcze lepiej i wyraźniej uchwycić obecność Boga i potrzeby innych. Przede wszystkim dostrzegają obecność i działanie Boga w swoim życiu, aby następnie zauważyć Jego działanie w życiu innych osób. Można więc powiedzieć, że święty to ten, kto stał się maksymalnie „otwarty" dla innych – Boga i ludzi, kto jest wrażliwy na ich obecność i ich potrzeby, kto żyje nimi. Osoba tzw. „święta" otwiera się na ich miłość, przyjmuje ją, oddając jednocześnie w zamian siebie samą, radykalnie, w stopniu heroicznym na usługi drugiego. Ów proces przemiany nie jest bynajmniej łatwy. Jawi się ona raczej jako doświadczenie bolesne, znaczone obficie cierpieniem krzyża,

nierzadko samotności, niezrozumienia ze strony ludzi i związanego z tym opuszczenia.

W tym trudnym, długim i niewątpliwie skomplikowanym procesie „wyjmowania" swojego życia z określonych ram egoizmu i oddawaniem go na „usługi" drugich, niezwykłą pomoc świadczy Duch Święty. On, który jest najważniejszym, boskim Pedagogiem, uczy osobę świętą bycia autentycznym nauczycielem, prawdziwym pedagogiem w życiu swoich współczesnych i potomnych. Poprzez świętych wskazuje On przestrzenie, które należy zmienić, dając równocześnie siłę do tego. Dzięki Jego działaniu oraz wsparci przykładem świętych ludzie zaczynają inaczej, to znaczy głębiej i szerzej, postrzegać osobiste trudności, ludzi, którzy ich otaczają, i problemy świata, w którym żyją. Przykładem tego jest święty, który widzi niemal wszystko z innej perspektywy, z perspektywy Boga. Siłą Ducha Świętego jest otwarty na wszelkie dobro, na każdego mężczyznę i kobietę, na biednych i ubogich, bez względu na status społeczny.

W centrum wszystkiego był Chrystus

Wielkim pragnieniem Sługi Bożego było pociągnięcie wszystkich ludzi, nie tylko samych wierzących, do Jezusa Chrystusa. Lecz jego zamysł *chrystocentryczny* posiadał w sobie równocześnie bardzo specyficzny zamysł antropologiczny, a był nim maksymalny, czyli wszechstronny rozwój osoby ludzkiej. Jego początkiem był sam fakt przyjęcia daru życia, troska o niego od chwili poczęcia, zwieńczeniem zaś godna śmierć. W ziemskich ramach życia dokonywał się proces przebóstwienia, stawania się na miarę Bożego powołania. W takim ujęciu świętość nie była widziana jako coś obcego, przychodzącego z zewnątrz, narzuconego. Przeciwnie, przejawiała się ona w treści, nawet najprostszej, każdego słowa, każdego czynu i obranego stanu życia. Dlatego też wypowiadane słowo winno być słowem świętym, użytym w sposób godny, odpowiedzialny i związanym

z konkretnym czynem. Również czyn winien być czynem etycznym, który potwierdza dobroć słowa. W konsekwencji miarą i wzorem ludzkiego życia stawał się sam Jezus Chrystus. Święci więc, o których Jan Paweł II mówił, których beatyfikował czy kanonizował, byli *przyjaciółmi* Boga i zarazem *bliscy* ludziom. „Uwolnieni" z obciążeń własnego *ego*, stawali się bliskimi tych, z którymi się spotykali i których znajdowali w potrzebie.

W swym długim, niemal dwudziestosiedmioletnim pontyfikacie, Jan Paweł II wyniósł na ołtarze tysiąc ośmiuset dwudziestu trzech błogosławionych i świętych (czterysta osiemdziesiąt dwie kanonizacje i tysiąc trzysta czterdzieści jeden beatyfikacji). Postrzegał ich wszystkich jako osoby odważne, spójne i jako zawsze aktualne wzory do naśladowania. To jest właśnie prawdziwa, autentyczna świętość, której potrzebujemy także i dzisiaj. Święci i błogosławieni Jana Pawła II to kapłani, zakonnicy i świeccy, kobiety i mężczyźni, młodzi i dorośli, biedni i bogaci, świadkowie przeszłości i teraźniejszości, przedstawiciele wielu narodów i tradycji. Główną cechą było – w duchu Soboru Watykańskiego II – ukazanie „powszechnego powołania" do świętości (zob. *Lumen gentium*), aktualnego dla wszystkich bez wyjątku i bez żadnych przywilejów. Stąd „nie tylko męczennicy, doktorzy Kościoła, biskupi, założyciele i założycielki zakonów zasługują na chwałę, ale również osoby żyjące zwyczajnie, jeśli opierają się na chrześcijańskich wartościach i w pełni odpowiadają na słowo Boże, naśladując Chrystusa"[151]. „Święci są po to – powie Jan Paweł II – ażeby świadczyć o wielkiej godności człowieka"[152]. A cóż jest lepszym pokarmem dla ludzi młodych niż miłość do Boga i do człowieka? Cóż jest doskonalszym dziełem Jego stworzenia, jeżeli nie naśladowanie swojego Stwórcy? Dlatego Papież mówił:

[151] E. Lo Iacono, *Drogi Panie Papieżu! Co wierni piszą do Jana Pawła II*, tłum. A.M. Stefańska, Kraków 2010, s. 73.

[152] Homilia w czasie Mszy św. beatyfikacyjnej Karoliny Kózkówny, 10 lipca 1987.

> Młodzi nie lękajcie się świętości! Wzbijajcie się na wysokie szczyty, bądźcie pośród tych, którzy pragną osiągnąć cele godne synów Bożych. Uwielbiajcie Boga waszym życiem[153]!

> Bądźcie gotowi na przyjęcie ziaren świętości i łaski, których Pan na pewno udzieli wam w wielkiej obfitości[154].

Zostać świętym jest ważnym, chociaż trudnym wyzwaniem. Skierowane jest do wszystkich, ale realizowane wyłącznie przez jednostki nadzwyczajne, odważne, wewnętrznie silne, inaczej mówiąc – przez tych, którzy są w stanie odciąć się od spraw błahych, nieistotnych, małoważnych, odciągających od dobra, i skierować na to, co jedynie ważne. Świętość jest dla tych, którzy gotowi są iść pod prąd tym postawom współczesności, które są przeciwnie prawu Chrystusowemu, które nie mobilizują do dobra, do poświęcenia, do stawania się wewnętrznie pięknymi. Wezwanie do świętości skierowane jest do wszystkich ochrzczonych, o czym mówił Papież:

> W rzeczywistości świętość jest darem i zadaniem zakorzenionym w chrzcie i bierzmowaniu, powierzonym wszystkim członkom Kościoła w każdej epoce. Jest darem i zadaniem dla świeckich tak samo jak dla zakonników i kapłanów, w sferze prywatnej tak jak w działalności publicznej, w życiu zarówno jednostek, jak rodzin i wspólnot[155].

Papież nie tylko zachęcał innych do dążenia do świętości, nie tylko zapraszał ich do stawania się lepszymi, duchowo piękniejszymi, bardziej zaangażowanymi w życie (kościelne, społeczne, polityczne czy kulturalne), lecz sam był tego przykładem. Odważnie i przez całą ziemską wędrówkę podejmował wysiłki w tym kierunku. Ci, którzy znali go bliżej, zgodnie przyznają, że świętość, rozumiana

[153] Orędzie Ojca Świętego Jana Pawła II do młodzieży całego świata z okazji VI Światowego Dnia Młodzieży (1990).

[154] Orędzie Ojca Świętego Jana Pawła II do młodzieży całego świata z okazji IX–X Światowego Dnia Młodzieży (1994–1995).

[155] Orędzie Ojca Świętego Jana Pawła II do młodzieży całego świata z okazji XIII Światowego Dnia Młodzieży (1998).

jako nieprzerwane doskonalenie się w tym, co się myśli i robi, była niezwykle intensywna w całej jego egzystencji. Codziennie chciał przybliżyć się do Boga i zarazem bardziej kochać bliźniego, rozumiejąc lepiej i głębiej jego autentyczne potrzeby, jego tęsknoty i obawy, nadzieje i pragnienia.

Świat na zakręcie historii

„Kiedy w 1978 roku Karol Wojtyła został papieżem, Kościół katolicki przeżywał głęboki kryzys, zarówno wewnętrzny, będący efektem kontrastów posoborowych, jak i zewnętrzny, jako skutek szybkich procesów sekularyzacji, które – przede wszystkim w Europie – zagrażały jego egzystencji" – pisał 31 marca 2010 roku dziennikarz włoskiej „La Repubblica" Giovanni Filoramo[156]. A jak wygląda sytuacja w chwili obecnej? Uległa ona wyraźnej zmianie i to zmianie na plus. Obecnie liczba katolików żyjących w świecie z siedmiuset pięćdziesięciu sześciu milionów w 1978 roku wzrosła do ponad miliarda. Szczególnie dynamicznie Kościół katolicki rozwija się w Afryce, w obydwu Amerykach oraz w Korei Południowej. Zmianie uległy również zagrożenia. Dawne niebezpieczeństwa, jak na przykład ateistyczny komunizm czy sekularyzacja, w dużym stopniu zniknęły lub też pozbawione zostały swojej głównej mocy wraz z upadkiem centrów ich finansowania czy promocji. Nie oznacza to jednak, że problemów nie ma. W miejsce dotychczasowych trudności, wyżej wspomnianych, pojawiły się inne, często zmutowane, mające te same idee, ubrane jednak w inne szaty. Nowe trudności i problemy zastąpiły miejsce dawnych. W pewnej części podobne są one do wcześniejszych, ale w większości różnią się od nich, rodząc tym samym nowe wyzwania i stawiając przed Kościołem nowe pytania. Wymagają one również zastosowania nowych środków do ich zwalczania. Media

[156] „La Repubblica", 31 marca 2010, s. 49.

współczesne szeroko informują o tych zagrożeniach, nierzadko sugerując również środki zaradcze.

Byłby jednak w błędzie ten, kto by sądził, że wzrost liczby katolików był główną troską Jana Pawła II. Myliłby się, kto by uważał, że jego gorliwość miała na celu podniesie rangi papiestwa. Nic z tego! Jego duchowe i fizyczne wysiłki, jego podróże apostolskie i inicjatywy duszpasterskie, zmierzały w innym nieco kierunku. Aczkolwiek zwrócenie uwagi na (służebną) rolę biskupa Rzymu w Kościele powszechnym nie było bez znaczenia w posłudze Jana Pawła II, to jednak nie to było podstawowym motywem jego pasterskiej gorliwości. Wydaje mi się, że chodziło w niej o coś bardziej głębszego i bardziej duchowego. Myślę, że chciał on na nowo, z nową siłą i z nowym entuzjazmem, przypomnieć współczesnym o obecności i działaniu Boga w historii. Na różne sposoby mówił im, że tak jak w przeszłości, również teraz Bóg zwycięża zło, oddala lęk, przywracając godność człowiekowi. W tym duchu szła wypowiedź kard. Camillo Ruiniego, którą 28 czerwca 2005 roku otwierał diecezjalne postępowanie w sprawie życia, cnót i opinii świętości Sługi Bożego Jana Pawła II (Karola Wojtyły), Papieża. Ówczesny wikariusz Rzymu zauważał, że „u podstaw jego [Jana Pawła] niestrudzonej działalności apostolskiej leży bez wątpienia intensywność i głębia modlitwy Jana Pawła II, której wielu z nas było bezpośrednimi świadkami. Owo intymne zjednoczenie z Bogiem, które towarzyszyło mu od dzieciństwa aż do końca jego ziemskiej egzystencji". A więc gorliwość Sługi Bożego była owocem jego rozmowy z Bogiem, konsekwencją jego miłości Boga.

Był wiernym Bogu

Bardzo pragnął być przyjacielem Boga, zachęcając do tego również innych. O to się modlił, o to zabiegał i ciągle trudził. O wartości modlitwy mówił zawsze. Przypomniał o niej również na samym początku swojego pontyfikatu, tj. 29 października 1978

roku, w sanktuarium maryjnym w Mentorelli: „Modlitwa [...] jest [...] pierwszą powinnością i niejako pierwszym przepowiadaniem Papieża, tak samo jak jest też pierwszym warunkiem jego posługiwania w Kościele i w świecie".

Obok modlitwy jest jeszcze jeden ważny związek, jaki łączy Karola Wojtyłę z Chrystusem Zbawicielem i odkupioną przez Niego ludzkością. Jest nim *związek krwi*. W swoim krótkim poemacie pt. *Stanisław*, napisanym na krótko przed konklawe, które wybrało go na papieża, Wojtyła pisał, że: „Nie nawróciły słowa, ale krew...". Istotnie, jego krew rozlała się na placu św. Piotra 13 maja 1981 roku. W następnych latach już nie krew, ale całe swoje życie uczynił „ofiarą" w służbie dla Kościoła i w trosce o ludzi. W tej intencji godnie znosił nękające go choroby i towarzyszące im dolegliwości. W końcu także jego cierpienie oraz błogosławieństwo udzielone w milczeniu z wysokości papieskiego okna zebranym na placu wiernym stały się nadzwyczaj skutecznym świadectwem umarłego i zmartwychwstałego Jezusa Chrystusa. Były one niezwykle skutecznym znakiem chrześcijańskiego przyjęcia cierpienia i wyrażenia zgody na śmierć. Wskazywały jednocześnie na źródło, z którego czerpał siłę nadziei i do ciągłej walki o dobrą, lepszą przyszłość. Tylko w ten sposób da się tłumaczyć to, co miało miejsce na końcu jego życia, kiedy to zarówno jego śmierć, jak i dni jego pogrzebu stały się dla Rzymu i całego świata dniami nadzwyczajnej solidarności, pojednania i otwarcia się na Boga, Jego *zmartwychwstania* w sercach wielu.

Jan Paweł II był nie tylko człowiekiem żywej wiary i głębokiej modlitwy. Był on również niezmordowanym „obrońcą wolności jednostki oraz, pozostając wiernym nauczaniu soborowemu, obrońcą autonomii świeckości. Podejmował wiele starań, aby autonomię tę sprowadzać coraz mocniej do kwestii najbardziej zasadniczych, jak chociażby zagadnienia etyki czy prokreacji" – pisał Giovanni Filoramo[157]. Jego miłość człowieka, jako Bożego stworzenia, potrafiła asymilować bardzo różne aspekty, na pierwszy rzut oka niemożliwe

157 „La Repubblica", 31 marca 2006, s. 49.

do pogodzenia. Był obrońcą wolności człowieka, aby uczynić go, paradoksalnie, „niewolnikiem" Bożej miłości. Walczył o właściwą autonomię stworzenia, aby jednocześnie zapraszać go do otwarcia się na Boga i na przyjęcie jego propozycji zbawienia poprzez życie według przykazań. W pontyfikacie Wojtyły katolicyzm objawił w całej pełni swój geniusz zespolenia w swoim łonie tradycji i postępu. Owo *complexio oppositorum* znalazło w papieżu wielkiego obrońcę i promotora.

Piewca cywilizacji miłości

Zaledwie dwa dni po bolesnym odejściu Jana Pawła II, 4 kwietnia 2005 roku, watykanista z „La Repubblica" Marco Politi pisał: „Msza bez Wojtyły i jego błogosławieństwa. Tłum bez ojca. Zagubieni kardynałowie. W dzień wielkiej pustki, która rani duszę i odbiera mowę, kardynał Angelo Sodano wypowiada to, co brzmi w sercach wszystkich: *Jan Paweł II Wielki*. Niewielu papieży zasłużyło sobie na ten tytuł. Odważny Leon, który powstrzymał Attylę. Wielki Grzegorz, który odbudował Kościół na zgliszczach rzymskiego imperium. A teraz Karol Wojtyła. Założycielka ruchu „Foccolare" Chiara Lubich (1920–2008) proponuje jeszcze coś więcej: ogłosić go świętym. Natychmiast. „Chciałabym – mówi – by wróciły czasy, kiedy świętość ogłaszana była żarliwym wołaniem ludu". Pierwsza Msza św., odprawiona po śmierci Wojtyły na palcu przed bazyliką watykańską, w której uczestniczył też premier Berlusconi, wyznacza już ścieżki, które łączyć się będą w przyszłym procesie beatyfikacyjnym. „Jan Paweł II – mówił kard. Sodano – stał się piewcą cywilizacji miłości. [...] Jesteśmy głęboko poruszeni przez bolesne wydarzenie: nasz Ojciec i Pasterz, Jan Paweł II, odszedł od nas. Ale przez 26 lat on sam zachęcał nas, byśmy wpatrywali się w Chrystusa, jedyny fundament naszej nadziei"[158].

[158] „La Repubblica", 4 kwietnia 2005, pagina 4, dział: CRONACA, wersja polska: http://www.opoka.org.pl/biblioteka/W/WR/inne/sodano_smiercjp2_03042005.html (10.12.2019).

Bardzo wielu z nas, czy bezpośrednio, czy dzięki środkom przekazu, było świadkami tego wydarzenia. Z placu, wypełnionego tłumem wznosiły się oklaski i zapadała cisza. Oczy wiernych wznosiły się ku górze. Nie ku kopule Michała Anioła, lecz w stronę okna o bezlitośnie zamkniętych futrynach. Tam spał papież Karol, tam cierpiał i tam zgasł. „Dziwne. Plac jest ten sam, lecz wydaje się zupełnie inny – pisał dalej Marco Politi. – Nie rozbrzmiewa już głos Wojtyły, brakuje niespokojnego, odświętnego, niezdyscyplinowanego szumu tłumu. Nie ma chorągiewek i chusteczek poruszanych wiatrem. Sodano mówi o Wojtyle i dodaje otuchy rozproszonym owcom: «Przez ponad 26 lat na wszystkich placach świata głosił Ewangelię chrześcijańskiej nadziei [...] Nasz ukochany Papież wzywał dzisiejsze Kościoły, aby były domami miłosierdzia, gościnnie przyjmującymi wszystkich, którzy potrzebują pomocy, przebaczenia, miłości»”[159].

Był to szczególny rodzaj „wielkości”. Powiemy, że miała ona posmak nad wyraz ewangeliczny, stąd więc boski i wieczny. Papież wznosił ją na fundamencie Boga, którego „dopuszczał” do głosu, otwierał dla Niego szerokie drzwi swojego życia i duszpasterzowania. Ukrywał się za Nim, pozwalając, aby On przemawiał najpierw i był kochany przede wszystkim. Był to więc zupełnie inny rodzaj wielkości niż ta, jaką ma na myśli współczesność, kiedy używa tego pojęcia. Zdaje się ona zabiegać o wielkość pozorną, przelotną, która rodzi rozczarowanie i smutek. Tymczasem wielkość, którą cieszył się u współczesnych Wojtyła, nie przystawała do niej, różniła się bardzo.

Nie zadowalał się przeciętnością

„Święci są świętymi za życia lub nie są nimi wcale. A Jan Paweł II był świętym za życia...”[160]. Słowa Joaquína Navarro-Vallsa, rzecznika prasowego Jana Pawła II, zapisał 3 kwietnia 2008 roku Orazio

[159] „La Repubblica”, 4 kwietnia 2005, pagina 4, dział: CRONACA..., dz. cyt.
[160] „La Repubblica”, 3 kwietnia 2008, s. 15.

La Rocca na łamach dziennika „La Repubblica". Nie była to jedynie opinia watykańskiego rzecznika. Tego samego zdania był Benedykt XVI, który w homilii wygłoszonej 2 kwietnia 2008 roku w bazylice św. Piotra, mówił:

> Zaiste, całe życie mojego umiłowanego poprzednika, a szczególnie jego posługę piotrową, możemy odczytywać w znaku Chrystusa Zmartwychwstałego. Niezwykle głęboko w Niego wierzył, wewnętrznie i nieustannie z Nim rozmawiał. Pośród wielu cech ludzkich i nadprzyrodzonych posiadał także nadzwyczajną wrażliwość duchową i mistyczną. Wystarczyło przyjrzeć mu się na modlitwie. Dosłownie zanurzał się w Bogu i wydawało się, że wszystko poza tym, w owych chwilach, traciło znaczenie. Podczas sprawowania liturgii przykładał wielką uwagę do dokonującego się misterium. Miał wybitną zdolność pojmowania wymowy Słowa Bożego w stawaniu się historii, w głębokim odniesieniu do Bożego planu. Msza Święta, jak sam często powtarzał, stanowiła dla niego centrum każdego dnia i całego istnienia. „Żywa i święta" rzeczywistość Eucharystii była dlań źródłem duchowej energii w prowadzeniu ludu Bożego na drogach dziejów[161].

Słowa rzecznika i wypowiedź papieża wzajemnie się uzupełniają. Nad wyraz zgodnie wyjaśniają „fenomen" wielkości i świętości Wojtyły. Lecz Navarro-Valls poszedł jednak dalej w swoich uwagach na temat świętości Jana Pawła II, podając jednocześnie dodatkowe szczegóły tej doskonałości. Uściślał zarazem sposób, w jaki Papież wykorzystał daną każdemu na chrzcie świętym nadprzyrodzoną możliwość bycia kimś szczególnym dla Boga i ludzi. Hiszpański rzecznik stwierdził, że Sługa Boży dał odpowiedź „nadzwyczajną" na Boże wołanie. „Nie zadowolił się przeciętnym życiem. Umiał i chciał dać wspaniałą odpowiedź na wszystkie możliwości, jakie ofiarowała mu

[161] http://storico.radiovaticana.org/pol/storico/2008-04/196582_benedykt_xvi_boze_milosierdzie_kluczem_do_zrozumienia_pontyfikatu_jana_pawla_ii_-_dokumentacja_%28homilia%29.html (10.12.2019).

Boża łaska, aby być więcej i lepiej. Był jak każdy z nas, lecz odpowiadał na wołanie z góry z nadmiarem, wznosząc się ponad bezwład przeciętności, do którego skłonna jest ludzka natura”[162].

Dialog między dziennikarzem a rzecznikiem wydłużał się, dotykając coraz głębszych, bardziej ukrytych aspektów życia duchowego papieża. Orazio La Roccę interesowały bowiem źródła wiedzy Navarro-Vallsa, kiedy pytał, czy był świadkiem tego, o czym mówi, czy może relacjonuje uwagi osób trzecich. Navarro rozwiewał zdecydowanie takie przypuszczenia, odpowiadając, że „wielokrotnie i na wielu płaszczyznach” był świadkiem wewnętrznych przeżyć Jana Pawła. „Chciałbym przypomnieć coś szczególnego – mówił. Pomimo licznych obowiązków związanych z jego posługą, chorób, licznych przeciwności, umiał – a raczej chciał – zachowywać dobry humor. Miał wiele powodów, by się smucić, ale zawsze udawało mu się być radosnym. I nie tylko dlatego, że był optymistą: był to jednocześnie skutek głębokiego przekonania o dobroci Boga i owoc wysiłku, by postępować i myśleć zgodnie z tym przekonaniem. Była to jego odpowiedź – czasami heroiczna – na pewne sytuacje, które mogły uczynić z niego smutnego człowieka”[163].

Kiedy Joaquin Navarro-Valls mówił, że Wojtyła był mistykiem, przypomniał prawdę wręcz oczywistą dla tych, którzy spotykali się z nim na co dzień, którzy uczestniczyli w jego rozkładzie dnia i w jego pielgrzymowaniu. Potwierdził, że w Janie Pawle „wiara była mocną prawdą, fundamentem wszystkiego”. Wewnętrzna siła, która brała się z jego wiary, była szczególnie „widoczna, kiedy się modlił”. Na modlitwie, o czym już powiedzieliśmy, Papież rozmawiał z Bogiem, przyjmował dar pocieszenia i zrozumienia wielu spraw. Z modlitwy czerpał siłę, która pozwalała mu konfrontować się w sposób właściwy z problemami, których była niezliczona ilość, żyjąc jednocześnie nadzieją, że przyszłość należy do Chrystusa. Wielu świadków jego życia zgodnie wyznaje, że widząc go, wyczuwało się zarówno bezmiar

[162] „La Repubblica”, 3 kwietnia 2008, s. 15.
[163] „La Repubblica”, 3 kwietnia 2008, s. 15.

powagi, jak również czułości, w których to uczuciach był pogrążony. „Pewnego dnia – kończy rzecznik watykański – ujrzałem, jak śpiewał sam w swojej kaplicy, przed tabernakulum. Przypomniało mi się wtedy, że Święty Augustyn mawiał, że śpiewać to modlić się dwa razy, bo kiedy słowa stają się niewystarczające, uciekamy się do śpiewu”[164].

Nie lekceważył wymagań

Giancarlo Zizola pisał 19 listopada 2009 roku na łamach dziennika „La Repubblica”:

> „Nie jest trudno być świętym”, mówił [Karolowi Wojtyle] Jan Tyranowski, krawiec, który w czasie II wojny światowej nie tylko szył mu ubrania, ale i wykładał prawdy katechizmu. Z nim także Wojtyła odkrywał mistyków: pełne ognia strony Świętego Jana od Krzyża i Świętej Teresy od Jezusa. [...] Ale po co – pytają niektórzy – wynosić kolejnego papieża na ołtarze i dlaczego tak szybko? Czy to dobre rozwiązanie, by w dobie kryzysu ekumenicznego wzmacniać jeszcze figurę rzymskiego papieża, a nawet czynić go przedmiotem kultu? Odpowiedzią [...] jest, że Wojtyła był przede wszystkim chrześcijaninem, który kochał świat i otwierał na oścież granice ludzkości, a dopiero potem papieżem. „Gdybym mógł, stąd byłbym papieżem”, wyszeptał pewnego ranka, wstrząśnięty, po tym, jak przeszedł między rozkładającymi się ciałami w umieralni Matki Teresy w Kalkucie[165].

Można się zgodzić z uwagą wielu, że świętość Jana Pawła II była raczej świętością zwyczajną, czy może wręcz normalną. Nie było w niej jakichś wyjątkowych aktów. Brakowało niezwykłych umartwień, nieludzkiej ascezy, milczenia czy samotności. Na zdjęciach, których jest niezliczona ilość, jego twarz nie jest pogrążona w smutku. Nie nawołuje również, aby porzucić świat, uciec od niego

---

[164] „La Repubblica”, 3 kwietnia 2008, s. 15.

[165] *San Wojtyla/1,* „La Repubblica”, 19 listopada 2009, str. 37, sezionie R2.

i schronić się na pustyni. Nie zachęca bynajmniej do zerwania dialogu ze światem, wręcz przeciwnie.

Papież nie lekceważył również wymagań, jakie stawia nasze ciało, koniecznych do przeżycia i właściwej realizacji powierzonych sobie celów. Nic z tego! Był raczej człowiekiem wielkiej wewnętrznej równowagi, szacunku względem wymagań ducha i ciała, nieba i ziemi. Gianfranco Svidercoschi, który przez wiele lat miał okazję przebywać w otoczeniu Papieża, opowiada, że bardzo lubił pewną piosenkę, którą śpiewał chętnie od dzieciństwa. Jej słowa były następujące: „Jeżeli chcesz Mnie naśladować, to weź swój krzyż na każdy dzień i chodź ze Mną zbawiać świat, dwudziesty już wiek". Spoglądając na całe jego życie, można się zgodzić, że Jan Paweł dochodził do świętości, trzymając się wskazań tej piosenki, to znaczy biorąc krzyż swojego życia i idąc ufnie za Chrystusem.

Stosunek Wojtyły do krzyża jest pasjonującym rozdziałem w jego bogatej biografii. Nie jest to tylko relacja do krzyża jako „ikony" – metafory cierpienia i śmierci. Gdy obejmował Jubileuszowy Krzyż na ołtarzu przy konfesji św. Piotra, sprawując w niedzielę, 12 marca 2000 roku, *mea culpa* – uroczystą Liturgię Przebaczenia – Ikona zdawała się ożywać i odbijać na schorowanej już twarzy Papieża, całującego rany stóp Chrystusa. Ale właśnie ze słabości tej ofiary Chrystusowej Jan Paweł czerpał swą niewiarygodną wprost duchową siłę, niezwykłą ufność i ciągle świeżą miłość. Z jednej strony było to uczestniczenie w cierpieniach Mistrza poprzez własną niemoc, aż do choroby Parkinsona kaleczącej jego ciało i powodującej dramatyczne w nim zmiany, z drugiej jednak było to również uczestniczenie w mocy jego zmartwychwstania, zwycięstwa nad niemocą krzyża i śmierci.

Proces świętości pomija najczęściej nagłe zwroty w pontyfikacie i w dużym stopniu ogranicza swoją analizę wyłącznie do wewnętrznych przeżyć. W przypadku Wojtyły przeżyć takich było bardzo wiele. Długa jest lista tzw. „prywatnych" cnót papieża. Świadkowie zanotowali, że kiedy opuszczał szpital po zamachu w 1981 roku, powiedział do zebranych, że wdzięczny jest Bogu za uratowanie życia, ale również i za to, że dane mu było „wejść do wspólnoty chorych".

Innym razem, w czasie podróży apostolskiej do Korei Południowej, którą odbył w 1989 roku, udał się do leprozorium. Idąc wzdłuż alejki, minął osobę trędowatą, niezdolną do utrzymania w kikucie ręki chorągiewki, którą pragnęła przywitać papieża. W pierwszej chwili Jan Paweł II przeszedł obok niej i poszedł dalej, za chwilę jednak zawrócił. Zbliżył się do chorej osoby, uścisnął i ucałował ją.

Jan Paweł II odrzucał doloryzm. Żartował z retoryki „papieża nękanego przez los". Jako autentyczny mistyk, przeżywał cierpienie w kategoriach oczyszczenia, jako konieczny i nieodzowny kolejny krok ku doskonałości, ku tej duchowej pełni, do jakiej powołał go Bóg. Chyba właśnie dlatego w ostatniej fazie, jeszcze na kilka godzin przed śmiercią, 2 kwietnia 2005 roku, chciał z łóżka odprawić ostatnią na ziemi *via crucis*, drogę, której zwieńczeniem jest zmartwychwstanie.

Wyczulony na sprawy duchowe

Chciałbym jeszcze raz przywołać do głosu ówczesnego rzecznika Watykanu, pozwalając mu podzielić się swoimi spostrzeżeniami na temat świętości Jana Pawła. Jest to świadectwo z wielu względów szczególne i wyjątkowe. Składa je bowiem osoba, która przez ponad dwadzieścia lat (od 1984 roku) przebywała w bardzo bliskiej obecności Papieża. Ale nie tylko to. Jest to również świadectwo osoby świeckiej, wykształconej, krytycznie patrzącej na świat i ludzi. Ten tekst-świadectwo został opublikowany 19 listopada we włoskiej „La Repubblica", gazecie raczej lewicowej, pod znamiennym tytułem *San Wojtyla/2*[166].

Joaquín Navarro-Valls przywołuje w nim pewne rysy, fakty, zdarzenia z życia Sługi Bożego, mało znane lub ignorowane przez innych jego biografów. Jego spojrzenie jest świeże i aktualne. Jako członek Opus Dei, wyczulony na sprawy duchowe, był w stanie zauważyć wiele aspektów zachowania papieża, których inni nie dostrzegali.

[166] *San Wojtyla/2,* „La Repubblica", 19 listopada 2009, s. 37, dział R2.

W swojej wypowiedzi skupia zatem uwagę czytelnika na tych postawach Jana Pawła, które – jak sądzę – nadal pociągają i fascynują.

> Osobiste wspomnienie, nieuchronnie częściowe i subiektywne – pisał papieski rzecznik – tak bardzo łączy się z informacjami dotyczącymi intelektualnych i moralnych darów, jakie dostrzegałem w osobie [Jana Pawła II], że wydaje mi się niemożliwym, by o nich nie mówić. Rekonstrukcja cnót Jana Pawła II zakłada fundamentalne pytanie: na czym budowała się u niego świętość? To uprawnione pytanie, gdyż nie istnieje świętość w ogólności. Nie ma świętości bez szczególności każdego świętego i bez cnót zwyczajnych, widocznych, jakie można komuś przypisać. Indywidualny charakter stapia się z długim procesem oczyszczania, prowadząc w końcu do powstania konkretnego i wzorowego arcydzieła, które nie zawsze potrafimy do końca zrozumieć i odczytać. Powiedziałbym, że specyficzna odpowiedź na pytanie dotyczące świętości Jana Pawła II nie odbiega daleko od wyobrażenia, jakie mieli o nim ludzie. Karol Wojtyła był prywatnie dokładnie taki sam jak w czasie publicznych spotkań: człowiekiem rozmiłowanym, chrześcijaninem, który patrzył poza własny horyzont. Dlatego nie jest trudno przemawiać na jego korzyść. Jego osobliwość ujawniała się przede wszystkim w jego bezpośrednim kontakcie z Bogiem. Dlatego właśnie jego duchowość była pociągająca, magnetyczna, niemal zawsze apostolska i niezmiennie przekonywująca.
>
> Bez względu na to, czy cierpiał, czy żartował – a w dwóch rzeczach był jednakowo doskonałym mistrzem i uczniem – jego relacja z Bogiem nie miała nic ze spekulatywnej relacji do dalekiego, transcendentnego bóstwa. W ciągu dnia przebywanie z Bogiem było jego największą pasją, najintensywniejszym priorytetem, a jednocześnie najnormalniejszą w świecie rzeczą. Jak mówił św. Jan od Krzyża – autor nieprzypadkowo zawsze przez niego tak bardzo ceniony – relacja pomiędzy Bogiem i duszą to relacja dwojga zakochanych. Bóg nie jest kodeksem, w którym człowiek wyraża swoje wierzenia, ale Osobą, której się wierzy, w której pokłada się nadzieję, i z którą przeżywa się głęboką, wierną, wzajemną miłość – miłość na całe życie. Bogu można powierzyć swoje istnienie. Kodeksowi moralnemu

nie da się powierzyć nawet jednego dnia. Ta nadzwyczajna konkretność, współbrzmiąca z jego sposobem bycia, niezwykle bezpośrednim i spontanicznym, jest istotą jego chrześcijańskiej religijności, jego świętości życia. Architrawem jego zamku było życie zwyczajne, całkowicie zanurzone w Bogu i intensywnie odmierzane obecnością Boga. Życie pracowite i jednocześnie rozmodlone.

W papieżu Wojtyle nie było cienia manieryzmu ani pseudo-mistycznej retoryki. W jego pobożności nie było nic innego jak tylko rygor miłości, świadome i współuczestniczące oddanie osoby temu, co naprawdę dla niej ważne. Janowi Pawłowi II nie zależało na tym, by manifestować swą dobroć. Może nawet wolałby – jeśli można tak powiedzieć, choć wcale nie jestem tego pewien – nie być dobrym niż udawać dobrego. I chociaż wiedział, że patrzy na niego świat, jego stałym zajęciem było wsłuchiwanie się całym sercem w polecenia przychodzące bezpośrednio od Boga. Jak wyjaśnił to św. Augustyn w *De magistro*: „Ten, kogo się radzimy, jest nauczycielem: jest to Chrystus, o którym powiedziano, że mieszka w wewnętrznym człowieku". U Wojtyły pewność ta nie słabła ani w licznych trudnościach, ani licznych radościach, które go spotykały. Myślę, że tak naprawdę zrozumiałem, jaka powinna być chrześcijańska relacja z Jezusem, kiedy patrzyłem, w jaki sposób Papież odnosił się do Ukrzyżowanego: z konkretną pewnością wzajemnego duchowego spojrzenia. Bóg nie był dla niego autorem dystansującym się od obcej i obojętnej duszy, lecz Osobą, która stworzyła jego własną osobę – osobę Jana Pawła II; Osobą, z którą można rozmawiać osobiście i której można nawet powiedzieć: „Czasami Cię nie rozumiem!". Osobą, od której jednakże nie można się oddzielić, bo pozostaje związana bardziej intymną relacją z duszą, niż każdy z nas związany jest z samym sobą.

Uderzał mnie zawsze jeden rys jego duchowej postawy: Jan Paweł II nie był ascetycznym moralistą i nie obnosił się z niepotrzebnym heroizmem. Jego sposób działania nie był oschłą i apatyczną drogą stoika. Jego umartwienia były jedynie stymulującym i skutecznym środkiem łączenia się z męką Jezusa, współuczestniczenia z Nim w radościach i cierpieniach,

> jakie pragnie się dzielić z osobą, którą szczerze i do głębi się miłuje. Zdawał się przez to nauczać, że lepiej jest cierpieć z Bogiem, niż radować się w samotności. W przypadku Jana Pawła II bardzo często chodziło jedynie o to, by wykorzystywać codzienne okazje, jakie stwarzało życie, by ofiarować Bogu małe lub wielkie wyrzeczenia. Na przykład: zrezygnować z przygotowanego w samolocie na czas długiej, międzykontynentalnej podróży, łóżka i spać na fotelu; ograniczyć, jakby mimochodem, posiłek. Albo też zrezygnować z picia, bez słowa i bez tłumaczenia się, łącząc skromność i wyrzeczenie z delikatną dyskrecją, która unika niepotrzebnych, natarczywych pytań.
>
> Celem tych wszystkich zewnętrznych posunięć było zapewnienie jego duszy doskonałego zjednoczenia z Chrystusem, całkowitej dyspozycyjności do słuchania wewnętrznego wołania Boga i podtrzymywanie przez to woli w całkowitej wolności. Zdarzyło mi się kilka razy zastać go leżącego na ziemi w czasie modlitwy. Wystarczyło popatrzeć na niego, by pojąć, że nie było w tym unicestwienia samego siebie wobec nieskończonego majestatu Stwórcy, ale ukształtowanie subtelnej analogii, w której wielkość stworzenia stawała się jednością z Bogiem, podczas gdy nędza stworzenia także jednoczyła się ze Stwórcą. Jeżeli On zbliża się do mnie i otwiera się na mnie – zdawało się mówić jego życie – to po to, bym ja mógł zwrócić się do Niego w ten sam sposób i z tym samym zaufaniem. Tak oto, w osobie Jana Pawła II, miłość do Boga miała jasne, wyraziste oblicze, zwyczajne i zarazem niezwyczajne. Miała przenikliwe i głęboko chrześcijańskie spojrzenie, regularnie nasycone świętością[167].

Uderza wnikliwość i obiektywność obserwacji rzecznika prasowego. Dostrzega wielkość Jana Pawła, wskazując zarazem jej naturalne i odwieczne źródło, którym jest Bóg. Podobnie jak Sługa Boży, również hiszpański rzecznik wyprowadza z niego wszelkie aspekty bogatej osobowości i pontyfikatu polskiego papieża.

---

[167] *San Wojtyla/2,* „La Repubblica", 19 listopada 2009, s. 37, dział R2.

Wierny w przyjaźni

Święci lubią ludzi. Kochają ich i utożsamiają się z ich radościami i trudnościami. Są im niezwykle bliscy. Wychodzą im naprzeciw. Biorą pod rękę, przemierzając z nimi pewien odcinek drogi. Ludzie są im wręcz niezbędni. Są im potrzebni niczym powietrze do życia. Z niecierpliwością i z utęsknieniem szukają ich przyjaźni, a raz zawarte szanują, otaczają wielką troską i oddaniem. Święci gotowi są zaofiarować wiele, aby raz zawarta przyjaźń mogła się rozwijać i wzmacniać, aby potrafiła przetrwała chwile trudne, momenty burzowe.

Lista przyjaciół Papieża Wojtyły jest długa, wręcz nieskończona. Także teraz, długie lata po śmierci, nadal wielu z nich przychodzi do krypty w bazylice św. Piotra, by się z nim przywitać, by mu coś (o) powiedzieć, by podzielić się z nim tym, co przeżywają i czego pragną. Mówią mu o swoich cierpieniach i problemach, wtajemniczają go w swoje radości i oczekiwania, dzielą się z nim swoimi niepokojami i nadzieją. Każdego dnia przed jego grobem przechodzi ponad piętnaście tysięcy osób. Pisze o tym w swej bardzo ciekawej książce, zatytułowanej *Drogi Panie Papieżu. Co wierni piszą do Jana Pawła II*, włoska dziennikarka Elisabetta Lo Iacono[168]. Spędziła ona wiele godzin u grobu Jana Pawła II, by uchwycić dyskrecję i głębię obecności osób w miejscu jego ostatniego spoczynku. Powyższa książka jest właśnie owocem tej pracy. Jej powstanie angażowało nie tylko czas autorki, ale także jej uczucia, pragnienia, wiarę. W efekcie powstał tekst głęboki, który wytyczy zasadnicze linie życia Wojtyły po śmierci, jego konwersację zza światów, jego duchową obecność pośród tych, którzy nadal jeszcze pielgrzymują do wieczności. Autorka odsłania „ducha" zarówno tych, którzy z nim rozmawiają, jak i „ducha" jego samego, życia oczywistego dla wszystkich, którzy z nim konwersują: wierzący i ateiści, ludzie bliscy Kościołowi i dalecy od chrześcijańskiego doświadczenia, młodzi i starsi, bogaci i biedni.

[168] E. Lo Iacono, *Drogi Panie Papieżu...*, dz. cyt.

To, co ma miejsce przy grobie Papieża, wzięło swój początek za życia. Lista jego przyjaciół była istotnie długa. Wywodzili się oni spośród wielkich i małych, osób zamożnych i ubogich, ludzi wpływowych i tych, którzy żyli w cieniu. Jednym z nich był również prezydent Włoch Sandro Pertini (1896–1990), socjalista i głowa państwa. Początki znajomości były bardzo ciekawe, lecz jeszcze bardziej jej zwieńczenie, chociaż ten ostatni aspekt ich przyjaźni muszę tutaj pominąć, skupiając się natomiast na jej wstępie.

Ich pierwsze, nieformalne spotkanie, miało miejsce w Castel Porziano, w 1979 roku. Prezydent – człowiek świecki, socjalista – jeszcze po latach dziwił się, że Papież nie próbował go nawrócić. „Wasza Świątobliwość, idę zawsze za głosem mojego sumienia!" – powiedział mu. Jan Paweł II wziął go po przyjacielsku pod ramię i odpowiedział: „Dobrze, dobrze! Idź zawsze za swoim sumieniem, bo sumienie to transcendencja". Ich przyjaźń zrodziła się zaraz po wyborze Wojtyły, kiedy – kilka dni po nim – Pertini został zaproszony na śniadanie do Watykanu. Kilka lat później, w roku 1984, doszło do innego spotkania, które było już przyjacielskim spotkaniem, spotkaniem osób, które lubią się i szanują nawzajem. Także i tym razem prezydent z entuzjazmem odpowiedział na osobliwe zaproszenie Jana Pawła II: „Panie Prezydencie, czy zechciałby Pan pojechać ze mną na narty w góry Adamello?". To telefoniczne zaproszenie przez moment wprawiło szefa państwa w prawdziwe zakłopotanie: „Ale ja nie umiem jeździć na nartach" – odpowiedział z nutą żalu – „bardzo mi przykro...". „Przecież to nieważne, czy jeździ się na nartach. Ważne, by wspólnie spędzić spokojny dzień. Zaczerpnie Pan trochę świeżego powietrza i zjemy w schronisku śniadanie" – zaproponował Papież. Odłożywszy słuchawkę, Pertini wezwał swego doradcę, Antonio Maccanico, sekretarza generalnego Kwirynału i poinformował o zaproszeniu. Jedyne zalecenie: pełna dyskrecja. Absolutna tajemnica. Aby uniknąć „skandalicznych" komentarzy, a nade wszystko przeszkodzić szturmowi fotografów i dziennikarzy, ludzi, którzy – aby zobaczyć razem socjalistycznego prezydenta i polskiego papieża – byliby gotowi udawać narciarzy, alpinistów, wycieczkowiczów.

Karabinierzy, strażacy, finansiści i policja drogowa przygotowywali w pośpiechu plan wyjątkowy.

Tajemnica miała obowiązywać do 16.40, czyli do ukazania się komunikatu Kwirynału: „Prezydent Republiki z wielką satysfakcją przyjął dziś zaproszenie Jego Świątobliwości Jana Pawła II na wspólne śniadanie na szczycie Adamello. Samolotem prezydenta Republiki obydwie osobistości przybyły do portu lotniczego w Villafranca (Werona), skąd helikopterem udały się na szczyt". Zawrzało. Ostatecznie Papieżowi udało się pojeździć spokojnie na nartach, z daleka od ciekawskich, po pięciu latach, w czasie których nie założył nart na nogi. Chyba, że w ukryciu. Rok wcześniej, na przykład, w dzień św. Józefa, ktoś przysięgał, że widział go (i sfotografował) na nartach w okolicach Montecristo, miejscowości we włoskich górach Gran Sasso...

Tymczasem dzień zapowiadał się wspaniale. Lekki wiatr przynosił świeże powietrze. Widok roztaczał się na cały łuk alpejski. Podziwiając ten piękny spektakl, Papież i prezydent zjedli obiad wraz z zarządzającymi schroniskiem, w towarzystwie ośmiu funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa i ich współpracowników. Papież Wojtyła, który pozostał na nocleg w Lobbia Alta, powiedział Pertiniemu na pożegnanie: „Włosi mają szczęście, że mają takiego prezydenta". Prezydent, zaraz po powrocie do Rzymu, skomentował z wyjątkowym zadowoleniem: „Dzień, który spędziłem z moim przyjacielem Wojtyłą, był dniem cudownym i wzniosłym"[169].

Jest to historia jednej tylko przyjaźni, i jeżeli nawet jest ona dość szczególna, pokazuje wyraźnie, że stać na nią tylko prawdziwie świętych. Trwała ona długo, aż do samej śmierci prezydenta, a z pewnością powracał do niej Papież także później, pamiętając w swojej modlitwie o zmarłej głowie państwa włoskiego.

Podobnych przyjaźni Jan Paweł II nawiązywał wiele. Każda jednak z nich była dość szczególna, przebiegała pomiędzy nim a konkretną

[169] Zob. L. Coen, *La gita di Pertini e Wojtyla*, „La Repubblica", 17 lipca 1984, s. 2, dział: POLITICA INTERNA.

osobą, nie zaś anonimowym i bez twarzy tłumem. Była to rozmowa z konkretną historią każdego mężczyzny i kobiety, z konkretnymi jego nadziejami i cierpieniami. Można powiedzieć, że jest to specjalność osób prawdziwie świętych, doskonałość tych wzorujących się na Chrystusie, który był wiernym przyjacielem Łazarza i gorzko zapłakał nad jego śmiercią.

* * *

Świat potrzebuje świętości. Podobnie jak dawniej – potrzebuje jej także dzisiaj. Ale nie tyle świat, ile raczej potrzebuje jej żyjący człowiek, mężczyzna i kobieta, którzy w nim żyją i trudzą się w osiągnięciu „pełni" swojego życia. Jan Paweł II może być dla nich zachętą i jednocześnie przykładem, jak do niej dorastać i w niej wytrwać, kiedy Bóg jej udzieli. Świętość bowiem, którą Papież przeżywał, nie była abstrakcyjna, ale konkretna, nie odległa sprawom ludzkim, ale bardzo im bliska, nie „papieska", ale ludzka. Świętość, którą przeżywał, obejmowała słowa i czyny, żyła z doświadczenia miłości Boga i dobroci, mimo wszystko, ludzi, których spotykał. Świadczą o tym liczne pisma napływające do rzymskiej postulacji. Jan Paweł pragnął nade wszystko głosić nie tylko słowem, ale całym swoim życiem, że Chrystus jest jedynym zbawicielem ludzkości i że obejmuje czułą troską każdego człowieka, w każdym wieku, każdego stanu, z każdej kultury czy systemu. Przypominał, nie tylko zresztą sobie, że mimo cierpienia, niesprawiedliwości, doznawanej od innych krzywdy, Bóg nie oddalił się od świata, który należy do Niego. Jego teologia świętości była więc *teologią* świętości dnia codziennego, świętości każdego przeżycia i spotkania, wręcz najbardziej prozaicznego. Papież sądził, że każde takie zdarzenie należało „wyjmować" w pewnym sensie z prozaicznych ram codzienności i „bez znaczenia", odczytując zarazem z perspektywy „ponadczasowości", czyli wyjątkowości i szczególnej wartości, jaką nakreśla optyka wiary.

Aby Bóg stał się sławny
Kilka uwag na temat polskiej duchowości i świętości

Bezradność słowa – myślę, że to jest właśnie ta rzecz, która mnie ogromnie trapi i dokucza, szczególnie teraz, kiedy mam pisać na temat polskiej duchowości, jej cech szczególnych, rysów charakterystycznych[170]. Dlaczego? Bowiem słowo pisane, przy wszystkich swoich aspektach pozytywnych, ma również cechy mniej pozytywne. Z jednej strony słowo daje życie temu, co wyraża, ma moc „stwarzania" rzeczywistości, uwypuklając rzeczy dotąd niedostrzegalne i niepozorne. Skupia uwagę czytelnika na tym, co mówi, odciągając go jednocześnie od tego, o czym milczy. Z drugiej strony słowo jest kruche i słabe, z łatwością może rzeczywistość odmienić, przeinaczyć lub ograniczać. Ma moc ujawniać lub ukrywać prawdziwe intencje piszącego, kształtować lub rozpraszać opinię odbiorcy, mobilizować do dobra lub osłabiać pęd do niego. Lecz mimo swoich słabości słowo wydaje się być jedynym możliwym narzędziem do opisania, w wielkich skrótach oczywiście, fenomenu polskiej duchowości. Chcę ją opisać wokół czterech cnót, które uważam za najbardziej charakterystyczne dla duchowości polskiej, a którymi są: cnota miłości,

[170] W zmienionej nieco formie niniejszy tekst został opublikowany w: *Polska miłością wskrzeszona. Biblia – kultura – niepodległość,* red. H. Wiczyk, S. Radziszewski, Lublin 2018, s. 57–72.

cnota męstwa, cnota cierpliwości i cnota nadziei. W nich, w taki czy inny sposób, ukryte są pozostałe cnoty, a przede wszystkim cnota wiary, będąca niewyczerpanym źródłem tych wskazanych wyżej i innych cnót.

Duchowa wrażliwość, czyli cnota miłości

Przyglądając się świętym, jakich wydała polska ziemia, jestem gotów powiedzieć, że każdy z nich posiada w sobie coś ze „sprzeciwu" i zarazem coś z „akceptacji", coś bliskiego jakiemuś „nie", które formułował lub wyrażał na różne sposoby, i równie mocnego „za". Duchowość polska charakteryzuje się jakimś „za" i jakimś „przeciw". Stąd też pełno w niej napięcia, ewangelicznej dynamiki, ruchu, mało zaś elementów statycznych, biernych. Święci polscy z jednej strony odznaczali się postawą rycerską, walcząc z egoizmem własnym czy narodowym, sprzeciwiając się lenistwu, opieszałości czy pesymizmowi. Odrzucali pokusę szukania jedynie osobistych korzyści. Pociągnięci miłością do Boga, apelowali o gotowość niesienia pomocy ludziom w potrzebie materialnej czy duchowej, stanięcia do walki w obronie słusznych celów (osobistych czy narodowych), oddania nawet życia za „wolność waszą i naszą".

Duch *ofiary* i *poświęcenia*, który idzie w parze z wrażliwością i czułością, jest głęboko wpisany w polską duchowość od samego początku naszych (chrześcijańskich) dziejów. Ów wątek pasyjny naszej duchowości, który bierze się z cnoty miłości, obecny jest w licznych pieśniach wielkopostnych, w nabożeństwie Gorzkich Żali, w tradycji dróżek kalwaryjskich itd. Element *cierpienia*, *słabości*, *niemocy*, *krzywdy*... widoczny jest bardzo w religijności polskiej i w życiu jej świętych, wśród których nie brakuje męczenników.

Wątki pasyjne odnaleźć można także w bogatej tradycji bożonarodzeniowej. Sławna pastorałka *Oj, maluśki, maluśki, maluśki*, w której podziwia się pokorę i ubóstwo Boga, Jego cierpienie, samotność, opuszczenie... jest doskonałym tego przykładem. Śpiewamy w niej:

Oj, maluśki, maluśki, maluśki, jako rękawicka
Alboli tyz jakoby, jakoby kawałecek smycka.
Ref. Śpiewajcie i grajcie Mu
małemu, małemu.

Cy nie lepiej by Tobie, by Tobie siedzieć było w niebie
Wsak Twój Tatuś kochany, kochany nie wyganiał Ciebie.

Tam wciornaska wygoda, wygoda, a tu bieda wsędzie,
Ta Ci teraz dokuca, dokuca, ta i potem będzie...

Czułość, wrażliwość, tkliwość... idą w ścisłej parze z gotowością przyjścia z pomocą, stanięcia w obronie, złożenia ofiary, jeżeli jest taka konieczność. Obok więc kolędy *Nie było miejsca dla Ciebie*, pełnej tkliwości i ciepła:

Nie było miejsca dla Ciebie
w Betlejem w żadnej gospodzie,
i narodziłeś się, Jezu,
w stajni, w ubóstwie i chłodzie.
Nie było miejsca, choć zszedłeś
jako Zbawiciel na ziemię,
by wyrwać z czarta niewoli nieszczęsne
Adama plemię.

Nie było miejsca, choć chciałeś
ludzkość przytulić do łona
i podać z krzyża grzesznikom
zbawcze, skrwawione ramiona.
Nie było miejsca, choć szedłeś
ogień miłości zapalić
i przez swą mękę najdroższą
świat od zagłady ocalić,

mamy inną kolędę, pełną radości i życia, zapraszającą wszystkich do pójścia do stajenki, aby przywitać Zbawiciela, oddać Mu należny pokłon i otoczyć opieką:

Pójdźmy wszyscy do stajenki, do Jezusa i Panienki,
Powitajmy Maleńkiego i Maryję, Matkę Jego,
Powitajmy Maleńkiego i Maryję, Matkę Jego.

Emocje są bardzo żywe w duchowości polskiej. Sądzę, że jest to wpływ, ślad lub skutek duszpasterskiej pracy franciszkanów, którzy – obok dominikanów – byli pierwszymi i najważniejszymi misjonarzami na ziemiach polskich. Oni również nadali jej tak wyraźne rysy pasyjne i bożonarodzeniowe, wznosząc licznie rozsiane sanktuaria Męki Pańskiej i ośrodki kultu Bożego Dzieciątka.

Duchowość sprzeciwu, czyli cnota męstwa

Wrażliwość na dobro i piękno w duchowości polskiej dostrzega się poprzez wyraźnie akcentowany element *sprzeciwu*, typowy dla dusz rycerskich i odważnych, spragnionych dobra i gotowych do walki o nie, a nawet do poniesienia ofiar.

Przez wieki przybierał on różne formy, zawsze jednak charakteryzował się pewnym *oporem* względem tego (spraw, czyli ludzi), co utrudniało, osłabiało lub unicestwiało spotkanie człowieka z Bogiem i jego duchowy rozwój, co podważało wolność wierzącego lub wolność Boga. Ów sprzeciw, związany mocno z cnotą męstwa, jest jednym z charakterystycznych cech polskiej duchowości i mistyki. Nasi święci wychodzili na spotkanie z Bogiem bez porzucania historii. Wkomponowani w konkretne środowisko, czas i miejsce, zabierali wszystko ze sobą, prosząc Boga o siłę do zmiany na lepsze lub do zerwania ze złem. Duchowość polskich świętych, właśnie głównie ze względu na sytuację historyczną kraju, nękanego przez liczne wojny, najeżdżanego przez obce wojska, rozbieranego przez zaborców,

innowierców..., rozwijała się w cieniu pomocy bliźniemu, posługi potrzebującym, troski o biednych i cierpiących, prześladowanych za wiarę lub chrześcijańskie wartości.

Polskie teksty mistyczne wydają się być mniej teoretyczne, w mniejszym stopniu „osadzone" w głowie, bardziej natomiast przesiąknięte wątkami egzystencjalnymi. Bliższe im są problemy serca niż intelektu, co bynajmniej nie znaczy, jakoby serce nie myślało albo myślało głupio. W polskich tekstach mistycznych wiele jest tematów i przesłań, które chcą odczytać głębszy sens cierpienia czy doświadczeń krzyża. Starają się znaleźć i opisać sens Bożej sprawiedliwości w sytuacji, kiedy człowiek (lub naród) doświadcza dziejowej niesprawiedliwości. Czytamy w nich często o tajemnicy Bożego miłosierdzia i odwiecznym królowaniu Chrystusa, o Jego wielkiej miłości do ludzi i oczekiwaniu na naszą miłość. Teksty mistyczne św. Faustyny Kowalskiej, bł. Anieli Salawy, św. Jana Pawła II czy Służebnicy Bożej Rozalii Celak, aby wymienić tylko niektórych, starają się udzielić wyczerpujących odpowiedzi na odwieczne pytanie człowieka doświadczanego przez choroby, ludzkie krzywdy, niesprawiedliwość, cierpienie...

W historii Polski było wiele momentów i problemów, uwarunkowań czy okoliczności, podobnych do tych, których doświadczał biblijny Hiob. Wielu też zadawało pytanie, zbliżone do pytań jego żony: „Jeszcze trwasz mocno w swej prawości? Złorzecz Bogu i umieraj!" (Hi 2, 9). Nie powinno zatem dziwić, że w postawie świętych i ich tekstach znajdujemy również wiele odpowiedzi zbliżonych do Hiobowej: „Mówisz jak kobieta szalona. Dobro przyjęliśmy z ręki Boga. Czemu zła przyjąć nie możemy?" (Hi 2, 10).

Ewangeliczny „sprzeciw" świętych, niezgoda na to, co złego dzieje się wokół i co dotyka człowieka, nie miała nic z niszczącej rewolucji, ale była apelem o wewnętrzne nawrócenie, przywrócenie naruszonej sprawiedliwości, odbudowanie godności człowieka. Święci żyli mocnym przekonaniem, że słabość – z pomocą Boga – można przezwyciężyć i zło pokonać. Przykładem tej postawy jest św. Stanisław, co sugeruje już samo jego imię. Na imię Stanisław

składają się bowiem dwa człony: „stać" i „sław", co oznacza *stać się sławny* (dla Boga). Odtąd rys *sławy* stał się wyróżniający dla polskich świętych: robili wiele, wszystko, co było w ich mocy, aby *Bóg stał się sławny* w narodzie.

Hagiografia zna kilku świętych o tym imieniu: Stanisław (1030–1079), biskup i męczennik, Stanisław Kostka (1550–1568), Stanisław Papczyński (1631–1701). Każdy z nich, na swój sposób, żył tak, aby *Bóg stał się sławny* w ich życiu. Pierwszy był „męczennikiem słowa", karcąc bowiem króla, sprowadził na siebie męczeńską śmierć. Drugi był „męczennikiem drogi", gdyż idąc za głosem powołania, opuścił Wiedeń i udał się pieszo do Rzymu, gdzie wstąpił do jezuitów. Trzeci z kolei był „męczennikiem głosu sumienia". Gotów był doznać wielu upokorzeń, prześladowania, a nawet więzienia, a to tylko dlatego, że szedł za jego głosem.

Określony *sprzeciw*, w różnej postaci, wpisany jest więc mocno w naturę polskiej duchowości. Sądzić można, że ten właśnie sprzeciw miał na myśli Jezus, kiedy mówił: „Od czasu Jana Chrzciciela aż dotąd królestwo niebieskie doznaje gwałtu, a zdobywają je ludzie gwałtowni" (Mt 11, 12). Ci zatem, którzy byli gotowi pokonywać przeszkody, jakie spotykali na drodze do dobra, wchodzili do grona zbawionych. Nimi właśnie bogata jest duchowość polska. Wielu w niej świętych na miarę Maksymiliana Marii Kolbego (1894–1941). Poszedł on na śmierć wraz z dziewięcioma towarzyszami do bloku śmierci nr 13. Bunkier, który dotąd był miejscem przekleństw i rozpaczy, pod przewodnictwem o. Maksymiliana stał się przybytkiem Bożej chwały. Gest Maksymiliana był pokojowym sprzeciwem wobec niesprawiedliwości i w obronie godności człowieka.

Bliskim duchowo św. Maksymilianowi był bł. Jerzy Popiełuszko (1947–1984). Od sierpnia 1980 roku związany ze środowiskami robotniczymi, aktywnie wspierał także „Solidarność". W czasie strajku został wysłany do odprawiania Mszy św. w Hucie Warszawa. Po wprowadzeniu stanu wojennego (1981–1983) organizował liczne działania charytatywne. Wspomagał ludzi prześladowanych i skrzywdzonych. Uczestniczył w procesach tych, którzy byli aresztowani

za przeciwstawianie się prawu stanu wojennego. Organizował rozdzielanie darów, które były przywożone z zagranicy. W kościele św. Stanisława Kostki od 28 lutego 1982 organizował Msze za Ojczyznę. Swoją działalnością duszpasterską i nauczaniem – opartym na przesłaniu: „Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj" (Rz 12, 21), nauczaniu św. Jana Pawła II, prymasa Stefana Wyszyńskiego – niezłomnością i odwagą, a także wsparciem dla prześladowanych przez władze PRL podczas stanu wojennego robotników i działaczy związkowych zyskał autorytet, szerokie poparcie społeczne i popularność w Warszawie, a później także w innych miastach.

Długa jest lista polskich świętych, dawnych i współczesnych, którzy w pewnym momencie swojego życia musieli wyrazić sprzeciw, broniąc Bożej prawdy czy ludzkiej godności. Są to święci obozów koncentracyjnych, ideologii nazistowskiej i komunistycznej.

Czcigodny sługa Boży kard. Stefan Wyszyński w sytuacji permanentnego łamania porozumienia przez komunistów ogłosił w maju 1953 roku protestacyjny memoriał *Non possumus* (łac. „nie możemy"). Pozbawiony przez władze państwowe prawa do pełnienia funkcji kościelnych i aresztowany 25 września 1953 roku, Prymas był więziony kolejno w Rywałdzie, Stoczku Warmińskim, Prudniku i Komańczy. Cierpiał, ale stał na stanowisku praw Boga i człowieka. Męski w swoim sprzeciwie wobec tego, co nieludzkie, fałszywe, co rani lub uśmierca godność człowieka.

Patrząc jeszcze bardziej wstecz, spotykamy św. Brata Alberta Chmielowskiego (1845–1916), powstańca, malarza, zakonnika. Jego *non possumus* odnosiło się jednak do biednych i ludzi z marginesu. Nie godził się z ich stanem i go nie akceptował. Postanowił, na ile mógł, przyjść im z pomocą i przywrócić im utraconą godność. Wraz z namalowaniem obrazu *Ecce Homo* w jego wnętrzu nastąpił przełom. Zamieszkał w ogrzewalni miejskiej na Kazimierzu razem z bezdomnymi, alkoholikami i nędzarzami. W ten sposób wyrażał swój sprzeciw wobec biedy i cierpienia bliźnich. Walczył o ich godność, jednak już nie z bronią w ręku, jak dawniej, ale z pomocą modlitwy i swojej inteligencji.

Wielu można by wymieniać polskich świętych, przeciwnych temu, co krzywdzi Boga lub czystą wiarę. Św. Jan Sarkander (1576–1620) czy św. Andrzej Bobola (1591–1657) nie są jedynymi męczennikami za wiarę. Obrona wiary katolickiej kosztowała ich życie. „Sprzeciw", o którym piszę, nie ma nic wspólnego z rewolucyjnymi pragnieniami zaistnienia w historii... Trwała rewolucja i zmiana ma swoje korzenie właśnie w Bogu i w szukaniu Jego chwały i sprawiedliwości.

Duchowość czuwania, czyli cnota cierpliwości

Ów „sprzeciw" względem tego, co duchowo i intelektualnie małe, co nie rozwija, lecz pomniejsza człowieka, co, zamiast mobilizować do rozwinięcia skrzydeł duchowej wyobraźni, „zwija" go duchowo i każe mu zadowalać się „małością", przeciętnością i pozornym szczęściem, zrodził duchowość *czuwania*. Nie spotkałem dotąd kraju, którego wierni spędzaliby tak wiele czasu na nocnych czuwaniach, modlitwach, pielgrzymowaniach..., tak bardzo znanych i popularnych w duchowości polskiej, zarówno wśród osób starszych, jak młodszych. Sądzę, że są one czymś specyficznym dla naszej duchowości. Granica pomiędzy *„Wszystkie nasze dzienne sprawy, przyjm litośnie, Boże prawy. – A gdy będziem zasypiali – niech Cię nawet sen nasz chwali"* a *„Kiedy ranne wstają zorze, Tobie ziemia, Tobie morze, Tobie śpiewa żywioł wszelki: Bądź pochwalon, Boże wielki!"* jest bardzo wąska, prawie nieistniejąca.

W cnocie cierpliwości kryje się jakiś rodzaj polskiej duchowej inteligencji, zbliżonej do cnoty mądrości. Wiele się mówi o polskiej świętości, głębi uczuć, prostocie i jest to, owszem, ważne, ale w duchowości czuwania, związanej z cnotą cierpliwości, obecna jest również bystra i subtelna inteligencja. Jest przecież przejawem świeżej i żywej błyskotliwości, aby umieć zrozumieć konieczność odrzucenia starych niekiedy nawyków myślowych i taktycznych,

aby jednocześnie w spokoju i bez rewolucji znaleźć język nowy, obdarzony również walorami duchowymi, i nowy sposób wyrażania wiary przodków, bez odrzucania w niej tego, co istotne, co ważne; wyznawania wiary dawnej w nowym języku i w nowy sposób, bez uwypuklania tego, co może dzielić, lecz podkreślając to, co może łączyć. Historia zdaje się uczyć, że duchowość polska posiadała na przestrzeni dziejów ten rodzaj inteligencji, który pozwalał wierzącym zrozumieć, że właśnie w takim, a nie innym momencie historii trzeba było coś zreformować, z czegoś ustąpić, a coś przyjąć, coś odrzucić, a czegoś bronić. Czuwanie nie odnosiło się bowiem wyłącznie do trwania na modlitwie, ale również do bycia na straży zdrowej Tradycji wiary.

Duchowość „spotkania", czyli cnota nadziei

Św. Jan Paweł II, idąc za wzorem wielu swoich rodaków z czasów wcześniejszych, lubił spotykać się z ludźmi, nie tylko tymi, których znał, ale również z tymi, których (jeszcze) nie znał. Na spotkania poświęcał wiele czasu. Spotykał bardzo wielu ludzi, pochodzących z różnych krajów, kultur, mówiących odmiennymi językami, różnego wieku i profesji, ludzi majętnych i biednych, zdrowych i chorych. Wierzył, że każde spotkanie może przynieść określone dobro, wymierny owoc, wymaga jednak duchowego i intelektualnego wysiłku, cierpliwości, poddania w wątpliwość swoich dotychczasowych przekonań, długiego milczenia i słuchania, gotowości na spotkanie.

Przez długie wieki ziemie polskie były „miejscem" spotkań różnych ludzi, języków, narodów, wierzeń... Spotkania przypadkowe, wolne czy narzucone, z czasem zamieniały się w trwałe przyjaźnie, w stały pobyt. Mimo wielu słabości, a może nawet i wad, niedociągnięć, grzechów..., duchowość polska posiada wiele duchowego piękna, czego przykładem są jej święci, błogosławieni, słudzy Boży... i wielu, bardzo wielu wspaniałych ludzi.

Duchowość polska, mocno przywiązana:

Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie
Dla darów Nieba...
Tęskno mi, Panie...

*

Do kraju tego, gdzie winą jest dużą
Popsować gniazdo na gruszy bocianie,
Bo wszystkim służą...
Tęskno mi, Panie...

*

Do kraju tego, gdzie pierwsze ukłony
Są, jak odwieczne Chrystusa wyznanie,
„Bądź pochwalony!"
Tęskno mi, Panie...[171],

tęskni wielką nadzieją, że mimo wszystkich trudności, niesprawiedliwości, mimo iż wielu okrzyknęło już śmierć diabła i postów..., i Kościoła..., nadal bardzo mocno czeka na spotkanie z Bogiem i Jego Matką, oczekuje z nadzieją na Bożą sprawiedliwość i miłosierdzie, modląc się o szczęście wieczne.

* * *

Tych kilka słów na temat duchowości polskiej nie wyczerpuje żadną miarą bogatego tematu, jakim jest duchowość i świętość polska. Chcą być raczej rodzajem inspiracji do refleksji, początkiem dłuższej rozmowy, nie zaś opisem całościowym i wykończonym.

[171] C.K. Norwid, *Moja piosenka.*

Początek tej rozmowie dał św. Stanisław, biskup i męczennik. Swoim życiem i postawą, ale także męczeństwem, nadał istotny rys, jakiś ważny kierunek dla swoich rodaków – *Stanisław,* czyli ciągłe mocne pragnienie, aby *(Bóg) stał się sławny* (w narodzie i świecie), aby miał zawsze miejsce pierwsze, najważniejsze, aby w cieniu Jego prawa kształtowało się prawo ludzkie. Ten rys teocentryczny pozostał żywy przez wieki. Jest obecny w pieśniach i nabożeństwach liturgicznych, poezji religijnej i polskich dziełach mistycznych. Do tego też wątku tematycznego nawiązał św. Jan Paweł II, kiedy 22 października 1978 roku, w homilii rozpoczynającej jego pontyfikat, zwracał się do świata z żarliwym apelem: „Nie lękajcie się! Otwórzcie drzwi Chrystusowi!".

Zakończenie

Stephen Hawking w swojej *Krótkiej historii czasu*[172] napisał, że nieład wzrasta w czasie, ponieważ mierzymy czas w kierunku, w którym ów nieład wzrasta. Sugerowałoby to, że mamy jakiś wybór, że możemy np. obserwować najpierw rozrzucone po podłodze kawałki stłuczonego szkła, potem moment uderzenia szklanki o podłogę, następnie szklankę w powietrzu, a w końcu – w dłoni trzymającego ją człowieka. Nie ma żadnej naukowej zasady nakazującej „psychologicznej strzałce czasu" zmierzać dokładnie w tym samym kierunku, w którym idzie strzałka termodynamiczna i wzrasta entropia układu. Wielu ludzi nauki sądzi jednak, że tak jest, w ludzkim mózgu bowiem zachodzą przemiany energii podobne do tego, co obserwujemy w naturze. Mózg ma energię, aby działać, obserwować i wnioskować, ponieważ ludzki „silnik" spala paliwo-pokarm i podobnie jak w silniku spalinowym proces ten jest nieodwracalny.

Inny brytyjski fizyk, Julian Barbour, napisał kilka książek o tym, że czas to jedynie iluzja. Najbardziej znaną jest *The End of Time: The Next Revolution in Our Understanding of the Universe*[173] z 1999 roku. Wszechświat, jeśli składa się z konfiguracji materii, które nie utrzymują się, sprawia wrażenie, jakoby czas płynął, twierdzi Barbour. Strumień świadomości i odczuwanie teraźniejszości, trwające około

[172] S. Hawking, *Krótka historia czasu*, tłum. P. Amsterdamski, Poznań 2015.

[173] J. Barbour, *The End of Time: The Next Revolution in Our Understanding of the Universe*, Oxford 1999.

sekundy – to wszystko zachodzi w ludzkich głowach. W naszych mózgach znajduje się informacja o niedawnej przeszłości, ale nie w wyniku łańcucha przyczynowego prowadzącego z powrotem do wcześniejszych konfiguracji. Jest to raczej cecha myślenia, być może konieczna, aby w ogóle można było myśleć[174].

Barbour zauważa, że Einstein w jednym z ostatnich listów pisze: „Ludzie tacy jak my, którzy wierzą w fizykę, wiedzą, że rozróżnienie między przeszłością, teraźniejszością i przyszłością jest jedynie uporczywą iluzją". Wielu uznaje poglądy Barboura za „naukę na krawędzi", ale nie wszyscy. Nie brak takich, dla których poglądy takie są nie tyle „szalone, co interesujące".

Po zakończonej lekturze niniejszej pozycji czytelnik może się przekonać, że nie interesowały mnie wyżej wspomniane dyskusje odnośnie do czasu, przeszłości, teraźniejszości czy przyszłości, bliższe kosmologii czy fizyce, mniej zaś duchowości czy teologii. Tę ostatnią rozumiałem bardzo prosto – jako część lini czasu, która ma się wydarzyć, jako część przestrzeni, w której zawarte są wszystkie zdarzenia, które jeszcze nie miały miejsca, ale które z pewnością się wydarzą. W tym sensie przyszłości preciwstawia się przeszłość, która obejmuje te zdarzenia, które już się wydarzyły, oraz teraźniejszość, która zawiera zdarzania, które właśnie się dzieją.

Od zawsze przyszłość, ponieważ była pełna niewiadomych, rodziła nie tylko zaciekawienie, ale również określone trudności, niepokoje czy nadzieje. Była źródłem dobrych myśli lub lęku, wyczekiwana była z radością lub przyjmowana z wielkim przymusem. W niniejszej pozycji chciałem przekonać czytelnika, że przyszłość nie jest radykalnie odmienna od teraźniejszości, ale przeciwnie, w pewnym sensie jest jej konsekwencją, przedłużeniem czy też owocowaniem ziarna zasianego w czasie. Święci, którzy żyją w teraźniejszości, mają wpływ na przyszłość, na jej kształt, formę, treści. To właśnie od nich, od ich wyborów, konkretnych postaw czy słów itd., zależy w dużym

[174] *Czas – wielka przeszłość, niepewna przyszłość*, https://mlodytechnik.pl/technika/29600-czas-wielka-przeszlosc-niepewna-przyszlosc (18.04.2020).

stopniu to, jakie będzie „jutro", w jakiej przyszłości będą żyć pokolenia, które przyjdą.

Przeszłość i teraźniejszość pełna jest ludzi świętych, stąd chrześcijańskie spojrzenie na przyszłość pełne jest ufności i optymizmu, jest bowiem spojrzeniem wiary przepełnionej obecnością Boga i nadzieją, że również w naszym „jutro" będą ludzie o sercu wrażliwym, kochających Boga i człowieka. Przekonywał o tym papież Franciszek w Adhortacji *Guadete et exsultate,* opublikowanej 19 marca 2018 roku. Pisał:

> 3. W Liście do Hebrajczyków wspomniani są różni świadkowie, którzy zachęcają nas, by „wytrwale biec w wyznaczonych nam zawodach" (por. 12, 1). Mowa tam o Sarze, Abrahamie, Mojżeszu, Gedeonie i kilku innych (por. rozdz. 11). W szczególności jesteśmy zachęcani do uznania, że mamy „dokoła siebie mnóstwo świadków" (12, 1), którzy nas wspierają, abyśmy nie zatrzymywali się w drodze, którzy pobudzają nas do kontynuowania naszej drogi do celu. A wśród nich może być nasza własna matka, babcia lub inne bliskie osoby (por. 2 Tm 1, 5). Może ich życie nie zawsze było doskonałe, ale, nawet pośród niedoskonałości i upadków, szli naprzód i podobali się Panu.
>
> 4. Święci, którzy znaleźli się już w obecności Boga, utrzymują z nami więzy miłości i komunii. Świadczy o tym Księga Apokalipsy, która mówi o wstawiennictwie, jakiego podejmują się męczennicy: „Ujrzałem pod ołtarzem dusze zabitych dla Słowa Bożego i dla świadectwa, jakie mieli. I głosem donośnym tak zawołały: «Dokądże, Władco święty i prawdziwy, nie będziesz sądził»" (6, 9–10). Możemy powiedzieć, że „towarzyszą nam przyjaciele Boga, otaczają nas i prowadzą [...]. Nie muszę nieść sam tego, czego w istocie nie byłbym w stanie sam udźwignąć. Rzesza świętych Bożych ochrania mnie, wspomaga i prowadzi"[175].

[175] Benedykt XVI, *Homilia podczas Mszy św. z okazji inauguracji pontyfikatu* (24 kwietnia 2005): AAS 97 (2005), 708; „L'Osservatore Romano", wyd. polskie, 2005, nr 6 (274), s. 11.

> 5. W procesach beatyfikacyjnych i kanonizacyjnych brane są pod uwagę oznaki heroiczności w praktykowaniu cnót, ofiarowanie życia w męczeństwie, a także przypadki, w których potwierdzono ofiarowanie swego życia dla innych, trwające aż do śmierci. Ten dar z siebie jest wyrazem przykładnego naśladowania Chrystusa i zasługuje na podziw wiernych[176]. Przypomnijmy na przykład bł. Marię Gabrielę Sagheddu, która ofiarowała swoje życie za jedność chrześcijan[177].

Obecność błogosławionych i świętych, ich słowa i czyny, tworzą świat i jego mieszkańców lepszymi. Wnoszą oni duży ładunek nadziei w czasy, w których żyją, oraz w te, które przyjdą. Przywracają wiarę w człowieka i w dobro, które w sobie niosą, nie zawsze tego świadomi. Nade wszystko jednak przywracają obecność Boga w świecie także wtedy, kiedy wiele z tego, co się dzieje, sugeruje, jakby Boga nie było.

Święci są także nauczycielami uczciwego, ofiarnego i udanego życia, które jest gwarantem dobrej teraźniejszości i pozytywnej przyszłości. Poprzez słowo, ale także poprzez konkretne czyny, stawali po stronie prawdy, często oddając za nią majątek, nierzadko również wartość największą – życie.

Błogosławieni i święci są naszymi orędownikami u Boga i to w wieloraki sposób. Z jednej strony przywracają hierachię wartości (albo też przypominają o jej nieodzowności), z drugiej zaś pomagają, wstawiając się za żyjącymi u Boga, aby Go poznali, zaakceptowali i bronili.

Święci czynią świat bardziej ludzkim. Posiadają oni szczególną (boską wręcz) umiejętność jednania (godzenia) biednych z bogatymi, słabych z mocnymi, mądrych z tymi, którzy mądrości poszukują. Są światłem świata. Są nadzieją na lepsze „jutro", na obiecującą

---

[176] W każdym przypadku zakłada istnienie opinii świętości i wypełnianie, przynajmniej w stopniu zwyczajnym, cnót chrześcijańskich: por. List apostolski w formie motu proprio *Maiorem hac dilectionem* (11 lipca 2017), art. 2 c.

[177] Franciszek, Adhortacja apostolska *Gaudete et exsultate*, 19 marca 2018, http://www.vatican.va/content/francesco/pl/apost_exhortations/documents/papa-francesco_esortazione-ap_20180319_gaudete-et-exsultate.html#_ftn2.

przyszłość, której jeszcze nie znamy, lecz która niezaprzeczalnie nadejdzie. Święci i błogosławieni są nadzieją na lepszą przyszłość, która już staje się rzeczywistością, być może w wymiarze jeszcze dość ograniczonym (powiedziałbym personalnym), ale bez wątpienia bardzo realnym. Dlatego też świat, jeżeli chce mieć swoje „jutro", nie może się obejść bez świętych – ludzi o sercu wielkim i wrażliwym, ludzi dobrych i ofiarnych, pełnych miłości Boga, gotowych do niesienia pomocy potrzebującym. To ludzie, którzy umiłowali miłosierdzie i pokazali, że nie ma takich okoliczności, które nie byłyby dobre do realizowania drogi miłości.

Indeks nazwisk

CFCI	Zgromadzenie Braci Serca Jezusowego
CMBB	Zgromadzenie Córek Matki Bożej Bolesnej
SDB	Towarzystwo św. Franciszka Salezego
SJ	Towarzystwo Jezusowe
OFMCap	Zakon Braci Mniejszych Kapucynów
OFMCov	Zakon Braci Mniejszych Konwentualnych
OCD	Zakon Braci Najświętszej Maryi Panny z Góry Karmel
OP	Mniszki Zakonu Kaznodziejskiego
OP	Zakon Kaznodziejski
OSPPE	Zakon Świętego Pawła Pierwszego Pustelnika

Achrymowicz Doroteusz 07
Albert Brat (właśc. Chmielowski Albert), św. 8, 10, 11, 65, 145, 146, 147, 149, 148, 152, 153, 155, 156, 157, 192, 249
Amato Angelo, SDB, kardynał 220
Antal Veronica, bł. 76
Antoni, św., opat 24
Antoni Pustelnik, św. 65
Antoni de Saint-Exupéry 33
Antoni z Padwy, św., min 85
Auer Alfons 121, 122
Augustyn, św., biskup 37, 51, 56, 233, 237
Balthasar Hans Urs von 51, 52

Barbara, św. 39
Bartoszewski Gabriel, OFMCap 203
Batory Stefan, król Polski 97
Barry M. Inviolata 54
Bauer Ferdinand Christian 120
Bendza Marian 94
Benedykt, św. 191
Benedykt XVI (właśc. Ratzinger Joseph), papież 151, 152, 191, 219, 220, 231, 257
Berlusconi Silvio 229
Bernanos Georges 67
Bierut Bolesław 215
Bisconti Fabrizio 44
Bobola Andrzej, św., SJ 26, 160, 250
Boecjusz Severinus 55, 56
Bojanowski Edmund, bł. 11, 135, 136
Bołtryk Michał 92
Bouyer Louis 44
Brunon, św. 24
Celak Rozalia, Służebnica Boża 247
Chaim z Wołożyna (z Witebska) 107
Chmielnicki Genadi 96, 97
Chodyka Ivan 106
Chryzostom Jan, św. 24
Chrzanowska Hanna 10, 11, 76, 175, 176, 177, 178, 179, 180, 181, 182, 183, 185, 187, 188, 189, 190, 191, 192.
Chrzanowski Bogdan 179
Chrzanowska Wanda 175
Chrzanowski Ignacy 175, 176, 179
Chrzciciel Jan 28, 212, 219, 248
Coen Leonardo 241
Cyrankiewicz Józef 216
Czaczkowska Ewa Katarzyna 193, 199, 202, 205, 207, 218
Ćwiertnia Izabela 176

Dattrino Lorenzo 44
Deferrari Roy Joseph 54
Delehaye Hippilyte 37
Diderot Denis 120
Dmochowscy 176
Dominik Guzman, św. 24
Dylągowa Hanna 98
Drewermann Eugen 131
Dzidek Tadeusz 54
Eisler Jerzy 216
Eliasz, mnich prawosławny 98, 104
Epstein Magdalena Maria, Służebnica Boża, OP 177
Ernout Alfred 43
Faszczowa Anna M. 73
Ferry Luc 117, 119, 123, 125
Filoramo Giovanni 226, 228
Florkowska Marzena 180, 181, 182
Florian, św., męczennik 39
Franciszek, papież 13, 14, 150, 151, 153, 154, 257, 258
Franciszek z Asyżu, św. 24, 37, 39, 62, 63
Franklin Beniamin 120
Frąckowiak Grzegorz Bolesław, bł., SDB 135
Frick David 105
Fritzsch Karl 159, 162, 171
Fudała-Janc Magdalena 9
Gajowniczek Franciszek 11, 159, 162, 172
Galarowicz Jan 54
Gierek Edward 217, 218
Gierowski Józef Andrzej 102
Gorzkowski Albert 138
Graczyk Maria Leonia 204, 206
Grodziecki Melchior, bł. 106
Grossi Vittorino 54
Grzegorz Wielki, św., papież 37, 229

Guardini Romano 54
Hajduk Mikołaj 94, 99, 100, 101
Herlikowski Jan 106
Heschel Abraham Joshua 138
Horowski Aleksander, OFMCap 44
Hostyłowski Herman 106
Hozjusz Stanisław, Sługa Boży, kardynał 103
Hume David 120
Ihnatowicz Janusz Artur 40
Ireneusz z Lyonu, św. 141, 142
Jan Apostoł, św. 40, 44
Jan Kazimierz, król Polski 94
Jan od Krzyża, św. 37, 233, 236
Jan Paweł II (właśc. Karol Wojtyła), św., papież 8, 10, 11, 13, 21, 22, 29, 30, 54, 87, 92, 124, 125, 128, 130, 131, 132, 133, 136, 137, 146, 149, 153, 154, 156, 160, 181, 182, 184, 185, 219, 220, 221, 223, 224, 225, 227, 228, 229, 230, 231, 232, 233, 234, 235, 236, 237, 238, 239, 240, 241, 242, 247, 249, 251, 253
Janicki Jan Józef 45
Jaworska Barbara 159
Juda Tadeusz, św., apostoł 85, 206
Kalinowski Rafał, św., OCD 8, 26
Kant Immanuel 120
Kijas Zdzisław Józef, OFMConv 21, 44, 73, 88, 108, 109, 110, 120, 159, 163, 194
Klauza Karol 212
Kolbe Maksymilian Maria, św., OFMConv 10, 11, 26, 63, 88, 159, 160, 161, 162, 163, 164, 165, 166, 167, 168, 169, 170, 171, 173, 248
Koester William 40
Kolesárová Anna, bł. 76
Koneczny Feliks 94
Konopiński Marian, bł. 135
Korolko Mirosław 103
Kostka Stanisław, św., SJ 248, 249

Kowalska Faustyna, św. 247
Kózkówna Karolina, św. 224
Krąpiec Mieczysław Albert, OP 54
Kudasiewicz Józef 40
Kuncewicz Jozafat, św., arcybiskup 10, 11, 91, 92, 93, 94, 95, 96, 97, 98, 99, 100, 101, 102, 103, 104, 105, 106, 107, 108, 109, 110, 111, 112, 113, 114, 115
Kunczyc Gabriel 96
Kunczyc Maryna 96
Kut Józef 135
Ladaria Luis Francisco, SJ, kardynał 54
Lalande André 54
La Rocca Oriazio 231, 232
Laskowski Włodzimierz, bł. 135
Leclercq Henri 40
Lécrivain Philippe 54
Lelewel Jochaim 175
Leon Wielki, św., papież 229
Lessing Gotthold Epfraim 120
Lewis Clive Staples 34
Lo Iacono Elisabetta 224, 239
Locke John 120
Lubac Henri de, SJ, kardynał 51, 68, 69, 70
Lubich Chiara, Służebnica Boża 229
Łużny Ryszard 94
Łycz Leonid 100
Maccanico Antonio 240
Machay Ferdynand 181
Mazzoleni Dario 44
McGuiness Ignatius 54
McKenzie John Lawrence 138
Maggioni Bruno 138
Meillet Antoine 43
Micewski Andrzej 215, 216

Michalski Marian 44
Mirandola Pico della 28, 29
Mironowicz Antoni 94, 101, 104
Misztal Henryk 49, 108
Miś Andrzej 117
Miś Hanna 117
Mojżesz, prorok 141, 142, 154, 216, 257
Molinari Paolo 46
Morawski Stanisław 216
Możyłowski Łukasz 106
Nachman Izrael 108
Napiórkowski Stanisław Celestyn, OFMConv 212
Naumow Aleksander 93, 110, 111, 113
Navarro-Valls Jaoquin 230, 231, 232, 235
Nightingale Florenc 177
Nocoń Arkadiusz 32
Norwid Cyprian Kamil 252
Olędzka-Frybesowa Aleksandra 33
Ołdakowska-Kuflowa Mirosława 94
Ozeasz, prorok 41
Papczyński Stanisław, św. 248
Paweł (Szaweł), św., apostoł 43, 45, 52, 53, 88, 105, 139, 142, 180
Paweł VI, papież 45
Pek Kazimierz 212
Pertini Sandro, prezydent 241
Pius IX, bł., papież 92
Pius XI, papież 45
Pociej Hipacy 96, 97
Polikarp, św., biskup 45
Politi Marco 229, 230
Polkowski Andrzej 34
Popiełuszko Jerzy, bł. 248
Popowicz Jacenty 96
Possevino Antonio 96

Putz Narcyz, bł. 135
Radziszewski Stefan 243
Rak Piotr 54
Rastawicka Anna 203, 212
Reese William Lewis 54
Rita, św. 85
Robespierre Maksymilian 120
Roger Schulz z Taize 65, 69
Rousseau Jean-Jacques 120
Ruini Camillio, kardynał 219, 227
Rutski Jan Józef Welamin, arcybiskup 94, 96, 97, 100
Ryszard z klasztoru św. Wiktora 56
Ryszewski Henryk 202
Salawa Aniela, bł. 247
Sapiecha Adam Stefan, kardynał 177
Sapieha Lew 101, 102
Sarkander Jan, św. 250
Scheffczyk Leo, kardynał 40
Sesboüé Bernard, SJ 54
Sienkiewicz Henryk 175
Skorodecki Stanisław 204
Smotrycki Melecjusz 104, 105
Sodano Angelo, SDB, kardynał 229, 230
Sokoliński Michał 106
Spychalski Marian 216
Stanisław, św., biskup 80, 247, 248, 253
Stano Gaetano 66
Staszic Stanisław 120
Stefańska Agnieszka Maria 224
Strauss David Friedrich 120
Szczepan, św., męczennik 105
Szegda Mirosław 96
Szlenkier Karol 176
Szlenkier Zofia 177, 179, 187

Szymkowiak Sancja, bł., CMBB 135, 136
Śniadecki Jan 120
Svidercoschi Gianfranco 234
Taylor Charles 54
Teofanes Wyznawca, św. 104
Teresa od Jezusa, św. 233
Teresa z Kalkuty, św. 26, 65, 192, 233
Tomasz z Akwinu, św., OP 51
Toland John 120
Tomziński Jerzy, OSPPE 205
Tolkien John Ronald Reuel 34
Tyranowski Jan, Czcigodny 233
Urban VIII, papież 92
Vanier Jean 32
Voltaire (właśc. François-Marie Arouet) 120
Washington George 120
Witkowski Wiesław 100
Wójcik Zbigniew 102
Wycech Czesław 216
Wyszyńska Julia 209
Wyszyński Stefan, bł., prymas 10, 11, 193, 194, 195, 197, 198, 199, 200, 201, 202, 203, 204, 205, 206, 207, 208, 209, 210, 211, 213, 214, 215, 216, 217, 218, 249
Wyszyński Tadeusz 209
Zacheusz, postać biblijna 30, 31
Zaleski Wincenty, SDB 104
Zamoyski Jan Sariusz 101
Zapłata Józef, bł., CFCI 135, 136
Ziejka Franciszek 13, 94
Zielińska Agnieszka 32
Zizola Giancarlo 233
Zuberbier Andrzej 40, 45
Żakowski Jacek 204, 206, 209, 210
Żychiewicz Tadeusz 63, 64, 91, 94, 98, 99, 100, 101, 102, 104, 105, 106, 107

Spis treści

Wstęp 5

Świętość a pokusy współczesności 13
Pokusa aktorstwa 14
Pokusa próżności 16
Pokusa zamykania się we własnym ego 18
Świętość a pokusy współczesności 20
Święci żyli pełnią życia 23
Bliski był im nie tylko protest, ale także spotkanie 25
Zwalczali zło 27
Bardzo kochali spotkania 28
Każde spotkanie było ważne 30
Bliskość świętych rodzi świętych 32

Próba opisania świętości i świętych 38
Pociągające życie świętych 38
Niewyczerpane źródła świętości 39
Biblijne pojęcie świętości 40
Stary Testament 40
Nowy Testament 43
Teologiczne rozumienie świętości 44
Ta sama i zarazem zawsze inna 47
Istotne cechy chrześcijańskiej świętości 50
Pełne miłości otwarcie się na drugiego 50
Piękno i pełnia życia 54
Aktywni w świecie 57

Życie w świecie i z jego problemami 58
Osadzona na wierze 61
Świętość wyrasta z codzienności 63
Wrażliwość świętych 65
Dystans świętych 65
Kanonizacja 66
Święty „jutra” 67

Dojrzewanie świętości 73
Beatyfikacje 73
Wstawiennictwo świętych 80
Problem relikwii 82
Specjalizacje świętych 85

Marzyciel jedności Kościoła. Św. Jozafat Kuncewicz 91
Święty pogranicza i bliźni 92
Trudny święty 94
Uwikłany w historię 96
Gorliwy duszpasterz 97
Dynamika śmierci 103
Świętość rodzi nadzieję nowej przyszłości 106
Dwa poziomy funkcjonowania świętych 108
Manipulowanie świętymi 110
Jozafat modli się o jedność 114

Przyszłość świata prowadzi przez obronę prawdy. Błogosławieni poznańscy 117
Tendencja do odczarowania świata 117
Silne dążenie do autonomii 120
Humanizacja źródeł 124
Humanum i sacrum 125
Konieczność przywracania Boga do głosu 127
Naśladowanie Chrystusa 128
Święci żyją Bożą prawdą 131
Święci są obrońcami Bożej prawdy 134
Aktualność poznańskich błogosławionych 135
Prorok – świadek Bożej obecności w świecie 138

Święci – współcześni prorocy 140
Przyszłość świata potrzebuje świadków prawdy 142

Nadzieja większa niż życie. Św. Brat Albert 142
Życie tylko pozornie chaotyczne 145
Żyć nadzieją na ukryty sens życia 147
Potrafił wznosić się ponad trudności 148
Nigdy się nie poddał 149
Był nadzieją dla tych bez nadziei 150
Nadzieja na przywrócenie godności 153

Miał coś z ognia. Św. Maksymilian Maria Kolbe 159
Ściąganie świętych 159
Wartość posłuszeństwa w świętości 161
Miłość ma wiele odcieni 162
Kwestia lęku 165
Jego ogień ciągle rozpala serca ludzi 168
Podziw 168
Zwieńczenie 169
Trwać wiernie na posterunku 171
Święty cudów 172

Być blisko osoby cierpiącej. Bł. Hanna Chrzanowska 175
Nie zanosiło się, że będzie świętą 175
Odkrycie drogi życia 177
Wrażliwa na potrzeby bliźniego 179
Całe życie chciała pomagać lepiej 182
Niosła w sobie cierpienie innych 184
Najbardzaiej starała się być bliską Boga 185
Była wrażliwą na godność człowieka cierpiącego 188
Jej wytrwałość była darem Bożej łaski 190

Nie było dla niego sytuacji bez wyjścia. Stefan kard. Wyszyński 193
Trudny kontekst mówienia o świętości 197
Dobry człowiek 198
Dobry obywatel 200

Szacunek i wartość pracy 201
Wyjątkowość modlitwy 204
Nieodozowność Boga Ojca 205
Niepodważalna godność człowieka 208
Odnajdywał się w każdej sytuacji 211
Ideałem jego życia była harmonia 213

Wielki święty mimo przeciwnych wiatrów. Jan Paweł II 219
Natura świętości 221
W centrum wszystkiego był Chrystus 223
Świat na zakręcie historii 226
Był wiernym Bogu 227
Piewca cywilizacji miłości 229
Nie zadowalał się przeciętnością 230
Nie lekceważył wymagań 233
Wyczulony na sprawy duchowe 235
Wierny w przyjaźni 239

Aby Bóg stał się sławny. Kilka uwag na temat polskiej duchowości i świętości 243
Duchowa wrażliwość, czyli cnota miłości 244
Duchowość sprzeciwu, czyli cnota męstwa 246
Duchowość czuwania, czyli cnota cierpliwości 250
Duchowość „spotkania", czyli cnota nadziei 251

Zakończenie 255

Indeks nazwisk 261

Table of Contents

Introduction 5

Sainthood and the Temptations of Modern Times 13
The Temptation of Acting 14
The Temptation of Vanity 16
The Temptation of Concentrating on One's Own Ego 18
Sainthood and the Temptations of Modern Times 20
Saints Lived the Fullness of Life 23
They Held Close to Heart not only Protest, but also Encounter 25
They Combat Against Evil 27
They Loved Encounter 28
Every Encounter was Important 30
Proximity to Saints bears New Saints 32

An Attempt to Describe Sainthood and the Saints 38
The Attractive Lives of the Saints 38
Inexhaustible Sources of Sainthood 39
The Biblical Concept of Sainthood 40
The Old Testament 40
The New Testament 43
Theological Understanding of Sainthood 44
The Same, Yet Always Different 47
Fundamental Characteristics of Christian Sainthood 50
Loving Openness to Others 50
The Beauty and Fullness of Life 54
Active in the World 57
Life in the World and its Problems 58
Founded on Faith 61

Sainthood Springs Forth from Everyday Life 63
The Sensitivity of Saints 65
The Distance of Saints 65
Canonization 66
The Saint "of Tomorrow". 67

The Maturing of Sainthood 73
Beatifications 73
The Intercession of the Saints 80
The Problem of Relics 82
The Intercession of the Saints 85

The Visionary of Church Unity: St. Josaphat Kuntsevycz 91
The Neighbouring Saint of the Frontier 92
Difficult Saint 94
Entangled in History 96
A Zealous Pastor 97
The Dynamics of Death 103
Holiness Brings Forth Hope of a New Future 106
Two levels of the Functioning of Saints 108
Manipulating the Saints 110
Josaphat Prays for Unity 114

PThe Future of the World Comes through the Protection of the Truth. The Blessed from Poznan. 117
he Tendency to Disenchant the World 117
Strong tendencies to autonomy 120
Humanization of the Sources. 124
Humanum and Sacrum 125
Letting God Have the Word Once Again 127
The Imitation of Christ 128
The Saints Live God's Truth 131
Saints are Protectors of God's Truth 134
The Timeliness of the Blessed from Poznan 135
The Prophet – a Witness to God's Presence in the World 138
Saints – Modern-day Prophets 140
The Future of the World Needs Witnesses to the Truth 142

A Hope that is Stronger Than Life: St. Brother Albert ... 142
Life is Only Superficially Chaotic ... 145
To Live the Hope of a Hidden Sense to Life ... 147
He was able to Overcome Difficulties ... 148
He never Gave Up ... 149
He was a Hope for Those Without Hope ... 150
Hope of Restoring Dignity ... 153

He Had Something of Fire: St. Maximilian Maria Kolbe ... 159
The Attractiveness of the Saints ... 159
The Value of Obedience in Holiness ... 161
Love has Many Shades ... 162
The Question of Fear ... 165
His First Continues to Enkindle the Hearts of Men ... 168
Admiration ... 168
The Culmination ... 169
To Stand Faithfully at your Post ... 171
The Saint of Miracles ... 172

To Be Close to Those Who Suffer: Blessed Hanna Chrzanowska ... 175
It Didn't Seem like She was Going to be a Saint ... 175
The Discovery of Her Vocation in Life ... 177
Sensitive to the needs of the Neighbor ... 179
She had a Constant Desire to Help Others Even More ... 182
She Bore within Herself the Suffering of Other ... 184
She Tried Most to Stay Close to God ... 185
She was Sensitive to the Dignity of the Suffering ... 188
Her Perseverance was a Gift of God's Grace ... 190

There Was Never a Situation That Was Impossible for Him: Stefan Card. Wyszyński ... 193
Difficult Context When Speaking of Sainthood ... 197
A Good Man ... 198
A Good Citizen ... 200
Respect and Value of Work ... 201
The Uniqueness of Prayer ... 204

The Indispensability of God the Father 205
Unquestionable Human Dignity 208
He Was Able to Find Himself in Any Situation 211
The Ideal of His Life was Harmony 213

A Great Saint despite Contrary Winds: John Paul II 219
The Nature of Holiness 221
Christ was at the Heart of Everything 223
The World at the Curve of History 226
Faithful to God 227
Eulogist of the Civilization of Love 229
Never Satisfied with Mediocrity 230
No Disregard for Obligations 233
Sensitive to Spiritual Matters 235
Faithful in Friendship 239

Making God Famous. Some Remarks on Polish Spirituality and Holiness 243
Spirituality of Sensitivity – that is, the Virtue of Love 244
Spirituality of Opposition – that is, the Virtue of Courage 246
Spirituality of Vigilance – that is, the Virtue of Patience 250
Spirituality of Encounter – that is, the Virtue of Hope 251

Conclusion 255

Index of Persons 261

„Współczesny kryzys spowodowany przez COVID-19 wyzwolił w ludziach wiele lęków o własne zdrowie i życie. Podstawowym zadaniem ludzkości wydaje się dziś być poszukiwanie «lekarstwa» na pokonanie epidemiczno-społecznych zagrożeń, a tym samym na lepszą i pewniejszą przyszłość. W sytuacji, w jakiej znalazł się współczesny świat i człowiek, należy jednak pytać, o jaką przyszłość chodzi? Czy tylko o tę «tu i teraz» – jak to dziś często wydają się sugerować niektóre medialne środowiska? Niezwykle trafną drogę w poszukiwaniu odpowiedzi na egzystencjalne pytania współczesności wskazuje Zdzisław Józef Kijas w swojej książce pod znamiennym tytułem Święci a przyszłość świata".

Prof. dr hab. Zygfryd Glaeser

„Monografia ma charakter oryginalny i twórczy. Ujawnia bogatą wiedzę i kompetencje naukowe Autora. Jako wieloletni pracownik Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych o. Kijas miał możliwość niejako z bliska poznawać tajniki Bożego działania w życiu konkretnych świętych i błogosławionych. W ten sposób recenzowana książka nie jest owocem zwykłej inicjatywy naukowej i wydawniczej, ale wyrasta z bogatego doświadczenia Autora".

Prof. dr hab. Tadeusz Kałużny

BIBLIOTEKA EKUMENII I DIALOGU

Uniwersytet Papieski
Jana Pawła II
w Krakowie

ISBN 978-83-7438-939-6